

Stephen Frey

Informer

*Jeszcze raz, mojej żonie Lillian oraz naszym córkom Christinie i Ashley, które sprawiają, że
każdy dzień mojego życia jest wyjątkowy.*

Prolog

Sierpień 1994

Jasnożółte oczy w blasku przecinającego luizjańską noc silnego reflektora, jarzyły się tuż nad powierzchnią wody. Wyglądały jak migocące światła. Wokół żarówki roiły się ćmy. Mężczyzna trzymał w jednej ręce reflektor, a drugą prowadził łódź „Boston Whaler”. Uśmiechnął się, zadowolony, że widzi tyle ślepi łypiących z nad powierzchni. Bo każda para oczu świadczyła o tym, że pod wodą czai się nawet czterometrowej długości aligator – przedstawiciel gatunku zdolnego w parę sekund rozerwać człowieka na strzępy. Mężczyzna otarł czerwoną bandaną ściekającą z czoła kropelki potu. Sierpniowa noc nad Bayou Lafourche była duszna i wilgotna. Wielka ćma usiadła na górnej wardze mężczyzny. Schwycił owada, zmiażdżył go w dłoni i cisnął do wody. Prawie w tej samej chwili coś gwałtownie poruszyło się w głębinie i ćmę wessał czarny wir. Mężczyzna na moment stracił panowanie nad łodzią i burta z włókna szklanego uderzyła w gruby pień drzewa, którego prawie nie było widać spod wysokiej wody przypląwu. Siła niewielkiego uderzenia zachwiała stojącym na dziobie mężczyzną. Zewnętrzny silnik łodzi, który pchał lśniący kadłub przez wody zatoki z miasteczka Lafitte, przestał pracować. Mężczyzna chwycił się chromowanego steru, zaklął i ponownie odpalił. Raz jeszcze ustawił światło reflektora tak, by padało na powierzchnię wody i powoli ruszył do przodu, wyprowadzając łódź z zą pnia.

Wypełniony słoną wodą kanał, który wcześniej zwężał się do szerokości sześciu metrów, znowu robił się szerszy. Łatwiej się tu było poruszać. Mężczyzna skierował strumień światła na błotnisty brzeg, a potem w górę, na skłaniające się nad łodzią konary cyprysów. Gałęzie spowite były draperią hiszpańskiego mchu, jedwabnymi sieciami pajęczyn o trzymetrowej średnicy. W kilku miejscach widać było jadowite węże czyhające na ofiarę – ptaka albo gryzonia. Za ścianą drzew rozciągały się podmokłe pola i bagna, poprzecinane gęstym labiryntem wąskich kanalików wypełnionych wodą. Poza paroma pracownikami elektrowni i rybakami, ludzie rzadko wyprawiali się tak daleko w głąb zalewiska Bayou Lafourche. Jedynymi mieszkańcami tych terenów były aligatory i kojoty, które polowały na sarny i nutrie – dziwaczne zwierzęta o pomarańczowych zębach, wyglądające jak skrzyżowanie szczura z bobrem. To miejsce znajdowało się na końcu świata. I o to chodziło.

Silnik łódki znowu się zatrzymał. Łodygi lilii wodnych, których kwiaty unosiły się na powierzchni, owinęły się wokół śruby, jak boa dusiciel oplatający ofiarę. Mężczyzna zgasił reflektor i przez chwilę nasłuchiwał. Kiedy miarowy warkot silnika ucichł, ciszę nad Bayou Lafourche zakłócała tylko stłumiona symfonia żabiego chóru, dźwięki nawołujących się owadów i delikatny plusk wody uderzającej o gładki kadłub łodzi. Mężczyzna spojrzął w zamglone, bezksiężycowe niebo. Odwrócił głowę i popatrzył do tyłu, w kierunku Nowego Orleanu. Od miasta dzieliło go zaledwie osiemdziesiąt kilometrów, ale równie dobrze mogło ich być osiemset. Znalazł się w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi.

– Dobry wieczór.

Mężczyzna gwałtownie odwrócił głowę w prawo i przesunął reflektor w stronę, skąd doszedł go głos.

Zobaczył wiosłującego w jego kierunku starszego, wychudzonego mężczyznę. Człowiek siedział w starym blaszanym kajaku, na którego dziobie, niczym rzeźba, stał szary pies gończy. Machał zaafierowany ogonem i głośno dyszał. Duchota musiała mu dokuczać. Różowy język zwierzęcia zwisał z błyszczącego ciemnego pyska.

– Nie spodziewałem się, że w promieniu dwudziestu kilometrów spotkam tu żywego ducha – krzyknął starszy człowiek. Mówił z dziwacznym śpiewnym akcentem kajunów. Podpłynął do „Boston Whalera” i podniósł dłoń do oczu, żeby osłonić je przed silnym światłem reflektora.

– Jestem Neville – ogłosił spod daszka brudnej czapki, odsłaniając dwa rzędy wykrzywionych, pożółkłych od kawy zębów. – A ten tutaj to Bailey. – Neville wskazał na smutnookiego psa, który przednie łapy oparł na krawędzi burty. Pies bacznie węszył wokół dużego lnianego worka leżącego na dziobie „Whalera”. – Do cholery, ale co pan tu robi w środku nocy? – zapytał.

– Jestem inspektorem elektrowni Atlantic Energy. – Mężczyzna przyglądał się z uwagą ogorzalej twarzy Neville’a, szukając w niej potwierdzenia, że to przypadkowe spotkanie. – Sprawdzam mierniki u źródeł rzeki.

Neville zdjął z głowy czapkę i podrapał się w łysinę.

– Nie przypominam sobie, żeby Atlantic miało w tej części Lafourche jakieś swoje instalacje. – Założył czapkę i pogrzebał w skórzanym kapciuchu przytroczonym do paska. Wyciągnął ciemny plik liści tytoniu i wcisnął część między policzek a dziąsło. – Nigdy nie widziałem tu w środku nocy żadnego inspektora z elektrowni. O tej porze nawet amatorzy polowań i połowów

smacznie śpią.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – uciął mężczyzna. Widział, że Neville dyskretnie przygląda się Inianemu workowi i strzelbie Remington kaliber siedemdziesiąt dwa milimetry model 06, oraz leżącym obok żużlowym cegłom.

– Mmm. – Neville spojrzął na Bailey'a. – Spokój, piesku – odezwał się łagodnie. Podniecony pies skamlał i machał nerwowo ogonem. – Niezła ta pańska strzelba, trzeba przyznać.

– Zawsze wybieram się tu z bronią. Na takim odludziu ostrożności nigdy za wiele.

– Święta prawda – zgodził się Neville. – Ale, Boże drogi, jednym strzałem z tego cacka można by położyć słonia. Nie będzie pan miał problemu nawet z dużym samcem aligatora.

– Właśnie dlatego mam taką broń. – Mężczyzna był już zniecierpliwiony, ale musiał się dowiedzieć czegoś więcej o nieznanym. – A pan, co tu robi o tej porze?

– Sprawdzam pułapki na nutrie – odpowiedział Neville krótko.

Na czerwonej chłodnicy znajdującej się między kolanami Neville'a leżał rewolwer. Wyglądał na rugera 44 magnum. Wszystko wskazywało na to, że Neville poluje na aligatory. A do początku września zwierzęta te objęte były ochroną. Pewnie dlatego musiał przedzierać się przez Bayou Lafourche w środku nocy.

– Mieszka pan gdzieś tutaj? – zapytał nieznanomy.

– Tak – odpowiedział Neville ostrożnie. Jeszcze raz rzucił okiem na strzelbę na dziobie „Whalera”. Splunął na bok śliną z tytoniem. Rozlała się na wodzie jak kropla oleju. – Dlaczego pan pyta?

– Pewnie jak przyjdzie wrzesień, będzie pan polował na aligatory. – Za skórę i mięso tych drapieżników można było dostać niezłe pieniądze na czarnym rynku w porcie w Lafitte. Kupcy nie mieli nic przeciwko temu, że na ogonach aligatorów nie było trudnych do zdobycia, ściśle kontrolowanych przez rząd metalowych skuwek.

– Nie musiałem się specjalnie rozglądać, żeby zauważyć parę gigantów. Za taką sztukę pewnie można sporo dostać na targu w Lafitte. Kilka miało co najmniej trzy i pół metra. I zawsze je widzę w tym samym miejscu.

– Tak? – Neville starał się nie pokazywać po sobie, jak bardzo go to interesuje. Za takiego trzy i pół metrowego aligatora mógłby dostać od handlarza prawie trzysta dolarów. Tyle samo, ile zarabiał tygodniowo jako pomocnik przy połowie krewetek. – Gdzie to jest?

Nieznanomy pokręcił głową.

– Nie łatwo tam trafić. Musiałbym panu narysować mapę. – Przez chwilę oglądał swoje paznokcie, po czym powoli podniósł wzrok. – Mógłbym kiedyś wpaść do pana obozowiska, tylko nie wiem, gdzie to jest.

Neville nie bardzo chciał ujawniać nieznajomemu miejsce swojego zamieszkania, ale zależało mu bardzo na informacji o dużych okazach.

– Trzy i pół metra, hm?

– Tak. I czułbym się zobowiązany, gdyby je pan dorwał. Ciarki mnie przechodzą, kiedy te olbrzymy kręcą się koło mnie, a ja mam sprawdzać mierniki.

Minęła dłuższa chwila, zanim Neville powoli kiwnął głową na zgodę.

– Trzeba się cofnąć tą samą drogą, którą pan płynął, a potem skręcić w lewo, na pierwszym kanale. Stamtąd jakieś trzy kilometry wierzbowym gajem. Moja chata jest jedyną po tej stronie Lafourche. Faktycznie, miło by było od czasu do czasu mieć tu towarzystwo.

Nieznajomy kiwnął głową. O to mu chodziło.

– W porządku. – Pochylił się i odpalił silnik „Whalera” na wstecznym, uwalniając najpierw śrubę z lilii wodnych. – Adios! – krzyknął i skierował łódź z powrotem na szlak. Dwadzieścia minut później, kiedy mężczyzna upewnił się, że Neville ze swoim wścibskim psem zostali daleko z tyłu, wyłączył silnik i zarzucił kotwicę. Przez parę chwil oświetlał reflektorem powierzchnię wody i naliczył dziesięć par żółtych oczu iskrzących się w blasku światła. Przeszedł na dziób łodzi i wyrzucił z lnianego worka ciało na pokład. Za pomocą grubych łańcuchów przymocował żuźlowe bloki do szyi, nadgarstków i kostek zmarłego. Przez chwilę odpoczywał, żeby złapać oddech, po czym z ogromnym wysiłkiem przeciągnął ciało i przerzucił je przez burtę.

Najpierw żuźlowe obciążniki, a potem ciało z głośnym chlupotem uderzyły o wodę. Zanim mężczyzna znalazł reflektor i skierował jego światło w dół, widać było już tylko kilka bąbelków. Aligatory miały dziś szczęście.

Mężczyzna wrócił za ster. Zamierzał skorzystać z zaproszenia Neville’a jeszcze dziś, tylko trochę wcześniej niż się kajun spodziewał. Neville’owi nie będzie dane oglądać kolejnego wschodu słońca.

Golfsztorm Iv odbił się od pasa startowego St. Croix i wzbił w mrok. Z wyciem silnika przeleciał nad zajmującą ogromną powierzchnię rafinerią ropy naftowej i skierował się setki kilometrów na północ, nad Ocean Atlantycki. Potem skręcił w prawo, obierając kurs na Miami. Na pokładzie panowała ponura atmosfera. Po południu pięciu dyrektorów, siedzących teraz bez

słowa w kabinie pasażerskiej odrzutowca, robiło obszerną prezentację pewnemu bogatemu człowiekowi, mieszkającemu na wyspie. Parę dni wcześniej ten człowiek wyraził wstępne zainteresowanie inwestowaniem w ich firmę. Firma znajdowała się w dramatycznej sytuacji finansowej, więc dyrektorzy natychmiast udali się samolotem do St. Croix w celu przekonania potencjalnego inwestora, aby został ich partnerem. Faktycznie, spółka znajdowała się na skraju bankructwa, ale tylko kilku najważniejszych dyrektorów wiedziało, jak poważna jest sytuacja.

Po zakończeniu prezentacji potencjalny inwestor zdecydował, że jednak nie skorzysta z tego, co sprzedawano mu jako życiową szansę. Wyczuł desperację zrećnie skrywaną pod eleganckimi garniturami, nienaturalną pewnością siebie i zbyt rycerskimi manierami. Natomiast na jego pytania dyrektorzy odpowiadali ogólnikowo i wymijająco. No i podejrzenie szybko zjawili się na spotkanie. Był doświadczonym inwestorem i wiedział, że tak zachowują się ludzie, którzy są w potrzebie. Najczęściej świadczyło to o zbliżającej się katastrofie finansowej. Nie miał ochoty mieć z tym cokolwiek wspólnego.

Kierownictwo firmy wiedziało już, że to koniec. Nie było pieniędzy na wypłaty, których miano dokonać pod koniec tygodnia. Możliwości kredytów bankowych zostały wyczerpane, a płatności od kurczącej się gromadki klientów skapywały coraz słabszą strużką. Jutro dyrektor generalny będzie musiał zadzwonić do prawników w Nowym Jorku i poprosić o złożenie w sądzie wniosku o ogłoszenie upadłości. Opcje zostały wyczerpane.

Dyrektor generalny wyjrzał przez okno w ciemność. Złożenie wniosku o ogłoszenie upadłości odwlecze trochę przykry koniec, ale nie da nic więcej. Bez znacznego zastrzyku świeżego kapitału, los firmy był przesądzony. Koniec będzie taki, że zostanie zlikwidowana, a wartość uratowanego mienia przejdzie na rzecz wierzycieli, którzy będą mieli szczęście, jeśli dostaną po pięćdziesiąt centów za aktywa – to jeden ze scenariuszy.

Tak czy inaczej, głównemu inwestorowi nic nie zostanie. Dyrektor zacisnął powieki, starając się nie myśleć o tym, jak trudna będzie rozmowa telefoniczna z tym człowiekiem.

Bomba umieszczona w bagażu, w ładowni została uzbrojona chwilę po starcie. Drut, który z niej wychodził, biegł do włącznika w podwoziu przednim. Kiedy koła całkowicie cofnęły się do kadłuba, automatycznie rozpoczęło się odliczanie. Eksplozja miała nastąpić za trzydzieści dwie minuty. Samolot będzie wtedy leciał nad Atlantykiem, gdzie dno jest bardzo głęboko, a prądy wyjątkowo silne. I gdzie wszelkie szczątki odrzutowca i jego pasażerów przepadną na zawsze już parę minut po katastrofie. A zdalny lokalizator przestanie nadawać dwadzieścia cztery

godziny później, nie pozwalając ekipom ratowniczym i poszukiwawczym dotrzeć na miejsce – o ile w ogóle to elektroniczne urządzenie wyjdzie cało z eksplozji.

Mężczyzna natęzał słuch na pokładzie swojej żaglówki i wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo. Wiedział, że samolot jest już blisko. Z każdą mijającą sekundą trudniej mu było zapanować nad nerwami. W końcu dotarł do niego jęk silnika, a chwilę później zobaczył niewielki błysk światła w momencie detonacji. Potem nastąpiła większa eksplozja, kiedy w samolocie wybuchły baki z paliwem. Powierzchnia wody została zasypana setkami powyginanych kawałków metalu.

Mężczyzna głęboko odetchnął. Wykonał dwa ryzykowne zadania w tak krótkim czasie. Szefowie będą zadowoleni. Już nic nie stało im na drodze.

Ile w tej chwili pan zarabia? – Pyta pan o samą miesięczną pensję, czy razem z dodatkami? – zapytał Jay West. Wolał zachować ostrożność. Jeśli nie był zmuszony, miał zasadę nie ujawniać poufnych informacji.

Nawet w takiej sytuacji jak teraz, kiedy oczekiwano od niego wyczerpujących odpowiedzi udzielanych bez zastanowienia.

– Jaki był pański zarobek w zeszłym roku według formularza W-2? W-2 to taki dokument, który wysyła panu pracodawca co roku w styczniu, żeby pan wiedział, co zadeklarować w urzędzie podatkowym.

– Wiem, co to jest W-2 – odpowiedział spokojnie Jay, nie okazując śladu irytacji ironicznym tonem przesłuchującego go mężczyzny. Podobnie jak Jay, młody człowiek siedzący po drugiej stronie stołu konferencyjnego miał na sobie ciemny garnitur. Jednak garnitur przesłuchującego był szyty na miarę. Wyglądał na świeższy i był z lepszego materiału. Doskonale leżał na muskularnej sylwetce. Swój garnitur Jay kupił w jakimś sklepie i materiał w paru miejscach się marszczył. – Bank, w którym pracuję zapewnia mi pewne dodatkowe korzyści, które nie są uwzględnione w formularzu W-2, tak więc mój dochód jest w rzeczywistości większy niż...

– Jakiego rodzaju korzyści? przerwał niegrzecznie prowadzący rozmowę kwalifikacyjną.

Jay przez moment przyglądał się z uwagą nieprzyjaznej twarzy. Mężczyzna miał kwadratową szczękę i rude włosy o rzadko spotykanym truskawkowym odcieniu, elegancko ścięte w stylu lat dwudziestych. West próbował ustalić, czy agresywny ton był dla tego człowieka czymś naturalnym, czy musiał się do niego zmuszać. Podobno na Wall Street potencjalnego pracownika poddawano przynajmniej jednej mającej wyprowadzić go z równowagi rozmowie kwalifikacyjnej specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak delikwent reaguje w sytuacji stresowej. Ale jeśli ten facet grał, to była to rola godna Oscara.

– Nisko oprocentowany kredyt, pomoc w realizacji planu 401K, darmowa opieka lekarska i ubezpieczenie.

Mężczyzna teatralnie wznosił oczy do nieba.

– Rany boskie, a ileż to wszystko razem może być warte?

– Sporo.

Mężczyzna zniecierpliwiony machnął ręką.

– Dobrze, będę hojny i do sumy, którą mi pan poda doliczę dwadzieścia tysięcy. Więc ile pan zarobił w ubiegłym roku?

Jay niespokojnie kręcił się na fotelu. Zdawał sobie sprawę, że nie zrobi wrażenia na człowieku pracującym w banku inwestycyjnym.

– Witaj, Jay. – W drzwiach sali konferencyjnej pojawił się Oliver Mason z przyjaznym uśmiechem na twarzy. Pod pachą trzymał oprawioną w skórę aktówkę. – Cieszę się, że znalazłeś dla nas czas dziś wieczorem.

Jay spojrzał na Masona i odwzajemnił uśmiech. Odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał odpowiadać na ostatnie pytanie dotyczące obecnych zarobków.

– Dzień dobry, Oliver – odpowiedział, natychmiast odzyskując pewność siebie. Wstał i uścisnął rękę przybysza. Ten facet zawsze wyglądał nieskazitelnie jak drogi sportowy wóz, który właśnie wyjechał ze sklepu.

– A ja się cieszę, że zechcieliście mnie zaprosić.

– Cała przyjemność po naszej stronie. – Oliver zajął miejsce przy Jayu i położył na biurku swoją teczkę.

Wskazał na siedzącego po drugiej stronie stołu Cartera Bullocka. – Czy mój zastępca nie za bardzo cię męczy?

– Skądże znowu – odpowiedział Jay udając, że pytania Bullocka nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. – Gawędzimy po przyjacielsku.

– Wiem, że kłamiesz. Jeszcze nikomu nie udało się odbyć przyjaznej pogawędki z Bullockiem podczas rozmowy kwalifikacyjnej. – Ze swojej aktówki Oliver wyjął dwie kopie życiorysu Jaya. – Bullock jest równie przyjazny jak borsuk. I tak go w firmie z czułością nazywamy – wyjaśnił Oliver. Jedną kopię życiorysu popchnął na drugą stronę wypolerowanego stołu. – To dla ciebie, Borsuk. Przepraszam, że nie dałem ci tego wcześniej.

Ale ponieważ to ja jestem na tym statku kapitanem, a ty tylko drugim oficerem, musisz się z tym pogodzić.

– Chrzań się, Oliver. – Bullock chwycił życiorys grubymi paluchami, szybko go przejrzał i wydał z siebie jęk. Zgniół dokument w kulę i rzucił ją do kosza stojącego w kącie sali konferencyjnej.

– Co wiesz o zwyczajach borsuków, Jay? – zapytał Oliver swoim charakterystycznym

nosowym, pozbawionym emocji głosem. Uśmiechał się szeroko, zupełnie nieporuszony tą niezbyt przychylną reakcją Bullocka.

Jay pokręcił głową, udając, że ignoruje fakt, iż całe jego życie streszczone na kartce trafiło do śmieci.

– Nic.

– Większość gatunków zwierząt rzuca się do szyi swojej ofiary. – Oliver zaśmiał się. – A borsuki chwytają za genitalia. Trzymają zębami i nie pozwolą się ruszyć. Nie zwalniają uścisku aż do chwili, gdy ofiara się podda, co, jak sobie możesz wyobrazić nie trwa długo, szczególnie jeśli jest nią samiec. Potem żywcem rozrywają zwierzę na kawałki. – Oliver mówiąc to wzdrygnął się. – Straszna śmierć.

– Chrząć się, Oliver – skwitował opowieść Bullock, ale po raz pierwszy się uśmiechnął. Najwyraźniej był zadowolony ze swojego przezwiska i reputacji krwiopijcy.

Oliver założył ręce za głowę i splótł palce.

– Nie przeszkadzaj sobie, Borsuk.

Bullock pochylił się nad stołem z wyrazem tryumfu na szerokiej piegowatej twarzy.

– No więc, Jay, ile zarobiłeś zeszłego roku?

Pojawienie się Olivera Masona nie uratowało Jaya od niewygodnego pytania.

– Sto tysięcy dolarów – odpowiedział Jay prowokująco, patrząc prosto w płaski nos Bullocka. Prawdę mówiąc, liczba razem z dodatkami i premią była bliższa dziewięćdziesięciu.

Bullock znowu wznosił oczy do nieba.

– Mieszkasz na Manhattanie?

– Tak. – Jay przygotował się na atak. Doskonale wiedział, że zarówno Oliver Mason, jak i Carter Bullock, menadżerowie w dziale inwestycji bankowych firmy McCarthy-Lloyd musieli zarabiać kilkakrotnie więcej niż on.

– Jak ci się udaje przeżyć za te pieniądze? – zapytał Bullock.

– Nie narzekam. Za sto tysięcy dolarów to możliwe – odparł Jay. Był nawet dumny z tego, co osiągnął.

– Jesteś żonaty? – zapytał Bullock. Jay przecząco pokręcił głową.

– Gdzie dokładnie mieszkasz?

– Na Upper West Side.

– Wynajmujesz, czy masz własne mieszkanie?

– Wynajmuję.

– Dwa, czy trzy pokoje?

– Dwa.

– Masz samochód?

Jay twierdząco kiwnął głową.

– Jaki?

– BMW 328 – odpowiedział zdając sobie sprawę, że Oliver i Bullock byliby zawiedzeni, gdyby się dowiedzieli, że jego środek transportu to rozklekotany Ford Taurus.

– Parkujesz w centrum? – zapytał Bullock.

Jay jeszcze raz twierdząco kiwnął głową i rzucił okiem na Olivera, który patrzył przed siebie nic nie widzącym wzrokiem, rozmyślając pewnie o jakiejś transakcji, która ma mu przynieść kolejne miliony.

Bullock rozparł się w fotelu i przez chwilę kontemplował sufit.

– Przeanalizujmy to – powiedział, głaszcząc brodę kciukiem i palcem wskazującym. – Zarabiasz sto tysięcy dolarów rocznie, co po opodatkowaniu daje mniej więcej siedemdziesiąt tysięcy na rękę. Załóżmy, że miesięcznie na czysto zostaje ci sześć tysięcy dolarów. – Bullock postukał dłonią w oparcie swojego fotela, najwyraźniej zadowolony z tej analizy. Dla Bullocka, pomyślał Jay, życie sprowadza się do cyferek, i nic innego nie ma znaczenia. – Jakies cztery tysiące miesięcznie musisz wydać na mieszkanie, utrzymanie, parking, kredyt na samochód i ubezpieczenie. Masz pewnie do spłacenia spory kredyt za studia. – Bullock spojrział na Jaya oczekując potwierdzenia.

Jay jednak ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Nie wspomniał, że co miesiąc wysyłał czek na pokaźną sumę, aby spłacić czterdzieści tysięcy dolarów plus odsetki, które pożyczył w celu sfinansowania nauki w college'u.

– Dwa tysiące miesięcznie zostaje na wyżywienie, ubranie i rozrywki – kontynuował Bullock – i żeby odłożyć na domek na przedmieściu, który będziesz musiał kupić, kiedy spotkasz tę jedyną, a ona będzie chciała uwić sobie gniazdko. Problem jest w tym, że będzie cię stać tylko na trzypokojowe mieszkanie w Jersey City, a nie na wypasioną willę w Greenwich, na którą ona zapewne będzie zasługiwać. – Parsknął śmiechem. – A w swoim banku daleko nie zajdziesz. Przez najbliższe czterdzieści lat będziesz otrzymywał podwyżki inflacyjne, potem pójdiesz na emeryturę, dostaniesz złoty zegarek i darmową opiekę medyczną. Ale to też nic pewnego. –

Bullock pokręcił głową. – Jesteś biedny, chłoptasiu. Nic nie znaczysz. I nic tego nie zmieni.

Jay nawet nie mrugnął okiem, pomimo bolesnej trafności tej naprędce zrobionej analizy. Sto tysięcy dolarów rocznie brzmiało dobrze, ale w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Nowego Jorku nie można było na tym daleko zajechać. Przez sześć lat pracy w banku National City w Nowym Jorku na stanowisku analityka przyznającego pożyczki średniej wielkości firmom, nic nie odłożył. I chociaż możliwości awansu były nieco lepsze niż te, które opisał Bullock, to jednak nie były wielkie.

– O, przepraszam – odezwał się znowu Bullock, dotykając ręką czoła. – Zapomniałem o tych wspaniałych dodatkowych korzyściach, o których mówiłeś. O tym nisko oprocentowanym kredycie, z którego nie możesz skorzystać, ponieważ nie stać cię na kupienie parceli.

Jay poczuł, jak Oliver trąca jego łydkę czubkiem czarnych błyszczących mokasynów.

– Mówiłem ci. – Oliver wrócił na ziemię. – Mój przyjaciel Bullock potrafi chwycić za jaja. Dlatego nie wypuszczamy go stąd za często, bo to diabeł wcielony – zachichotał Oliver. – Borsuk jest wyznawcą tak zwanej „złotej zasady”: kto ma złoto, ten rządzi. Zapamiętaj ją sobie i stosuj codziennie w firmie McCarthy-Lloyd, a masz szansę odnieść sukces.

Jay zerknął na Olivera. Mężczyzna miał jakieś trzydzieści osiem lat, czyli o dziesięć więcej niż Jay. Jego przystojna twarz była mocno opalona, skutek weekendów spędzonych na piętnastometrowym jachcie w cieśninie Long Island. Jego ciemnobrązowe oczy były czujne i rejestrowały wszystko wokół, tak aby mózg mógł przetworzyć największą możliwą ilość informacji. Na ustach miał przyklejony uśmiech z serii „podbiję cały świat”, a dość długie, kruczoczarne włosy zaczesywał do tyłu. Trzymały się dzięki dużej ilości żelu odsłaniając szerokie, wyraziste czoło. Granatowe szelki dzieliły jego białą, wykrochmaloną koszulę na trzy części, a jaskrawy krawat firmy Hermes elegancko opadał doskonale pośrodku.

Jay uśmiechnął się do Olivera.

– Rzeczywiście, przezwisko pasuje jak ulał.

Bullock splótł ręce na piersiach, zadowolony, że dokonał tak świetnej analizy finansów Jaya Westa, i dzięki temu bezbłędnie go zaszufładował.

– Wszyscy wiemy, że banki komercyjne nie płacą nawet jednej dziesiątej tego, co my. Nie mogą sobie na to pozwolić, bo nie podejmują takiego ryzyka. – Głos Olivera zabrzmiał teraz bardziej nosowo. Mówił tonem dającym do zrozumienia, że on tu dowodzi. – Ale nie o tym mieliśmy rozmawiać. Jesteśmy tu, żeby zastanowić się nad kandydaturą Jaya na stanowisko

handlowca w prowadzonym przeze mnie dziale inwestycji arbitrażowych McCarthy-Lloyd.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego zastanawiamy się właśnie nad tą kandydaturą. – Bullock wskazał na Jaya, a potem na zgnieciony życiorys leżący obok kosza. – Bez obrazy, chłopcze, ale twój życiorys, w najlepszym wypadku można określić jako przeciętny. – Bullock był starszy od Jaya najwyżej o pięć lat, ale pozwalał sobie na zwracanie się do niego per chłopcze, bo zarabiał kilkakrotnie więcej. – Chodziłeś do Lehigh. – Bullock odchylił głowę. – Nienajgorsza szkoła, ale do pierwszej dziesiątki jej daleko. Poza tym, do tej pory nie skończyłeś żadnej szkoły biznesu.

– Zaraz, chwileczkę... Bullock nie dał sobie przerwać.

– Mamy tu stos życiorysów młodych ludzi z najlepszych szkół – nonszalancko machnął ręką. – Absolwentów Princeton, Harvardu, Yale... chodzi o doświadczonych i z najlepszym wykształceniem. Sama śmietanka.

Dlaczego miałoby nam zależeć na tobie?

– Wystarczy tego...

– Dlaczego miałbyś go zatrudniać, Oliver? – Bullock zignorował kolejną próbę samoobrony Jaya. – Zapomnijmy nawet, jaką szkołę skończył, a jakiej nie. Chłopak nie ma żadnego doświadczenia na tym stanowisku. Nie ma pojęcia, jak ocenić potencjalną wartość akcji. Jest zwykłym urzędnikiem udzielającym kredytów w jakimś przeciętnym banku i zarabia grosze.

– Dokładnie tak jest! – Jay walnął pięścią w stół.

Oliver i Bullock zamarli, zdziwieni tą nagłą żywiołową reakcją.

– Ale to ja mam motywację do pracy, a nie ci, których stać było na ukończenie Harvardu. – Jay powstrzymał uśmiech widząc zdziwione oblicze Bullocka. – To ja chcę i mogę pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Poświęcę się tej firmie. Jestem gotów zrobić wszystko.

– Tak, tak – powiedział Bullock, uśmiechając się głupio. – Dzisiaj każdy chce pracować w banku inwestycyjnym, ale...

– Potrafię wyszukać i ocenić potencjalne akcje do przejęcia. – Przyszedł czas na mowę obronną Jaya. – Nie jestem tylko jakimś urzędnikiem. Kilka razy działałem w banku National City jako doradca finansowy. Sam inicjowałem transakcje dla naszych klientów. To były niewielkie, prywatne transakcje, przyznaję, nic z tych wspaniałości opisywanych w „Wall Street Journal”, z jakimi wy macie do czynienia, ale mój bank zarobił na nich ogromne pieniądze. – Jay szybko zaczerpnął powietrza, nie dając szansy Bullockowi na ripostę. – Liczby są tylko liczbami.

Wasze transakcje mają po prostu parę zer więcej niż moje. W banku National City mam świetną reputację.

– To prawda – zgodził się Oliver. – Przełożeni w National City uwielbiają go, Borsuk. Sprawdziłem. – Oliver położył dłoń na ramieniu Jaya. – Chłopak ma potencjał.

Bullock pokręcił głową.

– Nie przekonuje mnie to. Zatrudnijmy jakiegoś absolwenta szkoły biznesu na Harvardzie, żeby mieć spokój.

Jeżeli ktoś taki się nie sprawdzi, będziemy mieli mniejszy problem z dyrekcją. Ale jeśli ten facet nas zawiedzie – Bullock znowu wskazał na Jaya – będziemy musieli ostro się tłumaczyć. Szef nas, słusznie zresztą, zapyta, na co liczyliśmy. – Bullock zawahał się. – Jeśli mam być szczery, podobała mi się ta dziewczyna, którą przesłuchiwaaliśmy wczoraj wieczorem. Jak ona się nazywała? – kilka razy pstryknął palcami nie mogąc sobie przypomnieć.

Jay zmrużył oczy i popatrzył prosto na Bullocka.

– Borsuk, nie rozumiem, dlaczego to właśnie dla ciebie ma takie znaczenie do jakiej szkoły chodziłem?

– Naprawdę nie rozumiesz?

– Jest tu twój szef – powiedział Jay, wskazując na Olivera – który skończył City College. A City College jest tak daleko od pierwszej dziesiątki, jak tylko to możesz sobie wyobrazić. I radzi sobie świetnie, bez dyplomu żadnej z tych snobistycznych szkół.

Oliver zagryzł wargę, ledwie powstrzymując się od śmiechu. Bullock posiadał bezlitosną determinację borsuka. Ale i Jay West był na swój sposób groźny. Miał w sobie spryt chłopaka z ulicy. Wiedział na przykład, w jaki sposób dotrzeć do informacji i chciało mu się ten wysiłek wykonać. To był duży plus. Pochodził z biednej rodziny, miał więc motywację, aby coś osiągnąć. Doskonała kombinacja dla celów, do których potrzebował go Oliver.

– Wiem, że skończyłeś Harvard, Borsuk – nie przerywał Jay. – Wiem, że pochodzisz z bogatej rodziny.

– Tak, i co z tego? – z wahaniem w głosie odezwał się Bullock.

– To z tego, że twoja rodzina też nie jest bogata od pokoleń. Na Harvardzie nie ma sali imienia Bullocków.

Wprost przeciwnie. Twoja matka ukończyła państwowy college, a twój ojciec nie skończył nawet szkoły średniej. Jest mechanikiem, tak samo jak mój ojciec. Chociaż dałbym głowę, że

mój ojciec jest lepszy w tym, co robi. – Jay zrobił oko do Olivera. – W gruncie rzeczy, Borsuk, ja i ty mamy więcej wspólnego, niż chciałbyś to przyznać. Obydwaj pochodzimy z niewielkich miasteczek ze wschodniej Pensylwanii.

Bullock się zjeżył.

– Skąd ty, do diabła, to wszystko wiesz?

– Zajrzałem...

– Nie ma znaczenia, jak się dowiedział – wtrącił się Oliver. – Ważne, że to zrobił. Czyli kiedy Jay potrzebuje informacji, potrafi ją zdobyć. A to najważniejsza cecha handlowca w naszym dziale. – Oliver myślał przez chwilę. – Poza tym jest ambitny. A absolwent Harvardu może mieć dochody, o których nigdy się nie dowiemy, Borsuk. Kiedy będzie ciężko i trzeba będzie siedzieć tu po nocach, taki człowiek może się na nas wypiąć. Jay tego nie robi. Jay stanie na głowie, żeby zarobić jak najwięcej dla McCarthy-Lloyd. – Oliver spojrzał na Jaya. – Prawda?

– Prawda – powiedział z przekonaniem Jay. – Zrobię wszystko. – Czuł, że nadszedł moment decydujący. – Zrobię wszystko – powtórzył.

– Pracowałem z Jayem nad pewną transakcją i podobał mi się sposób jego działania. Pierwszy raz wspomniałem mu o tej pozycji trzy miesiące temu i od tamtej pory sprawdzałem go. Jestem przekonany, że świetnie sobie u nas poradzi.

Bullock wzruszył ramionami. Ta argumentacja najwyraźniej go nie przekonywała.

– Słuchaj, Oliver, poprosiłeś mnie, żebym z nim porozmawiał i wyraził swoją opinię. – Bullock spojrzał na Jaya sceptycznie. – Niniejszym to czynię. Nie sądzę, że powinieneś go zatrudniać. – Przez chwilę milczał. – Ale i tak ty tu rządysz.

– Świetnie, przynajmniej mamy jasność. – Oliver uściśnął dłoń Jaya. – Dostałeś tę pracę.

Jay poczuł, że sphywa na niego spokój.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Tak po prostu?

– Jestem tu szefem. – Oliver machnął ręką w stronę Bullocka. – Chciałem, żeby Borsuk mógł się wyżyć.

Przez ostatnich parę dni nic się u nas nie działo. A on traci cierpliwość, kiedy od czasu do czasu nie może komuś dowalić.

– Dziękuję. Chyba tylko to mogę powiedzieć – Jay jeszcze raz uściśnął rękę Olivera. –

Przyjmuję propozycję – uśmiechnął się do Bullocka z miną zwycięzcy.

Bullock podniósł się z krzesła, uściśnął mu dłoń, prychnął i opuścił pokój bez słowa.

– Niezbyt przyjaźnie nastawiony do ludzi – zauważył Jay patrząc, jak truskawkowa głowa znika w korytarzu.

– Chyba się nie przejmujesz?

Jay odetchnął z ulgą.

– Nie. Chcę pracować w McCarthy-Lloyd nie po to, żeby szukać przyjaciół, ale żeby zarabiać pieniądze.

Oliver z aprobatą kiwnął głową.

– To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć. – Nagle spowaźniał. – Musiałem cię na to narazić, żeby zobaczyć, jak reagujesz w sytuacji stresowej. Przyznaję, nawet poprosiłem Borsuka, żeby cię specjalnie wymaglował. Tutaj warunki pracy nie są łatwe. Musisz podejmować odpowiedzialne decyzje, mimo że wokół panuje niezły kołowrót. Ale poradziłeś sobie świetnie, tak jak myślałem. – Oliver zatarł ręce. – Porozmawiajmy teraz o konkretach.

Jay przymknął oczy i pozwolił sobie na moment odpłynąć myślami. Przeskoczył do pierwszej ligi finansjery na świecie.

– W porządku – powiedział, już zupełnie spokojny.

– Jak mówiliśmy, prowadzę dział handlu arbitrażowego. Zasada jest prosta: zarabiamy pieniądze, obracając akcjami dostępnymi publicznie. – Oliver przewrócił kartkę z życiorysem Jaya i zapisał coś na odwrocie. – Czasami kupujemy akcje firm, które są w obiegu – ciągnął. – Są to sytuacje, w których firma otrzymała już propozycję wykupienia akcji, a my zakładamy, że pojawi się konkurent i zaoferuje wyższą cenę. Możliwe, że pojawi się więcej ofert, od kilku licytatorów. W końcu sprzedajemy nasze akcje, oczywiście temu, kto oferuje najlepszą cenę. W takiej sytuacji ryzykuję, że może nie pojawić się inny licytator albo że kierownictwo firmy nie umie zachęcić pierwszego licytatora. Wtedy tracę parę dolarów na każdej akcji w momencie, kiedy cena z powrotem spada. Bo zwykle idzie w górę w momencie, kiedy ogłasza się pierwszą cenę.

– To logiczne. – Jay obserwował, jak Oliver zapisuje coś na kartce. Bez przerwy robił jakieś notatki, równocześnie rozmawiając. Pewnie myślał o kilku innych rzeczach w tym samym czasie.

Oliver skończył pisać i z namaszczeniem umieścił pióro Mont Blanc w kieszeni koszuli.

– Kupujemy również akcje firm, które mogą być atrakcyjne i których ofert jeszcze nie

ogłoszono, ale my podejrzewamy, że nastąpi to w niedalekiej przyszłości. Jeśli zostanie ogłoszona wyprzedaż, zyskujemy, kiedy cena akcji, które posiadamy rośnie ponad cenę wyjściową, co jak pewnie wiesz, zawsze jest powyżej obiegowej ceny sprzedaży, ponieważ nabywca musi wnieść opłatę za wykupienie.

– To jasne.

Oliver uśmiechnął się, jak gdyby smakował wspaniały deser.

– Najpiękniej jest, kiedy uda się nam kupić akcje, zanim zostanie ogłoszona pierwsza oferta, ponieważ na tym zarabia się najwięcej. To wtedy cena akcji może w ciągu nocy podwoić się, a nawet potroić. Po tej pierwszej ofercie, ceny następnych licytatorów są zwykle tylko o kilka dolarów wyższe – roześmiał się. – Wtedy siadamy i patrzymy, jak cena szybuje w górę. Na tym robimy miliony, czasami dziesiątki milionów dolarów.

– Ale to chyba trudne, kupić akcje tuż przed momentem pierwszej oferty – zauważył Jay. – Trzeba mieć dostęp do poufnych informacji. Oliver lekko zmrużył oczy.

– Masz na myśli nielegalnych informatorów?

Jay zawahał się wiedząc, że wkracza na niebezpieczny teren.

– Wykorzystywanie takich informacji jest karalne – powiedział Oliver spokojnie po chwili krępującej ciszy. – Słuchaj mnie i zapamiętaj. W naszej firmie surowo przestrzegamy zasad etyki. Jeśli transakcja jest choćby odrobinę podejrzana, nie wchodzimy. To tak, jak kawałek mięsa sprzed tygodnia w lodówce, który nie wygląda za dobrze i niezbyt zachęcająco pachnie. Zawsze znajdują się idioci, którzy chcą zaryzykować zatrucie pokarmowe, bo nie mogą znieść, że coś się zmarnuje. Jedzą ścierwo i kończą w szpitalu. W naszej firmie coś takiego nie przechodzi. Zarabiamy wystarczająco dużo, żeby nie musieć tak głupio ryzykować. Wyrzucamy zgniliznę i wyruszamy na nowe polowanie. Prezes nie pozwoliłby na nic innego. Wszystko co masz, będąc w tym biznesie, to twoja reputacja, Jay. A my dbamy, żeby nasza była nieskazitelna.

– To zrozumiałe – zgodził się Jay. – Ilu ludzi pracuje w dziale arbitrażu? – zapytał, szybko zmieniając temat.

– W tej chwili jest nas troje specjalistów, plus sekretarka i pracownik administracyjny. Ty będziesz czwartym specjalistą. – Oliver zawiesił na chwilę głos. – Niewykluczone, że w pewnym momencie zatrudnimy jeszcze piątego. W każdym razie, ja jestem szefem działu i mam tytuł dyrektora zarządzającego – ciągnął.

Wskazał na drzwi. – Bullock też ma pozycję dyrektora, ale jeden szczebel pode mną i jest

moją prawą ręką.

Pomaga nam asystentka, Abigail Cooper, która zajmuje się głównie zbieraniem informacji. Ty będziesz miał tytuł handlowca i pozycję pomiędzy dyrektorem a asystentem. Twoim i Abby bezpośrednim przełożonym jest Bullock.

Jay kiwnął głową. To średnio zabawne – Bullock jako bezpośredni przełożony, ale cóż, nie może być za dobrze. Jay podejrzewał, że stosunek Bullocka do niego się zmieni, jak tylko Jay udowodni, że potrafi przynosić firmie pieniądze.

– Teraz porozmawiajmy o wynagrodzeniu – odezwał się Oliver. To była kluczowa sprawa. I powód, dla którego Jay zadeklarował, że poświęci wszystko firmie McCarthy-Lloyd.

– Twoje roczne wynagrodzenie będzie wynosiło pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Chyba nie dosłyszałem? – euforia Jaya momentalnie prysła. Oliver zauważył rozczarowanie malujące się na jego twarzy.

– Tak, pięćdziesiąt tysięcy. Tyle zarabia się w McCarthy-Lloyd na twoim stanowisku i z twoim doświadczeniem.

– Ale ja w tej chwili zarabiam prawie dwa razy tyle.

– Nie oferujemy też żadnych dodatkowych korzyści – kontynuował Oliver, nie zwracając uwagi na protesty Jaya. – Żadnego ubezpieczenia na życie czy na zdrowie, planu 401K ani żadnej emerytury.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Jay spuścił oczy.

– Ale chcę ci obiecać coś innego, panie Jay West.

– Co takiego?

– Premię w wysokości miliona dolarów, i dostaniesz tę gwarancję na piśmie. Jeśli tylko do końca tego roku będziesz się codziennie pojawiał w pracy, piętnastego stycznia firma McCarthy-Lloyd podaruje ci czek w wysokości co najmniej miliona dolarów.

Jayowi udało się nie okazać emocji, mimo że dreszcz radości przeszył jego ciało.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. – Oliver obserwował reakcję Jaya i najwyraźniej był rozczarowany, że wspaniała wiadomość o olbrzymiej premii nie zrobiła na młodym człowieku większego wrażenia. – Są dwie rzeczy, które musisz wziąć pod uwagę. Po pierwsze, jest połowa czerwca, więc ten milion dolarów stanowi kompensatę za pół roku pracy. Sam możesz policzyć, ile dostaje

się za cały rok. – Oliver na chwilę zamilkł, jakby chciał dać czas Jayowi na dokonanie rachunku. – Po drugie, jeśli będziesz robić coś więcej, a nie tylko meldować się codziennie za biurkiem, następna premia może dużo przewyższać zagwarantowaną sumę. Jeżeli w rezultacie twoich działań firma zarobi jakieś prawdziwe pieniądze, twoja styczniowa premia będzie wielokrotnością zagwarantowanej sumy.

Jay zacisnął palce na poręczu krzesła. Milion dolarów do ręki. Takie pieniądze mogą zmienić całe życie, i to dramatycznie. W banku National City dostawał rocznie do ręki siedemdziesiąt tysięcy dolarów, a ostatnia premia wynosiła dwadzieścia trzy tysiące. Była to najwyższa premia spośród pracowników na jego stanowisku i Jay uznał to za sukces. Teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił.

– Masz szczęście – dodał Oliver. – Utarło się u nas takie powiedzenie, że zjadamy tylko to, co upolujemy.

Ale ty dostaniesz gwarancję. Przez pierwszy rok. Oczywiście, jeśli nie będziesz przynosił zysku, dostaniesz kopa w tyłek i do widzenia.

– Rozumiem – powiedział Jay. – Ale ten pierwszy milion dostanę. Oliver rozparł się wygodnie w fotelu i ziewnął, jak gdyby milion nie robił na nim specjalnego wrażenia.

– W zeszłym roku Bullock dostał trzy miliony – powiedział od niechcenia.

Serce Jaya zaczęło bić szybciej, ale postarał się, żeby Oliver nie zauważył jego podniecenia. Okazywanie silnych emocji, nawet jeśli chodziło o taką premię, mogło być poczytane za oznakę słabości.

– Robi świetną robotę, a ja to doceniam. Nie mogę dopuścić do tego, żeby zaczął się rozglądać za inną pracę.

W zeszłym roku, posługując się niewielkim kapitałem firmy, zarobił dla McCarthy-Lloyd blisko trzydzieści milionów.

– Nie obawiaj się, to zostanie między nami, nie dam mu po sobie poznać, że wiem, ile zarabia – powiedział Jay.

– To nie jest konieczne. On jest z tego dumny. Ty byś nie był? – Oliver na chwilę zamilkł. – U nas nie robi się tajemnic z zarobków. Chcemy mówić otwarcie o tym, kto ile zarabia. To tylko mobilizuje do pracy. – Oczy mu rozbłyły. – Rozumiesz, w ten sposób działa Wall Street. Sprowadzamy życie do najbardziej podstawowej wartości, walki o byt, i do jego najsilniejszej motywacji, rywalizacji. Każdy dzień to nowy wyścig. Kiedy wygrywasz, wygrywasz dużo.

Kiedy przegrywasz, nie da się tego ukryć i wypadasz z gry. Albo cię wylewają. – Oliver uśmiechnął się szeroko. – Ale mam przecucie, że świetnie sobie poradzisz.

– Też tak myślę – powiedział z przekonaniem Jay. Wyszedł dziś z pracy, z banku National City, i nie wiedział, co go tu czeka. A ostatnie pół godziny okazało się dla niego istną jazdą bez trzymanki. Końcowy efekt spotkania okazał się zdecydowanie lepszy, niż Jay mógł się spodziewać. Zgoda na mniejszą pensję miesięczną będzie niewielką ceną za gwarancję premii w wysokości miliona dolarów.

Oliver wziął życiorys Jaya.

– Spotkamy się teraz z Billem McCarthy. To prezes McCarthy-Lloyd.

– Wiem.

Wszyscy w tym środowisku znali to nazwisko. Przed dziesięcioma laty Bili McCarthy wraz z Grahamem Lloydem porzucili obiecujące kariery w jednym z najbardziej prestiżowych banków inwestycyjnych, żeby spróbować własnych sił. Dziś McCarthy był prezesem jednej z najbardziej dochodowych prywatnych firm na Wall Street, firmy, która obracała akcjami i obligacjami oraz świadczyła finansowe usługi doradcze zarówno najbogatszym ludziom w Ameryce, jak i największym firmom na świecie oraz najbardziej stabilnym rządów państw. McCarthy regularnie udzielał rad najwyższym urzędnikom w Białym Domu oraz najważniejszym dyrektorom generalnym. Według „Forbesa”, jego roczne zarobki po opodatkowaniu były równe połowie miliarda dolarów, a gubernatora stanu i mera miasta Nowy Jork nazywał przyjaciółmi.

– No, idziemy. – Oliver kiwnął głową na Jaya, stojąc już w drzwiach sali konferencyjnej. – Ach, jeszcze jedno, byłbym zapomniiał – podniósł do góry ręce.

– Tak?

– Wszystko, co dzieje się w firmie, nie wydostaje się poza te mury. Ty wiesz, jaką premię dostał w zeszłym roku Bullock, ale o tej sumie nie dowie się nikt, kto nie jest zatrudniony przez McCarthy-Lloyd. Nie wolno ci również rozmawiać na temat sytuacji naszych klientów z nikim spoza naszej firmy. Jeśli ktoś zostanie przyłapany na dyskusowaniu o naszych interesach z kimś z zewnątrz, jest to podstawa do natychmiastowego wymówienia. Trzymamy w tajemnicy poufne informacje. Musimy stać na straży interesów naszych klientów. A jak mówi przysłowie, przez dziurawe usta toną statki.

To przysłowie mówi, że dzieje się tak w czasie wojny, pomyślał Jay, ale nic nie powiedział.

– Bili McCarthy jest wyczulony na tym punkcie. Zdarzyło mu się już zwalniać z pracy z tego

powodu – kontynuował Oliver. – Na przykład za powiedzenie przy piwie czegoś, czego nie powinno się mówić.

Zrozumiałeś?

Ton wypowiedzi brzmiał bardzo władczo.

– Zrozumiałem.

– To dobrze. – Ostrzeżenia dokonano, więc mógł powrócić przyjazny ton. – Idziemy. – Oliver wyszedł na korytarz, a Jay podążył za nim, starając się dorównać mu kroku. – Największy problem potrafią zrobić dziennikarze – rzucił Oliver przez ramię. – Rzucają się jak hieny na każdą informację dotyczącą tego miejsca.

– Wierzę. – Jay doskonale wiedział, że informacje o tym, co dzieje się wewnątrz firmy McCarthy-Lloyd, w ogóle nie docierały do świata zewnętrznego. „Wall Street Journal” nazwał tę firmę Polem 51. Tak samo, jak nazywa się tajna baza sił powietrznych na pustyni w Nevadzie, gdzie rząd pracował nad bronią nowej generacji, i gdzie, jak głosiła plotka, zniszczył ciała przybyszów z kosmosu z Roswell. A Bili McCarthy został przez prasę nazwany „Howardem Hughesem” z powodu swojej nienawiści do mediów.

– Oczywiście, nasze starania, aby mówiono o nas jak najmniej, dają odwrotny rezultat. – Oliver uśmiechnął się. – Bili zna się na rzeczy. Więcej o nas słyszać, niż gdybyśmy wydawali na reklamę.

Nagle otworzyły się przed nimi drzwi prowadzące na ogromny parkiet firmy McCarthy-Lloyd – ponad pół hektara powierzchni. Zobaczyli rzędy stanowisk pracy przypominających lady, każda o długości sześciu metrów i oddzielona przepierzeniem, a po drugiej stronie znajdowała się kolejna takiej samej wielkości lada. Po obydwu stronach przepierzenia siedziało czterech lub pięciu ludzi, ramię przy ramieniu. Wyglądali, jak klienci baru szybkiej obsługi. Każdy fotel na parkiecie był miejscem pracy. Przed każdym stało kilka ekranów komputerowych dostarczających aktualnych cen akcji, obligacji i kursów walut na rynkach na całym świecie.

Oprócz tego znajdowała się tam centralka telefoniczna z wieloma liniami, tak że handlowiec mógł równocześnie kupować i sprzedawać akcje. Z każdego miejsca widać było telewizor nastawiony na stację CNN, która dostarczała informacji ze świata. Bo wiadomo, że zamach stanu w Rosji mógł mieć wpływ na rynki w Stanach tak samo szybko jak zamieszki w kraju – i na odwrót. W sali prawie nie było ozdób, tylko niewielka amerykańska flaga na niektórych

przepierzeniach oznaczała, że w tym miejscu odbywał się handel obcymi walutami. Pomieszczenie sprawiało wrażenie nieprzyjaznego i odpychającego. Ale dekoracje byłyby tu niepotrzebne, a pracownicy nie mieli czasu na rzeczy zbyteczne. Zarabiali pieniądze, i nic więcej. Oliver zatrzymał się i wskazał na przeciwległy kąt.

– To tam – powiedział, przekrzykując harmider. – To nasze biurka.

– Widzę.

– Te trzy stanowiska pracy w samym rogu to biurka handlowców obracających pieniędzmi firmy. Pod ścianą są biurka działu zamrożonych wpływów, czyli tak zwane mrożonki, a dalej...

– Oliver! – Niewysoka brunetka spieszyła w ich kierunku korytarzem równoległym do parkietu. Ścisnęła w dłoni jakiś papier.

– Cześć, Abby – wykrzyknął Oliver.

– Mam tu dla ciebie gotową ofertę na tę dużą transakcję. – Abby uśmiechnęła się uprzejmie do Jaya i spojrzała na Olivera. – Wyślę ją faksem.

– Świetnie. – Kątem oka Jay zauważył, że palce Olivera i Abby na moment się spotkały. Potem kobieta odeszła, a w powietrzu pozostał po niej zmysłowy zapach perfum.

– Abby to słodka dziewczyna – powiedział Oliver. – I nie boi się ciężkiej pracy. Dzisiaj będzie musiała tu zostać co najmniej do dziesiątej. – Spojrzał na Jaya. – To ona jest asystentką, o której ci wcześniej wspomniałem.

Polubisz ją.

– Nie wątpię. – Jay spojrzał na lewą rękę Olivera i zauważył obrączkę.

– Hej, kolego, widziałem, jak na nią patrzyłeś i muszę ci powiedzieć, że podzielam twój gust. – Oliver po przyjacielsku uderzył go pięścią w ramię. – Ale nie rób sobie nadziei, jest zaklepana. – Odwrócił się i znowu ruszył do przodu. – Jak mówiłem, biurka rynku kapitałowego są tam, przy ludziach od zamrożonych wpływów i obok nas, biurek arbitrażowych. Tam, w kącie. Mamy tylko jeden serwer, ale zarabiamy więcej niż każdy inny dział na całym parkiecie. – Pomachał do kogoś od niechcenia. – Różnica pomiędzy nami a facetami od obligacji na drugim końcu sali jest taka, że my handlujemy tylko akcjami z ofert przejęcia, a oni zajmują się wszystkimi pozostałymi.

Jay podążył wzrokiem za dłonią Olivera i zobaczył Bullocka siedzącego przed komputerem, wpatzonego w ekran.

– Witaj mistrzu! – Jay odwrócił głowę w prawo. Młody handlowiec stojący parę metrów

dalej, najwyraźniej zwracał się do Olivera.

– Oliver, jesteś wielki – krzyknął ktoś inny.

– O co im wszystkim chodzi? – zapytał Jay.

Oliver przyjaźnie skinął głową dwóm młodym ludziom.

– Działka arbitrażu zaczęła odnosić sukcesy od czasu, kiedy tu się pojawiłem przed pięcioma laty – wyjaśnił nieskromnie. – Jak już wspomniałem, jest nas niewielu, ale zarabiamy więcej niż pozostałe działy. Dział zamrożonych wpływów, skąd są ci dwaj, w zeszłym roku nie radził sobie najlepiej. Prawdę mówiąc, stracili dużo pieniędzy. A mimo to, dostali premie. Bo biurka, których i ty będziesz częścią – Oliver zaakcentował te słowa – zarobiły na wszystkie działy – chwalił się.

– Mistrz idzie! – ktoś znowu zawołał.

Jay pokręcił głową, czuł się jak gdyby towarzyszył Jego Królewskiej Mości.

– Na wyższym piętrze znajdują się działy akwizycji, finansów i planowania – Oliver ciągnął, ignorując hołdy. – Bili nie chciał, żeby znajdowały się na parkiecie, z powodu potencjalnego konfliktu interesów. Jak gdyby interesy działu arbitrażu i handlu akcjami nie groziły rozbieżnością – zauważył. – Dowiadują się o ofertach przed wszystkimi innymi, z wyjątkiem ludzi z działu akwizycji. To nic trudnego pobiec do nas i dać nam cynk, tak żebyśmy mogli jak najszybciej jak najwięcej zgarnąć. Ale co tam, to firma Billa. Może robić, co chce.

Jay patrzył na parkiet. Większość z tych kilku setek ludzi gadających do słuchawek, wpatrzonych w komputery lub rozmawiających ze sobą, to byli mężczyźni. Zauważył zaledwie kilka kobiet, wszystkie młode i atrakcyjne. Co chwila pozdrawiano Olivera z szacunkiem, ale Oliver nie wszystkim odwzajemniał ukłony.

– Jutro podpiszesz umowę – dodał. – Pewnie w National City było inaczej, co?

– Rzeczywiście, inaczej.

– Nie przejmuj się. To standardowy kontrakt. Będzie zawierał szczegółowe prawne i finansowe zasady twojego zatrudnienia. – Oliver klasnął w dłoń i roześmiał się. – A nam da pewność, że nie będziesz nas mógł pozwać. Wszystkie zatargi między tobą a firmą będą rozwiązywane przez rozjemcę. Najprawdopodobniej przez kogoś, kto coś zawdzięcza Billowi. Wiele banków inwestycyjnych odeszło od takiej formy i pozwala podwładnym składać pozwy sądowe. My nie. Nam to nie grozi. – Oliver uderzył w ścianę otwartą dłonią. – Niezłe gównno, co? Ale co to za różnica? To jasne, że jesteś tu, żeby robić pieniądze. Jeśli się nie sprawdzisz, zostaniesz wylany. Jeżeli chcesz spokojnego życia, panie West, handluj kanapami i fotelami. I na

Boga, nie prosz kadrowej o udostępnienie umowy twojemu prawnikowi. Bo to będzie poczytane za duży minus już na początku.

– Dobrze.

Oliver skręcił w korytarz prowadzący na zewnątrz parkietu, daleko od gasnącego zgiełku.

– Jaki dziś mamy dzień tygodnia?

– Wtorek – odpowiedział Jay, zadowolony, że może chociaż taką informacją służyć człowiekowi, który właśnie zagwarantował mu premię w wysokości miliona dolarów. I to już za siedem miesięcy.

– W porządku, więc zaczynasz w czwartek.

– To niemożliwe.

– Chyba nie dosłyszałem? – Oliver zatrzymał się nagle i patrząc na Jaya położył ręce na biodrach. Twarz miał wykrzywioną z irytacji. Jay zamrugał oczami ze zdziwienia.

– Powinienem dać moim pracodawcom w National City standardowe dwa tygodnie wypowiedzenia. Chcę, żeby mieli wystarczająco dużo czasu, żeby wprowadzić kogoś w moje sprawy.

– Chrzanisz, Jay! – wrzasnął w furii Oliver. – Synku, przed chwilą obiecałem ci milion dolarów w styczniu, z mojego osobistego budżetu operacyjnego. Chcę cię widzieć w tym budynku jak najszybciej. Nie w przyszłym tygodniu, nie za dwa tygodnie, ale w czwartek. Myślę, że i tak jestem wyjątkowo hojny dając ci dwa dni na uporządkowanie spraw w obecnej pracy. Za milion dolarów powinieneś posadzić tyłek za biurkiem natychmiast, jak tylko pomyślnie skończysz rozmowę z Billem McCarthym. Każdy dzień zwłoki to kolejny dzień twojej pracy dla National City, zamiast dla mnie.

– Ludzie tam byli wobec mnie w porządku – powiedział spłoszony Jay. – Zaprzyjaźniłem się z nimi.

Wolałbym rozstawać się bez urazy. Sądzę, że to ważne.

– Nawet w połowie nie tak ważne, jak to, żeby zadowolić mnie, kolego – odparł chłodno Oliver.

Jay przez dłuższą chwilę przyglądał się Oliverowi. Przełożeni Jaya w National City nie będą zachwyceni, ale Oliver Mason dawał mu szansę życia. I żadnego wyboru.

– Dobrze. Zamelduję się tu w czwartek rano.

– Taka jest właściwa odpowiedź. Przez chwilę się o ciebie martwiłem, synu. Pamiętaj, nie

ważne, co kto mówi, życie to droga jednokierunkowa. Jedyne możliwe kierunki to do przodu. Nie spuszczać z oczu celu i jechać prosto na niego. Nie marnuj czasu na martwienie się o ludzi, którzy już nie mogą dla Ciebie zrobić. A w tej chwili ci idioci z National City należą do przeszłości. Chrzań ich. – Oliver widział, że decyzję o opuszczeniu National City Jay podjął nagle. – Nie masz chyba dzieci, prawda? – zapytał.

– Nie, nie mam.

– To postaraj się o nie – poradził Oliver.

– Dlaczego?

– Bo tylko one będą mogły Cię kiedyś docenić.

– Niezupełnie rozumiem.

– Bo o tym się trzeba samemu przekonać. Ale niestety, nawet im kiedyś coś podpadnie.

– Oliver pokręcił głową. – Tak, postaraj się o kilkoro dzieci, Jay. Tylko nie zrozum mnie źle. Absolutnie nie sugeruję, żebyś się ożenił. – Szedł dalej korytarzem. – Jesteśmy – obwieścił nagle, bez pukania popychając drzwi. – Cześć, Karen.

– Witaj, Oliver.

Jay obserwował, jak Mason kroczy w kierunku biurka, podnosi do ust dłoń siedzącej za nim kobiety i składa na jej palcach galanteryjny pocałunek.

– Och, Oliver. – Kobieta przechyliła głowę, zadowolona z takiej uwagi.

– Jay, przedstawiam Ci Karen Walker. – Oliver wskazał kobietę. – Jest wszechmocną asystentką Billa McCarthy'ego.

Jay ocenił Karen na jakieś pięćdziesiąt parę lat. Była pierwszą kobietą w tym wieku, jaką spotkał w firmie McCarthy-Lloyd.

– Dzień dobry.

– Cześć – powiedziała uprzejmie, po czym szybko przeniosła całą uwagę z powrotem na Olivera. – Jak się miewa twoja śliczna żona?

– W porządku, dziękuję.

– Witaj, Oliver – rozległ się głos Billa McCarthy'ego i mężczyzna pojawił się w drzwiach pokoju. Był w koszuli z podwiniętymi powyżej łokci rękawami, a w zębach trzymał kawałek żarzącego się cygara. Ten potężnie zbudowany mężczyzna miał wielki nos, mięsiste policzki i jasną czuprynę potarganych blond kędziurów.

– Cześć, Bili. – Oliver pokazał mu czarne skórzane pudełko z cygarami. – Mam coś dla

ciebie.

– Cóż takiego? – zapytał McCarthy z silnym śpiewnym akcentem, typowym dla południowych stanów.

– Davidoff Double R. – Wyjął dwa cygara z pudełka i podał je McCarthy'emu. – Dwadzieścia dolców sztuka.

Najlepsze z tej strony Kuby.

McCarthy bez słowa wziął cygara od Olivera, skierował kroki w stronę Jaya i uściśnął mu dłoń.

– Bili McCarthy.

– Jay West.

– Proszę za mną, panie West – powiedział McCarthy lekko zachrypniętym głosem, i z powrotem wszedł do swojego gabinetu. Jay przestąpił próg, za którym zniknął McCarthy.

– Baw się dobrze – szepnął Oliver. – Tylko nie palnij czegoś, na przykład, że nie możesz opuścić National City przez następne dwa tygodnie, bo ich lubisz.

– Nie wchodzisz ze mną? – zapytał Jay, ignorując uwagę Olivera.

– Nie. Nie zajmie ci to dużo czasu. Jak skończysz, zajrzyj do mnie.

– Dobrze.

– Wejdźże, proszę – mruknął McCarthy, bo Jay wahał się przez moment w drzwiach przestronnego biura.

Było to narożne pomieszczenie, z panoramicznym widokiem na dolny Manhattan i port Nowego Jorku. Światła statków zakotwiczonych od północnej strony mostu Verrazano-Narrows migotały w oddali, a miasto ogarniał mrok. – Zamknij drzwi – powiedział McCarthy i zasiadł za ogromnym biurkiem, zaszypanym gazetami i zastawionym plastikowymi kubeczkami z czarną kawą.

Jay pociągnął drzwi, które zatrzasnęły się za nim.

– Załatwmy parę spraw od razu – zaczął McCarthy. – Nie zwracaj się do mnie „panie McCarthy” ani „sir”.

Mów mi Bili. W tej firmie wszyscy są równi.

Silny południowy akcent sprawiał, że momentami to, co mówił McCarthy było trudne do zrozumienia i Jay musiał wyteżać słuch.

– W porządku, Bili.

– I nie musisz włożyć w tyłek udając szacunek. I tak jestem wart więcej niż pięćset milionów dolarów.

Prawdę mówiąc, dużo więcej. – Zachichotał. – Co parę dni mam spotkanie z doradcami prezydenta. Z gubernatorem i merem miasta również. Bez przerwy zaglądam do mnie, prosząc o radę. Artykuł z „Forbes”, który pewnie przeczytałeś, żeby przygotować się do tej rozmowy, mówił prawdę. Ale nie dał pełnego obrazu.

Mam jeszcze lepsze koneksje niż to, co zostało zasugerowane. I są dwa powody tego stanu. Pierwszy – moje rady prawie zawsze okazują się słuszne. Drugi – jestem hojny dla swoich współpracowników. Daj politykom pieniądze, a zrobią dla ciebie wszystko. Pod tym względem są ludźmi, których działania najłatwiej przewidzieć.

– McCarthy zaciągnął się cygarem, a davidofry, które dostał od Olivera, rzucił na blat. – Usiądź – zarządził, wskazując na krzesło stojące przed biurkiem, i zaczął przerzucać jakieś papiery.

Jay podszedł do krzesła i usiadł.

McCarthy przekładał kartki i obserwował młodego mężczyznę. Jay był wysoki i chudy. Miał proste, ciemnoblond włosy z przedziałkiem z boku. Długie kosmyki opadły z przodu na czoło, prawie sięgając brwi, a z tyłu dotykały kołnierzyka. Jego twarz była szczupła, męska, uwagę przykuwały wyraziste, ciemnoniebieskie oczy, pełne usta i nos z małym garbkiem – pewnie wynik złamania, pomyślał McCarthy. Pod okiem zauważył starą, półtoracentymetrową bliznę. Była to jedyna niedoskonałość na gładkiej cerze, która pewnie nie potrzebowała golenia częściej niż dwa razy w tygodniu. Ale to, co uderzyło McCarthy’ego najbardziej, nie dotyczyło wyglądu zewnętrznego. Największe wrażenie zrobiła na nim niepokojąca pewność siebie tego młodego człowieka, jego pełne opanowania zachowanie.

McCarthy uniósł się na fotelu.

– Musisz iść do fryzjera – rzucił niespodziewanie.

– Słucham? – Jay był pochłonięty widokiem portu.

– Masz za długie włosy. Nie podoba mi się to.

– Nie ma sprawy. – Jay beczelnie spojrział na długie, nieuczesane włosy McCarthy’ego.

McCarthy wciąż przerzucał papiery na biurku.

– Pamiętam, że Oliver wysłał mi twój życiorys, ale nie mogę go znaleźć w tej kupie gówna – zaprzestał poszukiwań i rozparł się wygodnie w fotelu. – Przedstaw mi wersję na żywo, tylko nie

rozwódź się za bardzo.

– Dobrze. Pochodzę z miasteczka Bethlehem w Pensylwanii. W zeszłym tygodniu minęło sześć lat od momentu, kiedy ukończyłem uniwersytet w Lehigh z dyplomem z literatury angielskiej. Od tego czasu pracowałem jako specjalista do spraw finansów w banku National City w Nowym Jorku.

McCarthy wyjął z ust cygaro i palcem wskazał na Jaya.

– Chcesz powiedzieć, że pracowałeś jako urzędnik udzielający kredytów?

– Nie rozumiem?

– Wszyscy z banków komercyjnych twierdzą, że są specjalistami od finansów – stwierdził rozdrażniony McCarthy. – Ale według mnie, specjalista do spraw finansowych to osoba, która przyjmuje publiczne długi i transakcje dotyczące obligacji. Założę się, że nigdy nie obracałeś takimi pieniędzmi. Udzielałeś kredytów, prawda?

Przez sześć lat pracy w National City Jay nigdy nie spotkał się z tak dotkliwą konfrontacją, i nikt nigdy nie poddawał w wątpliwość jego umiejętności. W McCarthy-Lloyd zdarzyło się to trzy razy w ciągu ostatnich dwudziestu minut, a on nie został jeszcze nawet oficjalnie zatrudniony.

– Zajmowałem się też transakcjami – odpowiedział spokojnym głosem. McCarthy zamierzał go pomścić, ale w tej chwili zdecydował, że da spokój.

– Będę szczery. Oliver pokłada w tobie spore nadzieje. Mówiłem mu, żeby zatrudnił kogoś z Princeton czy Harvardu, ale on się uparł. – McCarthy wzruszył ramionami. – Zwykle instynkt go nie myli. Prowadzi ten dział ponad pięć lat i robi duże pieniądze. Skoro chce cię wypróbować, to jego sprawa. Ale coś ci powiem. – McCarthy pochylił się nad biurkiem. – Ludzie będą ci patrzeć na ręce i jeśli się nie sprawdzisz, będzie to minus dla Olivera. Zarobił dla nas dużo, ale mnie przeszłość nie interesuje. Interesuje mnie tylko dzień dzisiejszy. Nie zapominaj o tym – powiedział z naciskiem McCarthy. – Oliver pracuje pod ogromną presją, podobnie jak wszyscy tutaj. Ale za to stać go na dom na Karaibach, w lecie na żeglowanie własnym piętnastometrowym jachtem, członkostwo w klubie żeglarskim Westchester Yacht i drogie samochody. Jego dziecko chodzi do najlepszej prywatnej szkoły w okolicy, a wakacje spędza w miejscach, które przeciętni zjadacze chleba znają tylko z kolorowych czasopism. – McCarthy zgniótł żarzący się kawałek cygara w kryształowej popielniczce postawionej na górze papierów. – Oliver chce ci zagwarantować milion dolarów w styczniu, sam nie wiem dlaczego. Ale to jego budżet i on

o nim decyduje. – McCarthy podniósł rękę. – Jego budżet, jednak w końcu to moje pieniądze. Jeśli się nie sprawdzisz, zostaniesz zwolniony, a Oliver będzie miał problem, bo nie znoszę marnowania pieniędzy. Reaguję na to tak, jakby ktoś pazurami drapał szkło – dostaję dreszczy i gęziej skórki. – McCarthy przerwał na chwilę. – Oliver dla ciebie zaryzykował. Dał ci szansę, za jaką wielu ludzi gotowych było zabić. Docień to.

– Doceniam – powiedział spokojnie Jay. Teraz rozumiał, dlaczego Oliver tak wybuchł, kiedy Jay powiedział mu o tym, że potrzebuje dwóch tygodni, żeby odejść z National City. W McCarthy-Lloyd trzeba było natychmiast przynosić zysk. Narzucają szaleńcze tempo od samego początku, które potem będzie się tylko zwiększało. Nikt nie toleruje tutaj przegranej. – Nie zapomnę tego, co Oliver dla mnie robi.

– To dobrze. – McCarthy spojrzał na zegarek. – Za chwilę mam obiad w Waldorfie. Jeszcze jakieś pytania?

– Tylko jedno. – Jay podniósł palec wskazujący. – Jak to jest mieć pół miliarda dolarów?

McCarthy patrzył na Jaya przez chwilę, po czym wstał, obszedł biurko i stanął naprzeciw młodego mężczyzny.

– Może się kiedyś przekonasz – mruknął i uśmiechnął się mimo woli. Wyciągnął rękę do Jaya. – Witamy w klubie, panie West.

Jay postawił teczkę na biurku. Zdjął marynarkę i starannie powiesił ją na oparciu krzesła. Stanowiska pracy należące do Jaya, Bullocka, Abby i sekretarki znajdowały się po jednej stronie niskiej ścianki działowej. Oliver siedział po przeciwnej stronie przepierzenia, zasłonięty monitorami komputerowymi i centralkami telefonicznymi, obok asystenta administracyjnego. Miejsca z lewej i z prawej strony stanowiska Olivera były wolne. Mason kilka razy wspominał przy Jayu o zatrudnieniu nowych ludzi, ale jak do tej pory, a Jay był już w firmie ponad miesiąc, nic nie wskazywało na to, żeby Oliver miał to zrobić. Dodatkowi pracownicy oznaczaliby podział zarobków między większą liczbę osób, a według kodeksu postępowania Olivera to byłaby zbrodnia.

– Cześć, Abby – rzucił Jay wesoło. Było wcześniej, parę minut po siódmej trzydziści, a ona była jedyną osobą z ich działu obecną w biurze. Jay zajrzał za monitory komputerów, ale trudno było powiedzieć, czy Oliver już przyszedł. Na jego krzesle wisiał wygnieciony garnitur, ale był to ten sam, który Oliver miał na sobie w piątek. – Jak się masz w ten piękny, lipcowy poranek?

Abby przerwała na chwilę stukanie w klawiaturę i oderwała wzrok od monitora, na którym widniał wykres ilustrujący krzywą wzrostu gospodarczego firmy Dow Jones Industrial.

– Gorąco.

– To prawda. – Nowy Jork ogarnęła fala upałów. Podróż Jaya do pracy linią metra numer 2 z Upper West Side do połowy wysokości Manhattanu, na Wall Street, nie należała do przyjemności. – Ten upał jest nie do zniesienia.

– Szczególnie, jeśli ma się popsutą klimatyzację.

Jay spojrzał na Abby. Dziewczyna była niewysoka, miała oliwkową skórę, ciemnobrązowe włosy z czerwonymi pasemkami, czarujący uśmiech i pełną figurę. Nie była klasyczną piękną, ale ten uśmiech sprawiał, że wydawała się niezwykle atrakcyjna.

– To niedobrze. – Abby mieszkała po drugiej stronie East River, w Queens, w dwupokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze bez windy. Zaprosiła Jaya na niewielkie party tydzień po tym, jak został przyjęty do firmy, żeby przedstawić go przyjaciołom. Przy zepsutej klimatyzacji jej mieszkanko musiało się zamienić w łaźnię parową. – Z przyjemnością wpadnę i zajrzę do klimatyzatora – zaoferował się Jay. – Fachowcem nie jestem, ale mój ojciec

nauczył mnie, jak posługiwać się podstawowymi narzędziami.

– Nie wątpię – podniosła brew, spojrzała na niego figlarnie i wybuchnęła śmiechem.

Jay usiadł na swoim miejscu uśmiechając się. Polubili się z Abby w ciągu tego miesiąca. Nie przeszkadzało jej, że Jay, choć dopiero co przyjęty do pracy, trafił na wyższe stanowisko. W dodatku dokładała starań, aby czuł się w nowej firmie jak najlepiej. Zupełnie odwrotnie niż Bullock, który nie przestawał zabiegać o to, żeby pierwsze tygodnie Jaya w firmie zamieniły się w piekło.

– Nie martw się tą klimatyzacją – powiedziała. – Dziś przyjdzie mój ojciec i spróbuje ją naprawić. Jeśli mu się nie uda, obiecał, że kupi mi nową. Ale to miłe, że chciałeś mi pomóc.

– Możesz na mnie liczyć.

– Och! – Abby pstryknęła palcami i wzięła do ręki małą różową kartkę. – Zadzwoń do tego faceta.

Telefonował trzy razy w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

Jay wziął z rąk Abby karteczkę.

– Brian Kelly – głośno przeczytał nazwisko. – Kelly pracuje w Goldmann Sachs. Sprzedaje akcje instytucjom. Oliver się pieklił, bo nie mógł go złapać. – Abby w piątek nie było w pracy, bo wzięła sobie wolne.

– Dlaczego Oliver tak go poszukiwał? – zapytała.

– To ma coś wspólnego z Batesem – wyjaśnił Jay.

– Bates to ta firma, która próbowała bronić się przed przejęciem przez jakiś brytyjski koncern?

– Tak – potwierdził Jay. – Brytyjczycy oferowali za duży blok akcji Batesa po sześćdziesiąt pięć dolarów dwa tygodnie temu.

– A czy Oliver nie kupił większej ilości akcji następnego dnia po tym, jak ogłoszono ofertę przejęcia?

– To prawda. Oliver był pewien, że znajdzie się firma, która da lepszą cenę niż ten brytyjski koncern.

Stwierdził, że to okazja bardzo szybkiego zarobku po parę dolarów na każdej akcji. Ale jak do tej pory, nic takiego nie nastąpiło. I nikt nie interesuje się Batesem.

– Ale co ma z tym wszystkim wspólnego Brian Kelly? – zapytała Abby. Jay rozejrzał się dookoła ukradkiem.

– Ktoś zadzwonił do Olivera z informacją, że General Electric będzie startowało do Batesa. – Jay nieświadomie dotknął blizny pod okiem. – I to z ceną dużo wyższą niż ta, którą oferowali Angole.

– Kto mógł mu dać cynk? – zapytała podejrzliwie Abby.

– Nie mam pojęcia – stwierdził Jay.

– Oliver nigdy nie mówi takich rzeczy, prawda?

– Nigdy. – Jay miał ochotę zapytać Olivera o źródło tej informacji, ale nie zrobił tego. Był pewien, że szef nie będzie chciał o tym rozmawiać. – Kiedy Oliver dowiedział się o General Electric, próbował natychmiast złapać Kelly’ego, który wspominał, że Goldman ma parę akcji Batesa do sprzedania. Oliverowi nie podobała się cena, którą proponował Kelly, ale wtedy nie wiedział o General Electric. Próbował później dzwonić do Kelly’ego, ale nikt w całej firmie nie potrafił go znaleźć. Pewnie wyszedł wcześniej do domu. Oliver wrzeszczał do słuchawki na cały głos.

– Serio?

– Tak. Szkoda, że tego nie słyszałaś. Po prostu szalał. Na szyi wystąpiły mu żyły. Kiedy nie udało mu się złapać Kelly’ego, próbował skontaktować się z jakimiś innymi ludźmi, ale nikt nie miał do sprzedania akcji Batesa. – Jay westchnął ciężko. – Jeżeli są jakieś akcje u Goldmana, a my ich nie dostaniemy, Oliver nas powystrzela. – Jay wstał i rozejrzał się po parkiecie. – Czy szef i Bullock już przyszli?

– Nie – odpowiedziała Abby. – Jestem tu od wpół do szóstej i nie widziałam ich...

– Od wpół do szóstej? – zapytał Jay z niedowierzaniem.

– Nie mogłam spać. W moim mieszkaniu jest prawie czterdzieści stopni ciepła.

– No tak, popsuta klimatyzacja. – Jay jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Oliver rzeczywiście będzie wściekły, jeśli stracą taką okazję. Dla niego zostawienie takich pieniędzy było większą zbrodnią niż morderstwo. Znaczyło tyle samo, co dzielenie się z kimś bogactwem. Ale, gdyby Jay kupił te akcje zbyt drogo, a oferta z General Electric nie nadeszłaby, szef wściekłby się jeszcze bardziej. – Zrób coś dla mnie, Abby – powiedział spokojnie.

– Jasne.

– Zadzwoń do tego Kelly’ego i dowiedz się, gdzie złożył ofertę akcji Batesa i ile ich ma – Jay wstał. – Muszę coś sprawdzić.

– Dobrze – powiedziała z pewnym wahaniem. – Ale pamiętaj, że ja nie mam uprawnień do

zawierania transakcji.

– Wiem. – Uspokajająco dotknął jej ramienia. – Nie chcę cię stawiać w trudnej sytuacji. Zdobądź tylko te informacje. Jeśli Kelly zacznie wrzeszczeć i mówić, że musimy natychmiast podjąć decyzję, po prostu odłóż słuchawkę. – Jay odwrócił się i odszedł. Wrócił po pięciu minutach.

– Złapałaś go?

Abby kiwnęła głową. Wyglądała na zdenerwowaną.

– No i co?

– Ma do sprzedania milion akcji Batesa – powiedziała lekko drżącym głosem. – Było tak, jak przewidziałeś, Jay. Od razu zaczął się na mnie wydzierać, że muszę natychmiast podjąć decyzję. Powiedział, że ma innych kupców, którzy są zainteresowani. Chce dobić interes z Oliverem, ale jest coraz mniej czasu.

– Jaką cenę zaproponował ci Kelly? – zapytał Jay, chwytając za słuchawkę i równocześnie sprawdzając na komputerze ostatnie notowania.

– Siedemdziesiąt trzy – odpowiedziała zdenerwowana.

– Skurwiel – szepnął Jay.

– O co chodzi?

– Kelly nas oszukuje – powiedział Jay. – Mam tu czarno na białym, że cena za akcje wynosi siedemdziesiąt dolarów. Taką samą podali mi nasi handlowcy giełdowi. – Jay rozważał sytuację. – Milion akcji to sporo, a Oliver mówił, że General Electric ma zaproponować osiemdziesiąt dolarów za sztukę.

Abby otworzyła szeroko oczy.

– Osiemdziesiąt dolarów?

– Tak – Jay spojrzał na nią. – Jeśli kupimy akcje Batesa od Kelly’ego za siedemdziesiąt trzy, a General Electric proponuje osiemdziesiąt, zarobimy siedem dolarów na jednej akcji. Założmy, że kupimy milion akcji, to nam daje siedem milionów dolarów; zarobione w ciągu jednego dnia; dosłownie.

– A co będzie, jeśli Angole zaproponują tylko sześćdziesiąt pięć dolarów za akcję? – zauważyła Abby. – Ty kupisz milion akcji po siedemdziesiąt trzy, a General Electric nigdy w to nie wejdzie. Wtedy McCarthy-Lloyd straci osiem dolarów na każdej akcji. Daje to osiem milionów dolarów. – Abby pokręciła głową. – Chcesz dokonać transakcji, opierając się tylko

i wyłącznie na plotce, a wszyscy wiemy, że plotka w tym świecie jest warta tyle, ile obietnice składane przez polityków.

Jay uśmiechnął się przebiegle i wystukał numer telefonu Kelly'ego.

– To może być interesujące. – Dał znak ręką, żeby Abby podniosła słuchawkę swojego telefonu i słuchała rozmowy.

– Słucham! – odezwał się ktoś, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Chciałbym rozmawiać z Brianem Kelly.

– Przy telefonie.

Jay poczuł, że Kelly jest zdenerwowany.

– Mówi Jay West z McCarthy-Lloyd.

– Dobra, gdzie jest Oliver? Chcę z nim rozmawiać.

– Jeszcze nie przyszedł do pracy.

– Ładnie – jęknął Kelly.

– Ja też mam prawo podjąć decyzję dotyczącą Batesa – powiedział Jay opanowanym głosem.

– Tak? To masz trzy minuty, żeby to zrobić. Oliver jest dobrym klientem, ale nie mam zamiaru na niego czekać.

– Jaka cena? – zapytał Jay.

– Mówiłem to już tej paniencie od was, która dzwoniła przed minutą. Siedemdziesiąt trzy dolary.

– Kupuję za siedemdziesiąt jeden – szybko zareagował Jay.

– W takim razie nie dobijemy interesu – prychnął Kelly. Jay poczuł, że w jego ramię wbijają się długie paznokcie Abby. Spojrzał na kartkę, którą mu podsunęła.

– Ta cisza trwa trochę za długo – powiedział Kelly pewnym siebie głosem. – Odkładam słuchawkę i dzwonię do...

– Proponuję siedemdziesiąt jeden dolarów i pięćset tysięcy akcji – przerwał mu Jay.

– Mamy milion akcji – wrzasnął Kelly. – Powiedziałem tej kobiecie, która dzwoniła, że sprzedaję w całości.

Nie ma żadnego dzielenia. Milion akcji albo nic. Liczę do trzech, panie Jay West i jeśli nie usłyszę: siedemdziesiąt trzy za milion akcji, to do widzenia!

– Możesz liczyć do stu trzech, jeśli masz na to ochotę, Kelly. Nie zmienię zdania. Jestem pewien, że Oliver będzie zadowolony, kiedy się dowie, jak bardzo chcesz z nami współpracować.

Pracuję tu zaledwie miesiąc, ale zdążyłem zauważyć, jaki mamy wkład w wasze dochody. – Jay przerwał na chwilę. – Nie liczyłbym na to więcej.

Teraz zapadła cisza po drugiej stronie.

– Jesteś tam, Kelly? Wciąż cisza.

– Cóż, życzę miłego dnia – powiedział uprzejmie Jay.

– W porządku! – krzyknął Kelly. – Niech stracę. Pięćset tysięcy po siedemdziesiąt jeden.

Niech to szlag! Jay puścił oko do Abby.

– Świetnie. Ktoś od papierów później się do was zgłosi. Interesy z tobą to przyjemność, Kelly. – Ale w odpowiedzi usłyszał tylko dźwięk odkładanej słuchawki.

– No, no, Jay. – uśmiechnęła się Abby. – Byłeś świetny.

– A ty mnie uratowałaś. – Odchylił się na krześle i odetchnął głęboko. – Kupiłbym cały ten milion akcji, gdybyś mi nie przypomniała, że wtedy posiadalibyśmy ponad pięć procent Batesa.

Kiedy jeden podmiot posiadał pięć bądź więcej procent akcji jakiejś firmy, nabywca był prawnie zobowiązany do ujawnienia tego stanu rzeczy przed Komisją Papierów Wartościowych i Walut, i automatycznie informacja ta stawała się jawna dla każdego, kto zajrzyłby do danych udostępnionych przez ten urząd do wiadomości publicznej. Dlatego Oliver zakazał pracownikom swojego działu dokonywania transakcji, które dawałyby McCarthy-Lloyd większy od pięcioprocentowego udziału w jakiejś firmie. Zależało mu, żeby nikt nie dowiedział się o jego działaniach. – Dzięki.

– Drobiazg – powiedziała Abby.

Jay przyjrzał się jej. Dziewczyna udowodniła, że jest jego sprzymierzeńcem. Nie wątpił w to, że Bullock pozwoliłby mu kupić ten milion akcji i wystawić się na pastwę gniewu Olivera. A w ciągu ostatnich kilku tygodni Jay miał okazję być świadkiem wybuchów jego temperamentu, które przypominały erupcje wulkanów.

Wszyscy niewinni na wszelki wypadek schodzili mu z drogi, a ofiara wybuchu zaszywała się w jakąś mysią dziurę. Abby nigdy by nie naraziła na to Jaya.

Uśmiechnął się do niej. To dziwne, ale nie było między nimi erotycznego napięcia. Abby wszystkim dawała do zrozumienia, że nie jest wolna. Nigdy jednak nie mówiła o swoim mężczyźnie, nie wydzwaniali też do niej amanci.

– Dzień dobry.

Jay i Abby odwrócili się, słysząc nosowy głos Olivera. Stał przed nimi, z twarzą

promieniującą zdrową, lekką opalenizną.

– Świetnie wyglądasz.

– Dzięki, Abby. – Oliver obrzucił uważnym spojrzeniem jej nogi. – Weekend spędziłem na wodzie. Było wspaniale. Lekka bryza i ani jednej chmurki. Pewnie trochę wzięło mnie słońce.

– Wzięło cię, i to ładnie. – Abby spojrzała na Jaya. – Nas też to czeka, kiedy w końcu dochrapiemy się dyrektorskich stanowisk. Niedziele pod żaglami w cieśninie Ixmg Island. – Westchnęła z zazdrością. – A na razie, biedne zuczki na minimalnej pensji, weekendy spędzamy w Central Parku, bo nie stać nas na nic lepszego.

– Rzeczywiście, biedactwa.

Jay przyjrzał się Oliverowi. Mimo jego deklaracji, że wszyscy w McCarthy-Lloyd wiedzieli o zarobkach innych, Oliver zakazał Jayowi komukolwiek wspominać o gwarancji premii w wysokości miliona dolarów.

– Spędziliście z żoną weekend na łódce? – zapytał uprzejmie Jay. Oliver pokręcił głową.

– Nie. Barbara wybrała się na pokaz koni – wyjaśnił krótko, jakby chciał zakończyć temat.

– Jasne. – Zachowanie Olivera było trochę dziwne. Podczas pierwszego dnia pracy Jaya, szef zachowywał się wobec niego jak dumny ojciec. Oprowadzał po firmie i przedstawiał wszystkim ważniejszym pracownikom. W towarzystwie Billa McCarthy’ego zjedli lunch w firmowej jadalni, gdzie raczyli się pieczonym jagnięciem serwowanym na srebrnych tacach przez nadskakujących kelnerów. Ale od tamtej pory Oliver zachowywał wobec nowego pracownika dystans. Nie był nieprzyjazny, ale również nic nie zostało z dawnej serdeczności.

– Co tu się stało? – spytał Oliver podejrzliwie, wskazując na telefon, – Z daleka widziałem, że coś się dzieje.

– Jay właśnie zrobił świetny interes – pospieszyła z wyjaśnieniem Abby. – Kupił sporo akcji Batesa od tego faceta z Goldmana, Briana Kelly’ego.

– Ile? – natychmiast zapytał Oliver. – Nie mów mi tylko, że przekroczyliśmy pięć procent.

– Spokojnie – przerwał mu Jay. – Kelly usiłował mi wcisnąć cały milion, ale kupiłem tylko połowę. Jesteśmy poniżej pięciu procent. Nic nie trafi do wiadomości publicznej.

– Dobry chłopak. Cieszę się, że pamiętałeś o tym w ferworze walki. Widzę, że robisz postępy. Jay wskazał na Abigail.

– Abby mi przypomniała, to jej zasługa.

– Ile dałeś za akcję? – zapytał Oliver, ignorując wyznanie Jaya.

– Siedemdziesiąt jeden.

– Dużo – stwierdził niezadowolony.

– Nie dużo, jeśli w to wejdzie General Electric – odparł Jay. Oliver pogładził podbródek, zamyślony.

Wreszcie spojrział na Abby.

– Może byśmy znaleźli jakąś wolną salę konferencyjną i przejrzeni propozycję, którą chcę przedstawić dziś po południu Billowi?

– Propozycję? – na twarzy Abby malowało się zdziwienie.

– Tak, propozycję – odpowiedział Oliver zniecierpliwiony. – Tę, o której rozmawialiśmy ostatnio.

– Ach, oczywiście. – Abby poderwała się z krzesła, złapała jakąś szarą teczkę i ruszyła za Oliverem.

Jay patrzył za nimi. Było zaledwie w pół do ósmej, ale na parkiecie już robiło się tłoczno. Idący musieli przepychać się między krzyczącymi do telefonów handlowcami. Dotarli wreszcie do wyjścia na drugim końcu parkietu.

Kiedy zniknęli mu z oczu, Jay odwrócił się do monitorów. Umiejętnie wykorzystując informacje pojawiające się na ekranach, szczególnie w tak poważnej firmie jak McCarthy-Lloyd, można było zarobić miliony. Pracownicy mieli do dyspozycji ogromne ilości pieniędzy, którymi mogli swobodnie obracać. Cała rzecz polegała na tym, żeby znaleźć odpowiednie akcje i postawić na nie. Ale do tej pory Jay nie zawarł żadnej transakcji. Z wyjątkiem akcji Batesa, ale to nie była jego zasługa, bo Oliver zaczął pracować nad tą transakcją dwa tygodnie wcześniej. Jay miał wrażenie, iż przez swój oficjalny ton Oliver wyraża niezadowolenie, że West jeszcze się nie rozkręcił w pracy. Jay zagryzł wargę. Chciał zarabiać pieniądze dla Olivera i dla firmy, ale również nie chciał ich stracić. Doskonale rozumiał, jakie znaczenie miałyby jego pierwsza wygrana, ale też, jak podziałyaby strata. Opinię o pracowniku wyrabiano sobie na podstawie pierwszych transakcji.

– Dzień dobry. – Bullock rzucił marynarkę na przepierzenie za monitorami, poluzował krawat, podwinął rękawy ciemnoniebieskiej koszuli i zajął miejsce przy Jayu.

– Dobry, dobry – odpowiedział Jay zdziwiony. Bullockowi rzadko zdarzało się rozpoczynać dzień tak przyjaznym powitaniem.

Borsuk położył na biurku papierową torbę i wyciągnął z niej bułeczkę z otrębami, położył na

wierzch dużą ilość masła i ugryzł, zjadając pół bułki od razu.

– Masz dla mnie jakieś ważne informacje? – zapytał z pełnymi ustami, a okruszki sypały się na podłogę.

Jay wyczuł ironię w jego głosie. Choć Oliver nie wspominał nigdy o tym, że jest zawiedziony brakiem rezultatów pracy Jaya, Bullock ciągle mu dokuczał.

– Tak. Mam wiadomość od firmy produkującej bułki, którą pochłaniasz. Limit dzienny wynosi pięć sztuk.

– Wystarczy mi trzy – poprawił go Bullock.

– Druga sprawa dotyczy firmy produkującej Slim Fast – ciągnął Jay. – Cena ich akcji wzrośnie o kilka punktów, kiedy ten cały tłuszcz zacznie obrastać twój brzuch.

– I tu się mylisz. Dwa razy dziennie ćwiczę. Rano, przed wyjściem do pracy i wieczorem, w domu. Tylko tak możemy zapobiec otyłości, chłopczyku.

– Dlaczego ćwiczysz aż tyle? – zapytał Jay, wściekły, że Bullock wciąż nazywa go chłopczykiem. Zauważył, że Carter ma zwyczaj podkreślania swojej muskularnej sylwetki nosząc o numer za małe koszule, opinające jego tors. – Chcesz zrekompensować jakieś inne niedostatki, których nie widać?

– A ty dlaczego zadajesz same głupie pytania? Jay uśmiechnął się.

– No, nareszcie poznaję sympatycznego palanta, do którego już się zdążyłem przyzwyczaić. A już się niepokoiłem, że stało się coś złego, kiedy powiedziałeś „dzień dobry”, bo brzmiało to niemal przyjaźnie.

Bullock skończył przeżuwać i wytarł usta chusteczką.

– Nie będziesz się tak uśmiechał, kiedy McCarthy wezwie cię na dywanik i każe ci opowiedzieć, ile zarobiłeś dla jego firmy.

– Borsuk, jestem wzruszony. Ty się o mnie naprawdę martwisz – odparł Jay.

– Nie martwię się o ciebie wcale – zapewnił Bullock. – Prawdę mówiąc, to będzie mój szczęśliwy dzień, kiedy Bili cię wreszcie wyleje. A zapewniam, że ten dzień nastąpi wkrótce. Bo Bili od dawna na nikogo się nie wściekał, a ty jesteś pierwszy na liście. Jeśli myślisz, że Oliver jest niecierpliwy, przekonasz się, że to nic w porównaniu z Billem. – Bullock na chwilę przerwał.

– A gwarancja nie zawsze daje gwarancję, nawet jeśli jest na papierze.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – zapytał Jay.

– Pomyśl sam.

Jay oparł się na krześle. Zaczął się zastanawiać, czy istnieje możliwość, że firma McCarthy-Lloyd mogłaby odstąpić od wypłacenia premii.

– Oliver nie zrobiłby czegoś takiego.

– Nie bądź taki pewien – warknął Bullock.

– Poza tym – odezwał się Jay – pracuję nad paroma transakcjami, które mogą nam przynieść spore pieniądze.

– Niemożliwe. – Bullock nałożył więcej masła na reszkę bułki i ugryzł. Jay wzruszył ramionami.

– Powiem ci, kiedy podejmę ostateczną decyzję. – Nie ufał Bullockowi. Mógłby go wyprzedzić, kupić akcje i sobie przypisać cały sukces.

– Jestem twoim bezpośrednim przełożonym i chcę być informowany, nad czym pracujesz – zażądał Bullock.

– To jeszcze nic pewnego. Sam wiesz najlepiej, że im więcej osób o czymś usłyszy, tym większe jest prawdopodobieństwo przecieku. A jeśli koledzy z Wall Street zwęszą cokolwiek, cena natychmiast pójdzie w górę i po robocie.

– Dmuchasz na zimne – uśmiechnął się szyderczo Bullock. – A tak naprawdę pewnie nie masz nawet pomysłu na transakcję.

– Niedługo...

– Panie Bullock.

Bullock i Jay podnieśli głowy. Za nimi stała Karen Walker, asystentka Billa McCarthy'ego, a obok niej wysoka, młoda kobieta z blond włosami, zebranymi w elegancki kok. Jay i Bullock podnieśli się z krzeseł. Ta kobieta nawet w łachmanach przykuwałaby uwagę.

– Poznajcie Sally Lane – przedstawiła ją Karen. – Oliver oczekiwał jej dziś rano.

– Tak, zgadza się. – Bullock zrobił krok do przodu i uścisnął rękę Sally. – Dzień dobry. – Jego szeroką twarz rozjaśnił uśmiech. – Witamy na pokładzie.

Jay pytająco popatrzył na Bullocka.

W odpowiedzi Carter posłał mu ironiczne spojrzenie, po czym całą uwagę skupił na Sally.

– Jesteś w naszym dziale mile widzianym nabytkiem.

– Cieszę się. Długo czekałam na ten moment – uwolniła rękę z uścisku Bullocka i zwróciła się do Jaya. – Sally Lane.

– Jay West. – Spojrzał w jej zielononiebieskie oczy. Nie chciał, żeby zauważyła, jak wielkim

zaskoczeniem jest dla niego pojawienie się nowego członka załogi. – Cieszę się, że mogę panią poznać.

– Dziękuję za miłe przyjęcie.

Sally miała mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu, jak ocenił Jay, była więc od niego sporo niższa.

Szczupła, o pociągłej twarzy, wąskim nosie i ustach. Miała dyskretny makijaż, ale widać było, że ogromną wagę przywiązuje do wyglądu. Jej ciemnoniebieska sukienka za kolano, prosta, ale elegancka leżała doskonale. Włosy dziewczyny były błyszczące, a twarz sprawiała wrażenie świeżej i naturalnej.

– Sally dołącza do nas na stanowisku handlowca – ogłosił Bullock z triumfującym uśmiechem na twarzy. – Podobnie jak ty, Jay.

– Świetnie – powiedział Jay uradowanym głosem. Nie zamierzał dać po sobie poznać, że jest wściekły, bo nikt go nie uprzedził o nowym pracowniku. – Witamy na pokładzie.

– Przyznam, że mam tremę.

– Sally, musimy się jeszcze zameldować w dziale kadr – odezwała się Karen.

Kiedy kobiety znikły, Jay zaczął się przedzierać między biurkami w kierunku magazynu z materiałami biurowymi. Tak więc stało się. Zatrudniono kolejną osobę w ich dziale. Na to samo stanowisko, co jego. Oliver był chyba dużo bardziej zirytowany brakiem efektów pracy Jaya, niż dawał to po sobie poznać, i postanowił zastąpić go tą dziewczyną. Jay poczuł się wytrącony z równowagi. Kręcąc głową zszedł z parkietu i ruszył dalej korytarzem, prowadzącym do magazynu. Nie, to nie miało sensu. Był tu zaledwie od miesiąca. Oliver musiał mieć co najmniej kilka tygodni na rozmowy z Sally i sprawdzanie jej referencji. A to znaczyło, że zaczął się nią interesować w tym samym czasie, kiedy zatrudniał Jaya.

West wszedł w drzwi prowadzące do wąskiego, ciemnego korytarza. Minął stojące na podłodze pudła ze starymi segregatorami. Ciekawe, o co chodziło Bullockowi, kiedy zrobił tę głupią uwagę o gwarancji, która nie zawsze się sprawdza. Jay podpisał umowę o pracę, a w niej gwarancję miliona dolarów premii w styczniu.

Podstawą otrzymania premii miał być fakt, że obydwaj, Oliver i Bili McCarthy, będą zadowoleni z jego pracy.

Jay posłuchawszy ostrzeżenia Olivera, żeby nie dawać umowy adwokatowi, sam przejrzał trzydziestostronicowy kontrakt i natychmiast go podpisał. Możliwe, że w dokumencie

znajdowały się kruczki, które pozwolą firmie unieważnić zobowiązanie dotyczące premii. Jay z nerwów zaczął szybciej oddychać. Dotarł przed drzwi magazynu. Zaczął szukać ręką przełącznika. Nie mógł się sam sobie nadziwić. Zawsze był taki rozsądny.

Nagle zamarł w bezruchu. Z pokoju na końcu korytarza dotarły do niego przyciszone głosy, z których jeden należał z pewnością do kobiety. Wycofał się z magazynu i powoli, po miękkim dywanie podszedł do lekko uchylonych drzwi na końcu korytarza. W środku było ciemno, ale przez małe okno wpadała niewielka strużka dziennego światła. Wystarczająco duża, aby Jay dostrzegł Olivera przyciskającego ciałem stojącą pod ścianą Abby. Jedną rękę wsunął pod jej krótką sukienkę.

– Oliver, proszę – błagalnym tonem odezwała się Abby, strącając jego dłoń. – Proszę, nie rób tego.

– Coś cię gnębi? Już ci się to nie podoba?

Jay z przejęcia przełknął ślinę. Zaskoczył go widok Olivera obmacującego Abby. Obejrzał się przez ramię na ciemny korytarz. Nikt nie nadchodził.

– Nie w pracy, Oliver! – Abby próbowała odepchnąć mężczyznę.

– Dobrze, spotkamy się później w Hotelu Plaża. – Oliver opuścił jej rajstopy z majtkami do kolan, wsunął but pomiędzy nogi dziewczyny i zsunął rajstopy na podłogę.

Abby pochyliła się i próbowała je podciągnąć, ale Oliver złapał ją i mocno popchnął na ścianę.

– Bądź w hotelu Plaża, punktualnie o szóstej – zażądał. – Rozumiesz?

– Oliver, kocham cię, ale nie mogę tego dalej ciągnąć. Jay poczuł się zbity z tropu, bo już miał otwierać drzwi, kiedy Abby użyła słowa „kocham”.

– Co się stało? – Oliver zadarł jej sukienkę aż do szyi i przyparł Abigail do ściany całym ciałem. – Dlaczego nie możesz tego ciągnąć?

– Jesteś żonaty – powiedziała cicho, już się nie opierając.

– Przez parę ostatnich miesięcy to ci nie przeszkadzało. Nie przeszkodziło ci też w spędzeniu weekendu ze mną.

Jay wyduł usta, jakby chciał gwizdnąć. Teraz zrozumiał scenę sprzed kilku minut na parkiecie.

– Oliver, błagam – jęknęła.

Oliver cofnął się o krok i sukienka Abby opadła na jej uda.

– Mógłbym cię wylać z pracy – szepnął. – Możesz się znaleźć na ulicy za dziesięć minut. I to z takimi referencjami, że nigdzie w branży nie znalazłabyś pracy. – Poprawił krawat. – Nie masz pieniędzy, Abby.

Potrzebujesz tej posady. – Zamilkł na chwilę. – I nie łudź się, że nie byłbym w stanie cię wyrzucić. Zrobiłbym to w sekundę.

Abby obrzuciła go złym spojrzeniem.

– To nie byłoby mądre – powiedziała łkając. – Nie zapominaj, że wiem o tobie i o twoich przyjaciółach. Jeśli mnie wylejesz, nie będę się zastanawiać i doniosę tam, gdzie trzeba. Jestem pewna, że w zamian za takie informacje, zostałabym nagrodzona.

– Nic nie wiesz.

– Mylisz się, wiem wszystko.

Oliver położył palec wskazujący na jej ustach.

– Nawet o tym nie myśl. To dopiero byłoby głupie z twojej strony, Abby.

– Grozisz mi? – Strąciła jego palec.

– Zrozum to, jak chcesz – wycedził przez zaciśnięte zęby. Przez kilka sekund Abby patrzyła na Olivera i nagle posmutniała, jakby ktoś ją skrzywdził.

– Nie mogę uwierzyć, że mówisz mi coś takiego – wyszeptała. – Myślałam, że mnie kochasz. Otarł łzę z jej policzka.

– Ja myślałem to samo o tobie.

– Kocham cię – wyszlochała. – Całym sercem. Mówiłam ci to tyle razy. Oliver przysunął się do dziewczyny i ujął jej twarz w dłonie.

– Więc mnie słuchaj, a wszystko będzie dobrze. Przez chwilę Abby stała w bezruchu. Wreszcie zarzuciła ramiona na szyję Olivera i zaczęła go namiętnie całować.

– Nie umiem ci się oprzeć – westchnęła i odrzuciła do tyłu głowę.

Stojący w drzwiach Jay cofnął się o krok. Przez parę chwil stał, zupełnie nie wiedząc, co ma zrobić, pogrążony w ciemności. Serce waliło mu jak młot. Czuł się oszukany, ale z drugiej strony, przecież to nie jego sprawa. Postanowił się wycofać. Ruszył cicho, starając się nie wpaść na pudełka ze starymi segregatorami.

Kiedy wyszedł na korytarz, omal nie zderzył się z Bullockiem.

– Co ty tu robisz, do diabła? – zapytał podejrzliwie Bullock.

– Szukałem papieru – odpowiedział Jay bez namysłu. Bullock spojrział na puste ręce kolegi

i rzucił okiem na korytarz za jego plecami.

– No i gdzie on jest?

– Co? – zapytał niepewnie Jay. Czyżby Bullock pytał o Olivera?

– No, ten papier, którego szukałeś.

– Ach, nie znalazłem go – starał się, żeby to zabrzmiało przekonująco. – Muszę zgłosić komuś, kto jest odpowiedzialny za zaopatrzenie, żeby zamówili.

– To zrób to. – Bullock jeszcze raz rzucił okiem za plecy Jaya. – I lepiej wracaj na miejsce. Są dla ciebie jakieś wiadomości.

Jay minął Bullocka i prawie pobiegł korytarzem w kierunku parkietu. Bullock miał taką minę, jakby dobrze wiedział, co się dzieje w ostatnim pokoju. Jak gdyby wiedział, że Oliver jest z Abby w magazynie. Oliver i Bullock sprawiali wrażenie, że są przyjaciółmi. – Szef przyznał mu styczniową premię w wysokości trzech milionów dolarów. Bullock miał wszelkie powody, żeby chronić Masona – rozumował Jay.

Kiedy dotarł na parkiet, przystanął. O co, u diabła, mogło chodzić Abby, kiedy groziła, że powie odpowiednim ludziom o Oliverze i jego przyjaciółkach?

Po kilku bankowych operacjach, na konto Victora Savoya w Banku Szwajcarskim wpłynęły pieniądze z fikcyjnej firmy w Antigua. Istniały duże szanse, że pieniądze są czyste, bo Antigua była nową karaibską czarną dziurą. Zwykle kiedy przekaz docierał do Szwajcarii, prawdopodobieństwo, że pieniądze zostały skutecznie wyprane, wzrastało niemal do stu procent. Ale Savoy był ostrożny. Wiedział, że tylko dzięki nadzwyczajnej ostrożności i dbałości o najdrobniejsze szczegóły, uda mu się nie wzbudzić zainteresowania FBI, INS, Scotland Yardu i specjalnych jednostek w Europie Wschodniej, na które Waszyngton wywierał stały nacisk. Wszyscy szukali Savoya.

– Proszę tu podpisać – poinstruowała młoda kobieta za biurkiem, podając mu pióro.

– Certainement – odpowiedział Savoy z doskonałym francuskim akcentem. Wziął pióro i złożył podpis na odwrocie zlecenia wypłaty, posługując się jednym z fałszywych nazwisk.

– Dziękuję. Teraz to należy do pana. – Młoda kobieta podała mu niewielkie pudełko.

– Merci. – Pudełko zawierało piętnaście milionów franków szwajcarskich wyłącznie w wysokich nominałach. Savoy wziął pudełko i umieścił je w kieszeni marynarki, po czym wstał, pochylił się nad biurkiem, żeby uścisnąć dłoń kobiety i oddalił się ozdobnym holem banku.

Kiedy minął drzwi obrotowe i znalazł się na ulicy, zerknął na zegarek. Było dziesięć po

trzeciej. Mnóstwo czasu, żeby zdeponować pieniądze. Skręcił w prawo i pospiesznie ruszył sto metrów dalej, przez Paradeplatz, do Banku Zurich. Energicznie wszedł do środka. Miał przy sobie ogromną sumę pieniędzy i mimo że szczylił się, iż potrafi w każdej sytuacji zachować zimną krew, czuł, że serce bije mu szybciej niż zwykle.

Przez tych kilka minut, kiedy przemierzał chodnik dzielący dwa banki, pieniądze były narażone na niebezpieczeństwo. Mógł go chociażby zaatakować pospolity złodziej uzbrojony w pistolet. Ale teraz, z chwilą przekroczenia progu banku, pieniądze znowu były bezpieczne. A co więcej, prawie na pewno znajdowały się poza zasięgiem władz. Nawet gdyby jakimś cudem udało się prześledzić ich drogę w labiryncie przekazów prowadzących do Banku Szwajcarskiego – a taka możliwość istniała, bo amerykańscy przedstawiciele prawa mieli teraz uprawnienia do penetrowania danych ze szwajcarskich banków, co kiedyś było nie do pomyślenia – trop urywał się, niczym ślad stóp na środku ośnieżonego pola.

W Banku Zurich Savoy zdeponował piętnaście milionów franków na dwóch oddzielnych kontach, w nierównych kwotach. Nikt nie będzie w stanie dopatrzeć się zależności między sumą wypłaconą z Banku Szwajcarskiego, a dwiema różnymi kwotami zdeponowanymi parę minut później pod różnymi nazwiskami w Banku Zurich. Teraz została już tylko jedna rzecz do zrobienia. Należało wycofać pieniądze z Banku Zurich w formie czeków na różne sumy i wpłacić je do banku w Lichtensteinie, gdzie rachunki już czekały. Dopiero wtedy będzie można mieć pewność, że władze nie mają szans na wyśledzenie drogi pieniędzy, które wypłynęły z Nowego Jorku.

Kiedy Savoy dopełnił formalności związane z depozytem, wyszedł z banku w popołudniowy skwar.

Popatrzył na mijający go tramwaj i poczuł ulgę, że nie ma już przy sobie tej ogromnej gotówki. Jutro dokona ostatniej transakcji w Lichtensteinie, a zaraz potem poleci do Afganistanu. Koniecznie musiał się skontaktować z grupą na farmie w Virginii, żeby się upewnić, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Przez ostatni tydzień ćwiczyli pod dowództwem jego zastępcy, profesjonalisty z ogromnym doświadczeniem. Ale Savoy zawsze był niespokojny, kiedy nie mógł sam wszystkiego kontrolować. Po drodze do hotelu Baurau Lac, mijał witryny sklepów i przypomniało mu się zdanie często powtarzane przez matkę: „Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione dobrze, zrób to sam”. Teraz byłaby dumna, że syn wprowadza w życie jej radę.

Jay stał pochylony nad biurkiem i rozmawiał przez telefon. Od chwili, kiedy przyszedł

z magazynu, upłynął kwadrans. Zauważył, że wraca Abby. Odniósł wrażenie, że dziewczyna ma pogniecioną sukienkę i jest smutna.

Ale może było to tylko złudzenie, wywołane tym, co widział. Szybko zakończył rozmowę.

– Cześć.

– Cześć – powiedziała i ciężko opadła na krzesło.

Jay podniósł do ust szklankę z wodą gazowaną i napił się.

– Wszystko w porządku?

– Tak, jak najbardziej. – Pochyliła się, otworzyła szufladę i wyciągnęła ze środka swój notes.

– Co to za prezentacja, jaką Oliver robi dziś McCarthy’emu? – zapytał. Zauważył, że Abby nie przyniosła ze sobą z powrotem szarej teczki.

– To dotyczy firmy, o której wykupieniu Oliver myśli.

– Od kiedy Oliver musi prosić o zgodę McCarthy’ego?

– To duża transakcja. Coś około dwustu milionów dolarów. Jay gwizdnął.

– Sporo, rzeczywiście. Ale przecież...

– Jay, przepraszam cię, ale muszę iść do łazienki – Abby weszła mu w słowo. Odsunęła krzesło i ruszyła z miejsca. Jay delikatnie złapał ją za ramię.

– Chcesz porozmawiać? – zapytał. Jej ciemnoczerwona szminka była rozmazana, a na szyi dziewczyny Jay zauważył plamy. Zatrzymała się na moment. Popatrzyła mu w oczy, miał wrażenie, że prowokacyjnie. Ale po chwili jej twarz znowu posmutniała, a oczy zaszyły łzami. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale jej wzrok spoczął na kimś, kto stał za Jayem. Wyrwała się i uciekła.

Kiedy Jay się odwrócił, zobaczył nadchodzącego Olivera. Szef przedzierał się właśnie między biurkami handlowców, kiedy Jay usłyszał, że Bullock woła Olivera z korytarza biegnącego równoległe do parkietu.

Mason zatrzymał się i zaczekał na współpracownika. Znajdowali się teraz w odległości jakichś pięciu metrów od Jaya, ale Bullock mówił ściszym głosem i panujący wokół harmider zagłuszał jego słowa. Poza tym zasłonił ręką usta, tak że nie można było zorientować się z ruchu warg, o czym mówi.

Jay, żeby nie wyglądało na to, że ich obserwuje, podniósł słuchawkę telefoniczną i wystukał pierwszy lepszy numer. Ukradkiem jednak spoglądał co chwila na rozmawiających mężczyzn. Nie zauważył nawet, że w słuchawce odezwał się głos: „Nie ma takiego numeru”. Właśnie

w momencie, kiedy wzrok Jaya niby niechcący spoczął na Oliverze, ten spojrział mu prosto w oczy piorunując go spojrzeniem. Jay natychmiast popatrzył w inną stronę. Po chwili kątem oka zauważył, że Oliver idzie w jego kierunku przyglądając mu się uważnie. Bullock odszedł w przeciwnym kierunku.

Jay udawał, że rozmawia przez telefon. Oliver usiadł na swoim miejscu po przeciwnej stronie przepierzenia, przysunął sobie aparat i wystukał jakiś numer.

– Jamie, tu Mason – krzyknął. – Chcę kupić sto tysięcy akcji Pendrexa. Natychmiast, zrozumiałeś? Przed chwilą pokazała się informacja o tej ofercie.

Jay podniósł wzrok na Olivera, który wsadził kciuk za jaskrawe, wzorzyste szelki. W przeciwieństwie do Abby, po Oliverze nie można było zauważyć, że coś się stało.

– Wiem, że to będzie kosztowało ponad trzydzieści milionów dolarów. Co za palant! – Oliver ryknął do słuchawki. – Sądysz, cholera, że nie umiem dodawać? – Naciągnął mocniej szelkę i puścił ją. Uderzyła w białą wykrochmaloną koszulę. – Po prostu wykonaj polecenie. – Oliver wystukał coś na klawiaturze komputera. – Przy okazji, kupuję jeszcze dziesięć tysięcy terminowej transakcji giełdowej z sierpnia. Te czterdziestki... Co? No, myślę. I nie dam ci więcej niż trzydzieści jeden za akcję. Z potwierdzeniem zadzwoń do Borsuka. Przez chwilę nie będzie mnie przy biurku. – Oliver rzucił słuchawkę. – Jay! – Tak?

– Mamy do pogadania. Pozwól ze mną. – Oliver odwrócił się na krześle i wstał, nie czekając na odpowiedź.

Jay wznosił oczy ku niebu i poprosił Boga o pomoc. Bullock musiał powiedzieć o magazynie.

Prawdopodobnie krótka kariera Jaya w McCarthy-Lloyd właśnie dobiegła końca.

Kiedy wszedł do sali konferencyjnej, Oliver siedział już z nogami na stole i z cygarem w ustach. Gestem wskazał Jayowi krzesło i zapalił cygaro.

– Siadaj.

Jay usiadł i wpatrzył się w czubki butów Masona, tych samych, które przed chwilą Oliver wpychał między nogi Abby.

– Chcesz cygaro? – Z kieszeni spodni wyjął czarną skórzaną cygarniczkę i wyciągnął w stronę Jaya. Od miesiąca nie zachowywał się tak przyjacielsko.

– Nie, dziękuję. – Jay nie odrywał wzroku od Olivera. Był przygotowany na najgorsze. Ten nagły przyjacielski ton mógł być po prostu przykrywką dla ataku, jaki szykował przełożony.

– Szkoda, bo są naprawdę świetne, stary. Davidofry.

– Jednak dziękuję.

– Twoja strata. – Oliver schował cygarniczkę z powrotem do kieszeni. – No i jak sobie radzisz z pracą? – Zaciągnął się mocno cygarem.

– W porządku.

– Jasne. – Oliver odwrócił głowę w bok i kaszlnął. – Słuchaj, wiem, że od chwili, kiedy się tu pojawiłeś, nie miałem dla ciebie za wiele czasu. Pracowaliśmy nad paroma dużymi transakcjami, między innymi nad tą, do której będę chciał dziś przekonywać Billa. Moglibyśmy na niej podwoić pieniądze w ciągu paru tygodni. – Oliver rozpromienił się. – To może być cholernie ważna transakcja.

– Pewnie tak. – Przestraszył się, że usłyszał wstęp do wylania z pracy. – No i miałeś dodatkową pracę, żeby znaleźć nowego pracownika do naszej grupy. Nie wiedziałem o tym, aż do dzisiejszego ranka – powiedział Jay.

– Mówisz o Sally?

– Tak.

Oliver machnął cygarem. Popiół spadł na dywan, ale on nie zwrócił na to uwagi.

– Tak, powinienem był cię uprzedzić, ale, jak mówię, miałem na głowie tysiąc innych spraw... – Znowu zaciągnął się głęboko. – Nad czym teraz pracujesz?

Jay wzruszył ramionami.

– Nad paroma sprawami. Przyglądam się firmie Turbo Tec w Nashua, w stanie New Hampshire.

Wspomniałem ci o tym przed dwoma tygodniami. Mój znajomy ze studiów pracuje tam w dziale marketingu.

Nazywa się Jack Trainer. – Jay nie obawiał się zdradzić szczegółów transakcji Oliverowi. Szef nie miał powodu, by mu kraść pomysł, w przeciwieństwie do Bullocka. Oliver odpowiadał za całą pracę działu, dla niego nie było ważne, kto wpadł na pomysł. – Myślę, że naprawdę powinniśmy...

– Powiedziałem ci już. Turbo Tec mi się nie podoba – przerwał mu Oliver.

– Ale dowiedziałem się, że jakaś japońska firma przez ostatnie dwa tygodnie skupowała ich akcje. Cena poszła o piętnaście procent w górę od chwili, kiedy rozmawialiśmy o tym po raz pierwszy. Duży skok jest wciąż jeszcze przed nami, jeśli tylko Japończycy ogłoszą, że chcą

wykupić całość. A wierzę, że to nastąpi.

– Nie, Jay. Nigdy nie ufaj Japończykom. Kiedy masz już niemal pewność, że coś zrobią, właśnie wtedy się wycofują. Taki mają sposób działania. – Oliver uśmiechnął się. – Niech pan nie będzie rozczarowany, panie West. Podoba mi się, że główkujesz, ale mam lepszy pomysł.

Jay podniósł na niego wzrok.

– Jaki?

– Chodzi o firmę, która nazywa się Simons. Ma siedzibę gdzieś na Środkowym Zachodzie. W Green Bay albo w Milwaukee, nie jestem pewien. Sprawdź to. W każdym razie, zrób o nich szybki wywiad. Upewnij się, czy nie mają jakichś problemów – śmiertelne wirusy, bomby zegarowe itp. Jeśli się okaże, że wszystko z nimi w porządku, kup pięćdziesiąt tysięcy akcji. Zrozumiałeś?

– Zajmę się tym natychmiast.

– Bardzo dobrze. – Oliver zdjął nogi ze stołu i pochylił się w kierunku Jaya. – To ci powinno pomóc, bo musisz przyznać, że nie popisałeś się do tej pory.

Jay lekko się wzdrygnął. Nie był przygotowany na taką krytykę.

– Wiem, że rano kupiłeś akcje Batesa, ale pomysł nie był twój.

– Oczywiście.

– Nie licz zbytnio na to, że ktoś się nad tobą będzie litował, kiedy się okaże, że wrobiłeś mnie w pięćset tysięcy dodatkowych akcji, a GE nie wystąpi z ofertą.

Jay nic nie odpowiedział.

– Jeszcze dwie sprawy, kolego – szybko dodał Oliver. – Po pierwsze, chcę, żebyś wziął jutro dzień wolny i spędził go w Connecticut pod żaglami. Pogoda ma być wspaniała. Upał. O ósmej przyjedzie po ciebie kierowca pod dom.

– Nie sądzę, żeby Bullocka to ucieszyło. Oliver uśmiechnął się szeroko.

– Chrzanić Borsuka. Nie zapominaj, że to ja jestem szefem.

– Nie wiem tylko...

– Bez dyskusji. Sprawa jest załatwiona – dodał poufale. – To będzie okazja, żebyśmy się lepiej poznali. No i spotkasz wreszcie moją żonę.

– W porządku. – Jakoś nie bardzo miał ochotę poznawać żonę Olivera. Biedna kobieta, na pewno nie ma pojęcia, co jej mąż w wolnych chwilach robi z Abby.

– Aha, weź ze sobą kąpielówki i parę eleganckich ciuchów. Jakiś sweter, spodnie, krawat. –

Oliver wstał i ruszył do drzwi.

– Miałeś mi powiedzieć o dwóch rzeczach, Oliver.

– No dobrze. – Mason zatrzymał się w progu. – Jutro, kiedy do mnie przyjedziesz, mam zamiar pożyczyć ci sto tysięcy dolarów, żebyś miał na wydatki, zanim nastąpi wypłata premii.

– Przepraszam, ale... – Jay nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Nie przesłyszaleś się. – Oliver kiwnął głową. – Wiem, że twoja pensja jest niższa niż to, co zarabiałeś do tej pory. Dlatego zamierzam ci pomóc, udzielając pożyczki. Zwrócisz mi w dniu wypłaty premii.

– Ale wcale nie musisz... Oliver podniósł do góry dłoń.

– Nie chcę, żebyś się kręcił zdezelowanym taurusem. – Znowu uśmiechnął się szeroko. – Nie szczególnie się w nim prezentujesz. Lepiej ci będzie w tym BMW, o którym opowiadałeś nam na rozmowie kwalifikacyjnej. – Po czym wyszedł.

Jay jeszcze dłuższą chwilę siedział wpatrzony w drzwi, które zamknęły się za Oliverem. Wreszcie wyprostował się, wziął głęboki oddech i przetarł oczy. Oliver Mason miał niezwykłą zdolność zaskakiwania ludzi.

W jednym z apartamentów Hotelu Plaża Tony Vogel nie mógł ustać w miejscu, najwyraźniej czymś poruszony.

– Oliver, mam zmartwienie. – Vogel był niskim, korpulentnym mężczyzną o przerzedzonych włosach i workach pod smutnymi oczami.

Oliver przyjrzał się elegancko zaczesanym świeżo przeszczepionym włosom na głowie Vogela. Wyglądały jak rządki sadzonek kukurydzy.

– Czym się martwisz, Tony? Nowe włosy się nie przyjęły? – Oliver spojrzął na kopertę w ręku Vogela.

– Myślę, że w środowisku ktoś coś podejrzewa – odpowiedział Vogel, pozostawiając złośliwą uwagę Olivera bez komentarza.

– Nie ma mowy. Do mnie nic nie dotarło.

– Też tak sądziłem – przyznał Vogel. – Ale teraz uważam, że musimy być wyjątkowo czujni. Może powinniśmy na jakiś czas zawiesić działalność. Może nawet na dobre.

Oliver roześmiał się głośno.

– Od pięciu lat nic złego się nie działo. Dlaczego nagle zacząłeś robić ze strachu w gacie?

– To nie tylko moje odczucia – powiedział Vogel, nie odpowiadając na pytanie Olivera.

– Wszyscy są co do tego zgodni?

– Wszyscy – potwierdził Vogel. – Zwłaszcza Torcelli.

– To wykluczone, żebyśmy się dali złapać – zaprotestował Oliver. – Nie zostawiliśmy żadnego śladu wskazującego na drogę pieniędzy. Wszystko działa bez zarzutu. – Oliver głośno wciągnął powietrze. – Poza tym nie możemy, ot tak sobie, nagle przestać. Dobrze o tym wiesz.

– Możemy zrobić wszystko, co chcemy – Vogel zamilkł na chwilę. – Chyba nadszedł czas, żeby zwinąć interes.

– Co?!

– Tak myślimy.

– Nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że...

– Dobrze wiesz, co chcę powiedzieć. Oliver bezwiednie zagryzł wargę.

– Tym razem przesadziłeś, Tony. I to bardzo przesadziłeś.

– Sądźmy, że to czysty sposób zakończenia całej sprawy i odebrania swojej działki. W ten sposób przetniemy wszystkie więzy i zatrzymamy po sobie ślady.

– Daj mi to, Tony. – Oliver położył rękę na ramieniu Vogela i wyjął mu z ręki kopertę. – Proponuję, żebyśmy poszli do Oak Bar, zapraszam cię na drinka.

– Oliver, ja...

– Co, do cholery? – Oliver nagle stracił panowanie. – Stary, ty chyba siebie nie słyszysz? – wybuchnął.

Vogel zrozumiał, że posunął się za daleko.

– Ja, to znaczy my...

– Ty palancie!

– Słuchaj, przepraszam. – Vogel zmienił ton na uległy. – Musimy pilnować naszych interesów. I waszych też.

Oliver jednak już nie potrafił się powstrzymać.

– Dogadujecie się za moimi plecami, podejmujecie jakieś jednomyślne decyzje, i co? Oczekujecie, że podwinę ogon i zacznę was słuchać? To ja podejmuję największe ryzyko. To ja żyję w największym stresie – wyrzucał z siebie słowa coraz szybciej, jak oszałały. – Ja stworzyłem ten układ. Wy jesteście tylko pionkami, i to ja was wybrałem. Nie wy podejmujecie decyzje, tylko ja.

– No dobrze, ale to my dostarczamy ci informacji – próbował dyskutować Vogel.

– Wielka mi rzecz. Mógłbym odtworzyć ten system z czwórką innych ludzi w kilka dni. – Oliver uśmiechał się z wyższością. – Tony, co by się wtedy z tobą stało? – Nagle spowaźniał. – Ciebie by nie było. Zniknąłbyś, Tony. – Odchylił do tyłu głowę. – Chyba, że chcecie mnie wyeliminować na dobre.

Vogel podniósł do góry ręce w obronnym geście.

– Oliver, ja nigdy...

– Cholera, ty nawet nie potrafiłbyś tego zrobić – Oliver wybuchnął śmiechem. – Czego miałbym się obawiać?

Cała wasza czwórka to grzeczni chłopcy z religijnych rodzin. Skąd miałibyście mieć jaja do tego, żeby popełnić morderstwo?

– Nie wiem. – Vogel spuścił wzrok.

– No właśnie. – Oliver pokręcił głową. – Wynoś się stąd. Natychmiast. Wtedy może zechcę

zapomnieć o tej rozmowie.

Vogel głośno przełknął ślinę. Idąc tu wiedział, że Oliver nie zareaguje dobrze na ich propozycję, ale został poinstruowany przez resztę, żeby jasno przedstawić ich zdanie.

– Reszta będzie niezadowolona, szczególnie Torcelli.

– Przekaż im, żeby do mnie zadzwonili – powiedział Oliver spokojnym głosem – szczególnie Torcellemu.

Vogel rzucił okiem na biały proszek rozsypany na szklanym blacie stolika w czterech piętnastocentymetrowej długości drózkach.

– Dobrze, przekażę.

– Świetnie. – Oliver otworzył drzwi apartamentu i wskazując na korytarz dodał. – Uważaj na siebie, kiedy stąd będziesz wychodził. Najlepiej pochyl głowę, żeby nikt cię nie rozpoznał. No i nie patrz nikomu w oczy.

– Oliver, nie miej mi za złe. Jestem tylko posłańcem – wybąkał Vogel i energicznie ruszył do wyjścia. – Pamiętaj o tym, proszę.

Oliver zatrzasnął za nim drzwi i podszedł do stojącej przy stoliku kanapy. Odłożył kopertę, wziął do ręki krótką czerwoną słomkę, pochylił się i wciągnął nosem proszek. Po skończeniu pierwszej dróżki odetchnął głęboko. Kiedy skończył drugą, upuścił słomkę na stolik. Powoli odchylił głowę na oparcie. Siedział tak przez kilka chwil, aż poczuł w gardle mokre drobinki, a w ustach znajomy chemiczny posmak. Zamknął oczy i stęknął.

Uśmiechnął się. Podał się euforii, poczuciu niezwyklej siły, wrażeniu panowania nad wszystkim i wierze w swoje nieograniczone możliwości. Był człowiekiem, który kontrolował ogromne pieniądze i miał władzę nad ludźmi. Kochał to uczucie. Nic mu się nie mogło stać. Był nietykalny.

Podniósł kopertę, którą wziął od Vogela, wyjął ze środka kartkę i spojrzał na zapisane na niej nazwisko. Jest pięknie, pomyślał.

Abby czekała na niego naga, leżała na łóżku przykryta tylko prześcieradłem, tak jak jej kazał. Plecami odwróciła się do drzwi sypialni. Wiedziała, że Oliver jest w salonie. Wyszedł, żeby wciągnąć ostatnią działkę.

Podciągnęła wyżej prześcieradło, żeby zakryć ramiona. Przeszył ją zimny dreszcz. W pokoju było chłodno, jak w lodówce. Oliver nastawił klimatyzację na maksimum.

Czekała tak już piętnaście minut i powoli zaczęła się niecierpliwie. Nie zdawała sobie

sprawy, że stuka palcami stóp o materac i zaciska zęby. Myślała tylko o tym, że jest szczęśliwa.

Kiedy razem z Oliverem wciągali kokainę siedząc na kanapce w salonie, Oliver przyrzekł jej, że poprosi żonę o rozwód i wyprowadzi się z willi w Connecticut. Obiecał, że zamieszka z nią, w jej mieszkaniu na Upper East Side i że będą razem szczęśliwi, już zawsze.

Abby zaczęła cichutko chichotać z radości. Ale zaraz wcisnęła twarz w poduszkę, żeby Oliver przypadkiem nie usłyszał. Zawsze była taką grzeczną dziewczynką. Ani na studiach, ani przez pierwsze lata pracy na Wall Street, nigdy nie dotknęła narkotyków. Nigdy też nie miała romansu z żonatym mężczyzną. Nawet nie brała takiej możliwości pod uwagę. A Oliver wtargnął w jej życie jak burza. I teraz ta greczna dziewczynka popełniała grzechy, które jej rodziców, gdyby się o nich dowiedzieli, wpędziłyby do grobu. Ale nigdy nie czuła się tak cudownie, zanim nie spotkała Olivera. Żyła na krawędzi, ale każda chwila przepelniona była radością.

Oliver wiedział wszystko o lepszej stronie życia, a każdy dzień traktował jak swój ostatni. Był bogiem – czy może raczej diabłem – ale co za różnica. Chciała z nim być. Wierzyła, że z czasem potrafi go zmienić na lepsze.

Zaskrzypiały drzwi i Abby poczuła przyjemny dreszcz, słysząc, jak Oliver zdejmuje z siebie ubranie.

Zaszeleściło prześcieradło, a potem jego ciepłe ciało przylgnęło do jej chłodnej skóry. Odwróciła się do niego i przez kilka minut całowali się namiętnie. W ich żyłach pulsowała kokaina. Położył ją na plecach przygniatając ciężarem swojego ciała. Brutalnie rozchylił uda Abby kolanami. Usta mężczyzny zamknęły się wokół jej ciemnego sutka. Sięgnęła do jego przyrodzenia – drobne, delikatne palce mocno ujęły członek.

Wygięła się w łuk i krzyknęła, kiedy w nią wchodził. Był tak wielki, że przez chwilę czuła ból, ale potem podniecenie sprawiło, że zwilgotniała. Była z mężczyzną, którego tak bardzo podziwiała. Objęła go ramionami i zaczęła wic się z rozkoszy.

– Powinieneś coś włożyć – jęknęła. – To są moje dni.

– Nie używam prezerwatyw – szepnęła. – Wiesz, że ich nie znoszę.

– Mimo wszystko...

Oliver podniósł się i spojrzał na nią, ciężko oddychając. Skóra na jego piersi połyskiwała w mroku mokra od potu.

– Nie przerywaj – powiedziała błagalnym tonem Abby. – Tak mi dobrze.

Oliver uśmiechnął się.

– Będzie ci jeszcze lepiej.

– Co chcesz zrobić?

Nie odpowiedział. Sięgnął pod poduszkę i wyciągnął dwa krawaty.

– Daj mi ręce – rozkazał.

– Cco? – wyjąkała zaniepokojona.

– Ręce. Podaj mi je.

Abby odwróciła głowę w bok.

– Oliver, nie chcę.

Zacisnął palce na jej szczupłej szyi.

– Nigdy niczego mi nie odmawiaj – wycedził.

– Przepraszam, wybacz mi – powiedziała, posłusznie wyciągając w jego stronę ręce.

Jednym krawatem sprawnie związał jej nadgarstki i przymocował do wezłowia łóżka. Drugi krawat owinął wokół szyi i zacisnął.

– Oliver, proszę – szepnęła. Próbowwała się bronić, ale ręce miała przywiązane do łóżka. Nie mogła nic zrobić.

Oliverowi zadrżała górną wargę, kiedy zobaczył, jak na jej szyi pulsują żyły. Znowu w nią wszedł i zaczął się poruszać. Najpierw bardzo powoli, a potem coraz szybciej i z coraz większą siłą. Wraz z narastającym podnieceniem coraz mocniej zaciskał krawat.

Abby wpadła w panikę. Próbowwała się wyrwać, ale na nic się nie zdała próba obrony. Spojrzała w ciemne oczy Olivera. Poczula, że za chwilę straci przytomność i wtedy zaczęła szczytować. Orgazm zaczął się jak skurcz. Potem czuła, że rośnie, niczym zalewająca ją coraz wyżej i wyżej fala. Niesiona na jej szczycie Abby, nie kontrolując odruchów, wyprężyła się wyginając kręgosłup w górę i ugryzła Olivera w rękę, którą położył na jej ustach. Unosiła się wyżej i wyżej, a Oliver coraz mocniej zaciskał krawat na szyi, odcinając dopływ tlenu.

Wreszcie fala zaczęła opadać i zawładnęła nią w oceanie rozkoszy. Dziewczyna straciła przytomność.

Chwilę później Abby przyszła do siebie. Oliver stał przy łóżku i zapinał koszulę. Bolała ją szyja, ale czuła się jakby unosiła się na chmurach. Całe jej ciało było niebiańsko rozluźnione.

– Co się stało? – wyszeptała słabym głosem.

– Zemdlałaś. – Oliver usiadł na krześle przy łóżku, żeby włożyć skarpetki.

– Nigdy nie przeżyłam czegoś podobnego. – W środku czuła jego nasienie. Skończył, kiedy

była już nieprzytomna. – Gdzie się tego nauczyłeś? – Próbowała się poruszyć, ale ręce wciąż miała przywiązane do łóżka.

– Tu i tam – odpowiedział wykrętnie.

– No, chyba. – Zaczęła targać rękami krawat. – Rozwiąż to, słyszysz?

– O nie. – Włożył pantofle. – Chcę sprawdzić, czy jesteś sprytna. Jeśli nie przyjdiesz jutro do pracy, będzie to znaczyło, że sobie nie poradziłaś.

– Oliver!

Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się. Podeszedł do łóżka, ukląkł na materacu, odwiązał krawat i rzucił go na ziemię.

– Żartowałem.

Roztarła nadgarstki, po czym zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągnęła do siebie i pocałowała. Gdy ich usta rozłączyły się, Oliver spojrzał w oczy dziewczyny. Nie należał do sentymentalnych, ale ona potrafiła wywołać w nim uczucia, o które nigdy by siebie nie podejrzewał. Nie chciał się przyznać nawet sam przed sobą, ale zaczynała dla niego coraz więcej znaczyć. Czule pogłaskał ją po policzku i pocałował.

– To było miłe – mruknęła. – Szkoda, że robisz to tak rzadko.

– Co robię rzadko? – położył się obok niej.

– Całujesz mnie w taki sposób. Tak delikatnie. Bo mam wrażenie, że całujesz mnie tylko wtedy, kiedy to robimy.

– Przepraszam.

– W porządku – powiedziała cicho. – Po prostu nigdy nie spotkałeś kobiety, która umiałaby z tobą postępować.

Delikatnie pogładził jej policzek i pomyślał, że ma rację.

– Przepraszam, że... – umilkł. Położyła palec na jego ustach.

– Wszystko w porządku.

– Nie potrafiłbym cię skrzywdzić.

– Wiem. – Pomyślała, że ma na niego wpływ. Zmienia go powoli, ale skutecznie. Dziś, w magazynie, miała ochotę go rzucić, ale w tej chwili była więcej niż pewna, że go kocha.

Pocałował ją jeszcze raz.

– Muszę już iść.

– Dokąd?

– Do domu.

– Nie. Nie puszczę cię. Nie chcę, żebyś jechał do domu, do niej.

– Muszę – Oliver pocałował ją znowu. Wstał, podszedł do drzwi i już go nie było.

Długo za nim patrzyła, a potem mocno przytuliła poduszkę. Przesunęła się na swoją stronę łóżka. Zbliżała się dopiero ósma wieczorem, a apartament był wynajmowany przez firmę McCarthy-Lloyd przez cały rok bez przerwy. Nie musiała się spieszyć. Ogromne łóżko było dużo wygodniejsze niż to, które czekało na nią w domu.

Do jej mieszkania miał dziś wpaść ojciec, żeby zajrzeć do wentylatora, ale miał klucz, mógł więc wejść sam.

Zamknęła oczy i poczuła, że usypia.

Najpierw myślała, że to sen, ale ściskanie za gardło było zbyt intensywne. Otworzyła szeroko oczy i sięgnęła ręką do szyi. Próbowwała zerwać kawałek materiału, który wrzynał się w jej skórę. Kaleczyła się aż do krwi długimi, pomalowanymi na czerwono paznokciami.

– Oliver! – wydusiła z siebie. – Nie rób tego więcej, proszę.

Poczuła teraz ogromny ciężar na plecach – kolano wciskające się w jej kręgosłup, przygważdżało jej ciało do łóżka. Próbowwała zepchnąć z siebie napastnika, sięgając rękami za siebie. Bez skutku.

Kręciła głową na boki, starając się włożyć palce pomiędzy szyję i krawat, ale nie dała rady. Czowała, że jej tchawica się zaciska. Wbiła paznokcie w prześcieradło i ściągnęła je z materaca. Ktoś oderwał ciało Abby od łóżka, a potem znowu przygniótł kolanem. Broniła się, ale zaczęło brakować jej tlenu i siły ją opuszczały.

Wreszcie mięśnie dziewczyny zwiotczały, a gałki oczne uciekły w górę.

Napastnik jeszcze przez parę minut nie zwalniał uścisku, mimo że ciało ofiary rozluźniło się i nie próbowała już się bronić. Głowa opadła na poduszkę. Dziewczyna nie żyła.

Minęła godzina od chwili, kiedy obraz Manhattanu zniknął ze wstecznego lusterka. Teraz Jay wkraczał w świat, gdzie żyć „na poziomie”, znaczyło tyle samo, co być biedakiem. W świat, gdzie jeśli wiedziałeś, ile jesteś wart, nie byłeś wart wiele, a o statusie społecznym świadczyła prywatna szkoła, do której uczęszczało twoje dziecko, klub sportowy do którego należałeś oraz fakt, czy sam jechałeś do pracy, czy przyjeżdżał po ciebie kierowca.

Przez przyciemnione szyby, rozparty na wygodnym siedzeniu granatowego lincolna, który go zabrał sprzed domu, Jay przyglądał się posiadłości.

Po obydwu stronach długiego podjazdu rosły wysokie kasztanowce, skutecznie zatrzymujące światło słoneczne. Za rzędami drzew pomalowany na biało płot oddzielał od drogi łąki tymotki i koniczyny.

Gdzieniedzie pasły się konie rasy thoroughbred, stojące parami obok siebie tak, że głowa jednego była przy zadzie drugiego. Dzięki temu, machając długimi ogonami, mogły nawzajem odganiać sobie muchy z oczu.

Jay przesunął się na brzeg skórzanego siedzenia. Zobaczył przed sobą wspaniały dom. Dwupiętrowa willa zbudowana z ciemnego kamienia przytulała się do zbocza pagórka. Otaczały ją pięknie wypielęgnowane ogrody i trawniki. Przed wejściem podjazd zataczał koło. Z jednej strony willi znajdował się garaż na cztery samochody, przed którym stał ciemnozielony mercedes, mały czerwony samochód i biały austin healey 3000.

Kierowca wiozący Jaya powoli zwolnił i zatrzymał się przed głównym wejściem. Energicznie wyskoczył zza kierownicy i pospieszył do tylnych drzwi, żeby je otworzyć. Jay jednak zdążył już wyjść sam. Oparł ręce na biodrach i stał, podziwiając ogromną budowlę. Okna w białych ramach miały ciemnozielone okiennice. Przed każdym wisiała pomalowana na czarno skrzynka, z której niczym fontanny wypływały kolorowe kaskady kwiatów. Jay spojrzał w górę i na spadzistym dachu krytym dachówką naliczył cztery kominy. Objął spojrzeniem cały dom i stwierdził, że jest absolutnie piękny.

– Szedłem otworzyć panu drzwi – odezwał się kierowca przepraszająco.

– Nie ma potrzeby. – Jay patrząc na stojący przed nim pałac próbował zrozumieć, jakie to musi być uczucie, mieszkać w takim miejscu. Spojrzał na garaż. Jego dom rodzinny zmieściłby się w nim cały. – Dziękuję za podrzucenie.

– Bardzo proszę. – Kierowca podszedł do bagażnika, wyjął z niego torbę Jaya i zarzucił ją sobie na ramię. – Idziemy, sir?

– Sam to wezmę. – Jay zdjął torbę z ramienia kierowcy. – Nie ma potrzeby, żebyś niósł za mnie mój bagaż.

– Witam, panie Jay West.

Jay podniósł wzrok. W bocznych drzwiach willi stała kobieta, z pewnością żona Olivera.

– Jestem Barbara Mason – krzyknęła, schodząc po schodach. Miała na sobie prostą białą bluzeczkę i luźne szorty koloru khaki. – Zapraszam. Jay pożegnał kierowcę i ruszył w jej kierunku.

– Dzień dobry. – Zatrzymali się na trawniku. – Dużo o panu słyszałam. – Poklepała go po ramieniu. – Same superlatywy, zapewniam.

– Miło mi. – Jay zauważył w jej zachowaniu, w sposobie mówienia specyficzną, niedbałą pewność siebie.

Nazywał to „piętnem bogaczy”. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie musieli się martwić o to, że zabraknie im pieniędzy, rozsiewali wokół siebie aurę własnej niezależności. – Cieszę się, że Oliver nie mówi o mnie prawdy.

Ścisnęła mu ramię i uśmiechnęła się, udając nieśmiałość.

– Nie żartuj.

Barbara była atrakcyjną kobietą. Blondynka, średniego wzrostu o ładnej twarzy i czarującym uśmiechu.

Jednak kiedy Jay przyjrzał się jej bliżej, zdziwił się, widząc zmarszczki w kącikach ust i ledwie zauważalne kurze łapki wokół smutnych zielonych oczu. Miała opalone i umięśnione nogi, pokryte pajęczyną popękanych naczynek krwionośnych, jej ręce zaś wydawały się przedwcześnie pomarszczone. Prawdopodobnie była w tym samym wieku co Oliver, czyli nie miała jeszcze czterdziestki, ale wyglądała starzej niż on. Jay stwierdził, że Mason i jego żona nie pasują do siebie. Przy Oliverze widziałby raczej kobietę efektowniejszą, bardziej egzotyczną. Może dlatego, że wczoraj rano był świadkiem tak naładowanego erotyzmem zachowania Olivera.

Wbił w ziemię wzrok, bo przed oczami stanął mu obraz Masona obmacującego Abby.

– Będziemy mieli piękny dzień pod żaglami – powiedziała Barbara. Prowadziła Jaya przez trawnik do bocznych drzwi, gdzie stał mały chłopiec. – Poznaj naszego syna, Juniora.

– Cześć. – Dziecko wyciągnęło rękę na powitanie, śmiesznie rozczapierzając przy tym palce.

– Cześć. – Jay uściśnął małą dłoń chłopczyka. – Co za żelazny uścisk – powiedział, podążając za Barbarą, która prowadziła go do kuchni.

– Dzięki. Mogę już iść, mammo?

– Tak, kochanie. Ale najpierw zamelduj się niani.

– Gdzie się podziewa Oliver? – zapytał Jay patrząc za chłopczykiem, który czmychnął z kuchni.

– Na górze. Szykuje się. – Barbara podeszła do blatu, na którym stał duży piknikowy kosz z wikliny pełen jedzenia. – Oliver nie wspominał mi, że jesteś taki przystojny – powiedziała. Nie było w tym kokieterii, po prostu stwierdzała fakt.

Jay uśmiechnął się szeroko.

– A mnie nie uprzedził, że jesteś taka bezpośrednia.

– Mówię to, co myślę – odparła. Wyciągnęła kilka rzeczy z koszyka i położyła je na blacie. – Czasami mam przez to kłopoty z dziewczynami w klubie, ale zawsze wyznawałam filozofię, że nigdy nie należy się wstydzić swoich myśli. Chyba odziedziczyłam to po ojcu. On też potrafi być bezpośredni.

Jay rozejrzał się po przestronnej, urządzonej w wiejskim stylu kuchni, w której nie brakowało żadnego nowoczesnego urządzenia, jakie by można sobie wyobrazić.

– Twój ojciec pracuje na Wall Street?

Barbara westchnęła głośno, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że nie bardzo ma ochotę o tym mówić.

– Ojciec był swego czasu właścicielem firmy Kellogg Aviation. Kellogg to moje panięńskie nazwisko. Firma jest...

– To linie lotnicze współpracujące z jednym z największych przewoźników – wszedł jej w słowo Jay. – Parę lat temu zostały wykupione za spore pieniądze.

– Skąd o tym wiesz?

– W mojej poprzedniej pracy, w banku National City, pracowałem dla grupy inwestycyjnej, która próbowała wykupić te linie. Moim zadaniem było zebranie wszelkich informacji finansowych, ale kiedy większe linie lotnicze pojawiły się na horyzoncie, grupa, dla której pracowałem, wycofała się. – Jay przerwał na chwilę. – Więc twój ojciec to Harold Kellogg. – Według „Forbesa” Kellogg należał do najbogatszych ludzi w kraju.

– Zgadza się – potwierdziła Barbara.

– Cóż, teraz rozumiem – mruknął Jay.

– Co takiego rozumiesz?

– Och, nic.

– No, mów.

– To nie moja sprawa.

– Mów natychmiast – zażądała i puściła do niego oko. – Bo inaczej powiem Oliverowi, że mi doniosłeś o jego romansie w pracy.

Jay spojrział w oczy Barbarze. Zastanawiał się, czy to miał być dla niego jakiś test.

– Dobrze, już dobrze – zgodził się i roześmiał odrobinę za głośno, żeby to zabrzmiało szczerze. – Po prostu wiem, jakie sumy płaci się tutaj za ziemię. Ta posiadłość musi mieć jakieś czterdzieści hektarów...

– Dokładnie sześćdziesiąt, a ojciec jest jeszcze właścicielem osiemdziesięciu po drugiej stronie zbrocza.

– Dom ma pewnie jakieś dziewięćset metrów kwadratowych.

– Coś koło tego.

– Właśnie. – Jay podniósł brwi. Naprawdę był pod wrażeniem. W jego rodzinnym mieście budowano biurowce mniejsze od tego domu. – Jestem przekonany, że Bili McCarthy dobrze płaci Oliverowi, ale, nie oszukujmy się, taka posiadłość sporo przekracza możliwości finansowe pracownika banku inwestycyjnego.

– Masz rację – potwierdziła Barbara. – Ten dom i ziemia to prezent ślubny od mojego ojca. Oliver nie mógłby sobie na to pozwolić.

Po raz pierwszy Jay wyczuł w jej głosie ślad ironii. A może była to gorzycz.

– Wiem, że zawsze, kiedy Oliver podjeżdża przed dom, przypomina sobie o tym – mówiła dalej. – Bo za każdym razem patrzy na coś, co osiągnął mój ojciec. – Uśmiechnęła się lekko. – Niestety, nie rozumiałam tego aż do momentu, kiedy się tu wprowadziliśmy – przyznała. – Ojciec potrafi być... no cóż, dosyć szorstki. Zawsze umie ugodzić mojego męża w najczulsze miejsce. Sądzę, że to z powodu pochodzenia Olivera. – Na chwilę zamilkła. – Powiedziałam ci pewnie więcej, niż chciałeś wiedzieć – dodała ściszym głosem. – Może więcej, niż powinnam. Ale ostrzegłam. – Jej głos znowu zabrzmiał naturalnie głośno. – Szczera ze mnie dziewczyna.

– Schlebia mi to. – Jay bezwiednie pogłaskał bliźnię pod okiem. Nie panował nad tym gestem. – Jak poznaliście się z Oliverem? Barbara rzuciła mu łobuzerskie spojrzenie.

– Chcesz wiedzieć, jak to się dzieje, że dziewczyna z wyższych sfer zadaje się z chłopakiem z nie tej co trzeba dzielnicy.

Wzruszył ramionami, lekko zbity z tropu. Barbara doskonale wyczuła intencje jego pytania.

– Uprzedziłam cię, Jay. Nie owijam w bawełnę.

– Nie żartuj. – Spojrzał na korytarz, żeby sprawdzić, czy nie nadchodzi Oliver. – Naprawdę jestem ciekaw.

– Oliver potrafi czarować, kiedy chce. – Spojrzała na swoje eleganckie paznokcie. – Poznałam go dwanaście lat temu na imprezie na East Side. Był wtedy wschodzącą gwiazdą w firmie J.P. Morgan. Zafascynowało mnie, jak młody chłopak z państwowych blokowisk na Bronxie tak świetnie sobie radzi wśród błękitnokrwistych snobów z firmy Morgana. Sam fakt, że dostał się na przyjęcie, na które zaproszono tylko grube ryby, wiele znaczył. Zanim skończył się wieczór, byłam nim całkowicie zafascynowana. Oliver posiada dar, niezwykłą siłę przebicia. Tę pracę u Morgana podobno wyblagał na kolanach zaraz po studiach w City College, i od tamtego momentu to, co było przedtem, przestało się liczyć. Oliverowi wystarczy dać najmniejszą szansę, najwęższe przejście. Wykorzysta to i wygra. W życiu nie spotkałam drugiego takiego człowieka, który potrafiłby kierować jednocześnie tak ogromną ilością spraw. A przynajmniej nikogo, kto by sprawiał takie wrażenie. To świetny biznesmen, ale równocześnie największy błazen, jakiego w życiu spotkałam. Jest tajemniczy i pełen sprzeczności. Chociaż jestem jego żoną, nigdy go nie rozgryzłam – ciągnęła. – Pewnie tylko dlatego wciąż go kocham. – Westchnęła. – I wciąż z nim wytrzymuję.

Jay patrzył na Barbarę, poruszony jej szczerością.

– Niech to szlag!

– Co się stało? – Okrzyk Barbary ściągnął go na ziemię.

– Zapomniałam kupić dzin. A Oliver uwielbia popijać na pokładzie beefeatera z tonikiem. – Wzniosła oczy do góry. – Będzie wściekły.

– Przecież możemy kupić butelkę po drodze – zauważył Jay.

– Odpada. Oliver nienawidzi się zatrzymywać. Kiedy jedzie do klubu i musi coś załatwić po drodze, wścieka się potem pół dnia. Nie chcę znowu wysłuchiwać, że jestem niekompetentna, bo nie powiedziałam gospodyni, że ma kupić dzin. On zawsze powtarza, że powinnam robić listy zakupów, ale ja nie znoszę list. – Podeszła do ściany, na której wisiały rzędem rozmaite klucze, i zdjęła stamtąd jedno. – Bądź tak miły i pojedź po butelkę.

Sklep z alkoholem jest w pasażu handlowym parę kilometrów stąd. – Rzuciła Jayowi kluczyki. – Na końcu podjazdu skręć w lewo.

– Pamiętam, po drodze mijaliśmy jakieś sklepy. To kluczyki do tego czerwonego malucha przed domem?

– Nie. To klucze do austina healeya, który stoi obok tego czerwonego. Będziesz miał większą frajdę. Jay uśmiechnął się.

– Świetnie.

– Samochód jest rozgrzany – dodała Barbara. – Oliver jeździł nim już dzisiaj.

– Dobrze. Za chwilę będę z powrotem.

Jay skierował się do wyjścia i szybkim krokiem podszedł do błyszczącego angielskiego samochodu sportowego. Odsunął brezentowy dach, wskoczył za kierownicę i odpalił sześciocyndrowy silnik. Kiedy ruszył, miał wrażenie, że płynie po podjeździe w dół. Wiatr odgarnął mu włosy z twarzy. Wskazówka szybkościomierza szła w górę, aż przy stu dziesięciu Jay w końcu nacisnął hamulec i zablokował świecące chromowane koła w miejscu, gdzie podjazd łączył się z wiejską drogą. Samochód z piskiem opon zatrzymał się, a Jay odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Poczł zapach skórzanej tapicerki. Otwartą dłonią uderzył w deskę rozdzielczą. Oliver żył życiem jak z marzeń.

Jay wrzucił pierwszy bieg i ruszył krętą drogą. Ostre zakręty auto pokonywało jakby przyklejone do nawierzchni, a na prostej, kiedy zwiększał prędkość, siła bezwładności wciskała go w siedzenie. Sklep z alkoholem pojawił się za szybko. Przez chwilę Jay miał ochotę go minąć i przejechać się jeszcze kawałek, jednak zwolnił. Lepiej, żeby Oliver i Barbara nie musieli na niego czekać. Zmienił bieg i wjechał na żwirowy parking przed niewielkim pasażem handlowym.

Kiedy odpiął pas bezpieczeństwa, zaskoczony usłyszał dźwięk telefonu dobiegający ze schowka w samochodzie. Przechylił się w stronę siedzenia pasażera i otworzył schowek. To pewnie dzwoni Oliver, żeby go przestrzec przed zbyt szybką jazdą jego ukochanym maleństwem. Jay chwycił zgrabną słuchawkę telefonu komórkowego, leżącą na wierzchu czarnej teczki i wcisnął przycisk, żeby odebrać połączenie.

– Tak.

– Oliver, mówi Tony. Dzięki Bogu, że cię złapałem. Nie wykorzystuj informacji, którą ci wczoraj przekazałem. Jest pewien problem. Najpierw chcemy z tobą porozmawiać twarzą w twarz. Rozumiesz?

Jay milczał, wsłuchując się w odgłosy ruchu ulicznego z drugiej strony linii.

– Oliver?

Jay wciąż się nie odzywał.

– Cholera!

Ktoś przerwał połączenie. Jay powoli wyłączył telefon i patrzył na słuchawkę zdumiony. Po chwili odłożył ją do schowka, na teczkę, w której jak sądził znajdowały się dokumenty wozu. Obok zauważył dyskietkę, a pod nią jakąś niezaklejoną kopertę. Bez namysłu sięgnął po nią i wyjął ze środka pojedynczą kartkę. Długo wpatrywał się w dwa słowa na niej widniejące. Bell Chemical. Była to nazwa jednego z największych w kraju producentów chemicznych.

Jay zerknął we wsteczne lusterko i zauważył mały, czerwony samochód, wjeżdżający na parking przed sklepami. Jay włożył kartkę do koperty, a kopertę wrzucił do schowka w momencie, kiedy Oliver parkował na miejscu obok healeya.

– Cześć, kolego – krzyknął Mason przez otwarte okno. Wyłączył silnik, wyskoczył z samochodu i podszedł do Jaya, który również zdążył już wysiąść. – Cieszę się, że przyjechałeś.

– Dziękuję za zaproszenie.

– Nie ma sprawy. – Oliver był ubrany w koszulę polo, luźne spodnie koloru khaki i buty za kostkę. Miał markowe okulary przeciwsłoneczne firmy Yuarnet. – O lepszej pogodzie nie mogliśmy marzyć.

– Rzeczywiście – zgodził się Jay. – Ale co tu robisz? – Zauważył, że mimo sportowych ciuchów Mason zachował oficjalny ton i pewność siebie szefa. Wyglądał na zirytowanego.

– Cholerna Barbara. Czasami jest tak potwornie głupia. Najpierw zapomniała kupić dzin, a potem okazało się, że nie kupiła też kremu do opalania. Mówiłem jej o tym rano chyba z dziesięć razy. Możesz w to uwierzyć?

Powtarzam ci, Jay, miej dzieci, ale nie żonę.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś po prostu na komórkę?

– Co?

Jay zauważył, że Oliver nerwowo klepie się po udzie. Znał ten gest. Szef zawsze tak robił, kiedy denerwował się czymś w pracy.

– Zostawiłeś telefon w schowku w samochodzie. – Jay wskazał na healeya. – Mogłeś po prostu zadzwonić, żebym kupił też ten krem. Nie musiałbyś jechać.

– Skąd wiesz, że w schowku jest telefon? – zapytał Oliver wściekły. – To, że moja żona daje

ci kluczyki do samochodu, nie upoważnia cię do robienia w nim rewizji.

– Zadzwoił – spokojnym głosem wyjaśnił Jay. – Myślałem, że to ty, więc odebrałem.

– Aha. Kto to był? – zapytał Oliver udając spokój. Jay wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Zaczął coś mówić, żebyś nie robił użytku z jakiejś informacji, którą przekazał ci wczoraj. Chyba przedstawił się Tony. Rozłączył się, kiedy zrozumiał, że nie z tobą rozmawia. Wszystko to brzmiało dosyć dziwnie.

– Ach, tak – Oliver machnął ręką, jak gdyby odganiał muchę. – Rzeczywiście spotkałem się z Tonym wczoraj po pracy w pubie Oak Room. Tony jest agentem nieruchomości, który dla mnie pracuje. Myślę o kupnie pewnego mieszkania na Manhattanie. Piękne miejsce, tuż nad East River, ale trzeba powalczyć. Prezes spółdzielni nie znosi bankierów, a już szczególnie tych pochodzących z Bronxu. W każdym razie Tony znalazł coś na niego i zamierzaliśmy to wykorzystać jako argument. Rozumiesz, taki delikatny wpływ na faceta, żeby zechciał przychylniej spojrzeć na moją sprawę. Wiem, że to wszystko nie jest przyjemne, ale czasami ci z Manhattanu potrafią być prawdziwymi snobami. Wtedy trzeba ich tylko lekko popchnąć. – Zrobił kwaśną minę. – Ale z tego, co mówisz, Tony chyba spanikował.

– Na to wygląda.

Przez chwilę Jay i Oliver mierzyli się nawzajem wzrokiem. Wreszcie Mason wyjął portfel i wcisnął w rękę Jaya banknot studolarowy.

– Biegnij po ten dzin i krem do opalania.

– Jasne, już idę.

– I daj mi kluczyki do mojego maleństwa.

– Słucham?

– Kluczyki do healeya. – Wyciągnął rękę z kluczami do samochodu, którym przyjechał. – Trzymaj.

Wymienili kluczyki.

– Dzięki. – Oliver pospiesznie usiadł za kierownicą healeya. – Uwielbiam go prowadzić – krzyknął. – Do zobaczenia w domu.

Jay patrzył, jak Mason wycofuje auto i wyjeżdża z parkingu. Potem spojrział na studolarowy banknot, który trzymał w ręku, i znowu na odjeżdżający sportowy wóz.

Dwadzieścia minut później Jay zaparkował czerwone autko przy healeyu, złapał torbę z dzinem i kremem do opalania, i wyskoczył z samochodu. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie

zajrzeć do schowka w healeju. Dach był wciąż opuszczony, więc mógł to zrobić jednym ruchem. Sięgnął do klamki.

– Piękny wóz, prawda?

Jay odwrócił się i omal nie upuścił torby na ziemię.

– Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć.

– Nnnnie, nic się nie stało – wyjąkał Jay. Przed nim stała Sally Lane. Miała na sobie prostą czarną koszulę i czerwone obcisłe korsarki, sięgające prawie do opalonych kolan. W jasnym świetle poranka jej oczy i włosy błyszczały promiennie. – Nie wiedziałem, że tu dziś będziesz.

– Oliver zaprosił mnie wczoraj w czasie lunchu – wyjaśniła Sally. – Powiedział, że to będzie szansa, żebyśmy się wszyscy lepiej poznali. Rozumiesz, na gruncie nieoficjalnym. – Położyła ręce na biodrach. Zależy mu na tym, żebyśmy blisko ze sobą współpracowali. Mówił, że od ciebie mogę się dużo nauczyć.

– Aha. – Poprzedniego dnia Jay prawie nie widział Sally. Większość czasu spędziła z Oliverem, poznając ludzi w firmie. – Cieszę się, że przyjechałaś.

– Podoba mi się ten samochód. Naprawdę. – Ramię Sally musnęło ramię Jaya, kiedy przechodziła obok. – Mój ojciec miał taki, kiedy byłem dzieckiem. Tylko ten ojca był czerwony. – Stała obok auta. – Musiał się go pozbyć, bo słońce powietrze bardzo go zniszczyło, cały rdzewiał.

– Gdzie mieszkaliście?

– W Gloucester w stanie Massachusetts. – Założyła długie włosy za uszy. – Na północ od Bostonu, nad samym oceanem.

– Wiem, gdzie to jest. – Podobnie jak wczoraj, prawie nie była umalowana. Jayowi podobał się ten naturalny wygląd. – Paluszki Rybne Kapitana Gortona z Gloucester.

– Wszyscy mają to samo skojarzenie. To głupie.

– Dlaczego głupie?

– Zupełnie, jakbym miała bez przerwy chodzić w płaszczu przeciwdeszczowym i w żółtym berecie, z pudełkiem mrożonych paluszków rybnych przed sobą – jak w tej reklamie. – Sally udała, że niesie przed sobą pudełko, wdzięcznie odwróciła głowę i spojrzała na Jaya zachęcająco.

– Może być?

– Doskonale. Jak ci się nie uda na Wall Street, zawsze znajdziesz pracę przy sprzedaży ryb. – Jay instynktownie polubił Sally, mimo że Bullock przez większą część popołudnia próbował go

przekonać, że jest jego konkurentką do miliona dolarów premii, bo Oliver zamierza dać szansę obydwójgu wyłącznie po to, żeby do końca roku wylać jedno z nich i tylko jednemu dać premię. Taki scenariusz, niestety, za bardzo pasował do Olivera, żeby Jay mógł się tym nie przejmować. A Sally miała lepsze wykształcenie. – Yale, szkoła biznesu na Harvardzie i dwa lata pracy w elitarniej firmie konsultingowej w Los Angeles. To o tym mówił Bili McCarthy w dniu, kiedy Jay zaczynał pracę.

– Ale chyba nie powinnam się naśmiewać z przemysłu rybnego – powiedziała Sally – bo od tego zaczynała moja rodzina.

– Naprawdę?

– Tak. Przyjechali tu z Europy w latach siedemdziesiątych poprzedniego stulecia. Osiedlili się w Gloucester.

Mój prapradziadek prawie codziennie wypływał na ocean, tak przynajmniej mi opowiadano. Wszystko zaczęło się od małej łódki, a wkrótce miał już całą flotyllę.

– Twoja rodzina mieszka tam nadal? Sally pokręciła głową.

– Nie, rodzice przenieśli się na Florydę. – Spuściła głowę. – Rok temu zginęli w katastrofie lotniczej.

– Przykro mi. – Jay usłyszał jak otwierają się drzwi i spojrzał przez ramię. – Oliver z ogromnym koszem piknikowym zmierzał w ich kierunku. Za nim szła Barbara.

– Hej, wy tam, gotowi? – zawołał Mason.

Sally przeszła obok Jaya. Ich ramiona znowu się musnęły. Podbiegła do Olivera i pomogła mu, łapiąc za jedną rączkę kosza.

Jay przyglądał się im uważnie. Szukał śladu świadczącego o tym, że szef interesuje się Sally nie tylko jako pracownikiem.

– Otwórz nam bagażnik – krzyknął Oliver, kiedy razem z Sally zbliżyli się do samochodu.

Jay posłusznie otworzył klapę, położył w środku torbę z zakupami i pomógł im ustawić obok kosz.

Kiedy już wszystko zostało zapakowane, Oliver wręczył Jayowi kluczyki do healeya.

– Trzymaj, kolego. Przewieź Sally tym rozrywkowym cackiem. My z Barbarą pojedziemy nudnym wozem.

– Myślałem, że nie lubisz, kiedy ktoś dotyka twoje cudeńko – odparł Jay zaskoczony.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś mówić.

– Masz rację. Ale to wyjątkowa okazja. No już, jazda. Jaya i Sally nie trzeba było długo namawiać.

Wskoczyli do sportowego wozu i ruszyli za Oliverem i Barbarą.

– Zrób coś dla mnie – krzyknął Jay do Sally, kiedy znaleźli się na polnej drodze. Specjalnie trzymał się w sporej odległości od Masonów. – Sprawdź, czy Oliver włożył do schowka dowód rejestracyjny i ubezpieczenie.

Nie znoszę, kiedy mnie zatrzymują, a okazuje się, że nie mam dokumentów.

Sally otworzyła schowek i wyciągnęła czarną teczkę. Po chwili znalazła dowód rejestracyjny i ubezpieczenie, i zamachała nimi Jayowi przed oczami.

Kiwnął głową. Kiedy dziewczyna szukała dokumentów, zdążył zauważyć, że koperta i dyskietka zniknęły.

Na trzy powiedzcie „konfitura”! – Oliver wycelował obiektyw polaroida w Jaya i Sally, którzy stali obok siebie na mostku kapitańskim, zrobił zdjęcie. – No, Jay, masz śliczny uśmiech – zauważył ironicznie Oliver, podając żonie wywołaną fotografię.

– Oliver, teraz ty się ustaw – zasugerowała Barbara, zasłaniając dłonią oczy przed popołudniowym słońcem, odbijającym się od błękitnej wody. – Pstryknę was wszystkich.

– Dobrze – zgodził się Oliver. Wziął swojego drinka i wcisnął się między Jaya i Sally.

Barbara zrobiła zdjęcie i położyła aparat obok siebie.

– Jezus Maria, co ty robisz, Barbara! – wrzasnął Oliver. – Tu jest mokro. – Zaczął się rozglądać za jakimś suchym miejscem. W cieśninie Long Island podniosła się popołudniowa bryza i cały kokpit był spowity słoną, mokrą mgiełką.

– Może do środka – Jay wręczył Oliverowi swój plecak.

– Dzięki. – Mason pośpiesznie schował do plecaka aparat fotograficzny oraz dwa gotowe zdjęcia i podszedł do steru mierzącej piętnaście metrów łodzi nazwanej „Authority”, czyli władza. Był to wspaniały jacht. Jego biały kadłub i kabina obramowane były błękitną lamówką. Olbrzymie groty łopotały nad pokładem, kiedy zmieniali kurs na przeciwny do kierunku wiatru. – No, dobrze. A teraz dla młodych nadszedł czas wodowania – zarządził Oliver, patrząc na Jaya i Sally. Podniósł w górę szklaneczkę. – Do wody, powiedziałem.

– Tutaj? – zapytała niepewnie Sally. Łódź przechylała się parę stopni w lewo, przecinając wzburzoną wodę.

– Tutaj, tutaj! – ryknął Oliver. – Na pokładzie „Authority” ja jestem kapitanem i ja decyduję o wszystkim.

– Nie zmuszaj ich, żeby wchodzili do wody, jeśli nie mają ochoty – sprzeciwiła się Barbara, opierając się o Olivera, bo łódź przechyliła się mocniej w lewo. W ciągu ostatnich minut fale zrobiły się naprawdę bardzo wysokie.

Jay ściągnął koszulkę i rzucił ją na pokład.

– Chodź, Sally – próbował zachęcić dziewczynę. – Doskonale wyglądała w czarnym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. – Przecież Oliver nas tu nie zostawi – szepnęła. – Nawet on by tego nie zrobił.

– Skąd ta pewność?

– Poradzimy sobie.

Z lękiem spojrzała w kierunku brzegu, który majaczył na horyzoncie osnuty mgiełką.

– Nie jestem tego pewna – powiedziała Sally zrezygnowana.

– Panie Jay West, prosimy! – krzyknął Oliver. – A może pan się boi wody? Rozumiem Sally, jest dziewczyną. Ale ty?

– Oliver, przestań już. – Barbara delikatnie złapała go za przegub. – Nie bądź tyranem. I do tego męskim szowinistą. – Objęła go, rozlewając większość zawartości jego szklanki i cmoknęła go w policzek. – Kocham cię szepnęła.

– Dzięki, kochanie – odpowiedział mechanicznie, nie odrywając oczu od Sally. – Daję ci ostatnią szansę, West – krzyknął Oliver. – Jeśli nie wskoczysz, nie będę miał wątpliwości, że jesteś babą.

Jay uśmiechnął się szeroko do Sally.

– Delikatnie powiedziane, ale zdaje się, że nie mam wyboru. Rzeczywiście, to on jest szefem.

– Chyba tak – zgodziła się bez przekonania.

Jay podszedł do lin zwiniętych koło steru, minął je i wskoczył do wody. Była ciepła prawie jak w basenie, a mimo to orzeźwiająca. Dochodziła czwarta. Wypłynęli około jedenastej, więc pora na kąpiel była odpowiednia.

Jay otarł oczy i zobaczył, że łódź szybko się oddala. Szukał wzrokiem Sally, ale nie zauważył jej.

– Hej!

Odwrócił się. Dziewczyna była za nim.

– Jednak to zrobiłaś – powiedział i z aprobatą pokiwał głową. – Nie sądziłem, że się na to zdobędziesz.

– Nie mogłam pozwolić, żeby mój rywal z pracy mnie dyskutował. Oliver nie dałby mi później spokoju. – Przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się. – Nie wiadomo, co szef uzna za ważne pod koniec roku. A nie wiem, jak ty, ale ja bardzo liczę na premię.

– No chyba. – Jay zachichotał. Oliver był mistrzem manipulacji.

– Trochę tu dziko, kiedy się siedzi w wodzie – zauważyła Sally. Linii brzegowej nie było widać.

Jay spojrział na jej delikatną buzię, unoszącą się nad falami.

– Czyżbym w twoim głosie wyczuwał niepokój?

– Może trochę – przyznała.

– Oliver wróci – uspokoił ją Jay. Wcałe nie był tego pewien, ale przecież od brzegu dzieliło ich tylko parę kilometrów. To morderczy dystans, ale Jay był pewien, że poradziliby sobie, gdyby nie mieli innego wyjścia.

– Są tu rekiny? – zaniepokoiła się Sally.

– Jasne, że tak. Dwa gatunki żarłaczy – ludojad i żarłacz tygrysi...

– Chodziło mi o prostą odpowiedź, tak albo nie, szanowny panie profesorze oceanologii. – Podpłynęła do Jaya i rozejrzała się za łodzią. – Jak myślisz, dlaczego on to robi?

– Potrzeba dominacji – odpowiedział mechanicznie. – Zobacz, jak nazwał swoją łódź. – Przekręcił się i położył na wodzie. Rozpostarł ramiona i nogi. – Oliver należy do ludzi, którzy potrzebują bezustannego potwierdzenia, że to oni o wszystkim decydują.

– Chyba masz rację. Och! – pisnęła.

– Co się dzieje?

– Coś śliskiego otarło mi się o nogę. – Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami podpłynęła do Jaya. – Jezuu, znowu. – Instynktownie zarzuciła mu ramiona na szyję i przylgnęła do niego.

– Spokojnie. Nie panikuj. Dajesz się ponieść wyobraźni. – Jay spojrział na bransoletkę błyszczącą w słońcu.

Miał nadzieję, że to rzeczywiście tylko wyobraźnia. Ale jeśli Sally znowu coś poczuje, bransoletka będzie musiała wylądować na dnie cieśniny, niezależnie od tego, ile kosztowała. Wiedział, że rekiny i inne drapieżne ryby można przywabić błyszczącymi przedmiotami.

– Przepraszam – powiedziała bojaźliwie, trochę się od niego odsuwając. Wciąż byli jednak na tyle blisko, że ich palce dotykały się od czasu do czasu, kiedy rękami przecinali wodę.

– Nie przejmuj się. – Dotyk jej ramion był cudowny. Jay próbował się strofować; ta dziewczyna to jego konkurentka i powinien się trzymać na dystans. Tylko że z minuty na minutę było to coraz trudniejsze. Jay przyłapał Sally, że mu się przygląda. Ona też kilkakrotnie poczuła jego wzrok na sobie.

– Płyną, popatrz – powiedziała, wskazując na jacht, który pojawił się na horyzoncie.

Rzeczywiście, piękna biała łódź puła w ich kierunku. Właściwie Jay poczuł się trochę rozczarowany. Mimo wszystko chciał przedłużyć tę chwilę.

Kiedy „Authority” ich mijała, Oliver rzucił linę ratunkową. Zwolnił, a kiedy Jay i Sally

podpłynęli do łodzi, spuścił im drabinę, żeby mogli wejść na pokład.

– Świetnie było, co? – Oliver promieniał. – Dobrze wam to zrobiło. Sally wzięła ręcznik kąpielowy i opasała go wokół szczupłej talii.

– Rzeczywiście, było super. Tylko rekin niepotrzebnie otarł mi się o nogę.

– Och, nie. – Barbara zakryła usta dłońmi. Oliver podszedł do steru i naciągnął główny żagiel.

– Pewnie nic takiego, tylko zwykły błękit.

Jay spojrzał na Olivera i Barbarę, którzy stali teraz obok siebie. Tych dwoje po prostu do siebie nie pasowało.

– No i na co się tak zagapiłeś? – rzucił zaczepnie Mason. Od czasu kiedy wyekspediował ich do wody, zdążył skończyć kolejnego drinka.

– Na nic takiego.

Oliver spojrzał w niebo, a potem z powrotem na Jaya.

– Chcesz mieć lepszy widok?

– W jaki sposób?

Oliver wskazał ręką na maszt, dwadzieścia metrów nad nimi.

– Będę szczęśliwy dając ci możliwość spojrzenia na wszystko z kosza bosmana.

Jay wciągnął policzki. Droga na górę była długa, a łódź podskakiwała i przechylała się na falach.

– Chyba że cierpisz na lęk wysokości – dodał głośno Oliver, tak aby Sally i Barbara słyszały.

– Nie przepadam za wysokościami – przyznał Jay. – Ale raz kozie śmierć. – Spojrzał na Olivera wyzywająco.

– Idę.

Oliver powoli skinął głową. Nie spodziewał się, że Jay tak szybko zgodzi się podjąć wyzwanie.

– Świetnie.

Chwilę później Oliver przymocował brezentowym paskiem do liny kliwera wąską, długą na pół metra deskę. Jay wsunął się na ławeczkę i chwycił brezentowych pasów zawiązanych na piersi.

– Dlaczego nie dasz mu krzeselka? – zapytała Barbara z mostka.

– Jest jakieś krzeselko? – zapytał Jay spoglądając na Olivera, który sprawdzał, czy

brezentowe paski są dobrze zamocowane do kliwera.

– To nowocześniejsza wersja tego, na czym siedzisz. Jest tak skonstruowane, że nie sposób z niego wypaść. – Oliver klepnął Jaya po ramieniu. – Niestety, zostało w klubie żeglarskim.

– Niewiele by zmieniło – krzyknął Jay, chwytając za paski. Oliver zaczął kręcić kołowrotkiem wciągarki. Po chwili Jay znalazł się w połowie wysokości masztu, dziesięć metrów w powietrzu.

– Wystarczy, kochanie – krzyknęła Barbara.

– Nie przeszkadzaj – burknął Oliver, nie przestając kręcić kołowrotkiem. W końcu przerwał pracę. Jay znajdował się metr od szczytu masztu. – Jak ci tam, stary? – krzyknął Mason. – Ładny masz widok?

– Piękny! – odkrzyknął Jay. – Widzę Nowy Jork. – Posłał szeroki uśmiech Sally, która mrużyła oczy w rażącym słońcu. – Powinnaś spróbować, Sally. To nie jest takie trudne.

– O, na to nie licz – krzyknęła dziewczyna. – To wariat – dodała, odwracając się do Barbary.

– Zgadzam się z tobą – przyznała Barbara. – Chory psychicznie, moim zdaniem. Albo poczucie strachu jest mu obce.

– Przekonamy się, do jakiego stopnia – krzyknął Oliver i mocniej naciągnął główny żagiel, zmieniając kurs tak, żeby złapać największy wiatr. Kiedy silny podmuch uderzył w bok jachtu, łódź przechyliła się niepewnie.

Jay kurczowo przytrzymał się pasków i poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

– Ale jazda! – krzyknął Oliver, z całej siły trzymając ster. Jacht nabral sporej prędkości. – Świetnie. Ten chłopak chodzi jak w zegarku. Podoba mi się.

– Ściągnij go na dół – krzyknęła Barbara.

– O nie, sam musi o to poprosić – zaprotestował Oliver. Jacht przechylił się znowu, tym razem mocniej, prawie o trzydzieści stopni. – Nic mu nie będzie.

– Oliver! – krzyknęła Barbara.

– Masz dość, Jayu West? – roześmiał się Oliver, najwyraźniej z siebie zadowolony. – Gotów, żebym cię uratował?

– Nie rób sobie kłopotu! – odkrzyknął Jay. Kiedy jacht ponownie mocno się przechylił, Jay puścił paski, wyciągnął w górę ręce, wysunął się na krawędź drewnianej ławeczki i wyskoczył z siedzenia.

– Uważaj! – krzyknęła Sally.

– Jezu Chryste! – Oliver puścił ster i rzucił się do przodu przekonany, że Jay rozbije się o pokład.

Ale tak się nie stało. Chłopak spadając minął burtę i runął do wody. Szybko wypłynął na powierzchnię i zamachał ręką na znak, że nic mu nie jest.

Kilka minut później wdrapał się po sznurowej drabince na pokład i stanął przed trójką towarzyszy uśmiechnięty i ociekający wodą.

– Było super. – Odgarnął mokre włosy z twarzy, po czym wskazał palcem Olivera. – Teraz moja kolej, żeby wciągnąć twój tyłek na maszt.

Oliver przez chwilę po prostu patrzył na Jaya. Za plecami słyszał chichot Barbary. Wiedziała, jaka będzie jego odpowiedź. Oliver uśmiechnął się.

– Twoje niedoczekanie, Jayu West.

Witam cię, Savoy. – Cześć, Karim. – Savoy nerwowo rozejrzył się po pogrążonej w mroku ulicy. Potem spojrział na ciemną, usianą bliznami po trądziku twarz stojącego przed nim mężczyzny. Karim był człowiekiem– kameleonem. Potrafił wkręcić się do najniebezpieczniejszych środowisk, nie budząc najmniejszych podejrzeń, że jest zdrajcą. Swoją przestępczą karierę rozpoczął w Khadzie – afgańskim ramieniu KGB. Tuż przed sowiecką napaścią na Afganistan w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku przeszedł na stronę Mudżahedinów, a ostatnio trzymał z Talibami. Niewątpliwie miał dar stawiania po stronie zwycięzców. I zdolność przetrwania.

– Sądzisz, że będę zadowolony? – zapytał Savoy.

– Będziesz, na pewno. – Karim kiwnął głową. – Chodźmy. – Wskazał kciukiem za siebie. – Muszę przyznać, że podoba mi się ten twój koński ogon – rzucił półgłosem przez ramię. – Wygląda zupełnie jak prawdziwy.

Savoy zmrużył oczy, ale nie odezwał się. Szedł za Karimem ulicami Konduz, małego, siedemdziesięciotysięcznego miasteczka, dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ od Kabulu, za górami Hindukusz.

Karim zatrzymał się przed niewielkim budynkiem, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, otworzył zamki i zaprosił Savoya do środka. Wąskim korytarzem doszli do kolejnych drzwi, zamkniętych na kłódkę. Kiedy je otworzyli, ich oczom ukazał się niewielki magazyn cuchnący ropą i pleśnią.

Savoy uśmiechnął się, w blasku latarki błysnęła złota koronka na przednim zębie.

– Domyślam się, że to twoje biuro.

Karim w odpowiedzi odchrząknął i podszedł do ściany, pod którą leżało coś przykrytego brezentem.

Energicznie ściągnął brezentowe płachty, odsłaniając drewniane skrzynie. Łomem podważył wieko jednej z nich.

– Sam zobacz. – Poświecił latarką do środka.

Savoy zbliżył się do skrzyni, pochylił się nad nią i wyciągnął karabin. Przyjrzał mu się dokładnie.

– Automat Kałasznikow, model 47 – objaśnił Karim. – Wkład Michaiła Kałasznikowa w proces pokojowy na świecie. Mam też kilka skrzynek z AK-74. Co prawda ten drugi jest na mniejsze kule. Ale mniejsza kula szybciej dociera do celu i powoduje większe zniszczenie. AK-74 ma poza tym mniejszy odrzut i droga pocisku jest bardziej płaska.

– Ale jest trudniejszy w obsłudze. – Savoy zauważył, że Karim nie bez powodu zachwala towar. Próbował dać Savoyowi do zrozumienia, że gotów jest negocjować cenę. Ale cena została uzgodniona dużo wcześniej. – Poza tym jest głośniejszy. – Pieszczotliwie dotknął obłego magazynku na trzydzieści nabojów. Kałasznikow może nie był szczególnie piękną bronią, ale odznaczał się wyjątkową trwałością. Można go było wrzucić w bagno, zasypać piaskiem i zostawić tak na długi czas, a karabin wciąż pozostawał sprawny. Dlatego od tylu lat niezmiennie cieszył się popularnością. – Co jeszcze masz dla mnie?

– Armalite AR, osiemnastkę. – Karim podejrzewał, że sama nazwa robi wrażenie.

Savoy podniósł wzrok na handlarza. Nie potrafił ukryć zadowolenia.

– Naprawdę?

– Tak. Twój klient powinien być usatysfakcjonowany.

– Skąd wiesz, co się może spodobać mojemu klientowi? – Savoy odłożył do skrzyni AK-47.

– Mam nosa. – Do tej pory tylko się domyślał, ale teraz już był pewien, kto złożył zamówienie na broń.

– Rozumiem – powiedział Savoy. Starał się nie okazywać żadnych emocji, ale był na siebie wściekły, bo zdał sobie sprawę, że przed chwilą sam się zdradził. – Masz coś jeszcze?

– RPG-siódemki i SAM-siódemki Strela. Granaty o napędzie raketowym i pociski ziemia-powietrze, dokładnie takie jakie zamawiałeś. – Karim na moment zamilkł. Reakcja Savoya, kiedy Karim wspomniał o AR– osiemnastkach, powiedziała handlarzowi wiele. Znał ugrupowanie, które preferowało tę broń. Nie umiał się powstrzymać, żeby nie dać Savoyowi do zrozumienia, że zna jego tajemnicę. – Tylko nie bierzcie ich na „Claudię”, żeby wywieźć z Libii. – Uśmiechnął się. Nie mógł ukryć satysfakcji. Znał miejsce przeznaczenia tej broni.

Savoy na uwagę o nieudanej próbie przemytu broni, która miała niedawno miejsce, zacisnął zęby.

– Ciężarówka pojawią się jutro o zmroku – powiedział. – Bądź przygotowany.

– Pojadą do Karaczi, jak się domyślam.

– Tak. – Nie było sensu zaprzeczać. Karaczi było jedynym logicznym miejscem

przeznaczenia transportu. – Druga połowa pieniędzy znajdzie się na twoim koncie w Banku Suez rano. I nie licz na to, że dostaniesz grosz więcej niż to, co uzgodniliśmy. – Odwrócił się do wyjścia, ale zatrzymał się w pół kroku. – Będę chciał tego więcej, Karim. Mój klient jest zainteresowany stałymi dostawami. To układ na dłuższy czas. Pieniądzy im nie brakuje i mają ambicje zrobić trochę zamieszania na świecie. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, co zamierzają. – Pomyślał o brygadzie, którą trenował na pewnej farmie w Wirginii. – To może być dla ciebie albo świetny interes, albo koniec. Nie łudź się ani przez chwilę, że mój klient się zawaha przed przykładowym ukaraniem zdrajcy. Jeśli trzeba, znajdą cię choćby pod ziemią.

Odświeżony chłodnym prysznicem Jay wyszedł z męskiej przebieralni klubu żeglarskiego Westchester.

Miał na sobie granatową bluzę, jasnobłękitną koszulę w prążki i zaprasowane w kant spodnie khaki. Jego skóra nabrała zdrowego koloru delikatnej opalenizny – rezultat słonecznego dnia spędzonego na wodzie. Ukłonił się kilku członkom klubu, których mijał po drodze maszerując pewnym siebie krokiem przez wielką salę, skąd było wyjście na taras. Z tarasu rozciągał się widok na należący do klubu port oraz na Palec Szatana, wąski wcinający się w cieśninę fragment lądu, na którym stało kilka domów multimilionerów. W powietrzu unosiła się mieszanka upajających zapachów – delikatna woń drogich perfum, kosmetyków do opalania i morskiego powietrza. Jay stanął w drzwiach i przez chwilę chłonał tę atmosferę luksusu. Zszedł po schodach na taras i zajął miejsce w wielkim, zielonym fotelu z wikliny. Pojawił się kelner w białej marynarce. Jay zamówił dżin z tonikiem, spojrzał na wodę i zadumał się, myśląc o tym, co osiągnął w życiu.

Miasteczko Bethlehem w stanie Pensylwania, gdzie znajdował się dom rodzinny Jaya, leżało niedaleko stąd – nie więcej niż sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód. Ale dla rodziców Jaya bogactwo, które otaczało teraz ich syna byłoby nie do pojęcia. Całe życie ciężko pracowali fizycznie, a ich dni miały monotonnie w niewielkim miasteczku, którego największym bogactwem była huta żelaza. Jay i jego rodzeństwo wychowali się w bardzo skromnych warunkach, ale zawsze mieli dach nad głową i przynajmniej dwa posiłki dziennie. Inna sprawa, że dach często przeciekał, a w menu dominowały groch i fasola.

Jay i jego brat Kenny skończyli państwową szkołę średnią i zdali na studia. Ale Kenny tylko dwa lata wytrzymał w East Stroudsburg. Potem rzucił naukę i poszedł do pracy. Został operatorem dźwigu w hucie żelaza w Bethlehem. Tylko Jayowi udało się dostać do świata pracowników umysłowych. Podejrzewał, że rodzeństwo znienawidziło go za to, że jemu się udało, a im nie, ale takie jest życie. I Jay zachował dla nich same przyjazne uczucia.

– Pański dżin z tonikiem, sir – kelner postawił szklankę na stoliku przy fotelu.

– Dziękuję. – Jay zdjął plasterek limonki z kostek lodu i przejechał nią po brzeżku szklanki.

– Proszę to zapisać na rachunek Olivera Masona – poinstruował kelnera. – Ma numer

członkowski trzysta siedemnaście. – Oliver co miesiąc wysyłał swoje rachunki na adres firmy McCarthy-Lloyd. Jay zauważył kiedyś numer konta na rachunku leżącym na biurku Olivera. Chłopak uśmiechnął się do siebie. Oliver chyba nie będzie zły, kiedy się dowie, że Jay użył numeru jego karty członkowskiej bez pytania. Prawdę mówiąc, powinno to na nim zrobić pozytywne wrażenie. Oliver podziwiał ludzi, którzy potrafili zdobyć poufne informacje. – I proszę dopisać sobie dziesięć dolarów napiwku.

– Dziękuję. – Kelner oddalił się pospiesznie.

Jay rozparł się wygodnie na poduszkach w zielono-białe pasy. Sącył chłodnego drinka i patrzył, jak nad cieśninę powoli nadciąga zmierzch. Podobało mu się takie życie. Po to, żeby kiedyś osiągnąć coś takiego, teraz był w stanie spędzać długie godziny w pracy, wśród wrogich mu ludzi, i znosić nieustanne docinki Cartera Bullocka.

Szczególnie podziwiał jedną ze wspaniałych willi na Palcu Szatana. Mówi się, że pieniądze są przyczyną wszelkiego zła, pomyślał. Że prowadzą do upadku. To tylko bezsensowne gadanie ludzi słabych, którzy i tak doprowadziliby do ruiny swoje życie, nawet gdyby byli biedni. Typowe gadanie snobów, którym na niczym tak naprawdę nie zależy. Mądrość wygłaszana przez ludzi, którzy może nawet chcą dobrze, ale są żałośnie naiwni.

Podobnie jak zwycięzcy Oscarów, którzy ze łzami w oczach ściskają swoje statuetki i pouczają tych, którym się nie udało, żeby nie rezygnowali ze swoich marzeń, zamiast radzić im, żeby wstali rano i poszukali sobie stałej pracy, bo statystycznie rzecz biorąc prawdopodobieństwo, że osiągną sukces jest astronomicznie małe.

Willa na Palcu Szatana majaczyła w oddali. Jay miał okazję obserwować, co z człowieka mogą zrobić pieniądze i władza. Oliver Mason, na przykład, szantażował swoją podwładną, grożąc jej, że wyrzuci ją z pracy, jeżeli dziewczyna mu się nie odda. Jay nie miał wątpliwości, że powodem tego żenującego upadku były pieniądze, czy też przekonanie, że one są wartością najwyższą.

Wzrok Jaya powędrował w dół, na leżącą na stoliku limonkę. A teraz Jay przyjmował od tego człowieka drinka, pracował dla niego, i na swój sposób życzył sobie, żeby być do niego podobnym.

– Nie pozwoliłbym, żeby to się stało ze mną – szepnął.

– Miło ci się gawędzi?

Jay podniósł wzrok, zaskoczony. Przed nim stała Sally. Miała na sobie letnią sukienkę do

połowy uda.

Długie blond włosy sływały na jedno ramię, a skóra promieniała lekką opalenizną, podobnie jak jego ciało.

Rozejrzał się dookoła. Za dziewczyną odwróciło się kilka głów.

– Liczyłem coś w pamięci – wyjaśnił spłoszony. Zerwał się na równe nogi i odsunął drugi wiklinowy fotel stojący przy jego stoliku. – Myślę o pewnej transakcji, nad którą pracuję.

– Jasne. – Dała znak kelnerowi, że prosi o to samo, co Jay. – To normalne u wariatów, że rozmawiają sami ze sobą. A że jesteś wariatem, co do tego nie mam wątpliwości.

– Tak sądzisz? – Jay nie mógł się opanować i jeszcze raz zerknął na jej długie nogi. Teraz, kiedy usiadła, sukienka podsunęła się jeszcze wyżej. – Ale ja nie jestem wariatem.

Sally podniosła oczy ku niebu.

– Nikt zdrowy na umyśle nie skoczyłby z wysokości dwudziestu metrów z bocianiego gniazda.

– To drobiazg.

– I nawet nie wyglądałeś na zdenerwowanego.

– Chcesz się założyć, że byłem zdenerwowany?

– Masz dowody?

– Pamiętasz, kiedy wszedłem na pokład cały mokry?

– Tak.

– To nie była woda, tylko pot.

Sally roześmiała się i wzięła od kelnera dzin z tonikiem.

– Na ten sam rachunek, sir? – zapytał kelner.

– Tak – potwierdził Jay, – I kolejny napiwek dziesięciodolarowy.

– Dziękuję. – Kelner zauważył, że szklaneczka Jaya jest już prawie pusta. – Przyniosę panu następny.

– Bardzo proszę.

Sally podniosła do góry swojego drinka i delikatnie stuknęła nim o szklankę Jaya.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś był tu stałym bywalcem – zauważyła i napiła się. – To twoje towarzystwo?

– Nie. – Dawno temu nauczył się, że nie ma sensu udawać kogoś, kim się nie jest. – Jestem synem mechanika, który nigdy w życiu nie był w prywatnym klubie golfowym i nie wie, jak to

jest prowadzić austina healeya, plymoutha czy chevy'a.

– Rozumiem.

Chciał się przekonać, jak dziewczyna zareaguje na wiadomość, że pochodzi z biednej rodziny. Ale nie wydało mu się, żeby ją tym zaskoczył.

– Lepiej opowiedz o sobie – zaproponował.

– To nudne. Standard.

– No, proszę – nalegał Jay. Spodobało mu się, że nie bardzo chciała mówić o sobie. Nie lubił, kiedy ktoś chwalił się swoim życiem. – Bullock wspominał, że skończyłaś Yale i Harvard.

– Tak.

– A potem parę lat pracowałaś w firmie konsultingowej w San Francisco. Sally pokręciła głową.

– Nie, pracowałam w San Diego. A firma ma siedzibę w Los Angeles.

– Jak się nazywa?

– Jest niewielka – odpowiedziała szybko. – Nazwa nic ci nie powie.

– Daj mi szansę się przekonać.

Delikatnie kopnęła go czubkiem buta w nogę.

– Jezu, a gdzie jest żarówka i wykrywacz kłamstw? Może rzeczywiście za bardzo nalegał.

– Przepraszam. – Odwrócił na chwilę wzrok, ale po chwili znowu na nią spojrział. Dziewczyna patrzyła mu prosto w oczy z nad kieliszka. Nagle wydała mu się olśniewająco piękna, jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy ją poznał.

– Hej, kolego! – krzyknął Oliver od strony drzwi tarasowych. Przy paru stolikach nagle zapadła cisza, przerwano konwersacje. Kilka osób zaczęło się rozglądać, kto ośmielił się zakłócić leniwy spokój letniego wieczora.

Jay pomachał mu ręką.

Oliver złapał kelnera za łokieć i zamówił drinka, po czym pospiesznie zszedł na dół. Po drodze zatrzymał się przy stoliku, gdzie siedziały dwie starsze panie, chcąc zabrać im wolny fotel.

Jay obserwował, jak kobiety niechętnie zgadzają się odstąpić krzesło. Zauważył, że przyglądają się Oliverowi, jego wymuskanej fryzurze i jaskrawoczerwonej koszuli widocznej spod błękitnej bluzy. Mason wyróżniał się strojem na tle większości członków klubu, którzy nosili się bardziej konserwatywnie. Jednak urok i maniery Olivera zadziałały, kiedy od nich

odchodził, śmiały się i poklepywały go po ramieniu.

– Co im powiedziałaś? – zapytał Jay, kiedy Oliver postawił fotel obok Sally i usiadł.

– Powiedziałem im, że pragnę ich ciał – odpowiedział, nachylając się tak, żeby damy nie usłyszały. – W dodatku obydwu naraz – uśmiechnął się szeroko i w lewym policzku pojawił mu się dołeczek.

Sally zasłoniła ręką usta, omal nie parsknąwszy śmiechem.

– Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali później w jednym z pokoiów gościnnych na piętrze – kontynuował Oliver, kładąc dłoń na nagim kolanie Sally. – Zgodziły się. Pewnie dotarła do nich plotka... – zawahał się, ścisnął kolano Sally i puścił do niej oko. – Na studiach nosiłem ksywę „wielki ogóras”.

Sally odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Oliver spojrzał na nią i wskazał swoje wystające jabłko Adama.

– Podobno na podstawie tego można ocenić rozmiar... – Odwrócił się do Jaya. – Przy okazji, kolego, General Electric zgłosił ofertę osiemdziesiąt dwa dolary za Batesa – powiedział bez emocji.

– To świetnie...

– Ale nie myśl, że to ty wygrałeś – ostrzegł go Oliver. – W rzeczywistości nie powinieneś być dać za te akcje tak dużo. Ten facet w Goldmanie, Kelly, wykorzystał cię, bo wiedział, że mnie nie ma w firmie. Mogłeś je kupić taniej co najmniej o dolara, a może nawet o dwa. Kelly nie mógłby sobie pozwolić na utratę takiego klienta jak ja. – Oliver wziął kilka orzechów z tacy stojącej na środku stołu. – Pod koniec rozmowy pewnie odegrał rolę przegranego, jak gdyby udało ci się go pokonać. Pewnie wrzeszczał i rzucił słuchawką. Tak było?

Jay nie odezwał się.

– Kelly jest świetnym aktorem. Połknął haczyk, jak płotka. – Oliver zaczął bębnić palcami w stół, spoglądając co chwila to na Sally, to na Jaya. – Dziwi mnie, że nie słyszałeś o akcjach General Electric, kolego.

Nie widziałeś, że w męskiej szatni mają tu tablicę Bloomberga?

Tablice Bloomberga informowały na bieżąco o ruchach finansowych na rynkach całego świata. W klubie żeglarskim Westchester było ich kilka, żeby bogaci członkowie klubu w każdej chwili mogli sprawdzić, jak się mają ich inwestycje.

Jay niepewnie skinął głową.

– Widziałem.

– Powinieneś być z nich skorzystać, a nie tylko podziwiać – odparł Oliver. – Jay, powinieneś myśleć o swoich transakcjach bez przerwy. – Zwrócił się do Sally. – To dobra lekcja dla ciebie. Nawet w taki dzień, jak dziś, kiedy łatwo można zapomnieć o Wall Street, trzeba myśleć o pracy. – Spojrzał na Jaya. – Rozumiesz, przyjacielu?

– Tak – odpowiedział Jay. Zauważył, że w drzwiach prowadzących na taras stoi Bullock. Ubrany był w ciemny garnitur i wyglądał, jakby wracał prosto z biura.

– Oliver, czy Bullock jest członkiem klubu? – zapytał Jay niemile zaskoczony widokiem wojskowej fryzury w kolorze truskawki.

– Co mówisz? – Oliver podążył za jego spojrzeniem. – Witaj, Borsuk – zawołał, podnosząc się z miejsca. – Zaprosiłem go na kolację. Chyba nie macie nic przeciwko temu – zwrócił się do Jaya i Sally.

Bullock zamachał do nich ręką i szybko zszedł na dół.

– Witaj, Sally. – Ujął jej dłoń i obdarował dziewczynę ciepłym uśmiechem, potem przywitał się z Oliverem i oschle skinął głową w kierunku Jaya. – Jak się masz, Oliver?

– Dzięki, świetnie – odpowiedział Mason. – Spędziliśmy dziś piękny dzień. Szkoda, że nie mogłeś do nas dołączyć. Ale cieszę się, że przyszedłeś przynajmniej na kolację. Będzie miło.

– Na pewno.

– W pracy wszystko w porządku? – zapytał Oliver. – Domyślam się, że nie było jakiegoś pożaru, bo zadzwoniłbyś na komórkę.

– Jasne, wszystko w porządku. Oliver skinął głową.

– Jestem ci coś winien, Borsuk. Mam nadzieję, że zrobiłeś dobry użytek z Abby – roześmiał się. – Powiedziałem, że jest twoją niewolnicą na ten jeden dzień.

Bullock zamrugał oczami, jak gdyby zastanawiał się, co ma odpowiedzieć.

– Abby nie przyszła dziś do pracy.

– Co takiego?

Jay zauważył, że na twarzy Olivera na moment pojawił się niepokój.

– Nie było jej dzisiaj – powtórzył Bullock.

– Dlaczego? – zapytał Oliver. – Jest chora?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Nie zadzwoniła – wyjaśnił Bullock.

Jego twarz oblała się rumieńcem i nabrała koloru prawie takiego samego jak włosy.

Przez parę chwil Oliver i Bullock patrzyli sobie w oczy, jak gdyby porozumiewali się w milczeniu. A potem na ganku pojawił się Bili McCarthy pod rękę z Barbarą i cała grupa udała się do restauracji Quarterdeck na kolację.

Z restauracji widać było taras, a dalej wodę i chowające się za horyzontem słońce. W porcie błyskały żółte, zielone i czerwone światła łodzi i jachtów. Wszystko to tworzyło piękny obraz. W sali, w której jedli niewiele stolików było zajętych.

Kiedy na koniec podano kawę, Oliver i McCarthy wyciągnęli cygara. Zwykle nie pozwalano na palenie w tej sali, ale komodor klubu – jeden ze starszych partnerów pewnej kancelarii prawniczej na Wall Street – poinformował Olivera, że dziś wieczorem można palić. Komodor miał nadzieję, że firma McCarthy-Lloyd zostanie jego stałym klientem.

Kiedy siedzący u szczytu przykrytego białym lnianym obrusem stołu McCarthy skończył przypalać cygaro, zwrócił się do siedzącego z prawej strony Jaya.

– Nad czym pan ostatnio pracuje, panie West? – Mimo że McCarthy żądał od pracowników, by mówili mu po imieniu, sam zwracał się do nich po nazwisku, z wyjątkiem Olivera. Była to subtelna forma przypomnienia, że on jest tu szefem.

Jay przez chwilę się wahał.

– W porządku, panie West. Może pan mówić otwarcie. Jesteśmy tu w gronie przyjaciół.

Jay spojrzał na zmierzwioną blond czuprynę McCarthy'ego. Mimo że wymagał, aby każdy w firmie miał krótką fryzurę, sam miesiącami obywatel się bez fryzjera. Do tego nosił spodnie z powypychanymi kieszeniami.

Jay pomyślał, że mimo swoich milionów McCarthy wygląda na biedaka.

– Myślałem raczej o tamtym stoliku – powiedział Jay, wskazując na ludzi siedzących nieopodal.

– Nimi się nie przejmuj – powiedział McCarthy. – Są daleko. Nie usłyszą cię.

– No, dobrze. – Bullock siedzący z prawej strony Jaya przysunął się w jego stronę, żeby lepiej słyszeć. Jay spostrzegł też, że Oliver przerwał konwersację z Sally i Barbarą. – Obserwuję kilka sytuacji, ale dwie są szczególnie interesujące. – Jay zaczął mówić ściszym głosem. – Pierwsza firma nazywa się Simons. – Była to firma, której akcjami kazał mu się wczoraj zainteresować Oliver. – Mieści się w Green Bay, w stanie Wisconsin i produkuje środki

czystości. W tej chwili robię wywiad, dzwonię do ludzi z branży i rozgryzam cyferki.

Wszystko wskazuje na to, że warto by było zgłosić ofertę przejęcia. Akcje stoją nisko i nikt nie posiada większości. – Zamilkł na chwilę. Czuł, że Oliver słucha wszystkiego w napięciu. – Ale to nie będą wielkie pieniądze.

– Nie brzmi to zbyt podniecająco – zauważył McCarthy między jednym a drugim zaciągnięciem się cygarem.

– Niewielka firma w mało seksownym sektorze przemyski. Kupiliśmy już jakieś akcje?

Jay pokręcił głową, czując na sobie piorunujący wzrok Olivera.

– Jeszcze nie.

– A ta druga sytuacja?

– To firma Turbo Tec w Nashua, w stanie New Hampshire. – Oliver, co prawda, skrytykował ten pomysł, ale Jay miał w tej chwili szansę go uratować. – Zajmują się produkcją sieci komputerowych dla firm średniej wielkości. Analitycy z Wall Street nie starają się wyprzedzać działań Turbo Tec, więc na razie cena akcji firmy jest dużo niższa niż indeks NASDAQ. Ale to spora firma.

– Ten pomysł mi się podoba. – Głos McCarthy'ego ożywił się. – Jak na to wpadłeś?

– Mój przyjaciel ze studiów pracuje w Turbo Tec, w dziale marketingu. Nazywa się Jack Trainer.

– Czy są jakieś czynniki zewnętrzne, które sprawiają, że firma jest interesująca z naszego punktu widzenia?

Jay rozumiał, co znaczyło to pytanie. McCarthy chciał, żeby akcje przepływały przez McCarthy-Lloyd szybko. Turbo Tec mogła być dobrą firmą, ale jeśli cena akcji nie miała szybko podskoczyć w górę, nie warto było zwracać nią sobie głowy.

– Pewna japońska firma zaczęła wykupywać ich akcje.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał podejrzliwie McCarthy. – Słuchaj, wiem, że jesteś w firmie nowy – kontynuował, nie dając Jayowi dojść do głosu, – ale powinieneś wiedzieć, że zajmujemy się tylko absolutnie czystymi sprawami. W McCarthy-Lloyd przestrzegamy zasad etyki aż do przesady. Nie chcę słyszeć, że ktoś mógłby mieć choćby cień wątpliwości co do działań naszego działu arbitrażu. Każdego innego działu zresztą tak samo. – Wycelował w Jaya dymiące cygaro. – Jeśli ktoś z Komisji Papierów Wartościowych i Walut albo z biura Ministerstwa Sprawiedliwości zgłosi się do mnie czymś zaniepokojony, osobiście pomogę w śledztwie. I jeśli

nie daj Bóg, okaże się, że dzieją się jakieś nieczyste sprawy, sam pomogę w ukaraniu winnych. – Podniósł głos tak bardzo, że Sally i Barbara przerwały rozmowę. – Nie mogę pozwolić sobie na taką plamę na dobrym imieniu mojej firmy. Straciłbym wtedy wszystkie wpływy w Waszyngtonie.

– Oczywiście – odpowiedział cicho Jay. Zauważył półuśmiech na twarzy Bullocka. Tego palanta najwyraźniej cała rzecz bawiła.

– To dobrze – powiedział McCarthy.

– Nigdy nie postawiłbym ani pana, ani Olivera, ani firmy w trudnej sytuacji.

– Tym lepiej.

– Fakt, że japońska firma zajmuje pozycję w Turbo Tec jest informacją publiczną – wyjaśnił spokojnie Jay. – Chociaż wiadomość o tym nie pojawiła się w żadnej z amerykańskich publikacji i pewnie dlatego rynek u nas jeszcze nie zareagował. W którejś z gazet w Osace ukazała się na ten temat maleńka notka. Moja znajoma pracuje w oddziale National City w Tokio. National City to bank, w którym pracowałem, zanim przyszedłem do pańskiej firmy.

– Przypominam sobie. – Z głosu McCarthy’ego zniknął nieprzyjemny ton.

– Znajoma pomyślała, że będę zainteresowany tą informacją, bo wiedziała, że mam przyjaciela w Turbo Tec.

Wycięła notatkę z gazety i wysłała mi razem z angielskim tłumaczeniem. Informacja jest bardzo cenna, ale nie została w żaden sposób zastrzeżona. To własność publiczna. – Jay oparł się wygodnie i zmrużył oczy. Rzucił tryumfalne spojrzenie Bullockowi, posłał uśmiech Sally i z powrotem popatrzył na McCarthy’ego. – Przez trzy tygodnie obserwowałem cenę akcji. W tym czasie poszły w górę o piętnaście procent. Ale to nie musi być koniec. Sądzę, że akcje mogą jeszcze podrożeć, i to sporo, szczególnie, jeśli ta japońska firma zdecyduje się na wejście w Turbo Tec na zasadzie większościowej. – Jay zdawał sobie sprawę, że Oliver będzie wściekły, ale zdecydował się skorzystać z szansy, żeby usłyszeć opinię prezesa. Nie miał zamiaru przepuścić takiej okazji koło nosa, nawet za cenę wkurzenia Olivera.

– Więc dlaczego nie kupiłeś do tej pory żadnych akcji? – zapytał McCarthy.

– Chciałem jeszcze nad tym popracować. – To stwierdzenie powinno złagodzić gniew Olivera. McCarthy nigdy się nie dowie, że Oliver omal nie przepuścił takiej okazji.

– Jaka jest cena akcji w tej chwili? – zapytał McCarthy.

– Wczoraj skończyło się na dwudziestu dwóch dolarach dwudziestu pięciu centach.

– Ile akcji Turbo Tec ma do sprzedania?

– Około dziesięciu milionów.

– Jutro z samego rana kupisz dwieście tysięcy – zarządził McCarthy. – Albo jeszcze dziś wieczorem, jeśli ci się uda. Skorzystaj z usług trzech albo nawet czterech brokerów. Dwieście tysięcy akcji wystarczy, żeby zarobić, jeśli okaże się, że ten Turbo Tec to dobry wybór. I nie zwróci niczyjej uwagi.

– Zgadzą się.

– Jeśli to wypali, obiecuję, że odwołam wszystko, co powiedziałem Oliverowi o tobie, że nic nie robisz, tylko zajmujesz miejsce przy biurku. – McCarthy uśmiechał się promiennie. – Mam przeczucie, że ten dzieciak może coś dla nas zarobić – powiedział, zwracając się do Olivera. – Chyba miałeś rację.

Oliver chłodno skinął głową.

– Ale co, do cholery, działo się dziś z Abby? – zapytał nagle McCarthy, i upił łyk kawy.

Jay popatrzył na Olivera, potem na Barbarę. Przez moment zdawało mu się, że w twarzy kobiety widzi ten sam smutek, jaki dostrzegł rano, kiedy się poznali. Opuściła głowę i nerwowo ścisnęła w ręku serwetkę.

– Zostawiłem jej rano wiadomość na sekretarce, żeby znalazła mi pewne informacje. Ale nie oddzwoniła – mówił McCarthy. – To do niej niepodobne.

– Pewnie jest chora – powiedział Oliver. – Zdaje się, że została w łóżku, bo się czymś zatrzała – powiedział i machnął ręką w stronę Bullocka. – Tak, Borsuk?

– No właśnie – potwierdził Bullock przekonującym głosem. – Było z nią źle, ale jutro chyba przyjdzie do pracy.

– Jasne. – McCarthy znowu łyknął kawy i uśmiechnął się lubieżnie. – Doskonale rozumiem tego, który zatrzymał ją dziś w łóżku. Sam od dawna mam na to ochotę – powiedział.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. McCarthy wypowiedział ostatnie zdanie wystarczająco głośno, żeby wszyscy przy stole usłyszeli.

Jay podniósł do ust szklankę z wodą, napił się głośno i udał, że się zakrztusił. Przerwało to nieprzyjemną ciszę i odwróciło uwagę od McCarthy'ego.

McCarthy podał Jayowi serwetkę i uderzył go lekko w plecy.

– Bili, co się stało z twoim współnikiem, Grahamem Lloydem? – zapytał Jay, wciąż pokaszując. Już dawno chciał zadać to pytanie. Teraz nadarzyła się dobra okazja.

McCarthy powoli odstawił filiżankę z kawą i pokiwał głową, zadowolony, że wyratowano go z żenującej sytuacji.

– Zginął w wypadku na Morzu Karaibskim – głos McCarthy’ego posmutniał. – Wybrał się łodzią w rejs z Nowego Orleanu na Wyspy Bahama i miał wywrotkę na wysokiej fali. To była jedna z tych fal, które pojawiają się nagle zupełnie znikąd, rozumiesz? Jay kiwnął głową.

– Czytałem gdzieś o tym zjawisku.

– Potworna rzecz – powiedział McCarthy ponuro. – Straż Przybrzeżna stwierdziła, że nie miał żadnych szans.

Znaleziono łódź wywróconą do góry dnem, ale nigdy nie odnaleziono ciała.

– Straszne.

– To prawda – powiedział McCarthy lekko drżącym głosem. – A co gorsza, wciąż nie daje mi spokoju myśl, że to nie musiało się wydarzyć. Prosiłem go, żeby nie płynął. Mówiłem, że to zbyt niebezpieczne. Ale to był uparty skurczybyk. Rzadko słuchał czyichś rad. Twierdził, że wierzy w siebie i ufa swoim przeczuciom.

Przypłacił to życiem.

Jay patrzył na McCarthy’ego. Te wspomnienia musiały nie być przyjemne.

– Ciężko pogodzić się z taką stratą.

– Ciężko. – Twarz McCarthy’ego pozostała ponura. Po chwili zmusił się do uśmiechu. – Ale nie ma sensu dłużej ubolewać nad śmiercią Grahama. Mamy taki piękny wieczór. Powinniśmy cieszyć się życiem.

– Mądrze powiedziane – szybko zareagował Oliver i wzniosł kieliszek. – Wypijmy za Grahama, tego starego skurczybyka. – Wziął duży łyk wina. – Powiedzcie mi lepiej, co tam z tymi jankesami?

McCarthy zachichotał, bo Oliver i Bullock przed chwilą zaczęli się sprzeczać o szansę zwycięstwa drużyny w mistrzostwach świata, mających się odbyć pod koniec lata.

– Nie ma takiej rzeczy, która potrafiłaby zepsuć humor Oliverowi – zauważył McCarthy zwracając się do Jaya – Tak, to prawda. – Jay zamilkł. – Pan wybacz na moment.

– Idziesz do łazienki?

– Tak.

– To w tamtą stronę – McCarthy pokazał mu kierunek. – A potem korytarzem i w prawo.

– Dzięki. – Jay wstał. Była prawie dziesiąta, a oni pili bez przerwy od trzech godzin.

Popatrzył prosto przed siebie, próbując stwierdzić, jak bardzo alkohol wpływa na jego zachowanie. Czuł, że tylko trochę kręci mu się w głowie. Łazienka nie wirowała wokół zbyt szybko. Ale Jay zdał sobie sprawę z innej niepokojącej rzeczy – że nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o Sally. Im więcej pił, tym częściej łapał się na tym, że zerka na nią ukradkiem. Był rozczarowany, że podczas kolacji nie siedziała przy nim. Ale to Oliver przydzielał miejsca i sobie zapewnił jej towarzystwo, Jaya sadzając na drugim końcu stołu. Musiał zauważyć, że między nimi coś się zaczęło dziać.

Jay zapiął spodnie, podszedł do zlewu i zaczął myć ręce. Od czasu studiów nie miał dziewczyny, a ostatni stały związek rozpadł się, kiedy Jay musiał wyjechać do Nowego Jorku. Od kiedy znalazł się w tym mieście, tak bardzo pogrążył się w pracy i tym, co się działo na Wall Street, że nie miał czasu na życie osobiste. A teraz, po tak długim czasie spodobała mu się dziewczyna pracująca w tej samej firmie, siedząca przy sąsiednim biurku. I stało się to właśnie w momencie, kiedy Jay powinien skupić się na pracy bardziej niż kiedykolwiek. Zakręcił wodę, wziął ręcznik i wytarł ręce. Sally Lane podobała mu się, i to bardzo. Nie było sensu udawać przed samym sobą, że jest inaczej. Ale też nie było sensu się za nią uganiać. Nic dobrego nie mogło wyniknąć z romansu z koleżanką z pracy, a już na pewno nie z rywalką. Gdyby spróbowali się widywać i Oliver by się o tym dowiedział, prawdopodobnie wylałby oboje. Jay bardzo chciał się przekonać, do czego mogłaby doprowadzić ta znajomość, ale, niestety, musiał zapomnieć o dziewczynie i zignorować swoje emocje. Otworzył drzwi prowadzące z łazienki na korytarz.

– No, cześć. – Przed nim stał Oliver.

– Cześć. – Jay otworzył szerzej drzwi, spodziewając się, że Oliver będzie chciał wejść do środka. – Proszę.

Oliver obejrzał się przez ramię.

– Przejdź się ze mną.

– Dobra. – Mason sprawiał wrażenie spokojnego, ale wystąpienie Jaya z historią o Turbo Tec musiało go wyprowadzić z równowagi. – Dziękuję za zaproszenie na kolację. Karmię tu doskonale.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Oliver poprowadził Jaya do małego pokoju oddalonego od głównego holu. Kiedy weszli do środka, zamknął za nimi drzwi.

– Posłuchaj – zaczął Jay – z tym Turbo Tec...

– Nie przejmuj się – Oliver nie pozwolił mu dokończyć. – Nie zdawałem sobie sprawy, że masz tak dobre informacje. Powinieneś był mi powiedzieć o tej znajomej z Tokio. Rób tak, jak powiedział Bili, kupuj te akcje.

– Dobrze.

Oliver głośno przełknął ślinę.

– Słuchaj, chcę, żebyś o czymś wiedział.

– Tak?

– Tak, tylko tyle. – Oliver klepnął się dłonią po udzie.

– Słucham. – Jay chciał go delikatnie zachęcić, bo zauważył, że Oliverowi nie łatwo zacząć.

– Chodzi o Barbarę... o mnie i Barbarę.

– Tak?

– Przechodzimy trudny okres. – Oliver spojrzał Jayowi prosto w oczy. – Problemy małżeńskie.

– Rozumiem. – Jay odwrócił wzrok. Poczul się nagle nieswojo. – To niedobrze.

– Masz rację. Niedobrze. – Oliver pogładził się po brodzie. – Ja ją naprawdę kocham. Chcę, żebyś to zrozumiał. – Roześmiał się nerwowo. – Kocham ją do tego stopnia, że zdecydowałem się od przyszłego tygodnia chodzić z nią na sesje terapeutyczne do psychologa. Nigdy się o coś takiego nie podejrzewałem.

– To dobrze, że staracie się porozumieć.

– Prawda?

Jay wyczuł w jego głosie brak przekonania.

– Tak, oczywiście.

– Chciałem tylko, żebyś wiedział. Zresztą pewnie sam się domyśliłeś, obserwując nas na łódce.

– Nie, nic nie zauważyłem. – Jay widział wszystko, ale wolał nic nie mówić Oliverowi.

– Lepiej, żebyś wiedział – powiedział Oliver stanowczo. – Nie powinno się mieć sekretów przed ludźmi, z którymi pracuje się tak blisko.

– Rzeczywiście pracujemy blisko.

– Poza tym, uważam cię za przyjaciela. Kogoś, z kim można pogadać. – Oliver wbił wzrok w podłogę. – Wiem, że czasem jestem w pracy zbyt ostry, ale, Jay, taką już mam naturę. Nie traktuję cię inaczej niż innych.

To specyfika naszego zawodu. Tu nie można inaczej, tylko ostro. Nie zabijesz ty, sam zostaniesz zabity. To banalne, ale taka jest prawda. Nieważne, jak wielkie pieniądze przyniosłem firmie, zawsze będę przez McCarthy'ego sprawdzany. Sam słyszałeś, że suszył mi głowę, bo cię zatrudniłem. To tylko przykład nacisków, pod jakimi się znajduję. Czasem trudno mi się opanować i wyładowuję się na pierwszej lepszej osobie, która mi się nawinie pod rękę. Nie ma znaczenia, że nic nie zawiniła – dodał cicho.

– Zdążyłem zauważyć, nie jest łatwo pracować dla McCarthy'ego. Oliver głośno westchnął.

– Ludzie, kiedy przechodzą w małżeństwie trudny okres, z całego tego stresu często głupieją i zaczynają robić coś, czego nie powinni. Na przykład szukają ukojenia w towarzystwie innych kobiet.

– Aha. – Jay nie odrywał wzroku od Olivera. Bullock musiał mu powiedzieć o tym, że widział go w korytarzu koło magazynu.

– Taki jest przynajmniej mechanizm. – Mason podniósł oczy na Jaya. – Mam nadzieję, że mnie się to nie przytrafi.

– Na pewno nie. – Jay zrozumiał aluzję. Oliver chciał, żeby Jay nikomu nie wspominał o jego małżeńskich problemach. Oliver uśmiechnął się.

– No, ale dosyć tego. – Sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął kopertę. – Weź to, proszę.

– Co to jest? – zapytał Jay.

– Pieniądze, które postanowiłem ci pożyczyć. Sto tysięcy dolarów. Kup to BMW, którym się już zdążyłeś pochwalić. Nie chcę cię więcej widzieć w tym rozwalającym się złomie.

Jay chciał zapytać, skąd Oliver wie o jego taurusie, ale pomyślał, że pewnych rzeczy nie da się ukryć.

Pokręcił głową.

– Nie mogę przyjąć tej pożyczki.

– Możesz, i zrobisz to – stwierdził stanowczo Oliver. Jay rzucił okiem na czek. Był wypisany na jego nazwisko i opiewał na sumę stu tysięcy dolarów.

– To tylko pożyczka – powiedział Oliver. – Tak jak powiedziałem, zwrócisz mi ją w styczniu.

Jay przełknął ślinę. Nie chciał przyjmować tych pieniędzy, ale ostatnio stan jego konta w banku niebezpiecznie zbliżył się do zera. Niższe zarobki, na które się zgodził w firmie McCarthy-Lloyd, zaczynały dawać o sobie znać. Nie podobało mu się przyjmowanie jałmużny.

Ale z drugiej strony, cóż złego mogło być w pożyczce? – Dziękuję.

– Uważam cię za swojego przyjaciela. A ja lubię pomagać przyjaciołom. – Oliver wyciągnął z kieszeni kluczyki do austina healeya. – Właśnie, dlaczego nie miałbyś wrócić dziś do domu healeyem?

Jay podniósł wzrok znad czeku.

– Mogę pojechać pociągiem. Oliver przecząco pokręcił głową.

– E, tam. Pociągi są nudne. Weź healeya. Zostaw go na jakimś płatnym parkingu. Kluczyki oddasz mi jutro.

A ja poproszę Barbarę, żeby go zabrała, kiedy będzie następnym razem w Nowym Jorku. Ona co kilka dni jeździ do miasta. – Uśmiechnął się. – Poza tym, będziesz mógł zabrać ze sobą Sally. To okazja, żeby pobyć z nią trochę dłużej.

Jay uśmiechnął się szeroko. Poczul się zażenowany, że jego uczucie dla Sally jest aż tak widoczne.

– Widziałem dzisiaj, co się między wami dzieje – powiedział Oliver. – I posłuchaj, o ile będziecie się z tym trzymać z dala od pracy, nie będę się wtrącał.

– Oliver, nie musisz się martwić. Nie zamierzałem... Mason podniósł do góry dłoń.

– Powiedziałem tylko tyle, ile miałem powiedzieć.

– Oliver, jesteś dla mnie bardzo hojny. – Zaszło mu w gardle. Nigdy nie był dobry w takich wystąpieniach. – Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz. – Szef okazał się w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. Choć ulegał wielu pokusom, zdawał sobie jednak sprawę, co jest właściwe. I wiedział, że potrzebuje pomocy. Może właśnie uczynił pierwszy krok. – Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł ci się odwdziaczyć.

– Po prostu, spłacisz dług w dniu, kiedy otrzymasz premię. Znajdź mi jakąś firmę, której akcje mógłbym kupić. – Oliver odwrócił się do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze. – Byłbym zapomniiał.

– Co takiego?

– Jutro będę w biurze trochę później. Mógłbyś z samego rana coś dla mnie zrobić?

– Jasne. O co chodzi?

– Po pierwsze, załatw sprawę Simonsa. Mówiliśmy o tym wczoraj rano. Co prawda Bili uważa, że to nic ekscytującego, ale mnie się podoba. – Uniósł brew. Instykt podpowiadał Jayowi, że nie powinien zgodzić się na tego rodzaju przysługę, ale Oliver był przecież szefem.

A poza tym, przed chwilą przyjął od niego sto tysięcy dolarów pożyczki.

– Zgoda.

– Świetnie.

– Coś jeszcze?

– Chcę kupić akcje jeszcze jednej firmy. Sporo akcji.

– Jakiej?

Oliver zawahał się.

– Bell Chemical. Zrób to przez Jamiego. Z samego rana, jak tylko wejdiesz do biura, wykupisz trzysta tysięcy akcji z rynku. – Jayowi stanęła przed oczami kartka z nazwą firmy, którą znalazł w schowku w austinie healeyu.

– No, dobrze – zgodził się niechętnie.

– Świetnie. – Oliver zbliżył się do niego, poklepał go po ramieniu i ruszył do wyjścia. – Chodźmy już. – Otworzył szeroko drzwi.

W korytarzu stało dwóch siwych mężczyzn w eleganckich szarych garniturach. W dłoniach trzymali szklaneczki brandy. Starsi panowie byli do siebie bardzo podobni.

– Witaj. – Jeden z nich zauważył Olivera. Mason w odpowiedzi skinął głową.

– Cześć, Harold. – Uścisnął dłoń mężczyzny. – Poznaj Jaya Westa, niedawno dołączył do działu arbitrażu w McCarthy-Lloyd. Oliver zwrócił się do Jaya.

– Harold Kellog, mój teść, a to jego brat, William.

Starsi panowie skinęli głowami, ale żaden nie podał Jayowi ręki. Jay również tylko skinął głową.

Przypomniawszy sobie, że podobno obydwaj bracia Kellogowie razem byli warci ponad miliard dolarów.

– Oliver, nie zmieniłeś zdania i wciąż chcesz mi zwrócić pieniądze za waszą posiadłość? – zawołał piskliwym głosem Harold i uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie zmieniłem zdania i nigdy nie zmienię – odparł cicho Oliver. – A kiedy zwrócę ci te pieniądze, będzie to najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

– Moi ludzie od nieruchomości twierdzą, że dziś posiadłość jest warta blisko pięćdziesiąt milionów dolarów.

Za, powiedzmy, siedem lat, trzeba będzie dopisać następne trzydzieści milionów, bo ceny rosną. – Harold roześmiał się. – Ile każesz mi czekać?

– No tak, nie masz już za dużo czasu.

– Oliver, kiedy zostałeś członkiem tego klubu? – wtrącił się William.

– On w ogóle nie jest członkiem – odpowiedział Harold. – Barbara tu należy.

Ach, rzeczywiście. Już mi się przypomniało. Musieliśmy się o to mocno starać. Pozwolono im na korzystanie z klubu tylko pod warunkiem, że to Barbara zostanie zarejestrowana jako członek.

Jay zauważył, że braciszkanie musieli już mieć za sobą kilka szklaneczek alkoholu. Dotknął ramienia szefa.

– Chodźmy.

– Och, Oliver – zatrzymał ich Harold. Mason odwrócił się powoli.

– Tak?

– Mam nadzieję, że wszyscy doceniają twoje starania, żeby nadążyć za modą – zauważył ironicznie Harold, wskazując na jasnoczerwoną koszulę Olivera. – Ale, z łaski swojej, kiedy tu przychodzisz, spuść trochę z tonu. – Trącił łokciem brata. – Znasz to powiedzenie, Billy?

– Jakie? – zapytał William, na chwilę przerwawszy sączenie brandy.

– Ludzie mówią...

– Ludzie mówią, że można wyrwać chłopaka z Bronxu, ale nie można wyrwać Bronxu z chłopaka – łamiącym się głosem skończył za niego Oliver. – Nietrudno zgadnąć, co chcesz powiedzieć. Słyszę to samo za każdym razem, kiedy się widzimy.

Dlaczego Abby nie przyszła dziś do pracy? – drżącym głosem zapytała Barbara. Rzuciła notes na nieskazitelnie biały kuchenny blat. Od chwili, kiedy opuścili klub żeglarski, nie odzywała się. – Jaka była prawdziwa przyczyna jej nieobecności?

– Zachorowała – odpowiedział spokojnie Oliver. – Chyba słyszałaś, co powiedział Bullock.

– Jestem pewna, że to nie choroba – odparła Barbara, patrząc Oliverowi w oczy. – Pewnie była wyczerpana fizycznie. Wiem, że wczoraj z nią byłeś. Nie jestem głupia. Dziś rano pewnie nie mogła zwlec się z łóżka, tak była obolała. – Barbara zacisnęła pięści, wyobrażając sobie męża z tą kobietą.

– Kochanie...

– Bierzesz mnie za idiotkę? – podniesionym głosem zawołała Barbara. Już nie panowała nad sobą. – Myślisz, że ci wierzę, kiedy do jedenastej nie wracasz do domu, a przez cały dzień nie można cię zastać w pracy?

Oliver zdenerwowany bawił się kluczykami samochodowymi, które trzymał w ręku.

– Dzwoniłam wczoraj o trzeciej. – Barbara cała się trzęsła. – To przerośnięte chłopię z gromadki twoich wyznawców, Carter Bullock, oznajmił, że jesteś na jakimś zebraniu, ale nie potrafił powiedzieć z kim i gdzie.

– Rzeczywiście, miałem spotkanie z kilkoma doradcami spoza firmy. Bili powierzył mi przygotowanie pewnego projektu. To sprawa większego formatu.

– Spróbowałam zadzwonić na numer Abby, ale słuchawkę znowu podniósł Bullock – Barbara mówiła dalej, nie zwracając uwagi na wyjaśnienia Olivera. – Powiedział, że Abby też jest na zebraniu, ale oczywiście innym niż ty. Podkreślił ten fakt wyraźnie. Jak się nietrudno domyślić, tym razem też nie potrafił powiedzieć, gdzie i z kim.

Wszystkiemu będę zaprzeczać, pomyślał Oliver. Nie może nic udowodnić i blefuje. Po prostu musi się wyładować.

– Robisz aferę z niczego. I po co to wszystko?

– Czyżby? – Barbara pięścią uderzyła w blat. – Parę tygodni temu znalazłam w twojej marynarce liścik od Abby.

Oliver zbladł. Mimo że jej zabronił, Abby wciąż podrzucała mu te idiotyczne karteczki.

Zawsze skrupulatnie przeszukiwał kieszenie, ale któraś musiała umknąć jego uwadze. Już sobie przypominał. To było wtedy, kiedy jeden z handlowców wpadł do niego z jakąś podbramkową sytuacją chwilę po tym, jak Abby położyła mu na biurku liścik. Wcisnął kartkę do kieszeni i zapomniał o niej.

– „Kocham cię bardzo, bardzo, bardzo” – powiedziała Barbara ironicznie, powtarzając treść liściku napisanego ręką Abby. – „Nie mogę się doczekać, kiedy znowu cię będę miała. Całego ciebie”. – Barbara włożyła palce we włosy.

– Barbaro, nie wiem... – Oliver zamilkł. Jego pewność siebie ulotniła się.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – wrzasnęła. Po jej policzkach strużkami potoczyły się łzy. – Tak się starałam być dla ciebie dobra. Staralam się kochać ciebie i rozumieć.

– Wiem, jestem potworem – powiedział zmienionym głosem, podnosząc ręce w geście kapitulacji. Nie było sensu się bronić. Przyszedł czas na wywieszenie białej flagi i błaganie o miłosierdzie. Wiedział, że w ten sposób może poruszyć czułe struny serca żony. Ta strategia jeszcze nigdy go nie zawiodła. – Barbaro, potrzebuję pomocy. Myślę, że powinniśmy wybrać się razem do terapeuty. Proszę – jęknął.

– Tobie trzeba czegoś innego niż terapeuta.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał pojednawczym tonem. Do tej pory na wspomnienie o terapii uspokajała się.

Tymczasem Barbara podbiegła do szafki z szufladami kuchennymi i jedną z nich pociągnęła tak energicznie, że kilka rzeczy wypadło ze środka na podłogę. Odszukała niewielki skrawek papieru złożony w trójkącik i wyciągnęła go przed siebie.

– Może i jestem naiwna – zaszlochała – ale wiem, co to jest. Kokaina. Oliver podszedł do żony i chciał wyrwać jej papiera z ręki.

– Skąd, do jasnej cholery... – głos mu się załamał.

– Znalazłam to razem z tym liścikiem. Ty draniu! Musieliście się nieźle zabawiać z tą twoją dziewczuchą.

– Barbaro, nie mam pojęcia, skąd to się wzięło – powiedział drżącym głosem.

– Kłamca!

– Przysięgam.

– Postanowiłeś wszystkiemu zaprzeczać.

– Co ty mówisz?

– Taki masz sposób na wszystko – łkała. – Zawsze zaprzeczasz oskarżeniom, nawet jeśli dowody są niepodważalne. A w ludziach zawsze jest ziarno wątpliwości. Jezu, ty byś potrafił wmówić nawet to, że pochodzisz z biednej rodziny z Bronxu, i że pazurami musiałeś przedzierać sobie drogę do bogactwa i wyższej klasy. – Język zaczął się jej plątać. Wino, które wypili przy kolacji, robiło swoje. – Pewnie sam już zdążyłeś uwierzyć, że twoje życie wcale nie zaczęło się w okropnym malutkim mieszkanku na piątym piętrze, którego okna wychodziły na parking koło śmietnika, i gdzie co wieczór czekałeś na ojca, który upijał się tanim piwem słodowym. – Rozerwała papierowy trójkącik. Na podłogę wysypał się biały proszek. – Nienawidzę cię, Oliver. – Upuściła strzępek papieru i odwróciła się nagle. Z otwartej szuflady wyciągnęła długi nóż rzeźnicki i rzuciła się z nim na męża.

Mason uchylił się przed ciosem, podskoczył do niej i złapał za rękę.

– Zostaw mnie! – krzyknęła.

– Nie ma mowy.

– Pójdę do ojca – szlochała histerycznie. – Powiem mu o wszystkim.

– Nie, nie zrobisz tego – odparł Oliver. – Nienawidzisz go tak samo jak ja. Wiesz dobrze, co ci powie.

Roześmieje ci się w twarz i stwierdzi, że od początku miał rację, i że zmarnowałaś sobie życie na własne życzenie. Oraz że nie może uwierzyć, iż jesteś jego córką. Pewnie zostałaś adoptowana. – Ojciec Barbary nigdy nie powiedział nic podobnego, ale Oliver skłamał jej kiedyś, że słyszał jak Kellog mówił o tym przyjacielowi na jakimś przyjęciu. Barbara mu uwierzyła.

– Nie! – kobieta zatkała rękami uszy. – Nienawidzę was obydwu.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Oliver rozluźnił trochę uścisk, a ona osunęła się na podłogę, głowę opierając o podstawę kuchennego blatu. Zawsze potrafił nią manipulować i osiągnąć to, o co mu chodziło. Zresztą potrafił zrobić to z każdym. Od lat wmawiał Barbarze, że nienawidzi swojego ojca, żeby ją od niego oderwać. I teraz, kiedy potrzebował tego najbardziej, ona mu uwierzyła. Pokonał ją. Była tylko trzęsącą się masą próżnych grózb.

Nie musiał się już martwić. Miał nad nią władzę i mógł zrobić z nią to, co chciał. – Teraz pójdziesz na górę i położysz się spać. I już nigdy nie wrócimy do tej sprawy.

– Oliver, jesteś chory. Postradałeś rozum – wybełkotała pokonana. Przycisnęła usta do drewna.

– Zamknij się. – Oliver nagle zapragnął obwiązać jej szyję krawatem i patrzeć, jak oczy

wychodzą żonie z orbit.

– Nie byłam pewna, aż do dziś, kiedy kazałeś temu Jayowi wdrapać się na maszt – szeptała.

– Uwielbiasz zmuszać ludzi do robienia rzeczy, których nie chcą robić. – Barbara otarła z twarzy łzy i pociągnęła nosem. Była spokojniejsza. – Boże, tobie pewnie większą przyjemność sprawiło wysłanie tego chłopca na dwudziestometrowy maszt niż uwiedzenie Abby. Ty kochasz władzę, Oliver. Pożądasz władzy. To twoja obsesja, która doprowadza cię do szaleństwa.

– Przecież to była tylko zabawa. Nigdy bym nikogo nie postawił w sytuacji zagrożenia życia.

– Ty nie masz przyjaciół – szepnęła Barbara ze smutkiem. – Masz tylko poddanych. Aten młody człowiek stara się jak może, żeby nie stać się jednym z nich. Widzę to w jego oczach. Tylko że ty masz sposoby, podstępne, nikczemne sposoby, żeby wciągnąć ludzi w swoje sidła. Jay to miły młody człowiek, i będę się modlić, żeby nie wpadł w twoje szpony. Bo on nawet nie przeczuwa, jaki jesteś naprawdę. Nie wie, jak daleko potrafisz się posunąć. Powinnam zrobić mu przysługę i go ostrzec – powiedziała, śmiejąc się. – Ale by nie uwierzył.

– Za dużo wypiałś, Barbaro. Zawsze wtedy stajesz się melodramatyczna. – Dotknął ją czubkiem buta. – Musisz iść do łóżka i to przespać.

– Wiesz, nie mogę się nadziwić, że przyjąłeś tego Jaya do pracy – powiedziała Barbara trzęsącym się głosem.

– Nie pasuje do was. Aten twój obrzydliwy shigas, Bullock, nie ukrywa, że go nienawidzi. – Powoli przymknęła oczy. Wyczerpał ją spędzony w upalnym słońcu dzień i alkohol. Mogła już tylko spać. – Myślałam, że wy dwaj nie wpuścicie chłopca z obcego podwórka do swojej piaskownicy.

– Lubisz plaże? – zapytał Jay, wdychając głęboko przesiąknięte solą morskie powietrze.

– Uwielbiam – odpowiedziała Sally. Szła obok Jaya, w jednej ręce trzymając sandały. Drobnym piaskiem, chłodnym i suchym, wchodził między palce stóp. – Szkoda, że nigdy nie miałam możliwości się nimi nacieszyć.

– Myślałam, że wychowałaś się w Gloucester.

– Tak. – I pośpiesznie zaczęła wyjaśniać: – Ale tam woda jest chłodna nawet latem, a brzegi przeważnie skaliste. Poza tym, wiesz, jak to jest – kiedy mieszka się blisko czegoś, zwykle nie wykorzystuje się tego w pełni.

Pewnie dlatego większość mieszkańców Nowego Jorku nigdy nie wjechała na Statuę Wolności ani nie była na tarasie obserwacyjnym Empire State Building.

– Ja byłem.

– Spójrz na ten odbijający się w wodzie księżyc – Sally delikatnie dotknęła jego ramienia. – Jest piękny.

Ale Jay wolał patrzeć na dziewczynę. W półmroku widział jej profil. Sally zaskakiwała go. Była niezwykła i czuł, że coraz bardziej mu się podoba. To ona zaproponowała, żeby przeszli się jeszcze, po tym, jak pożegnali się z Oliverem i Barbarą przed klubem żeglarskim. A on natychmiast, bez zastanowienia przystał na propozycję, mimo że zrobiło się już późno, a obydwójce mieli jutro z samego rana stawić się w firmie.

Chciało mu się wyc. Romans z koleżanką z pracy to był przepis na katastrofę i pewnie w końcu jego podświadomość nie pozwoliłaby mu się zaangażować. Przynajmniej, jeśli Sally będzie nadal pracowała w McCarthy-Lloyd. Zbyt dobrze znał siebie. Kariera była dla niego zbyt ważna, żeby pozwolił sobie na mogący jej zagrozić związek. Ale czuł się samotny. Bolesnie zdał sobie z tego sprawę, kiedy czekając w wodzie na powrót „Authority” objął Sally i poczuł dotyk jej ciała. Potem żartowali i śmiali się razem, siedząc na dziobie żaglówki.

Trzymali w dłoniach kieliszki, ich nogi dotykały się. Oliver i Barbara byli daleko, na mostku.

– Prawdę mówiąc, do tej pory niewiele widziałam w Nowym Jorku – odezwała się Sally.

– Nie miałaś okazji – zauważył Jay. Spojrzeli sobie w oczy i jak na komendę, obydwójce odwrócili wzrok. – W McCarthy-Lloyd dopiero zaczęłaś, a wcześniej byłaś w San Diego.

– To prawda. – Kopnęła piasek. – Wiesz, jedyne, co naprawdę chciałabym zobaczyć, to miasto z góry.

Wystarczyłyby dach jakiegoś wieżowca, ale nie Empire State Building ani World Trade Center, bo pewnie tam są zawsze tłumy. A tego nie lubię.

– Z dachu domu, w którym mieszkam jest świetny widok na centrum.

– Naprawdę?

– Nie żartuję.

Sally uśmiechnęła się załomie.

– A nie jest to przypadkiem część chytrego planu, który ma na celu zwabienie mnie...

– Słuchaj, wpadnij do mnie któregoś dnia po pracy – przerwał jej, domyślając się, co chce powiedzieć. – Przed zachodem słońca, będziemy się tylko musieli wyrwać wcześniej z biura, zanim Oliver i Bullock przeobrażą się w wampiry.

– Jeśli chodzi o wysysanie krwi, to zauważyłam, że pora dnia nie ma dla nich żadnego znaczenia. – Roześmiała się. – Z tego, co widzę, wyciskają z ludzi ostatnie krople przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– To prawda, że w McCarthy-Lloyd panuje młyn – przyznał Jay. – Lepiej się na to przygotuj.

– Jestem gotowa. – Zamilkła na chwilę. – Ale chętnie któregoś dnia do ciebie wpadnę.

Jay wyczuł w jej głosie nutkę rozczarowania.

– Wołałabyś panoramę nocą? Spojrzała na niego z ukosa.

– Zdecydowanie tak.

– Możemy spróbować choćby dzisiaj. – Przełknął ślinę. Zauważył, że łamie mu się głos.

– Świetnie.

Zawrócili w stronę klubu. Sally potknęła się i wpadła na Jaya. Złapał ją i przytrzymał. Zastanawiał się, czy to był przypadkowy upadek.

Godzinę później stali na dachu sześćdziesięciopiętrowego bloku na Upper West Side, gdzie mieszkał Jay.

Oparci o murek na krawędzi dachu dotykali się łokciami, wpatrzeni w horyzont. Jay musiał przez kilka minut uspokajać Sally i namawiać, żeby podeszła do murku. Ulica znajdowała się sto osiemdziesiąt metrów pod nimi.

W końcu jednak Sally poczuła się na tyle pewnie, że podeszła do krawędzi.

– Tyle światła – zauważyła. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Jak pięknie.

Chyba oszalałem, pomyślał Jay. Jutro spotkają się w pracy i będą udawać, że nic się nie stało. A przecież to wszystko działo się z inicjatywy Sally. Dotyk jej palców to było dokładnie to, czego bardzo chciał. Czekał, aż półkula mózgu odpowiedzialna za racjonalne myślenie weźmie górę.

– Oliver to człowiek z osobowością – zauważyła Sally.

– To prawda. – Czek od Masona, na sumę stu tysięcy dolarów leżał złożony w kieszeni koszuli Jaya. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, że Oliver mógł zrobić Sally podobny prezent.

– Trudno go rozgryźć.

– Właśnie. Byłam świadkiem, że potrafi być prawdziwym... – Sally nie chciała skończyć.

– Prawdziwym kim?

– Pomyślisz, że jestem okropna.

– Nie, mów – zachęcał Jay.

– Że może być prawdziwym dupkiem – powiedziała. – Może znam go krótko, ale mogę to powiedzieć.

Choćby fakt, że wyrzucił nas na samym środku cieśniny Long Island. A potem ciebie wysłał na szczyt masztu przy takich wysokich falach. To było wredne.

Koniuszki palców delikatnie wcisnęła w jego ciało. Przeszył go gorący dreszcz.

– Ale – ciągnęła Sally – w tym cały jego urok. Bo kiedy zaczynasz go nie znosić, robi coś, co powoduje, że nagle prawie go kochasz.

– Wiem – zgodził się Jay. – Potrafi być uroczy. – Na tyle uroczy, że uwodzi podwładną w pracy. Jay przypominał sobie scenę z magazynu. – Pamiętasz te starsze kobiety przy stoliku na tarasie, dziś wieczorem?

– Tak. – Sally roześmiała się. – Najpierw chciały go rozerwać na strzępy. Ale kiedy odchodził od ich stolika, już były jego. – Zawahała się. – Zauważyłeś, że między Barbarą a Oliverem nie dzieje się najlepiej?

– Nie. O czym mówisz?

– Ona przez cały dzień próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, a on kompletnie ją ignorował. Jay kiwnął głową.

– Kilka razy mówiła mu, że go kocha, a on nie odpowiedział jej tym samym, choć musiał to słyszeć. Stali blisko siebie.

– To prawda. Nie wyglądał na szczęśliwego. – Sam nie wiem. – Oliver wyraźnie dał mu do

zrozumienia, że nie chce, żeby Jay z kimś o tym mówił. Gdyby Mason chciał, żeby Sally wiedziała o jego problemach małżeńskich, sam by jej o tym powiedział.

- Oni do siebie nie pasują. Nie wyglądają na parę.
- Co ty mówisz? – Jay spojrzał na nią szybko.
- Większość par wygląda razem dobrze, nie zauważyłeś?
- No, chyba tak. – Więc ona też miała podobne odczucia.
- Wyobrażałabym sobie Olivera z kimś innym.
- Z kim, na przykład?

Sally przez chwilę się zastanawiała.

– Z jakąś bardziej seksowną kobietą. To znaczy, nie zrozum mnie źle, uważam, że Barbara jest bardzo atrakcyjna – dodała szybko. – Ale jej uroda jest jakaś taka dostojna, cały czas starała się nie wypaść z roli arystokratki. – Spojrzał na nią zdziwiony. – Dlaczego się śmiejesz?

- Bo to samo o niej pomyślałem.
- Naprawdę? – Uśmiechnęła się do niego, zadowolona, że mają podobne odczucia.
- Odniosłem wrażenie, że Barbara powinna być bardziej egzotyczna.
- Właśnie. – Sally ścisnęła go za ramię. – Myślisz, że między Oliverem i Abby coś jest? – Co?

– Wczoraj, kiedy Oliver oprowadzał mnie po firmie, dzwonił do niej z pięć razy. Dłonią zakrywał słuchawkę, więc nic nie słyszałam, ale chichotał jak nastolatek.

- Nie mam pojęcia. – Jay nie chciał kontynuować tej rozmowy. – Dlaczego pytasz?
- Barbara jest bardzo miła. Współczuję jej. Bo nie mam wątpliwości, że Oliver wolałby być z kimkolwiek innym, byle nie z nią.

– A może chodzi ci o coś innego – drażnił się Jay z uśmiechem. – Może sama czekasz na okazję romansu z szefem.

- Jesteś okropny. – Sally uszczypnęła go w ramię.
- Skąd mam wiedzieć, że tak nie jest? Dziewczyna podniosła w górę oczy.
- No, tak. A zresztą, tobie mogę powiedzieć. Mamy z Oliverem romans. Trwa to już parę miesięcy. Dlatego przyjął mnie do pracy. Wynajmujemy dla siebie pokój na Brooklyn Heights. Kilka razy w tygodniu spotykamy się na kolacji. Idziemy do Henry's End, potem do Basement of Blues posłuchać muzyki. A potem... łądujemy w łóżku w naszym przytulnym gniazdku.

Jay przechylił głowę i spojrzał na nią przeciągle, najwyraźniej czymś zaskoczony.

– Dlaczego tak patrzysz? – zapytała. – Przecież żartowałam.

– Wiem – powiedział spokojnym głosem.

– Więc o co chodzi?

– Henry's End i Basement of Blues to nie są popularne miejsca. Skąd je znasz?

– Nie przesadzasz?

– Jak na kobietę, która jest w Nowym Jorku od niedawna, bywasz w lokalach, o których istnieniu pewnie nie wszyscy nowojorczyści słyszeli.

– Chodzę trochę po mieście.

– Po Brooklinie? – dopytywał się. – To trochę dziwne, bo większość turystów nie wychyla nosa poza Manhattan.

– Jestem na bieżąco, bo czytam przewodniki. To cię chyba nie dziwi?

– No, tak. Masz rację, czepiam się.

Odwróciła wzrok i wskazała ręką południową część Central Parku.

– Który z tych budynków to Hotel Plaza?

– Nie widać go z tego miejsca. Jest na samym końcu parku i zasłania go tamten budynek. –

Wskazał na wysoki gmach po lewej stronie.

– A New Jersey? – zapytała. – Widać stąd New Jersey?

– Dlaczego pytasz?

– Moje mieszkanie jest na Hoboken.

– Naprawdę? Aż tam? – zapytał. Ujął ją za rękę i poprowadził do zachodniej ściany budynku.

– Tak, nie patrz na mnie z takim żalem. – Jej dłoń rozpoczęła powolną podróż w kierunku jego dłoni, sunąc po zardzewiałym wentylatorze. Ich palce splotły się. – Nie jest tam tak źle...

– Wiem – przerwał jej Jay. – Są ładne miejsca na Hoboken.

– Więc co za problem?

– Nie zdawałem sobie sprawy, że będę musiał cię odwieźć tak daleko – powiedział Jay. –

Dochodzi północ.

W domu będziesz najwcześniej po pierwszej.

– Nie musisz mnie odwozić. Jay przecząco pokręcił głową.

– Nie pozwolę ci o tej porze wracać metrem samej, a za taksówkę zapłacisz z siedemdziesiąt dolców.

– A kto powiedział, że muszę wracać do domu? Zatrzymał się parę kroków od murku.

– No wiesz, ja...

– Mam ze sobą jakieś ubrania, które mogę jutro włożyć do pracy. Zostawiłam je w torbie, w austinie healeya. Oliver uprzedził, że to będzie długi dzień, więc się przygotowałam.

Jay nie mógł przewyciężyć gorącej fali podniecenia, która go opanowała.

– Wiem, że twoje mieszkanie ma jedną sypialnię – mówiła dalej. – Ale chyba jest kanapa w salonie?

– Oczywiście. Ja się prześpię na kanapie, a ty możesz spokojnie zająć sypialnię. – Poczul się, jakby dziewczyna wylała mu na głowę wiadro zimnej wody. Sklął siebie za myśl o wspólnej nocy. – Zgoda.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

– Jesteś prawdziwym gentlemanem.

– Nie ma sprawy. – Stali przez chwilę, patrząc sobie w oczy. Nagle Jay puścił jej rękę i podbiegł do murku.

– Co robisz, wariacie? – krzyknęła przerażona, zasłaniając dłonią usta. – Przestań!

Ale nie miał zamiaru jej słuchać. Dobiegł do murku i wskoczył na niego. Przez chwilę machał rękami, żeby złapać równowagę. Kiedy się odwrócił twarzą do Sally, skrzyżował na piersi ramiona i uklonił się.

– Zejdź stamtąd natychmiast! – zażądała. Nie mogła nic więcej zrobić. Patrzyła na ciemny kontur jego sylwetki, rysujący się na granatowym niebie. – Jay, ledwie żyję ze strachu.

Uśmiechnął się i zwinnie jak kot zeskoczył z murku na dach. Spokojnie podszedł do dziewczyny.

– Jesteś chory – powiedziała śmiertelnie poważnym tonem. – Mogłeś się zabić.

– E, tam.

– Nigdy nie zrozumieję mężczyzn – powiedziała, wznosząc do góry oczy.

– To nie ma nic wspólnego z płcią. – Odgarnął włosy z czoła i pogładził palcem bliznę pod okiem.

– A z czym?

– Nieważne.

Spojrzała na niego z powagą.

– Dlaczego ciągle to robisz?

– Co ciągle robię?

– Dotykasz tej blizny pod okiem.

– Nie robię tego tak często.

– Robisz. Skąd ją masz?

– Jakiś mecz piłki nożnej w liceum. No, dobrze, wracajmy już. – Jay ruszył w stronę drzwi prowadzących do środka. – Robi się późno. Po paru minutach znaleźli się w sypialni Jaya.

– Tak to wygląda – powiedział, pokazując niewielki pokój. – Nie za duże, ale zawsze to dom.

– Podeszedł do szafy. – Wezmę tylko parę rzeczy i już wychodzę.

– Nie musisz się spieszyć. – Podeszła do komputera stojącego na stole w rogu pokoju. – Jesteś podłączony do Internetu? – Rzuciła okiem na blat.

Obok komputera leżały dwa pudełka z dyskietkami.

– Chyba wszyscy są – powiedział, zabierając swoje rzeczy z szafy. – No, mam wszystko, czego mi trzeba.

Budzik wezmę do siebie. Obudzę cię rano.

– Dobrze. – Odwróciła się od komputera i podeszła do niego, kiedy stał już w drzwiach. – To był wspaniały dzień.

– Też tak uważam.

Przez chwilę milczeli. Potem ona położyła mu dłonie na ramionach, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek. Jej usta przywarły do jego twarzy na dłużej.

Jay nie umiał się oprzeć. Otoczył ją ramionami i pocałował namiętnie. Zareagowała natychmiast. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytulając się do niego całym ciałem. Po chwili oderwał usta od jej ust, ale ona natychmiast znowu zaczęła go całować. Wreszcie odsunęli się od siebie.

– Podobało mi się – szepnęła.

– Mnie też.

Opuszkami palców badała jego policzek, aż dotarła do blizny.

– Powiedz mi teraz, jak to się stało.

– Już ci mówiłem.

– Tak, ale to nie była prawda.

– Posiadasz jakąś niespotykaną umiejętność odróżniania, czy ktoś mówi prawdę, czy kłamie?

– Opowiedz mi o tym – odparła, ignorując pytanie. Wziął głęboki oddech.

– To nic ciekawego.

– Pozwól, że sama osądzę.

– No, dobrze – powiedział. – Moja siostra utopiła się w zalewie, który powstał w opuszczonej kopalni niedaleko naszego domu w Pensylwanii. Pływaliśmy tam latem. Miałem wtedy szesnaście lat, a ona dziewięć.

Zaczepiła stopą o jakieś stare urządzenie górnicze, zatopione w wodzie. Robiłem wszystko, żeby ją stamtąd wyciągnąć. – Przerwał na chwilę i bezwiednie dotknął ręką blizny. – Kiedy zszedłem pod wodę drugi raz, chwyciła mnie mocno. Kończyło mi się powietrze i siłą oderwałem jej rękę. Musiałem. Na palcu miała pierścionek, którym mnie wtedy skaleczyła. Kiedy zszedłem do niej znowu, już nie żyła.

– Przykro mi, Jay. – Otoczyła go ramieniem i cmoknęła w policzek. – Nie powinnam była cię zmuszać do wspomnień.

– Muszę już iść – powiedział oschle. – Gdybyś potrzebowała telefonu, stoi przy łóżku.

– Dobra.

Wymknął się z jej objęć i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Stał przez chwilę zastanawiając się, jak to się stało, że Sally wyciągnęła z niego tę historię. Była pierwszą osobą, której opowiedział o tym wydarzeniu sprzed dziesięciu laty.

Znalazła katalog, o który jej chodziło. Siedziała przy świetle monitora komputerowego i stuknęła w klawiaturę najciszej, jak potrafiła. Zdawało się jej, że cała wieczność minęła od chwili, kiedy na ekranie pojawiły się litery i cyfry. Chciała to zrobić jak najszybciej, bo bała się go obudzić.

Szare światło wpadające do pokoju przez niedomknięte żaluzje powoli nadawało wyrazistość przedmiotom.

W oknach nie było zasłon ani firanek, w końcu mieszkał tu typowy samotny kawaler, a zasłony nie należą przecież do rzeczy koniecznych.

Jay powoli odzyskiwał świadomość. Zarejestrował, że jego ciało jest boleśnie powykręcane. Miał mgliste wrażenie, że z jednej strony łóżka znajduje się ściana, a z drugiej nie ma nic. Przypomniawszy sobie, dlaczego. Spał na kanapie, a sypialnię zajmowała Sally Lane.

Wyprostował swoje długie nogi. Stopy wystawały poza kanapę obitą zniszczonym i wyblakłym materiałem.

Przez całą noc nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji i w końcu przespał tylko kilka godzin. Był wymęczony, a czekał go ciężki dzień w pracy, który w najlepszym razie skończy się przed jedenastą w nocy. Jay podjął próbę podniesienia się z kanapy, ale jęknął i padł na legowisko z powrotem. Nie miał siły stawić czoła porankowi.

Zanim nie zasnął w nocy miał nadzieję, że Sally przyjdzie do niego. Obudzi go namiętym pocałunkiem, zaprowadzi do sypialni i będą się kochać. Wyciągnął spod głowy poduszkę, położył ją sobie na twarzy i cicho zawył. Boże, przecież znają się od dwóch dni. Wczoraj się pocałowali, i co z tego? Sally nie wygląda na dziewczynę, która po jednym pocałunku idzie z facetem do łóżka. Zresztą, Jay nie chciałby, żeby się taka okazała.

Zapach jej perfum prześladował go całą noc. Był to subtelny aromat, który Jay poczuł po raz pierwszy na tarasie klubu, i który wypełnił jego zmysły, kiedy całowali się w sypialni. Zdjął z twarzy poduszkę i powąchał swoje ramię. Jej zapach wciąż był na jego skórze. Uśmiechnął się na wspomnienie dotyku miękkich warg dziewczyny. Ten cudowny, namiętny pocałunek powiedział mu, że ona chce czegoś więcej niż przelotnego romansu.

Jay energicznie postawił boscie stopy na podłodze. Miał na sobie tylko jasnoniebieskie bokserki. Nie mógł sobie pozwolić na rozpamiętywanie wczorajszych miłych chwil. To by tylko pogorszyło jego stan.

Przeciągnął się, podniósłszy ręce nad głowę, różnym krokiem podszedł do drzwi sypialni i zapukał. Drzwi nie były domknięte. Może Sally poszła już do łazienki. Nie słyszał, żeby

wstawiała, ale kiedy w końcu udało mu się zasnąć, spał głęboko. Rzucił okiem na korytarz. Drzwi do łazienki były otwarte, a światła zgaszone. Nie unosił się żaden zapach, ani szamponu, ani perfum, a z łazienki nie wydostawała się para.

– Sally – zawołał cicho. Żadnej odpowiedzi. Jeszcze raz zastukał do drzwi sypialni i powtórzył głośniejszym głosem. – Sally! – Wciąż cisza. Nacisnął klamkę i stanął w progu. Łóżko było posłane, a po Sally ani śladu.

Jay przeszedł krótkim korytarzem, minął kuchnię i zajrzał do łazienki. Pod prysznicem było sucho, nikt go nie używał. Wydało mu się to dziwne. Wątpił, żeby Sally poszła do pracy bez prysznica. Musiała więc pojechać do swojego mieszkania na Hoboken.

Jay wrócił do sypialni i stanął przed skrzynią na pościel u stóp łóżka. Zauważył, że słuchawka telefonu bezprzewodowego nie leżała na ładowarce, gdzie ją zawsze zostawiał, tylko na stoliku nocnym.

Splótł dłonie za głową i przyjrzał się komputerowi stojącemu w rogu pokoju. Wydawało mu się, że coś się tam zmieniło, może w ułożeniu rzeczy na stoliku. Przy komputerze Jay trzymał dwa pudełka z dyskietskami, jedno czerwone, drugie srebrne. Teraz pudełka leżały inaczej niż zwykle. Srebrne stało z przodu, a czerwone za nim, odwrotnie niż zawsze.

Jay podszedł do stołu i stanął przed komputerem. Pochylił się i dotknął monitora. Był jeszcze ciepły.

Victor Savoy stał na skraju lasu i patrzył na otaczające go z trzech stron wzgórze, tworzące jakby widownię amfiteatru. Savoy miał czarne gęste wąsy, okulary przeciwsłoneczne na nosie i ciemnoniebieską bejsbolówkę z napisem „U.S.S. New Jersey” wyszytym złotymi literami. Na brzuchu i na pośladkach przymocował sobie poduszki, żeby wyglądać na człowieka z nadwagą. Co prawda, był tu wśród ludzi, którzy nazywali go swoim przyjacielem, ale mimo wszystko występował w przebraniu. Nauczył się już, że aby przetrwać w tym biznesie, nie można nikomu ufać. Przyjaciół mógł w ciągu sekundy okazać się wrogiem, jeśli na przykład odkrył, kim naprawdę jesteś.

Po ubiciu interesu z Karimem w Konduz, Savoy przemierzał zdezelowanym yugo polne drogi Hindukuszu, aż dojechał do Kabulu. Stamtąd prywatnym odrzutowcem dostał się do Amsterdamu i ledwie zdążył na połączenie linii United do Nowego Jorku, na lotnisko JFK. Tam wszedł na pokład następnego prywatnego odrzutowca i po trwającym półtorej godziny locie znalazł się w Richmond, w stanie Wirginia. Na lotnisku w Richmond wynajął samochód na

nazwisko Harry Lee i po godzinnej jeździe w kierunku południowo-zachodnim znalazł się na położonej na uboczu farmie. Specjalnie nadłożył drogi, żeby się upewnić, że nikt go nie śledzi.

Choć Savoy miał za sobą wyczerpującą osiemnastogodzinną podróż, parogodzinna drzemka w samolocie linii United odświeżyła go. Cieszył się, że jest już w Stanach, w Wirginii, bo tu czuł się jak w domu. Urodził się i wychował w Roanoke, niewielkim miasteczku parę godzin stąd na zachód. Mając szesnaście lat opuścił rodzinne strony i zaczął pracować jako „handlarz artykułów alternatywnych”, jak sam to nazywał. Od tamtej pory nie wracał do przeszłości. Teraz był zadowolony, bo zbliżał się koniec misji, nad którą obecnie pracował. A co za tym idzie, bliski był moment otrzymania czeku na zawrotną sumę. Modlił się już tylko o to, o ile istniał jakiś Bóg, żeby jego współpracownik na drugim brzegu Atlantyku poradził sobie z przejściem broni w Konduz i przewiezieniem jej do Karaczi. A potem z załadowaniem transportu na frachtowiec płynący do Antwerpii. Po drodze mogło się tyle wydarzyć.

Savoy wrzucił do ust garść pestek słonecznika. Przeżuł i wypluł łupiny. Przyłożył lornetkę do oczu i rozejrzał się dookoła. Sprawdził pozycje snajperów na otaczających go wzgórzach, po czym spojrzał w niebo.

Od zachodu nadciągały czarne burzowe chmury, efekt wilgotnej i skwarnej pogody na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Nie szkodzi. Za piętnaście minut będą już w domu, zdążą, zanim burza zacznie szaleć.

Savoy obejrzał się przez ramię i skinął głową w stronę lasu. Chwilę później z pomiędzy drzew wyłonił się mężczyzna, ciągnąc za rękę młodą kobietę. Kobieta ubrana była w krótką, podartą sukienkę i szła potykając się co chwila, jak lunatyk. Była to prostytutka, którą pomocnik Savoya zwabił wczoraj do samochodu, a parę godzin temu naszpikował środkami uspokajającymi. Oczy miała nieprzytomne i ledwie stała na nogach.

Pomocnik postawił prostytutkę za krzesłem stojącym obok Savoya i położył jej ręce na oparciu. Złapała je kureczowo, chwiejąc się. Łagodny wiatr rozwiewał brudne brązowe włosy, które zasłaniały jej trupioblada twarz.

Savoy wypluł resztki pestek i jeszcze raz podniósł lornetkę do oczu, by ponownie sprawdzić pozycje.

Powiedziano mu, że ci ludzie są nieźli, ale chciał się o tym przekonać. Takie miał zasady. Poza tym wtedy nikt nie będzie miał mu nic do zarzucenia.

Dał pomocnikowi znak głową i razem pobiegli w stronę dębowego zagajnika. Stojąc za

potężnym pnem drzewa po raz trzeci sprawdził pozycje strzelców. Broń mieli wycelowaną i przygotowaną do strzału. Opuścił lornetkę i spojrzał na młodą kobietę. Starła się utrzymać równowagę. Pochylała się do przodu, opierając o krzesło, jak gdyby stała na mównicy.

– Ognia – powiedział cicho do mikrofonu Savoy.

Zanim wybrzmiała komenda, rozległy się strzały, które złały się w jeden. Nagły huk zakłócił popołudniową ciszę tego spokojnego terenu. Cztery naboje kaliber siedemdziesiąt sześć milimetrów wdarły się w wątłe ciało młodej kobiety. Upadła. Jej twarz spoczęła między źdźbłami wysokiej trawy.

Savoy wybiegł zza drzew i podbiegł do ofiary. Z satysfakcją zauważył, że tył jej głowy przestał istnieć.

Odwrócił ciało i przyjrzał się dwóm czystym dziurkom. Jedna była na środku czoła, druga pod wciąż otwartym lewym okiem. Zadarł do góry sukienkę. Między piersiami znalazł dwie podobne dziurki.

Savoy uśmiechnął się do siebie zadowolony. Rzeczywiście, byli nieźli.

Jay spojrzał na ręczną notatkę przyklejoną do jego krzesła. Znalazł ją, kilka minut po siódmej rano, kiedy pojawił się w McCarthy-Lloyd.

Kup akcje tych dwóch firm, o których rozmawialiśmy wczoraj po kolacji oraz akcje firmy z Bostonu, o której opowiadałeś McCarthy'emu. Kup takie ilości, o jakich mówiliśmy. Zrób to z samego rana, jak tylko pojawisz się w biurze. Nie schrzań tego, Jay. Nie stawiaj mnie w sytuacji, żebym musiał prosić Sally o zrobienie tego za ciebie. Nie muszę pisać, jak bardzo by mnie to wkurzyło.

Ściskam, Oliver O ósmej piętnaście Jay przekazał do realizacji gotowe zamówienia kupna. Cieszyła go transakcja dotycząca Turbo Tec, trochę mniej ta dotycząca Simonsa, a z Bell Chemical nie cieszył się wcale. McCarthy sam przyznał, że Simons nie jest interesujący, a o Bell Chemical Jay nie wiedział nic. Nie miał czasu sprawdzić, czy firma rzeczywiście była atrakcyjnym kandydatem do przejęcia. Jedyne, co Jay wiedział, to nazwa na kartce w kopercie, którą przypadkiem odkrył w skrytce w healeyu.

Mimo wszystko, dokonał tych transakcji. Swoim nazwiskiem firmował wszystkie trzy umowy i cała odpowiedzialność spoczywała na nim. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy jeszcze raz przeczytał list od Olivera. W liście ani razu nie została wymieniona żadna nazwa. Ale czy Jay miał inne wyjście, jak tylko kupować? Nie mógł zignorować polecenia szefa. Wczoraj

wieczorem zgodził się na wszystko. No i zależało mu na premii wynoszącej milion dolarów. Nie mógł dać Oliverowi pretekstu do wyrzucenia go z pracy, na wypadek, gdyby to, co mówił Bullock o planach Masona i pułapkach w kontrakcie było prawdą.

Rzucił list na biurko, rozparł się na krześle, zamknął oczy i cicho jęknął. Był potwornie zmęczony po nocy spędzonej na kanapce. Głód ścisnął mu żołądek. Dochodziła druga po południu, a on nie miał nic w ustach od wczorajszej kolacji. Poza tym, dzień okazał się zwariowany. Przez większość czasu Jay był jedynym specjalistą do spraw obrotu akcjami w swoim dziale i wszystko znalazło się na jego głowie. Sekretarka przekazała mu, że Oliver pracuje nad jakimś projektem dla firmy i zabrał ze sobą Sally na spotkanie w mieście. Bullock przez cały dzień pojawiał się na chwilę, po czym znikał na długie godziny. Abby znowu nie przysłała do pracy. Nie mógł się opanować i ziewnął, zakrywając ręką usta.

– Cześć.

Jay otworzył oczy. Za przepierzeniem stała Sally, sama, bez Olivera.

– Cześć – odpowiedział chłodno, starając się nie myśleć o tym, co wydarzyło się między nimi wczoraj. Był wściekły, że dziś rano wyszła z jego mieszkania bez słowa.

– Tak bardzo chce ci się spać? – zapytała ścisłym głosem i rozejrzała się, czy nikt ich nie słyszy. – Ktoś mógłby pomyśleć, że spędziłeś noc nie w swoim łóżku, tylko na niewygodnej kanapie – zażartowała i uśmiechnęła się szeroko.

– Rzeczywiście, ktoś mógłby na to wpaść. – Usłyszał w swoim głosie rozdrażnienie.

Sally podeszła do siedzącego na krześle Jaya, i oparła się o jego biurko.

– Spędziłam wczoraj wspaniały dzień – szepnęła.

– Ja też. – Nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć jej w oczy. Były piękne.

– Doceniam to, że opowiedziałeś mi o swojej siostrze.

– Tak, no wiesz... – Patrzył przed siebie.

– Przepraszam, że skorzystałam z opcji ekspresowego wymeldowania z Hotelu Jaya Westa – powiedziała. – Nie chciałam cię budzić. – Rozejrzała się, czy nikt na nich nie patrzy, po czym wyciągnęła rękę i pogłaskała go po dłoni. – Chciałam się pożegnać. Naprawdę chciałam.

– No dobrze. W porządku. – Uśmiechnął się do niej. Nic tu nie da robienie wyrzutów, mógłby tylko zrazić do siebie dziewczynę. – O której wyszłaś? – zapytał, zmuszając się do przybrania beztroskiego wyrazu twarzy.

– Koło piątej. Obudziłam się i nie mogłam zasnąć, więc zdecydowałam, że pójdę do domu.

– Powinnaś była mnie obudzić. Pokazałbym ci parę ćwiczeń, które pomagają zapaść w sen.

O jakich ćwiczeniach mówisz? – Zmrużyła oczy, ale kąciki ust uniosła lekko w górę.

– Nic nadzwyczajnego. Takie małe ćwiczenia rozluźniające.

– Aha.

– Wróciłaś do Hoboken? – zapytał Jay.

Twierdząco kiwnęła głową, ale przez chwilę sprawiała wrażenie, że się waha.

– Tak. Przypomniało mi się, że... zapomniałam zapakować parę rzeczy, więc wróciłam do domu.

– W jaki sposób dojechałaś?

Metrem do World Trade Center, potem przesiadłam się do pociągu PATH. – Rzuciła okiem na parkiet.

Oliver i Bullock stali na korytarzu równoległym do parkietu pochłonięci dyskusją. – Pociągi były puste o tak wczesnej porze, więc dojechałam bardzo szybko.

– Myślałem, że zadzwoniłaś po taksówkę z serwisu firmy – powiedział Jay.

– Dlaczego tak sądziłeś? – zapytała Sally i przeniosła wzrok z Olivera na Jaya.

– Zauważyłem, że używałaś telefonu. Słuchawka nie leżała na swoim miejscu. Zostawiłem ją, żeby się naładowała. Znowu wyglądała na zaskoczoną.

– Tak. Dzwoniłam po taksówkę. Ale powiedzieli mi, że musiałabym czekać czterdzieści minut. Dlatego zdecydowałam, że będę dzielna i pojadę metrem.

Jay poczuł, że przebiega go zimny dreszcz. Podobne uczucie miał wczoraj po kolacji, kiedy Oliver poprosił go o zakupienie akcji Bell Chemical.

– A po co włączałaś komputer?

– Co?

Być może to była gra wyobraźni, ale miał wrażenie, że dziewczyna kręci.

– Kiedy się obudziłem i poszedłem do sypialni, monitor był ciepły. Zastanawiałem się, do czego był ci potrzebny.

Roześmiała się, ale jej śmiech zabrzmiał sztucznie.

– Och, widzę, że to poważne przesłuchanie.

– Nie, to załedwie...

– Weszłam do Internetu, żeby sprawdzić poranne notowania, i co działo się w nocy na rynkach Azji – weszła mu w słowo. – Z samego rana miałam spotkanie z Oliverem w mieście,

a nie chciałam iść nieprzygotowana. W gazecie nie zawsze podają końcowe notowania z sesji w Pacific Rim.

– Wiem. – Teraz z kolei Jay wyglądał na zaskoczonego. – Więc o to chodziło...

– Chodźcie wszyscy! – zawołał Oliver podchodząc do nich. Za nim szedł Bullock. – Zapraszam na zebranie w sali konferencyjnej. Natychmiast.

Sally wyduła usta i wzniosła oczy do nieba, kiedy Oliver i Bullock przeszli obok niej.

– Proszę, proszę. Oliver wstąpił na wojenną ścieżkę.

– Nie wiesz, o co chodzi? – zapytał Jay, podnosząc się z krzesła. Sally wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Na spotkaniu wszystko wyglądało w porządku.

Po chwili cała czwórka siedziała wokół stołu w sali konferencyjnej – Oliver u szczytu, Bullock z jego prawej strony, a Sally i Jay naprzeciw siebie.

– Zamknij drzwi – powiedział Oliver patrząc na Jaya. Włosy miał w lekkim nieładzie, a pod przekrwionymi oczami worki. Potarł powieki i wziął głęboki oddech, jakby chciał ochłonąć. Jay powoli wstał z krzesła i podszedł do drzwi. Nie mógł przestać myśleć o tym, jak wygodne jest jego olbrzymie łóżko na West Upper Side.

– Zdążysz przed Bożym Narodzeniem, kolego? – krzyknął za nim Oliver.

Jeszcze wczoraj wieczorem Oliver zachowywał się jak najlepszy przyjaciel, a teraz znowu wrócił do roli kapitana Bligha z Bounty.

Próbował jakoś zacząć, ale nie było mu łatwo. Wreszcie przemówił.

– Abby złożyła rezygnację – powiedział bezbarwnym głosem.

Jay spojrzał na niego, nagle rozbudzony. Wczoraj zauważył w głosie Olivera jakieś dziwne napięcie, kiedy szef wpadł na niego przed sklepem z alkoholem.

– Dziś rano... dziś rano dostałem list – wyjaśniał Oliver. Sięgnął do skórzanej teczki i wyciągnął stamtąd kopertę. Podniósł ją w górę, jakby pokazywał dowód w sądzie – Został wysłany... kurierem.

Na Jayu zawsze robiła wrażenie elegancja i gładkość mowy Olivera, którą potrafił zachować nawet w sytuacjach kryzysowych. Teraz po tej elegancji nie było śladu. Jay przyglądał mu się uważnie. Oliver sprawiał wrażenie tak zamyślnego, że aż nieobecnego. Również jego zwykle nienaganny wygląd pozostawiał wiele do życzenia.

– Chciałem wam o tym powiedzieć jak najszybciej – głos Olivera złagodniał – żebyście się dowiedzieli wszyscy od razu.

– Czy Abby podjęła pracę w jakiejś innej firmie? – zapytał Jay. Oliver nie odpowiadał. Siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę.

– Oliver. – Bullock trącił go łokciem.

– Wybaczcie. – Szef pokręcił głową. – Mógłbyś powtórzyć jeszcze raz pytanie?

– Czy Abby przeszła do innej firmy? – zapytał ponownie Jay.

– Nie wiem. W liście napisała tylko, że składa rezygnację z przyczyn osobistych. – Oliver spojrział na Bullocka, jakby szukał u niego pomocy, tak przynajmniej pomyślał Jay.

Mason wyprostował się na krześle.

– Wszyscy będziemy mieli dużo więcej pracy do chwili, aż razem z Bullockiem nie znajdziemy kogoś, kto zastąpi Abby – powiedział. – A to nie będzie łatwe, bo była wyjątkowo cennym pracownikiem. Zdejmowała z nas ogromne obciążenie, przygotowując pracę od podstaw. Nie wiem, jak nam się uda znaleźć kogoś, kto ją zastąpi. – Włożył kopertę z powrotem do teczki. Drżały mu ręce. – To wszystko, co mam do powiedzenia – dodał ponuro. – Przepraszam, że oderwałem was od pracy.

Zamglonymi oczami spojrział na Sally.

– Wybacz, ale ja i Bullock mamy do pogadania z Jayem.

– Jasne. – Sally wzięła swój notes i pospiesznie wyszła z sali.

Jay przyjrzał się twarzy Olivera. Zauważył na niej zmarszczki, których wcześniej nie dostrzegał. Opalenizna jakby zbladła, a pod oczami rysowały się wyraźnie worki. Coś musiało się wydarzyć od chwili, kiedy Jay i Sally pożegnali się z Oliverem wczoraj w klubie. Może chodziło o Abby. Albo coś zaszło między Barbarą a Oliverem w domu. Niezależnie od tego, co to było, musiało bardzo mocno podziałać na Masona.

– Jay, musimy ci wystawić ocenę z pierwszego miesiąca pracy – oznajmił Bullock, kiedy Sally wyszła.

– Ocenę? – Jay spojrział pytająco na Olivera, siedzącego na krześle. – Wcześniej o tym nie wspominaliście.

– To standardowa procedura – powiedział Bullock. – Każdy nowy pracownik firmy przez to przechodzi. – Sięgnął do notatnika i wyciągnął jakiś dokument, przebiegł go szybko wzrokiem, po czym położył go na stole i popchnął w stronę Jaya. – Przeczytaj, a potem podpisz na dole.

Jay szybko przebiegł wzrokiem dokument. Na pięć możliwych punktów, dostał dwa. Raport wypełniony został przez Bullocka – na dole widniało jego nazwisko.

– Chyba nie rozumiem. Tak niska ocena świadczy o tym, że nie wykorzystuję w pracy całego swojego potencjału. I insynuuje, że za mało z siebie daję, że spędzam w pracy za mało czasu. A przecież odkąd zacząłem tu pracować, prawie codziennie wychodzę do domu o jedenastej w nocy. Czasem nawet później.

– W takim razie twoja praca jest nieefektywna – odparł Bullock. – I powinieneś zrobić w końcu jakieś transakcje.

– Dziś rano podpisałem trzy umowy – powiedział Jay spokojnym głosem. Oliver otworzył oczy i lekko wyprostował się na krześle.

– Jakie firmy? – zapytał Bullock.

– Turbo Tec, Simons i Bell Chemical.

Oliver wyprostował się nagle i pstryknął palcami.

– Pozwól ten raport na chwilę – poprosił Jaya.

Jay popchnął w jego kierunku dokument. Oliver przeczytał go szybko i spojrzał na Bullocka.

– Tylko dwa? – zapytał z niedowierzaniem. – Sądzę, że to sporo za mało. Przerób na cztery.

– Cztery?

– Tak właśnie powiedziałem. Cztery. – Oliver wskazał palcem Jaya. – Pasuje ci cztery?

– Chyba tak.

– Świetnie. – Oliver popchnął kartkę w stronę Bullocka. – Zrób to od razu, Carter – rozkazał i opuścił salę.

Chwilę później Bullock wstał z fotela i wściekły również wyszedł.

Kiedy Jay dotarł do swojego biurka, Bullocka nie było, a Oliver i Sally siedzieli na swoich miejscach pod ścianką działową i trzymali w dłoniach słuchawki. Jay opadł na krzesło, otworzył szufladę i wyciągnął listę z telefonami domowymi pracowników, którą dostał od Bullocka w pierwszym dniu pracy. Jak powiedział Bullock, z personelem działu arbitrażu powinien być kontakt dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo transakcje nie muszą się odbywać tylko między dziewiątą a siedemnastą. Mogło się zdarzyć, że nawet krótka przerwa w łączności z pracownikiem kosztowałaby miliony.

Jay odszukał domowy numer telefonu Abby i wystukał go. Słuchał sygnału i obserwował Sally, która odeszła gdzieś z jakimś dokumentem w ręku. Po pięciu sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. Jay wysłuchał nagrania i odłożył słuchawkę, nie zostawiając żadnej wiadomości. Przez parę chwil wpatrywał się tępo w monitor komputera. Cyferki na ekranie

mrugały nieustannie, na bieżąco pokazując zmiany cen akcji.

Wreszcie Jay wstał, obszedł ściankę działową i stanął przy Oliverze.

– O co chodzi? – Oliver dopiero po chwili oderwał wzrok od dokumentu, który czytał.

Jay wyjął z kieszeni kluczyki do healeya. Przez głowę przebiegł mu obraz Olivera obmacującego Abby.

– Zwracam. – Rzucił kluczyki na biurko, sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął czek, który dostał wczoraj od Olivera. – Szczerze doceniam twój gest, jednak lepiej będzie, jeśli to zatrzymasz.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do dystrybutora wody. Czuł wzrok Olivera na swoich plecach. Ale miał inny problem. Nie mógł przestać myśleć, dlaczego Sally skłamała mu, że rano na jego komputerze sprawdzała sytuację na rynkach Azji. Komputer Jaya nie był podłączony do Internetu.

McCarthy zajął miejsce na tylnym siedzeniu czarnej limuzyny, obok Andrew Gibsona, zastępcy szefa biura prezydenta Stanów Zjednoczonych. McCarthy przyleciał dziś po południu z Nowego Jorku do Waszyngtonu liniami Delta, bo jego prywatny odrzutowiec przechodził właśnie rutynowy przegląd. Gibson kazał kierowcy z lotniska jechać na północny zachód, Aleją Waszyngtona w kierunku ulicy Capital Beltway.

– Cieszę się, że przyleciałeś, mimo że zaprosiliśmy cię z tak niewielkim wyprzedzeniem – zaczął Gibson. – Prezydent przekazuje pozdrowienia. Powiedział, że z niecierpliwością czeka na spotkanie w Nowym Jorku.

– Tak, to będzie wydarzenie – przyznał McCarthy, mile połączony. Lubił Gibsona. Byli mniej więcej w tym samym wieku i mieli podobne poglądy polityczne. Gibson był niewysoki, drobnej budowy i o zawsze nienagannym wyglądzie – gładko zaczesane, proste siwe włosy, pozbawione najmniejszej fałdki ciemne garnitury i klasyczne krawaty.

– To będzie kilka wspaniałych dni – powiedział z emfazą Gibson. – Twoja umiejętność koordynacji pracy biur senatora i mera okazała się bardzo pomocna. Między nimi istnieje spora rywalizacja i obydwaj chcieliby zostać wyróżnieni jako ci najbardziej zasłużeni, z przyczyn politycznych, oczywiście. To było świetne posunięcie, kiedy wkroczyłeś między nich, żeby przypomnieć, że goszczą prezydenta. To ich stan i miasto, ale są sytuacje, kiedy trzeba dać się trochę przytemperować. Dziękuję, w imieniu swoim oraz prezydenta.

– Miło mi.

– Mam jeszcze nie najlepszą wiadomość – powiedział Gibson z wahaniem.

– Słucham? – zapytał McCarthy.

– Obawiam się, że nie uda mi się zapewnić ci miejsca przy stole prezydenckim na kolacji.

– Ach. – McCarthy machnął ręką, jakby ten fakt nie miał dla niego znaczenia. – Nie przywiązuję do tego wagi. Cieszę się, że mogę pomóc prezydentowi. Poza tym, zobaczę się z nim następnego dnia w mieście.

– To pewne – potwierdził Gibson. – Będziesz stał obok niego na podium.

– Miło, że tak mówisz, ale szczerze mówiąc nie liczę na to. Gibson klepnął McCarthy'ego w kolano i uśmiechnął się.

– Swoją skromnością zaskarbiłeś sobie u prezydenta ogromną sympatię, Bili. Zawsze będzie o tobie pamiętał. Potrafisz spojrzeć szerzej, nie tylko na własne podwórko. Tak wielu ludzi, którzy go popierają nie rozumie takiego podejścia – skarżył się Gibson. – Przyjeżdżają do Waszyngtonu i wyciągają ręce po jałmużnę.

Ty do nich nigdy nie należałeś. Jesteś partnerem, i my to doceniamy.

– Dziękuję. – McCarthy wyjrzał przez zaciemnione okno limuzyny. Przejżdżali właśnie przez Key Bridge nad Potomakiem. Pod nimi znajdowało się urwisko Georgetown.

– Prezydent chce, żebyś pojawił się jesienią w Camp David – oznajmił Gibson. – Odbędzie się tam prywatne spotkanie czołowych przedstawicieli amerykańskiej gospodarki. Prezydent chciałby w przyjaznej, rozluźnionej atmosferze usłyszeć opinie ludzi, widzących problemy gospodarki od wewnątrz. Będzie tylko około dziesięciu osób. Dyrektorzy General Motors i ATT, prezes IBM... Rozumiesz, o co chodzi.

– Tak, rozumiem. – Jedyne kilka osób na świecie miało taką możliwość wpływania na politykę. McCarthy próbował ukryć swoją satysfakcję.

– Prezydent nie chce słyszeć, że odmawiasz – ostrzegł go dobrodusznie Gibson.

– Oczywiście, będę – zapewnił McCarthy. – Nie mógłbym odmówić.

– To dobrze.

Limuzyna toczyła się długą, nachyloną trasą w kierunku gęstego lasu na południowym brzegu rzeki Potomak. McCarthy i Gibson zaczęli rozmawiać o obecnym stanie gospodarki, nagłym wzmocnieniu sektora finansowego i o tym, jak McCarthy widzi najbliższą przyszłość dolara. Gibson chciał potem w skrócie zdać sprawozdanie z tej rozmowy prezydentowi.

Kiedy samochód mijiał kwaterę główną Centralnej Agencji Wywiadowczej, kierowca obniżył przegrodę dzielącą go od pasażerów.

– Panie Gibson, wjeżdżamy na Capital Beltway. Jak mam jechać dalej?

– Beltway na północ, a potem na drugą stronę rzeki – poinstruował Gibson. – Zawrócisz na pierwszym zjeździe w prawo i zawieziesz nas z powrotem na lotnisko. Dokładnie tam, skąd przyjechaliśmy.

– Tak, sir. – Kierowca znowu zasunął przegrodę. Gibson przycisnął jakiś guzik na wbudowanej w drzwi drewnianej konsolce i zabrzmiały dźwięki muzyki poważnej.

– Przejdźmy do sprawy najważniejszej, z powodu której chciałem się z tobą dzisiaj widzieć, Bili. – McCarthy poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Nie należał do ludzi, którzy potrafią

ukrywać swoje emocje. Głośno przełknął ślinę i poczuł jak dłonie robią mu się wilgotne. Wylał je o spodnie.

– Spokojnie, Bili – powiedział Gibson. Znał McCarthy’ego wystarczająco, żeby wyczuć jego zdenerwowanie.

– Więc o co chodzi? – zapytał McCarthy. – Jaki jest prawdziwy cel tego spotkania?

– Sprawa dotyczy Olivera Masona.

– Ach, tak?

– Tak. – Gibson pogłośnił muzykę. – Kiedy już będzie po wszystkim, zwolnisz Olivera. Nie może zostać w McCarthy-Lloyd.

– Sądziłem, że...

– Odbyłem dwie poważne rozmowy z zaprzyjaźnioną osobą z Ministerstwa Sprawiedliwości. Wiesz, jaką ona ma władzę.

– Tak. – McCarthy z szacunkiem pochylił głowę.

– Chodzi im o dobro prezydenta, a więc i twoje.

– Rozumiem.

Gibson też był zdenerwowany. Kilkakrotnie zamrugał oczami i zagryzł wargę. Ta reakcja nieomylnie wskazywała, że czuje się nieswój. To była jego pięta achillesowa. Z tego powodu nigdy nie zostanie nikim więcej, jak tylko zastępcą biura prezydenta. Najwyższe pozycje w Waszyngtonie zarezerwowane były dla ludzi, którzy umieli maskować swoje prawdziwe uczucia.

– Ta osoba porozumiała się ze swoim człowiekiem w Nowym Jorku, który obiecał, że nie postawi Olivera w stan oskarżenia – wyjaśniał Gibson – ale nie ma zamiaru pozwolić na to, żeby nadal prowadził twój dział arbitrażu. To byłoby zbyt jawne nadużycie. Ustaliliśmy, że Oliver nie będzie mógł zostać w McCarthy-Lloyd nawet jako pracownik do zadań specjalnych. Czeka go długa przerwa w obrocie akcjami i powinien się cieszyć, że nie spędzi reszty życia w federalnym zakładzie penitencjarnym.

– Rozumiem – odezwał się McCarthy. – Mogę tylko powiedzieć na jego obronę, że to mój przyjaciel. Wiele dla mnie zrobił, a co za tym idzie, również dla prezydenta. Część z pieniędzy, które przeznaczyłem na służbę krajowi, zostały zarobione przez Olivera.

– Bili, nie próbuj mieszać w to prezydenta – ostrzegł Gibson. McCarthy poczuł się urażony. Gibson nigdy nie zwracał się do niego takim tonem.

– Andrew, Oliver przysiągł, że nigdy więcej nie posłuży się nielegalną informacją – argumentował McCarthy. – Wierzę mu. I jeśli miałby kiedykolwiek postąpić inaczej, osobiście pomogę wam go odsunąć.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział Gibson. – Musisz pozwolić odejść Oliverowi, jak tylko kozioł ofiarny trafi za kratki. Carter Bullock też będzie musiał odejść. Prawdę mówiąc, powinieneś na zawsze zamknąć swój dział arbitrażu. Ostatnio mówiliśmy o półrocznej przerwie, ale okazuje się, że przyszłość będzie inna.

McCarthy ledwie łapał oddech. Takie polecenie powodowało niewyobrażalne komplikacje.

– Ale przecież...

– Bili, nie próbuj dyskutować. To nic nie zmieni – ostrzegł go Gibson. – I tak powinieneś docenić swoje szczęście, że sprawa kończy się w ten sposób. Jesteśmy przekonani, że nie miałeś pojęcia, co się dzieje w twoim dziale arbitrażu, ale sam wiesz, jak taka historia potrafi pograżyć, kiedy się w nią wdepnie.

McCarthy zwiesił głowę.

– Oczywiście, że wiem. – Każdy na Wall Street wiedział, że skandal dotyczący wykorzystywania nielegalnych informacji miał większą siłę rażenia niż wybuch atomowy.

– To może dopiero dać początek prawdziwemu polowaniu na czarownice. Ludzie, którzy zostali na czymś przyłapani, żeby się bronić, zaczną oskarżać wszystkich dookoła, niezależnie od tego, czy będą mieli do tego podstawy, czy nie. I niezależnie od tego, jaka jest prawda. – Gibson pokręcił głową. – Uwierz mi, może się zacząć robić nieciekawie. Uczciwi ludzie stracą dobre imię – powiedział złowieszczco. – Nie chcemy, żeby coś takiego przytrafiło się tobie. Prezydentowi na tobie zależy. Tak jak powiedziałem, zawsze będzie o tobie pamiętał. O ile ty zaakceptujesz zaproponowane warunki. Taki jest układ. Musisz się na to zgodzić, mimo że warunki się trochę zmieniły.

– No dobrze. – McCarthy wyjrzał przez okno. Limuzyna wjechała z powrotem w Aleję Waszyngtona i kierowała się w stronę lotniska. Gorączkowo analizował, co się mogło stać, ale nie znajdował żadnego wytłumaczenia.

– Dam Oliverowi godną odpawę. – Musiał się zgodzić na wypełnienie polecenia. Chwila wahania i Gibson mógł inaczej rozwiązać całą sprawę. – Bullockowi też.

– Postąpisz mądrze – powiedział Gibson. – Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. – Podniósł w górę rękę.

– Na twoim miejscu poczekałbym z powiadomieniem Olivera o jego zwolnieniu. To może w tym momencie tylko skomplikować sprawę.

– Racja – przyznał McCarthy ulegle.

Key Bridge pojawił się znowu i po kilku minutach limuzyna zatrzymała się przed halą odlotów linii lotniczych Delta. Gibson uściskał dłoń McCarthy'ego.

– Głowa do góry, Bili. Wszystko pójdzie dobrze. Za parę miesięcy wszystko wróci do normy.

– Tak. Wiem – wybąkał McCarthy.

– Pamiętaj – powiedział Gibson, kiedy kierowca otworzył drzwi McCarthy'emu – ani słowa o tym, co się będzie działo w Nowym Jorku za parę tygodni. Musimy jak najdłużej utrzymać to w tajemnicy, szczególnie sprawę dotyczącą przewidzianej akcji. Zachowaj wszelkie środki ostrożności.

– Oczywiście.

– Bili, jeszcze jedno – krzyknął za nim Gibson.

– Tak?

Idź do fryzjera.

McCarthy uśmiechnął się sztucznie. Przypomniało mu się, jak niedawno to samo powiedział Jayowi.

Wyszedł z klimatyzowanej limuzyny w skwar. Od zachodu nadciągały ciemne chmury. Miał nadzieję, że burza nie opóźni jego lotu do Nowego Jorku.

Oliver leżał na kanapie. Tej samej, na której przed paroma dniami razem z Abby dzielili się działką kokainy.

Na czole położył chłodny mokry ręcznik. Górny guzik koszuli w prążki miał odpięty, węzeł krawata opuścił prawie do połowy piersi. Pantofle stały na podłodze. Oliver przewrócił się na bok i ręcznik spadł na podłogę.

Sięgnął, żeby go podnieść, ale nie udało mu się. Jęknął.

– Co się dzieje, Oliver? – Kevin O’Shea usiadł na brzegu fotela, parę kroków od kanapy. Powoli sączył mrożoną herbatę. Mimo klimatyzacji, w pokoju panował zaduch. Nowy Jork nawiedzała fala upałów.

– Nie, nic – posępnie odpowiedział Mason.

– No, nie daj się prosić – nalegał O’Shea. – Powiedz, co cię gnębi. – Niezależnie od wszystkiego, polubił Olivera Masona.

O’Shea miał ciemnorude włosy, zielone oczy i jasną cerę. Był wysokim mężczyzną, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, o szerokiej klatce piersiowej, już nie tak dobrze umięśnionej jak dwa lata temu, zanim przekroczył czterdziestkę. Nie miał czasu na ćwiczenia. Powoli zaczął mu się robić brzuszek, głównie przez słabość do cheesburgerów w McDonald’ sie, które pomagały mu walczyć ze stresem w pracy. Wziął między palce skórę na brzuchu, żeby sprawdzić, czy ostra dieta, jaką od paru dni aplikowała mu żona, dała rezultat.

Skrzywił się. Pasek od spodni uciskał go bardziej niż zwykle, a wałek tłuszczu wydawał się większy.

– Nie oszukuj się, Kevin – powiedział Oliver. Przewrócił się na plecy i położył ręcznik z powrotem na głowie. – Dla faceta takiego jak ty, to walka z góry skazana na niepowodzenie. Brzuszek zostanie. A im będziesz starszy, tym większy się będzie robił ten twój przyjaciel. Ale przynajmniej masz pewność, że nigdy cię nie opuści, czego żaden z nas nie może powiedzieć o większości znajomych – dodał gorzko.

– Dzięki za słowa otuchy – westchnął O’Shea, dalej sącząc mrożoną herbatę. Pomyślał, że następnym razem nie będzie sprawdzał stanu swojej tkanki tłuszczowej w towarzystwie. Okazuje się, że ludzie widzą, co robisz, nawet jeśli ci się zdaje, że na ciebie nie patrzą.

– Doceniam twoją chęć pokrzepienia mnie.

– Drobiazg – Oliver cicho jęknął.

– Powiedz mi, o co chodzi – zmienił temat O’Shea. – Sprawiasz wrażenie rozbitego, nie poznaję cię. – Oliver skrzywił się.

– Zwykle problemy rodzinne.

– Znowu kłopoty z żoną?

– Powiedzmy, że tak. Słuchaj, zdradź mi jedną rzecz. – Głos Olivera zmienił się. Znow był pełen energii, jakby Mason włączył inny bieg.

– Tak, słucham.

– Czy to nie irlandzki akcent u ciebie słyszę?

– Owszem, stary – O’Shea odpowiedział z przesadnym akcentem z Belfastu. – Mój ojciec należy do drugiego pokolenia w tym kraju. Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, mówił tak, że byś go nie rozumiał. Trzeba się było dopiero do tego przyzwyczaić – wyjaśnił O’Shea. – Ale ty żartujesz, czy słyszysz to naprawdę?

– Czasami wychwytyuję pewne naleciałości – powiedział Oliver zamyślony.

O’Shea postawił szklankę na stoliku przy fotelu.

– Dosyć tych pogaduszek, Oliver. Powiedz mi, jak się mają nasze sprawy? Mason rzucił ręcznik w stronę drzwi do łazienki i otarł ręką czoło.

– Jay West kupił dzisiaj te akcje. Duże ilości Simonsa i Bell Chemical oraz jeszcze czegoś, co się nazywa Turbo Tec.

– Co to takiego? – zapytał podejrzliwie O’Shea. – Pierwszy raz słyszę. Miałeś o tym informację od swoich przyjaciół?

– Nie – Oliver pokręcił głową. – Jay sam wynalazł tę firmę. Jego kolega ze studiów tam pracuje.

– Brzmi dobrze – powiedział O’Shea i kilkakrotnie powtórzył głośno nazwę. Bał się robić jakiegokolwiek notatki. – Jeśli się okaże, że Jay zrobił coś nielegalnie, to tylko ułatwi sprawę. – Przerwał. – Mamy to, czego potrzebowaliśmy?

– Tak. – Oliver usiadł. Sięgnął pod kanapę i wyciągnął stamtąd kopertę. – Trzymaj. Dyskietka jest w środku.

O’Shea zajrzał do koperty i schował ją do kieszeni marynarki.

– A co z drugą sprawą? Jak idzie?

– W porządku – To dobrze. – O’Shea rozluźnił się. Wszystko szło zgodnie z planem.

– Pułapka jest zastawiona – powiedział Oliver dramatycznie. – Owieczka została przyprowadzona do ołtarza.

Pozostało nam czekać na moment, kiedy oferty przejęcia zostaną ogłoszone. W porządku?

– W porządku – przytaknął O’Shea. – Jak sądzisz, kiedy to nastąpi?

– Pytanie za milion dolarów, co?

– Czy twoi informatorzy nigdy się nie mylą? – zapytał O’Shea. – Czy nie zdarzyło ci się dostać informacji, która okazała się nieprawdziwa?

– Jasne, czasami tak bywa – przyznał Oliver. Przez chwilę pomyślał o Tonym Vogelu i pozostałej trójce informatorów, pracownikach firm brokerskich na Wall Street. W zamian za pewne korzyści przez ostatnich pięć lat dostarczali mu informacji o ofertach przejęcia, które dopiero miały być ogłoszone. – Transakcje na Wall Street to nigdy nic pewnego. Pan powinien to wiedzieć, panie pełnomocniku ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

O’Shea wznosił oczy do góry.

– No to świetnie. To dopiero mogłoby pokrzyżować nam plany. Załóżmy, że któraś z tych transakcji nie wypaliła – to znaczy Bell Chemical albo Simons. Znajdziemy się wtedy w punkcie wyjścia. A Jay West mógłby zacząć coś podejrzewać. I kiedy znowu go poprosisz o kupno akcji, może odmówić.

– Nie panikuj – powiedział uspokajająco Oliver. Tony i reszta mylili się bardzo rzadko. W ciągu tych pięciu lat tylko kilka informacji okazało się niewypałem. – Wszystko będzie dobrze. – Oliver położył nogi na stoliku. – Kevin, powiedz mi, dlaczego zostałeś rządowym prawnikiem? Co cię, u diabła, podkuśiło, żeby wybrać tak niewdzięczną działkę?

O’Shea opanował uśmiech. Jako przedstawiciel prawa powinien gardzić Oliverem. Ten człowiek miał moralność zwykłego złodziejzaka. Gorzej, bo okradł wielu ludzi z dużo większych niż pospolity złodziej pieniędzy. Jednak Mason miał fascynujący sposób patrzenia na życie i unikalną umiejętność budzenia w ludziach sympatii, choć nikt nie miał wątpliwości, że to, co go naprawdę w życiu interesuje, to pieniądze.

– Mój ojciec był policjantem – jego sześciu braci zostało albo glinami, albo robotnikami na budowie – wyjaśnił O’Shea. – Ci, którzy pracowali na budowie, skarżyli się bez przerwy na ból w plecach. Dlatego od dziecka nie pociągała mnie ta praca. Ale system wymierzania sprawiedliwości – tak. Z tym zastrzeżeniem, że nie chciałem dać się zastrzelić, tak jak mój ojciec.

No i zarówno pracownicy na budowie, jak i gliniarze nie zarabiali za dobrze. W efekcie, zdecydowałem się na szkołę prawniczą.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – powiedział Oliver. – Rozumiem, że można chcieć zostać prawnikiem, nawet mimo to, że prawnicy mają ograniczone pole do popisu – zauważył. – Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego postanowiłeś pracować dla rządu. Pewnie się zaharowujesz, nawet bardziej niż chłopcy z Davis Polk albo Skadden Arps, a finansowo nie możesz się z nimi równać.

– Rodzice mnie nauczyli, że najważniejsze jest robić coś, co ma sens i że pieniądze nie są najważniejsze.

Mówili, że nie ma nic złego w robieniu pieniędzy, o ile równocześnie społeczeństwo na tym zyskuje. – Przez ostatnich parę lat O’Shea sam coraz częściej zastanawiał się nad odpowiedzią na to pytanie. Po długich latach ciężkiej pracy dochrapał się wreszcie najwyższego stanowiska na drabinie kariery, którą wybrał. Został mianowany starszym pełnomocnikiem ministra sprawiedliwości w biurze na Manhattanie. Był szanowanym urzędnikiem i jako pracownik ministerstwa zarabiał dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów rocznie. Ale mając na utrzymaniu czwórkę dzieci wcale nie uważał, że udało mu się dorobić. – Sądzę, że spełniam swój obowiązek wobec społeczeństwa, kiedy powstrzymuję facetów takich jak ty od okradania Amerykanów – dodał prowokująco.

– Prestiż jest aż tak duży, żeby nie zazdrościć kolegom w wypasionych samochodach, którzy zarabiają miliony dolarów rocznie?

I mieszkają w ogromnych willach na Rye i Greenwich – dodał w myślach O’Shea.

– Żałuję tylko, że nie będę mógł wsadzić cię za to. Ale obiecuję, że pozostaniesz pod troskliwą obserwacją.

– Nie wątpię – powiedział Oliver oschle. – Mogę cię tylko zapewnić, że kiedy to się skończy, nigdy więcej nie zostanę oskarżony o wykorzystywanie nielegalnych informacji. Wyciągnąłem wnioski z tej lekcji.

O’Shea uśmiechnął się ironicznie.

– Daję głowę, że nie. Jesteś chorym, uzależnionym człowiekiem. Takiego wirusa nie można nagle wyrzucić z krwiobiegu. Często byłem świadkiem podobnych sytuacji. W ciągu roku zorganizujesz nową siatkę informatorów. – O’Shea wyciągnął palec w kierunku Olivera. – A kiedy to się stanie, znowu się spotkamy. – Zmrużył oczy. – Wtedy trafisz do więzienia

osobiście – nie skończy się na tym, że ktoś inny za ciebie beknie. I może wtedy wydasz nam McCarthy'ego.

– Nie ma tu kogo wydawać – szybko zaprzeczył Oliver. – Zanim twoi ludzie nie zaczęli z nim rozmawiać, Bili nie miał o niczym pojęcia. Jest czysty.

– Czyżby? – O'Shea nie wierzył w to ani przez chwilę. Bili McCarthy należał do weteranów Wall Street.

Musiał wiedzieć, że Oliver nie mógłby systematycznie zarabiać dla firmy tak ogromnych pieniędzy legalnie. To się po prostu nie zdarza, tyle razy postawić na właściwego konia bez dostępu do nielegalnych informacji. Ale to nie O'Shea decydował, kto zostanie uznany za winnego. Decyzję dotyczącą sprawy McCarthy-Lloyd podjęto wiele szczebli wyżej, pewnie w limuzynie na Beltway albo w jednym z pokoi na Kapitolu. O'Shea był tylko wykonawcą poleceń swoich przełożonych. – Jesteś pewien, że Carter Bullock nic nie wie?

– Na sto procent – powiedział Oliver pewnym głosem. – Bullock nie ma pojęcia, co się dzieje. Możesz mi wierzyć.

– A West?

Oliver zacisnął zęby. Wczoraj Jay odebrał telefon od tego idioty, Tony Vogela. Oliver był pewien, że Jay odkrył kopertę z nazwą Bell Chemical w skrytce w healeju. Ale mimo wszystko, dziś rano dokonał tych transakcji.

– Nic nie wie – powiedział spokojnym głosem Oliver. – Jay nic nie wie. Robi to, co mu każą. Myśli tylko o tym, żeby zasłużyć na milionową premię, którą mu obiecałem. Jest uczniem. – Przed oczami Olivera stanęła wczorajsza wieczorna scena z Barbarą.

– Czyżbym słyszał w twoim głosie nutkę żalu? – zapytał O'Shea. – Czujesz się winny z powodu tego chłopaka? – O'Shea bał się, że Olivera ogarną w ostatniej chwili jakieś wątpliwości.

– Nie, do cholery, nie! – parsknął Oliver.

– Na pewno?

– Na pewno. – Oliver podniósł się z kanapy i podszedł do okna wychodzącego na Central Park. O'Shea wstał.

– W porządku, Oliver. Wygląda na to, że wszystko jest pod kontrolą. Muszę już iść. – Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. – Jeśli coś się będzie działo, zadzwoń do mnie pod numer, który ci dałem. Nigdy nie szukaj mnie w biurze. Jasne?

– Jasne, jasne. – Oliver nie przestawał wyglądać przez okno.

– No, dobrze. Pozostaje mi życzyć ci słodkich snów – zawołał O’Shea otwierając drzwi na korytarz. Po chwili już go nie było.

– Wypchaj się, kretynie – mruknął Oliver. – Boże, jak ja bym chciał go zniszczyć.

Stał przed oknem jeszcze dłuższą chwilę. Obserwował turystów wsiadających do zaprzężonych w konie powozów, które stały rzędem wzdłuż Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, cztery piętra niżej. Zastanawiał się nad uwagą O’Shea, że kiedy sprawa ucichnie, Oliver nie będzie potrafił powstrzymać się od nielegalnego procederu.

I gdy tylko Jay West z wyrokiem dwudziestu lat wyląduje w więzieniu w Leavenworth, Oliver nie będzie w stanie uwolnić się od kuszącej perspektywy zrobienia następnych pieniędzy. A kiedy to się wyda, nie pomogą wpływy McCarthy’ego, bo rząd nie będzie mógł po raz drugi pójść na taki układ. Kontakty nie przydadzą się na nic więcej, nawet takie, jakie miał McCarthy.

Oliver jeszcze chwilę stał przy oknie, po czym powoli wrócił na kanapę. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął skrawek papieru złożony w trójkącik. Trzęsącymi rękami rozwinął pakiecik i położył go na stoliku. Kiedy patrzył na biały proszek, zaschło mu w ustach. To niemądre, ale czuł się po tym tak cudownie. Miał wtedy poczucie siły i nietykalności, o jakich mógł tylko marzyć i jakich brakowało mu od chwili, kiedy pewnego marcowego popołudnia spotkał się z McCarthy’em i O’Shea w zaciszu mieszkania McCarthy’ego. Jego świat rozpadł się wtedy na kawałki w kilka sekund.

Oliver włożył rękę pod kanapę i wyciągnął stamtąd niewielki obrazek w ramce, który zdjął kiedyś ze ściany apartamentu. Przesypał proszek na szkło, wyciągnął z kieszeni brzytwę i zaczął rozbijać nią większe kryształki kokainy. Potem podzielił proszek na dwie części i zaczął formować z nich dwie ścieżki. Właśnie wtedy, w mieszkaniu McCarthy’ego Oliver nabrał pewności, że wkrótce wyląduje w więzieniu z rękami skutymi kajdankami. Biuro pełnomocnika ministra sprawiedliwości dysponowało dowodami w co najmniej trzech sprawach, w których nie było wątpliwości, że Oliver lub ktoś inny z działu arbitrażu, posłużył się nielegalnie zdobytymi informacjami. Tylko dzięki pozycji McCarthy’ego i dzięki jego zasługom dla Białego Domu urząd zgłosił się najpierw do niego, a on z kolei zwrócił się z prośbą o pomoc do swoich wysoko postawionych przyjaciół. Ci zaproponowali mu bardzo atrakcyjny układ. Z powodów politycznych dział arbitrażu w McCarthy-Lloyd będzie musiał poświęcić kogoś jako kozła ofiarnego. Osoba ta na oczach publicznych zostanie oskarżona i osądzona. A dział arbitrażu na

pół roku zawiesi swoją działalność. Takie rozwiązanie pozwoli udobruchać Ministerstwo Sprawiedliwości, a z drugiej strony pozostawi głównych graczy nietkniętych. W ciągu sześciomiesięcznej przerwy w działalności, Oliver będzie pracował dla McCarthy'ego nad specjalnym projektem. A kiedy upłynie czas tej półrocznej kwarantanny, dział arbitrażu wznowi działalność. Jednak nie będzie już mógł nigdy więcej opierać transakcji na nielegalnych informacjach.

Oliver przerwał formowanie ścieżki. Był pewien, że może się powstrzymać od podejrzanych gier. Co prawda jeszcze niedawno był tak samo pewien, że już nigdy nie wybierze się na spacer po północnej części Central Parku, żeby się tam spotkać ze swoim dealerem kokainy, a jednak to zrobił. Może jednak O'Shea miał rację. Może już nigdy nie uda mu się wrócić na drogę prawa. Oliver ciężko westchnął. Chrzanić O'Shea. Facet nie miał pojęcia, jak to jest zarabiać duże pieniądze. Nie miał pojęcia o stresie, jaki temu towarzyszy. Przez ostatnie piętnaści lat O'Shea żył nudnym, spokojnym, bezpiecznym życiem. Nigdy nie podjął prawdziwego ryzyka, ukryty w ochronnym kokonie rządu federalnego i zadowolony ze swojego głównianego domku na głównianym Queens. O'Shea nie miał pojęcia, jak to jest mieć do zjedzenia tylko to, co się samemu upolowało.

Nie czuł nigdy, co to znaczy próbować dorównać człowiekowi takiemu jak Harold Kellogg.

Oliver wziął do ręki słomkę, która leżała na szkle i przygotował się do wciągnięcia narkotyku.

Nagle pukanie do drzwi wytrąciło mu słomkę z ręki. Zerwał się na nogi i podniósł do góry rękę, jakby ktoś za chwilę miał go aresztować.

Drzwi się otworzyły. W korytarzu stał Bullock.

Oliver był niemal pewien, że stukał Kevin O'Shea, który zastawił na niego pułapkę, i że tak naprawdę zależało mu na wsadzeniu Olivera do więzienia nie za nielegalne operacje akcjami, ale za narkotyki. Opanowała go jakaś obsesja – zdawało mu się, że w sprawę została wciągnięta Abby i że jej zniknięcie miało coś wspólnego z tym stukaniem do drzwi, że posłużono się nią jako świadkiem. Patrzył teraz na Bullocka i dotarło do niego, że znowu miał szczęście.

– Co ty wyprawiasz? – Bullock wskazał głową na kokainę.

– Nic – warknął Oliver, odzyskawszy kontrolę nad sytuacją. – Zamknij te drzwi. Na klucz.

Bullock posłusznie wykonał polecenie, po czym powoli przemierzył pokój i stanął za fotelem, który przed paroma minutami zwolnił O'Shea.

– A więc tym się zajmujesz w czasie wolnym od pracy.

– Zamknij się. – Oliver usiadł na kanapie i wciągnął do nozdrza całą ścieżkę. – Proszę, możesz się poczęstować – zaoferował, odchylając do tyłu głowę, żeby proszek nie wypadł z nosa.

Wyciągnął rękę ze słomką w stronę Bullocka.

– Dziękuję, nie skorzystam.

– Skąd, do diabła, wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? – zapytał Oliver podejrzliwie. Nikomu nie mówił, dokąd idzie.

– Szedłem za tobą.

– Po co?

– Chciałem wiedzieć, dokąd się wybierasz.

– Ale dlaczego?

– Czysta ciekawość.

– I co, zaspokoiliś ją? – głowa Olivera opadła do tyłu, na oparcie kanapy.

– Nie. Kim jest ten facet, który przed chwilą stąd wyszedł? – zapytał Bullock.

– Kevin O’Shea. – Nie było powodu, dla którego miałby ukrywać przed Bullockiem, kim był O’Shea. Bullock siedział w tym po uszy, tak samo jak on. Wiedział wszystko o rządowym dochodzeniu i o układzie z władzami.

Nie było między nimi tajemnic. A jeśli O’Shea wierzył, że jest inaczej, był głupcem. – O’Shea jest pełnomocnikiem ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych na południową dzielnicę Nowego Jorku. – Kokaina powoli zaczynała działać. Oliver zaczynał czuć tę siłę przepływającą przez całe ciało. – To bubek, który wsadzi za kratki Jaya Westa, a nas zostawi na wolności. – Oliver uśmiechnął się. Poczul fałę, która porwała go ze sobą jak lawina. Życie znowu było dobre. Gdyby jeszcze tylko Abby czekała na niego w sypialni naga, przykryta prześcieradłem. Wtedy życie byłoby doskonałe. Tęsknił za Abby. Sam przed sobą bał się do tego przyznać. Nigdy w życiu za nikim tak nie tęsknił.

– Więc to był O’Shea. – Bullock usiadł w fotelu. – Powiedziałeś mu, że Jay dokonał tych transakcji?

– Tak. – Poczul znajomą wilgoć w gardle. Kilkakrotnie przełknął ślinę, którą wywołał narkotyk. – Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

– No chyba.

– Zaniósłeś do działu kadr ten raport z pierwszego miesiąca pracy Jaya? – zapytał Oliver.

Mówił teraz szybciej. Kokaina działała. – Ten z oceną na dwa punkty?

Bullock uśmiechnął się.

– Oczywiście, że tak. Dołączyłem do niego notkę, że Jay odmówił podpisania go, tłumacząc się umową.

O’Shea powinien być zadowolony. – Bullock roześmiał się złośliwie. – Mówiłem Jayowi, że masz zamiar wywalić jego albo Sally. I że umowa o pracę, którą podpisał, jest pełna kruczków. Wszystko się zgadza.

Oliver pokręcił głową.

– Biedny dzieciak. Nawet nie przeczuwa, co się z nim będzie działo. Nie ma pojęcia, że prosto na niego jedzie ciężki pociąg towarowy. Kevin O’Shea dostanie go bez trudu.

– Taką mam nadzieję.

Przez chwilę milczeli. Wreszcie Oliver spojrzał na Bullocka.

– Jak sądzisz, co się stało z Abby?

– Nie wiem, Oliver, ale boję się jak cholera. Jeśli to prawda, co mi powiedziałeś i ona wie o naszych partnerach, o Tonym i reszcie... i jeśli poszła do kogoś i wygadała się, możemy mieć prawdziwe kłopoty.

Oliver głośno wypuścił powietrze. Męczyła go świadomość, że nie może się skontaktować z Abby.

– Carter, ja muszę ją odnaleźć.

– Cześć – krzyknęła Sally, prowadzona przez kelnera. Kiedy zbliżyła się do Jaya, uściśnęła go za ramię, cmoknęła w policzek i zajęła miejsce, które dla niej zarezerwował. – Przepraszam za spóźnienie – powiedziała.

Miała przyspieszony oddech.

– Nie przejmuj się. – Siedzieli przy niewielkim stoliku przy oknie i Jay nie mógł oderwać od dziewczyny oczu. Krótka, czarna sukienka opinała jej szczupłe ciało, odsłaniając długie zgrabne nogi i delikatne ramiona. W blasku świec połyskiwały eleganckie diamentowe kolczyki w jej uszach. Jay rozejrzał się dookoła i zauważył, że kilku mężczyzn w restauracji przygląda się z uwagą kobiecie, która właśnie zajęła przy nim miejsce. – Świetnie wyglądasz.

– Dzięki. Wstyd się przyznać, ale szykowałam się od piątej. – Jęknęła. – I mimo to się spóźniłam. – Wyciągnęła rękę nad talerzami, srebrnymi sztućcami i kieliszkami, i uściśnęła jego palce. – Cały tydzień za tobą tęskniłam.

Jay spojrział jej w oczy. Tempo pracy było szaleńcze i prawie nie mieli możliwości zamienić słowa w biurze.

Ale w piątek o piątej Jay podniósł słuchawkę i ku swojemu zdumieniu usłyszał głos Sally. Dzwoniła z sali konferencyjnej i proponowała spotkanie w sobotę, na kolacji w River Cafe, o ósmej. Tylko oni dwoje. Jay spojrział wtedy na Bullocka, który siedział parę kroków dalej i czytał jakiś dokument. Przyjął zaproszenie krótkim: „Jasne”, żeby nie wzbudzić podejrzeń Borsuka. Po tym telefonie Sally już nie wróciła za biurko, i kiedy czekał na nią w restauracji, a ona się spóźniała, był pewien, że go wystawiła. Ale oto jest. Jeszcze piękniejsza, o ile to możliwe. Jay uświadomił sobie, że czekał na tę chwilę bardzo długo.

– Miło mi, że wczoraj zadzwoniłaś z tą propozycją – przyznał.

– To było dosyć odważne, co? Zadziwiłam sama siebie. Przyszedł kelner z butelką chardonnay. Rozlał wino i bez słowa się wycofał. Wyczuł, że ta para nie chce, żeby im przeszkadzano.

– Za nas – powiedziała Sally podnosząc kieliszek.

– Za nas – powtórzył Jay, stukając szkłem o szkło. Mimo że w jej towarzystwie czuł się tak dobrze, musiał zadać jej kilka ważnych pytań. To nie będzie łatwe. Nie chciał psuć atmosfery.

– Jest tak pięknie. – Patrzyła przez okno na linię dolnego Manhattanu, która rysowała się po drugiej stronie East River. W oknach biurowców paliły się światła, chociaż był sobotni wieczór.

– Nie sądzisz?

– Tak. Jest pięknie.

Przez chwilę milczeli. W końcu Sally odezwała się znowu.

– Czy są jakieś wiadomości o... – zawiesiła głos. – Jak się nazywała ta dziewczyna, która wysłała Oliverowi rezygnację?

– Abby – powiedział Jay. – Abby Cooper.

– No właśnie. Poznałam ją przelotem we wtorek. To chyba była miła osoba.

– Tak, bardzo miła – przytaknął Jay. – Ale nie wiem, nie słyszałem, żeby się do kogoś odezwała.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – zapytała Sally i napiła się wina.

Jay patrzył, jak opróżnia kieliszek. Sprawiała wrażenie trochę spiętej.

– Sądzę, że tak. – Przez chwilę chciał powiedzieć Sally o tym, czego był świadkiem w magazynie, ale zdecydował, że tego nie zrobi. – Abby nie należy do osób, które wysyłają rezygnację kurierem. Jest odpowiedzialna i nie chciałaby zawieźć ludzi, z którymi pracuje.

– Dobrze ją znałeś? – zapytała Sally kończąc zawartość kieliszka. Jay wyciągnął z wiaderka butelkę wina i napełnił jej kieliszek.

– Jestem w McCarthy-Lloyd zaledwie miesiąc, ale zdążyliśmy się z Abby polubić. Na stopie zupełnie przyjacielskiej – dodał.

– Próbowalesz się z nią skontaktować?

– Zostawiłem na jej sekretarce kilka wiadomości, ale nie odezwała się.

– Nie chcę robić zamieszania, ale może miałoby sens skontaktować się z jej rodziną. W dziale kadr powinni mieć jakiś numer do kogoś, kogo należałoby zawiadomić w razie wypadku.

– To dobry pomysł. – Jay nie przyznał się Sally, że odnalazł numer telefonu jej rodziców mieszkających na Brooklynie, zanim jeszcze ktoś z kadr przyszedł we czwartek po południu sprzątnąć jej biurko. Nie chciał po sobie pokazać, jak bardzo niepokoiła go ta sprawa. – Wykazałaś sporo sprytu, kiedy się ze mną umawiałaś – powiedział Jay, zmieniając temat. – Sam fakt, że zadzwoniłaś z sali konferencyjnej.

Przez chwilę bawiła się kolczykami.

– Nie chciałam, żeby Bullock coś sobie pomyślał. Jest strasznie wścibski, szczególnie jeśli chodzi o ciebie – powiedziała. – Podsluchuje każde twoje słowo, kiedy z kimś rozmawiasz przez telefon. To musi być dla ciebie wkurzające.

– Owszem, jest.

– Oliverem nie przejmowałabym się – powiedziała Sally. – Nie miałby nic przeciwko temu, że się spotykamy. Pewnie nawet by się cieszył. Ale Bullock to co innego.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Jay. – Dlaczego sądzisz, że Oliver by się cieszył, że się spotykamy?

Łyknęła wina i wzruszyła ramionami.

– Kiedy wracaliśmy w zeszłym tygodniu z tego spotkania, powiedział, że zauważyli z Barbarą... – Sally zawahała się.

– Co? – dopytywał się Jay.

– Ale to głupie.

– No mów, proszę, już.

– Powiedział, że wtedy na łódce widać po nas było, że... cieszymy się swoim towarzystwem. I na kolacji też.

– Spojrzała mu w oczy. – Oświadczył, że dla niego to nie ma znaczenia, czy będziemy się widywać poza pracą.

Chodzi mu tylko o to, żeby trzymać się z takimi sprawami z daleka od biura.

– Tak ci powiedział? – Jay uśmiechnął się szeroko. Wycelowała w niego palec.

– Tobie powiedział to samo? Jay kiwnął głową.

– Po kolacji, w klubie. Sally roześmiała się.

– Cały Oliver. Potrafi zachować się jak palant, ale po chwili okazuje się, że to całkiem porządny gość.

– Doskonale to ujęłaś. – Jay patrzył na błyszczące diamentyki w jej uszach. – Ale co miałaś na myśli mówiąc, że nie chciałabyś, żeby Bullock coś sobie pomyślał? Co miałby sobie pomyśleć?

Oparła na stole łokcie i położyła brodę na splecionych dłoniach.

– Mogę powiedzieć coś bardzo osobistego?

– Oczywiście.

– Nie wiem dokładnie, co mógłby sobie pomyśleć, ale faktem jest, że mógłby mieć rację. –

Zawiesiła głos i nie odrywała wzroku od jego oczu. – Od dłuższego czasu nikt mi się nie podobał – powiedziała. – Nie martw się.

Nie chcę się do niczego spieszyć, ani o nic nie proszę. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że musimy być bardzo ostrożni, bo razem pracujemy. Ale chciałabym cię widywać również poza pracą.

– Brzmi dobrze. Nie ująłbym lepiej tego, co sam czuję.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i nagle w tym samym momencie odwrócili wzrok. Uświadomili sobie, że wszystko stało się dużo bardziej skomplikowane.

– Opowiedz mi więcej o sobie – Jay w końcu przerwał ciszę.

– Co chciałbyś wiedzieć? – Sally patrzyła na linię budynków rysującą się na drugim brzegu rzeki.

– Mówiłaś, że urodziłaś się w Gloucester.

– Tak. Wychowałam się na południowym brzegu Cape Ann. Bardzo dobre miejsce do mieszkania. Jestem dzieckiem szczęścia. Rodzice mieli pieniądze, niczego mi nie odmawiali. Po szkole średniej zaczęłam studia w Yale. Z pewnością nie przeszkodził mi fakt, że ojciec sam był absolwentem tej uczelni, a poza tym należał do regularnych sponsorów uniwersytetu. Ojciec pomógł mi potem dostać się do szkoły biznesu na Harvardzie.

– Pomógł ci też pewnie znaleźć pracę po Harvardzie, w tej firmie finansowej w San Francisco? – zapytał Jay.

Przecząco pokręciła głową.

– Nie, sama ją zdobyłam.

– W jaki sposób dowiedziałaś się o pracy w McCarthy-Lloyd?

– Przez agencję pośrednictwa pracy. – Znowu łyknęła wina. Na jej twarzy pojawił się smutek. – Szkoda, że moi rodzice o tym nie wiedzą. Byliby dumni.

– Na pewno – zgodził się Jay. Ze smutkiem pokręcił głową. – To straszne, jak zginęli. To była katastrofa samolotowa?

– Tak.

– Dwa lata temu?

– Mhm... – Skończyła wino i postawiła opróżniony kieliszek na lnianym obrusie. – Poproszę jeszcze.

Jay nalał wina do obu kieliszków i dał kelnerowi znak, że prosi o następną butelkę.

– Jeszcze jakieś pytania, panie Sherlocku Holmesie? Jay wyczuł w jej głosie zniecierpliwienie.

– Za bardzo się wtrącam? – zapytał. – Przyznaj, zachowuję się jak Bullock?

– Po prostu jesteś uparty. – Podniosła kieliszek i przechyliła go na bok, patrząc, jak odrobina płynu w środku przemieszcza się.

– Jesteś z kimś związana?

– Co? – zaskoczyło ją tak bezpośrednie pytanie.

– Czy jest ktoś w San Francisco? – nalegał Jay.

– Pytanie bardzo w stylu Bullocka.

– Odpowiedź też.

Sally przez chwilę milczała.

– Był ktoś – powiedziała w końcu. – Ale to przeszłość. Zbliżył się kelner z drugą butelką wina. Umilkli.

– Teraz moja kolej na zadawanie pytań – odezwała się Sally, kiedy kelner odszedł.

– Dobrze.

– A jak jest z tobą? Jest ktoś w Nowym Jorku, o kim powinnam wiedzieć? Jakaś kobieta, która byłaby bardzo niezadowolona, gdyby się dowiedziała, że jedliśmy razem kolację?

Jay zaprzeczył ruchem głowy.

– Umawiałem się z paroma dziewczynami, ale nie miało to żadnej przyszłości. Nic poważnego. Byłem zbyt pochłonięty pracą. – Zamilkł, oczekując na kolejne pytanie, które nie padało. – To wszystko?

– Och, nie myśl, że to koniec.

– Dobrze. Możesz pytać, o co chcesz.

– Zgoda. Powiedz mi, dlaczego za wszelką cenę upierasz się, żeby grać twardziela?

Spojrzał na nią zdziwiony. Nie wiedział, o co jej chodzi.

– Nie rozumiem.

– W środę zeskoczyłeś z masztu z wysokości dwudziestu metrów. A potem w nocy, kiedy byliśmy na dachu, wszedłeś na murek. – Wzrokiem poszukała jego oczu. – Musi być jakaś przyczyna, dla której robisz takie rzeczy.

– Zwariowałeś. Któregoś razu, kiedy odwiedzałaś rodziców w południowej Karolinie musiałaś za długo leżeć na słońcu. Bo tam się przenieśli z Gloucester, prawda?

Sally odstawiała kieliszek i utkwiała wzrok w płomieniu świecy.

– Dlaczego wciąż to robisz? – zapytała drżącym głosem.

– Co takiego? – zapytał z niewinną miną.

– Dlaczego wciąż mnie sprawdzasz?

– Hmm?

– Zachowujesz się, jak gdybyś mnie wciąż sprawdzał albo próbował mnie przyłapać na kłamstwie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Robiłeś dziś jakieś dziwne aluzje, że mieszkałam w San Francisco, zanim przyjechałam do Nowego Jorku.

A przecież mówiłam ci w środę, że moja firma miała zarząd w Los Angeles, a ja pracowałam w filii w San Diego.

– Sally ja...

– Potem mówisz coś o moich rodzicach twierdząc, że wypadek, w którym zginęli zdarzył się dwa lata temu.

A przecież pamiętam, jak ci mówiłam, że to było rok temu. Teraz mi mówisz, że moi rodzice przenieśli się z Gloucester do Południowej Karoliny. A ja dokładnie pamiętam, jak ci o nich opowiadałam. Przeprowadzili się na Florydę. – Pokręciła głową. – I nie zwałaj tego na krótką pamięć. Bo pamięć masz niezłą, zauważyłam w pracy. Zresztą nawet Bullockowi zdarzyło się coś o tym napomknąć. Myślałam, że dwa pierwsze razy to pomyłka, ale Południowa Karolina to już za wiele. Przecież to idiotyczne. Dlaczego mi to robisz?

– Przepraszam, Sally. – Nie było sensu zaprzeczać. Rzeczywiście zadawał te pytania specjalnie. – Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Ale dlaczego to robisz?

– Nie wiem – powiedział bez przekonania. Nie mógł jej powiedzieć, jak bardzo niepokoiły go wydarzenia ostatniego tygodnia. Ten zbieg okoliczności dotyczący Bell Chemical, sposób w jaki Oliver wymógł na nim przeprowadzenie transakcji dotyczących firm Simons i Bell Chemical, jej zaskakująca znajomość Nowego Jorku, mimo twierdzenia, że nigdy nie mieszkała w tym mieście, i telefon zdjęty z ładowarki, i ciepły monitor komputera, i jej wytłumaczenie, że łączyła się z Internetem, choć było to niemożliwe. – To chyba dlatego, że jest mi nieswojo, bo pierwszy raz od dłuższego czasu ktoś mi się podoba. Nie rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem – powiedziała bez emocji, patrząc mu w oczy, w których próbowała znaleźć prawdziwą odpowiedź.

Frachtowiec powoli sunął po ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego. W ciemności kierował się na południowy zachód, w dół Afryki, ku cyplowi Przylądka Dobrej Nadziei. Tam kapitan zmieni kurs na północny i rozpocznie się długa droga wzdłuż zachodniego wybrzeża kontynentu, w kierunku Antwerpii, miejsca przeznaczenia.

Kapitan stał na mostku i wpatrywał się w linię horyzontu. Szukał świateł, mogących świadczyć o niebezpieczeństwie. Ktoś mógł podejrzewać, że pod pokładem statku ukryty jest spory arsenał broni. Były tam karabiny maszynowe, wyrzutnie granatów, pociski ziemia-powietrze i moździerz. Kapitan, weteran podobnych podróży, wiedział, że na tych wodach taka niespodzianka ze strony władz była mało prawdopodobna. Tutaj raczej mogli spotkać piratów poszukujących skarbów na statkach. Ale na taką sytuację również był przygotowany. O ile piraci nie mieliby naprawdę druzgocącej przewagi sił, w ciągu dziesięciu minut od abordażu, napastnicy byliby martwi. Ciała zostałyby rzucone rekinom na pożarcie, a statek piracki zatopiony. I nikt by się o nic nie pytał – te same władze, które uwięziłyby go za przemyt broni, przymknęłyby oczy, gdyby się rozprawił ze współczesnymi piratami.

W przyszłym tygodniu, kiedy statek zbliży się do Europy, będzie więcej powodów do zmartwień. Tam można się natknąć na jednostki marynarki wojennej i straży przybrzeżnej. Dziesięć lat temu płynął jako majtek na pokładzie „Claudii”. Zbliżyli się już do brzegów Irlandii, kiedy zostali zatrzymani. Na pokładzie mieli broń z Libii przeznaczoną dla Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

Światła dolnego Manhattanu majaczyły w tle, kiedy Jay i Sally powoli spacerowali promenadą Brooklyn Heights, blisko kilometrowej długości brukowanym deptakiem, prowadzącym wzdłuż brzegu East River.

Znajdowali się w modnej dzielnicy pięknych starych kamienic z piaskowca, należących do milionerów.

Wzdłuż ulic rosły tutaj wspaniałe drzewa. Od chwili, kiedy wyszli z restauracji, Sally skulona obejmowała się rękami.

– Słuchaj, naprawdę przepraszam – zaczął Jay, patrząc przed siebie. Na promenadzie oprócz nich było niewiele ludzi. – Naprawdę, jest mi bardzo przykro.

– Daj spokój. Nic się nie stało – powiedziała chłodno Sally.

Ujął ją pod ramię i poprowadził do metalowej balustrady na skraju promenady. Daleko poniżej ciemne wody East River cichutko wpadały do portu Nowego Jorku.

– Chcę ci coś powiedzieć.

Po wyjściu z restauracji Sally rozpuściła włosy i silniejszy powiew wiatru zwał jej blond kosmyki na twarz.

Odgarnęła je z oczu.

– Co?

Zapytała bez zainteresowania. Miał nadzieję, że to, co miał zamiar jej powiedzieć, coś zmieni.

– Chodzi o twoją uwagę, że zawsze chcę się wykazać odwagą. Skakanie z masztu, spacer po krawędzi dachu... Sally podniosła na niego wzrok.

– Mów.

– Jesteś spostrzegawcza.

– Czyżby?

Jay kiwnął głową.

– Czasami lubię robić takie rzeczy.

– Bo chcesz zrobić wrażenie?

– Chyba nie dlatego – rzekł zamyślony. Przysunęła się do niego.

– Więc dlaczego? Przez chwilę milczał.

– Moja młodsza siostrzyczka była bardzo wysportowana.

– Ta, która się utopiła?

– Tak – przytaknął. – Tamtego dnia byliśmy na zalewie razem, we dwójkę. Rodzice zabronili jej tam chodzić, nawet ze mną. Ale ona czuła się w wodzie jak ryba, pływała lepiej niż ja, mimo że była młodsza. Potrafiła na bardzo długo wstrzymać oddech, świetnie nurkowała, umiała...

– Wierzę ci – przerwała mu Sally i delikatnie włożyła swoją dłoń w jego.

Jay przełknął ślinę.

– Było potwornie gorąco. Wiesz, taki lipcowy dzień, kiedy nic nie robisz, a pot i tak ścieka ci po całym ciele.

W domu nie mieliśmy klimatyzacji. Było gorąco jak w piecu, i Phoebe bez przerwy...

– Phoebe?

– Tak.

– Śliczne imię.

– I była śliczną dziewczyną. – Jay spojrzał na drugi brzeg rzeki. – W każdym razie, bez przerwy męczyła mnie, żebym ją zabrał nad zalew, a ja powtarzałem jej w kółko, że nie wolno. Ale w końcu dałem spokój.

Umiała mnie przekonać. Mogłaby mi wszystko wmówić. Tak bardzo jej ufałem.

– Ale pod wodą zaczęła o coś, – Tak. – Głos Jaya stał się ochryply, jakby zaschło mu w gardle. – Woda była przejrzysta jak szkło i zobaczyłem, że coś się z nią dzieje, jakieś pięć metrów pod powierzchnią. Próbowałem pomóc, ale kiedy w końcu ją wyciągnąłem... nie żyła.

– Przykro mi, Jay. – Sally uścisnęła go za ramię. – Wciąż masz poczucie winy?

– Tak.

– Nie powinieneś. To nie było przez ciebie.

– Byłem za nią odpowiedzialny.

– Ale nie wolno ci teraz próbować się zabić stając na krawędzi dachu sto osiemdziesiąt metrów nad ulicą.

Pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. Nie dlatego robię takie rzeczy.

– Więc dlaczego?

– Gdybym wtedy był odważniejszy, mógłbym ją może uratować.

– W jaki sposób? Wziął głęboki oddech.

– Jako dziecko byłem bojaźliwy. Żeby się dostać do Phoebe, musiałem przepłynąć między jakimś zardzewiałym żelastwem. Bałem się, że tam utknę. – Wyprostował się. – Po prostu się bałem.

– To naturalne.

– Nie. Bo ja się bałem wszystkiego. Byłem tchórzem. Kiedyś, w szkole średniej poddałem się bez walki na oczach całej szkoły. To było poniżające. – Zaczerpnął powietrza. – Nie od razu popłynąłem po Phoebe. – Zagryzł wargę. – Tych kilka sekund mogło uratować jej życie.

Sally wyciągnęła w jego kierunku rękę i dotknęła blizny.

– Więc teraz chcesz udowodnić wszystkim, że niczego się nie boisz.

– Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Chodzi o mnie. Muszę udowodniać to sobie.

Przez dłuższą chwilę milczeli, wsłuchując się w odgłosy miasta.

– Cieszę się, że mi to powiedziałeś – odezwała się w końcu Sally.

– Nie mówiłem o tym nikomu.

– Ale wciąż nie wiem, dlaczego chciałeś mnie przyłapać na kłamstwie – powiedziała cicho Sally.

Jay zaczął bębnić palcami w balustradę. I nagle przestał, bo zdał sobie sprawę, że Oliver robi tak samo, kiedy się niecierpliwi.

– Pamiętasz, kiedy wyjeżdżaliśmy z domu Olivera austinem healeyem? Poprosiłem cię, żebyś poszukała dowodu rejestracyjnego w schowku.

– Tak. Pomyślałam, że to dość dziwne, bo jechałeś tym samochodem wcześniej. Widziałam, jak przyjechałeś.

Jay kiwnął głową.

– Tak, byłem w sklepie po butelkę dzinu. Barbara mnie o to prosiła. Kiedy wjeżdżałem na parking przed sklepem, usłyszałem ze schowka dźwięk telefonu. Odebrałem, myśląc, że to Barbara albo Oliver. Ale to nie było żadne z nich.

– Tylko kto?

– Facet, który przedstawił się jako Tony. Był przekonany, że rozmawia z Oliverem i zaczął coś mówić, żeby nie robić użytku z jakiejś informacji. Kiedy zdał sobie sprawę, że to nie z Oliverem rozmawia, natychmiast się rozłączył. – Jay wpatrywał się w zielone i żółte światła holownika, sunące w górę rzeki. – Kiedy odłożyłem telefon, zauważyłem w schowku kopertę. Otworzyłem ją.

– Co w niej znalazłeś?

– Pojedynczą kartkę papieru z nazwą Bell Chemical. Bell to jedna z dwóch firm, których akcje w zeszłym tygodniu polecił mi kupić Oliver.

– Czy zapytałeś go później o ten telefon i o kopertę?

– Rozmawialiśmy o telefonie, ale o kopercie nie. Szkoda, że nie widziałaś miny Olivera, kiedy mu powiedziałem, że dzwonił Tony i powiedział, żeby nie wykorzystywać informacji. Skamieniał. Potem się tłumaczył, że facetowi chodziło o mieszkanie, które Oliver chce kupić. Ale założę się, że to bzdura. – Jay głośno wypuścił powietrze.

– Nie rozumiem dlaczego nie zapytałeś go po prostu o tę kopertę, skoro tak cię interesuje.

Jay zmrużył oczy, na jego twarzy pojawił się półuśmiech, prawie niezauważalny w mroku, jaki ich otaczał.

– Bądźmy szczerzy, Sally. Oliver obiecał mi milion dolarów premii w styczniu. To samo

obietcał tobie. – Jay zrobił pauzę, oczekując potwierdzenia. – Bullock twierdzi, że McCarthy-Lloyd zabezpieczyła się, żeby móc wycofać się z tej obietnicy. Utrzymuje, że umowa jest tak sformułowana, że jesteśmy na straconej pozycji. Być może twoją umowę czytał adwokat, ale mnie uprzedzono, że nie powinienem dawać jej prawnikowi przed podpisaniem, a ja, jak idiota, posłuchałem.

Sally pokręciła głową.

– Nie, mojej też nie czytał adwokat. Uprzedzono mnie, że to by zrobiło fatalne wrażenie.

– Z tego, co mówi Bullock, Oliver ma zamiar wywiązać się z umowy tylko w stosunku do jednego z nas.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Co ty mówisz?

– Tak. Tak przynajmniej twierdzi Bullock. Nie znoszę tego faceta, ale zdaje się, że jest niezłe zorientowany w sprawach Olivera. – Jay utkwiał wzrok gdzieś daleko przed sobą. – Może wolałabyś tego nie słyszeć, ale jeśli to, co mówi Bullock jest prawdą, wolałbym, żeby premia dostała się mnie.

– Nie sądzisz chyba, że zejdziesz ci z drogi i pozwolę zgarnąć pieniądze bez walki – ostrzegła Sally. – Chcę je dostać tak samo mocno jak ty.

– Nie chciałbym narażać na szwank mojego, jak na razie, dobrego układu z Oliverem – ciągnął Jay, ignorując jej uwagę. – W tej sytuacji odmowa albo poddawanie w wątpliwość jego poleceń byłaby zrozumiana jako bunt.

– Prawdopodobnie tak – zgodziła się Sally.

– Wykręcałem się tak długo, jak mogłem, ale kiedy otrzymałem polecenie, musiałem tych transakcji dokonać.

– A teraz żałujesz.

– I to bardzo. – Wydął usta. – Chciałbym tylko, żeby przez kolejnych kilka tygodni nie ogłoszono ofert przejęcia Bella ani Simonsa. Potem spróbuję przekonać Olivera, żeby pozbyć się tych akcji.

Odwróciła wzrok w stronę balustrady.

– Nie sądzę, żebyś miał się czym przejmować, ale też rozumiem, dlaczego to wszystko razem może cię martwić. Doceniam, że mi zaufałeś. – Jej głos znowu zabrzmiał oschle. – Wciąż jednak pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego chciałeś mnie przyłapać na kłamstwie. Jedyne

wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, to że podejrzewasz, iż ja mogę być w coś zamieszana – powiedziała gorzko. – Na przykład razem z Oliverem pracuję nad tym, żeby cię w coś wrobić. Bo dlaczego miałbyś mnie tak wypytywać o ten przestawiony telefon i ciepły monitor komputera?

Włożył palec wskazujący pod brodę dziewczyny i odwrócił jej twarz w swoją stronę.

– Gdybym odrobinę podejrzewał, że istnieje jakiś spisek, a muszę przyznać, że kiedy tak o tym mówisz, to brzmi dość fantastycznie i że jesteś w niego zamieszana, to czy powiedziałbym ci to wszystko, co ci powiedziałem?

– A skąd mam wiedzieć? – odparła, znowu rozzłoszczona. Odsunęła się od niego. – Myślałam, że coś zacznym rozumieć, ale teraz nie wiem już nic.

– To nie w porządku, że tak się złościś. Ja po prostu jestem ostrożny.

– Nie powinno się być ostrożnym w stosunku do kogoś, na kim ci zależy.

– Wiem.

– No więc dlaczego...

Zanim skończyła, Jay chwycił ją i przyciągnął do siebie, otaczając mocno ramionami. Przycisnął swoje wargi do jej gorących ust.

Najpierw się broniła, ale po chwili zarzuciła mu ręce na szyję, przyłgnęła do niego i odwzajemniła namiętny pocałunek.

W poniedziałek pięć po ósmej wieczorem Jay zadzwonił do drzwi skromnego jednopiętrowego domu z cegły, w uboższej części Brooklynu. Zachodzące słońce rzucało długie cienie na wypielęgnowany trawnik zajmujący niewielką przestrzeń między budynkiem a wąską ulicą, przy której rzędem stały zaparkowane samochody. Po chwili Jay słyszał w środku zbliżające się kroki. Cofnął się odrobinę, kiedy drzwi się otworzyły.

Przed Jayem stał niski mężczyzna o siwych włosach i przekrwionych oczach.

– Pan Cooper?

– Tak, to ja – odpowiedział mężczyzna niskim głosem. W mieszkaniu było ciemno. Paliła się tylko mała świeczka na stole w holu.

– Nazywam się Jay West.

Twarz mężczyzny pozostała niewzruszona.

– Ach, tak. Abby wspominała o panu kilka razy. Pracowaliście razem w McCarthy-Lloyd.

– Zgadza się.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię, po czym wyszedł na werandę przed domem i zamknął za sobą drzwi.

– Bob Cooper – powiedział i wyciągnął rękę. Jakiś smutek był w sposobie jego zachowania.

Jay uścisnął dłoń ojca Abby.

– Cieszę się, że mogę pana poznać.

– Ja również.

– Pewnie pan pomyśli, że to dziwne – zaczął Jay. – Nachodzę pana w domu bez uprzedzenia.

Mężczyzna wzruszył ramionami bez słowa.

– Nie zadzwoniłem wcześniej specjalnie – ciągnął Jay. – Pomyślałem, że nie chcę robić zamieszania, bo nie ma powodu.

– Nie rozumiem?

– Abby od paru dni nie ma w pracy – wyjaśnił. – Próbowałem złapać ją telefonicznie, ale albo nie odbiera, albo rzeczywiście nie ma jej w domu. Zostawiłem kilka wiadomości na sekretarce, ale nie odezwała się.

Pomyślałem, że rodzice na pewno będą wiedzieli, gdzie można ją znaleźć.

Pan Cooper spuścił oczy.

– Abby już nie odpowie na pańskie telefony – oznajmił ledwie słyszalnym głosem.

– Dlaczego?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Bo nie żyje – powiedział, starając powstrzymać się od łez. Przed oczami Jaya znowu stanął obraz Abby i Olivera, który ją obściskiwał.

– To niemożliwe. Co się stało? – Jayowi zabrakło tchu. Cooper wytarł łzy.

– Nawet nie wiem. Powiadomiono nas z żoną dziś po południu. Policja znalazła jej ciało na wysypisku śmieci, w Bronxie. Została uduszona.

– Och, Boże. Nie. – Jay położył rękę na szczupłym ramieniu mężczyzny. Czuł, że ojciec Abby drży.

– Tak. – Cooper spojrział na Jaya i natychmiast odwrócił wzrok. – Przepraszam, że nie zapraszam pana do środka, ale moja żona jest ze swoją siostrą. Są bardzo poruszone. To chyba nie byłby odpowiedni moment.

– Oczywiście, rozumiem.

Abby nie przyszła do pracy w środę, w dniu, kiedy Jay i Sally byli u Olivera i Barbary. Dzień wcześniej Jay widział Abby i Olivera w magazynie.

Jay stał na werandzie z panem Cooperem i w kółko przewijał w głowie film z magazynu. Powinien coś sobie przypomnieć, coś co mogło mieć znaczenie. Podobne uczucie miał wtedy, kiedy stał przed swoim komputerem po tym, jak Sally wyszła z jego mieszkania bez słowa pożegnania. Było to poczucie, że coś jest nie tak.

Nagle olśniło go. Przypomniał sobie, że odchodząc spod niedomkniętych drzwi magazynu usłyszał, jak Oliver mówi Abby, że mają się spotkać po pracy w Hotelu Plaża. Mason mógł widzieć Sally tuż przed śmiercią.

Co więcej, istniało prawdopodobieństwo, że był ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

Bullock usiadł na fotelu w sali konferencyjnej i położył nogi na blacie drewnianego stołu. Oliver usiadł po przeciwnej stronie, bezwiednie bawiąc się krawatem.

– Co chciałeś mi powiedzieć, Oliver? – zapytał zniecierpliwiony Bullock. Bolało go gardło i miał lekką gorączkę, a na biurku leżał stos rzeczy do załatwienia. Oliver przerzucił krawat przez ramię.

– Przed godziną dzwonił do mnie Kevin O'Shea.

Bullock podniósł wzrok znad paznokcia, z którego obrywał skórę.

W głosie Olivera wyczuł przerażenie.

– I?

Mason wziął kilka szybkich, głębokich oddechów, jakby próbując się uspokoić.

Bullock zdjął nogi ze stołu i głośno postawił je na dywanie.

– Mów, o co chodzi.

– O’Shea zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że dziś po południu dwóch nowojorskich policjantów znalazło... – Oliver nie miał siły dokończyć. – Znaleźli Abby na wysypisku śmieci w Bronxie. Jej rzeczy osobiste, łącznie z portfelem też były w śmietniku, więc nie mieli problemu ze zidentyfikowaniem. – Oliver poczuł, że dolna warga zaczyna mu drżeć. – Abby została uduszona.

Bullock położył dłonie na stole. Natychmiast zapomniał o bólu gardła i gorączce.

– Żartujesz – wyjąkał.

Oliver zacisnął mocno powieki.

– Czy myślisz, że żartowałbym w taki sposób?

– Nie – powiedział Bullock cicho. – Przykro mi, Oliver. Wiem, że ci na niej zależało.

Oliver skinął głową.

– Naprawdę mi zależało. – Pierwszy raz od wielu lat czuł, że mógłby się rozplakać. – Chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo mi na niej zależy, aż do tej chwili.

– W jaki sposób O’Shea dowiedział się o tym, że znaleziono ciało Abby? – zapytał Bullock trzęsącym się głosem. Denerwowało go, że Oliver jest tak przygnębiony.

– Skąd, do cholery, mam to wiedzieć? – krzyknął Mason. – Wszyscy oni z wymiaru sprawiedliwości chyba są ze sobą w kontakcie. – Stracił zdolność logicznego myślenia. – Może miał informację w komputerze, nie wiem.

– Co dokładnie mówił O’Shea, kiedy z tobą rozmawiał? – Bullock wypytywał. – Jakich słów użył?

– Przekazał mi tylko krótko informację. Powiedział, że znaleziono jej ciało. – Oliver spojrzał na Bullocka. W jego głosie zabrzmiał jakiś dziwny ton. – Dlaczego tak o to wypytyujesz?

– Bo myślę, że to dziwne, że zadzwonił do ciebie tak szybko. Skąd O’Shea miał pewność, że dziewczyna, którą znaleziono w śmietniku to ta sama Abby Cooper, która tutaj pracuje?

– Carter, on wie wszystko. Przeprowadził dokładny wywiad o każdym z nas. Sprawdził, że

zgadza się jej adres domowy i zestawiał te dwa fakty. – Oliver zaczął bębnić palcami w stół. – Myślę, że po prostu chciał przekazać mi informację. Prowadzi dochodzenie w naszej sprawie. Pewnie chciał, żebym wiedział, co się stało, żebym nie był zaskoczony, kiedy o tym usłyszę. A dzieje się tu dużo. – Oliver uderzał palcami w stół coraz mocniej. – Pewnie się bał, że w zamieszaniu, zaskoczony mógłbym niechcący coś palnąć. Pamiętaj, że on też w tym siedzi. Jest kluczową osobą w dochodzeniu. Gdyby sprawę ujawniono i o wszystkim dowiedziałyby się media, jego głowa też by poleciała. Co prawda, jest tylko płótką w całej tej sprawie, ale chyba nie wierzysz, że ci wyżej postawieni wzięliby na siebie odpowiedzialność za cokolwiek. – Mówienie najwyraźniej mu pomagało.

Oliver jakby nagle poczuł się trochę lepiej.

– Może – powiedział Bullock nie do końca przekonany. – Mimo wszystko to dziwne, że zadzwonił do ciebie tak od razu.

Oliver oparł łokcie na stole i potarł czoło. Całe jego ciało było jak odrętwiałe.

– Och, mój Boże.

– Co się stało? – Bullock zauważył, że Oliverowi trzęsą się ręce.

– Carter, mamy problem.

– Co za problem? Oliver załamał się.

– Byłem tego wieczora z Abby – wyszeptał.

– Byłeś z nią...?

– Tak, w Hotelu Plaża.

– Byłeś z nią, to znaczy spałeś z nią? – Bullock od jakiegoś czasu wiedział o tym romansie.

– Tak.

– Jezu, Oliver. – Bullock wznosił oczy do nieba i uderzył pięścią w stół.

– Wiem. – Oliver złapał się za włosy. – Zgoda, jestem idiotą. Ale co, do cholery, mogę teraz zrobić?

– Chyba użyłeś jakiegoś zabezpieczenia? Oliver pokręcił głową.

– Nie.

Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu słychać było tylko buczenie neonowych żarówek.

Wreszcie Bullock odezwał się.

– Zrobią sekcję – stwierdził – i znajdą nasienie.

– No właśnie. – Oliver kiwnął głową i patrzył przerażonymi oczami na Bullocka.

– Ale będą musieli wiedzieć, kogo sprawdzić. Czy ktoś oprócz mnie wiedział, że miałeś z Abby romans?

– Barbara coś podejrzewała.

– No cóż, to zaczyna być... – Bullock nie dokończył.

– Co chciałeś powiedzieć? Bullock milczał.

– Carter, o co chodzi? – Ale już wiedział. W oczach podwładnego wyczytał przerażenie. – Nie, Carter, nawet nie myśl w ten sposób.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? – zapytał cicho Bullock.

– O ósmej, może dziewiątej wieczorem we wtorek. Mogło być przed dziesiątą. Wylądowaliśmy w łóżku i zaraz potem wyszedłem. Powiedziała, że zostanie jeszcze chwilę.

– Czy ktoś cię widział, jak wychodziłeś?

– Nie sądzę.

– A czy myślisz, że list z wymówieniem został napisany przez nią? – zapytał Bullock. – Ten, który pokazywałeś nam w zeszłym tygodniu.

– Tak, myślę, że był autentyczny. – Oliver poczuł skurcz żołądka. Zbierało mu się na wymioty. – Dlaczego miałbym podejrzewać, że jest inaczej?

– Czy Abby podpisała ten list?

– Tak... no chyba... Teraz już nie jestem pewien. – Nie potrafił sobie przypomnieć. Jego umysł pracował gorączkowo. Bullock był przyjacielem. Dlaczego zadawał te wszystkie pytania i patrzył na niego w ten sposób?

– Przynieś ten list – zarządził Bullock. – Spójrzmy na niego. Oliver pokręcił głową.

– Nie mogę.

– Jak to nie możesz?

– List zniknął. – Głos mu się łamał. – Miałem go w szufladzie, pod kluczem, ale teraz go tam nie ma.

Zniknął. Bullock zmrużył oczy.

– Oliver, naprawdę chcesz, żebym w to uwierzył?

– Dlaczego nie? – krzyknął. – To prawda. – Poczul, że opada z sił. Ciężko oparł się w fotelu. Bullock mu nie wierzył. – Carter, ja jej nie zabiłem – szepnął. – Naprawdę.

Bullock podniósł się powoli.

– Myślę, że mamy problem, Oliver. – Patrzył na Masona przez dłuższą chwilę. I wyszedł.

Głowa Olivera opadła na stół. Przez chwilę leżał tak z zamkniętymi oczami. Potem wybiegł do męskiej toalety trzymając się za brzuch.

Dochodziła północ. Przestronny parkiet firmy McCarthy-Lloyd opustoszał. Jay zobaczył tylko mężczyznę czyszczącego dywan, w miejscu, gdzie siedzieli pracownicy obracający obligacjami. Śmieszni ludzie. Cały dzień krzyczeli do telefonów i kupowali albo sprzedawali kawałki papieru, których nigdy nawet nie mieli okazji zobaczyć. Jay ruszył korytarzem biegnącym równoległe do parkietu, po czym wszedł między biurka i znalazł się przy stanowiskach działu arbitrażu. Mimo że nie było tam nikogo, paliły się światła. Wszędzie stały kubeczki z niedopitą kawą, krzesła były poodsuwane, a większości monitorów komputerowych nie wyłączono. Na ekranach widniały jakieś wykresy, listy, raporty. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby pracujący tam ludzie zostali wywołani na chwilę, na przykład na ćwiczenia przeciwpożarowe, pomyślał Jay, kiedy dotarł do swojego biurka.

Albo jakby na parkiet spadła bomba neutronowa.

Jay rzucił marynarkę na przepierzenie i usiadł na krześle. Czuł się wyczerpany i wyzuty z resztek energii.

Ostatnich kilka godzin spędził z ojcem Abby. Spacerowali powoli po ulicach Brooklynu i rozmawiali – o wszystkim, tylko nie o Abby. Jay dowiedział się, że niedawno zmarł bliski przyjaciel pana Coopera. Wtedy zrozumiał, dlaczego ten starszy człowiek poprosił go, żeby z nim chwilę pobyc. Potrzebował towarzystwa, choćby nieznanego, żeby porozmawiać, zająć czymś myśli po utracie jedyne dziecko. W tamtej chwili Jay był jedyną osobą, do której mógł się zwrócić.

Oparł się na krześle i zamknął oczy. Zgodził się z nim zostać. Ten biedny człowiek odchodził od zmysłów i choć Jay dopiero co go poznał, nie zamierzał zostawić go w takim stanie samego. Pod koniec spaceru odprowadził pana Coopera do domu, gdzie poznał matkę Abby. Była niską i atrakcyjną kobietą, starszą wersją Abby. Jej siostra wyszła przed chwilą i przyszedł bolesny moment, kiedy rodzice zostaną sami, pogrążeni w żałobie. Był to czas, kiedy Jay mógł odejść.

Teraz siedząc samotnie na parkiecie, zdał sobie sprawę, że sam się jeszcze nie pogodził ze śmiercią Abby.

Był za bardzo zajęty pocieszaniem jej ojca, żeby samemu przywyknąć do myśli o tym, że już jej nie ma. Poznał ją zaledwie miesiąc temu, ale czuł, że łączyła ich przyjaźń. Abby należała do

ludzi otwartych na innych, których poznanie nie kosztowało jakichś niesamowitych wysiłków. Była pełna energii i empatii. Zależało jej na tym, żeby inni ludzie dobrze się czuli w nowym otoczeniu, i starała się im to ułatwić.

Jay odwrócił się i spojrzał na miejsce, które zajmowała Abby. Już jej tu nigdy nie zobaczy. Odeszła tak nagle. Zupełnie tak samo jak Phoebe. Z ponurą miną pokręcił głową. Łudził się, że policja popełniła jakiś błąd i że Abby wróci cała i zdrowa. Jeszcze raz spojrzał na jej krzesło. Przetarł oczy. Psychologowie taki stan określali terminem „wypieranie”. Pewnie potrzebował czasu na to, żeby się pogodzić z faktem odejścia Abby. Ale przecież ze śmiercią Phoebe nie pogodził się do tej pory.

Pochylił się nad klawiaturę komputera i zaczął wystukiwać polecenia. Kilka komend, i na ekranie pojawił się obraz. Jay przyszedł specjalnie do pracy, żeby skończyć zbieranie informacji na temat dwóch firm – Bell Chemical i Simons. Był posiadaczem sporej ilości ich akcji i czuł się z tym raczej nieswojo. Co prawda, za późno było na żale, ale chciał się przynajmniej przygotować, gdyby okazało się, że będzie musiał bronić decyzji o zawarciu tych transakcji. Wiedział, że jeżeli oferty przejęcia nie zostaną ogłoszone, a ceny akcji obydwu firm spadną, nie będzie mógł liczyć na to, że Oliver go obroni. Sam będzie musiał stawić czoło gniewowi McCarthy'ego.

Mógł poczekać do jutra i zacząć zbieranie informacji od rana, ale nie chciał wracać do domu. W mieszkaniu czułby się jeszcze bardziej samotny niż tutaj. Leżałby w łóżku, patrzył w sufit i myślał o Abby i Phoebe.

Próbował dzwonić do Sally z Brooklynu, ale pod numerem, który mu zostawiła w sobotę wieczorem, nikt nie odbierał telefonu. Może została do późna w pracy i była jeszcze w drodze do domu.

Jay postukał trochę w klawisze i poszedł do dystrybutora wody, żeby się napić. Komputer w tym czasie miał wyszukać interesujące go informacje dotyczące Bell Chemical i Simons. Wracając zauważył, że ktoś stoi przy biurkach działu arbitrażu. Jay zatrzymał się i napił wody. Obserwował, jak niewysoki ciemnowłosy mężczyzna ogląda jakiś dokument. Po chwili włożył go do szarej koperty i położył ją na biurku Bullocka. Mężczyzna przyklęknął na jednym kolanie, spod blatu biurka wyciągnął kluczyk, i otworzył nim środkową szufladę.

– Cześć, Paulie.

Paul Lopez szybko wstał i obejrzał się.

– Och, Jay, cześć – powiedział charakterystycznym, wysokim głosem.

Paul był jednym z pracowników zaplecza, którzy mieli swoje biuro dwa piętra wyżej. Praca zatrudnionych tam ludzi polegała na pilnowaniu, żeby setki milionów dolarów dziennie przepływających przez konto firmy McCarthy-Lloyd docierały w miejsca przeznaczenia.

Pracownicy zaplecza nie zaczęli pracy przed dziesiątą wieczorem i często się zdarzało, że wychodzili z biura dopiero rano. Nie wolno im było skończyć, dopóki wszystkie przelewy z minionego dnia nie zostały potwierdzone i wszelkie możliwe problemy, mogące po drodze wyniknąć, nie zostały rozwiązane.

– Co tu robisz o tej porze? – zapytał Paul, patrząc na zegarek. – Człowieku, czy ten Oliver nie za bardzo was ciśnie? Jest północ.

Jay widywał Paula prawie codziennie o dziesiątej wieczorem. Była to pora, kiedy Paul zbierał ostatnie zlecenia, wypełniane przy dokonywaniu każdej transakcji. Jay lubił Paula i zawsze z przyjemnością zamieniał z nim parę słów na temat jankesów czy metzów.

– Tak, trochę nas męczy – odpowiedział Jay niewinnym głosem.

– Słyszałem co nieco.

– Ale co ty tu robisz, Paulie? – zapytał Jay. – Czy ktoś dokonuje transakcji o tej porze? – Zwykle, kiedy Jay wychodził z pracy około jedenastej, był jedną z ostatnich osób na parkiecie.

– Nie. Przyniosłem coś do podpisania Carterowi Bullockowi.

– Tak?

– No właśnie, Bullock jest członkiem prezydium firmy należącej do McCarthy-Lloyd.

– Naprawdę? – Nikt mu nie wspominał, że Bullock ma jeszcze jedną pracę.

– Tak. To jakaś agencja podróży.

– Tu, w Nowym Jorku?

– Nie, w Bostonie.

– Po co firmie agencja w Bostonie? Paul wzruszył ramionami.

– Mnie nie pytaj. Wiem tylko tyle, że co jakiś czas wysyłamy tam pieniądze. Chociaż to dziwne.

– Dlaczego?

– Bo nigdy nie dostajemy ani grosza z powrotem. Mnie przynajmniej nic o tym nie wiadomo.

– I co Bullock ma z tym wspólnego? – zapytał Jay, uważając, żeby nie brzmiało to zbyt dociekliwie.

Paul wskazał głową kopertę leżącą na biurku Bullocka. – Carter podpisuje wszystkie przelewy z M-L do tej agencji podróży. Na oficjalnym zleceniu, na wersji, którą wysyłamy odbiorcy, jest wymieniony jako dyrektor finansowy. Nawet jeździ tam co jakiś czas. Pewnie po to, żeby sprawdzić księgi rachunkowe.

– Do Bostonu, tak? – Więc to tam jeździł Bullock. Jay nie chciał wierzyć w jego mgliste tłumaczenia z sześciu dni nieobecności w pracy przez ostatnie kilka tygodni. Sekretarki nie miały pojęcia, gdzie był, a Oliver mówił tylko, że Bullock pojechał odwiedzić jakąś firmę. Zwykle, kiedy ktoś wyjeżdżał, na wszelki wypadek zostawiał do siebie kontakt. W przypadku nieobecności Bullocka było inaczej. – Sprawdzić księgi rachunkowe – powtórzył jak echo Jay.

– Chyba tak. Przecież to należy do obowiązków dyrektora finansowego. Jay uśmiechnął się szeroko.

– Zgadza się, to właśnie robi dyrektor finansowy.

– Dobra, muszę się zmywać – powiedział Paul. Wziął szarą kopertę, włożył ją do środkowej szuflady w biurku Bullocka i zamknął na klucz. – Wygląda na to, że nie ruszę się stąd przed dziewiątą rano – jęknął i pochylił się, żeby położyć klucz na niewielkiej półce pod biurkiem.

– Nie możesz sobie odpuścić, co? – zapytał Jay.

Paul spojrział na niego.

– Rozkaz Cartera. Facet ma na tym punkcie obsesję. Nikt nie może nic zrobić z tym zleceniem. I nikomu nie może wpaść w ręce. – Wstał i jęknął. – Do zobaczenia później. – Paul zachichotał. – Pewnie jutro w nocy, sądząc po tym, jak ciężko harujesz.

– Pewnie tak. Paulie?

Paul zatrzymał się i odwrócił.

– Tak?

– Jak długo tu pracujesz? Paul zastanowił się.

– Około półtora roku. Przyszedłem z Chemical, po połączeniu z Chase.

– Czy wystawiano ci ocenę po pierwszym miesiącu pracy?

– Mówisz o ocenie tego, jak sobie radzę?

– Tak.

– Nie, do diabła. Nikt mnie nie oceniał w żaden formalny sposób. W tej firmie traktuje się takie rzeczy raczej na luzie. Zapytaj handlowców. – Pokazał ręką puste krzesła dookoła. – Dlaczego pytasz?

– Zastanawiałem się.

– Nie przejmuj się. Jak coś schrzanisz, sami ci o tym powiedzą. – Pomachał mu ręką. – Do zobaczenia.

– Masz rację. Cześć.

Jay patrzył, jak Paul znika w windzie. Potem rozejrzał się po parkiecie. Został sam w ogromnej sali. Rzucił okiem na drzwi windy i szybko podszedł do biurka Bullocka. Odsunął krzesło, uklęknął i włożył dłoń pod biurko. Nie czuł nic, tylko tony kurzu, ale po chwili znalazł kluczyk. Szybko otworzył nim szufladę. Jeszcze raz nerwowo rozejrzał się po parkiecie, po czym wyjął szarą kopertę i wyciągnął z niej zlecenie przelewu. Nazwa firmy, na której konto miały wpłynąć pieniądze, brzmiała EZ Travel, a kwota przelewu wynosiła pięć milionów dolarów. Cyfry skakały mu przed oczami. Po jaką cholere agencji podróży pięć milionów dolarów? Przecież takie biuro to nic innego, jak tylko kilka osób siedzących przed komputerami i rezerwujących loty i hotele. A Paulie twierdził, że pieniądze przesyłano z McCarthy-Lloyd do EZ Travel regularnie. Jeśli zwykle były to takie sumy, ile pieniędzy musiało już trafić pod bostoński adres?

Jay zapamiętał numer skrytki pocztowej, po czym schował zlecenie przelewu z powrotem do koperty, a kopertę włożył do szuflady. Nagle coś zwróciło jego uwagę.

Głębiej w szufladzie leżała znajoma koperta. W lewym górnym rogu znajdował się kwiatowy motyw dekoracyjny, a na nim wypisany był domowy adres Abby. Parę tygodni temu Jay widział, jak Abby przypinała taką samą kartkę do swoich rachunków.

Serce biło mu jak szalone. Gdyby ktokolwiek zobaczył go szperającego w szufladzie Bullocka, ten prawdopodobnie by się o tym dowiedział. A wtedy trudno byłoby wytłumaczyć tę sytuację.

Wyjął kopertę z szuflady i przyjrzał się jej uważnie. List zaadresowano do Olivera Masona w McCarthy– Lloyd. Znaczka nie przyklejono. Koperta była rozerwana. Trzęsącymi się rękami Jay wyciągnął z niej kartkę papieru. To był list Abby z prośbą o rozwiązanie umowy o pracę. W zeszłym tygodniu ten sam list pokazywał im Oliver na spotkaniu w sali konferencyjnej. Imię i nazwisko Abby widniały pod spodem, ale były wydrukowane. Nie podpisała listu ręcznie.

Jay wsunął list do koperty i położył go w szufladzie. Podniósł się z krzesła, odwrócił i zamarł w bezruchu.

Za nim stał Bullock.

– Co tu robisz?

– Zwracam ci kalkulator – powiedział Jay przerażonym głosem. – Pożyczyłem go, bo mój został w domu, a wiem, że swój trzymasz w szufladzie. Widziałem, że zawsze go tam chowasz. – Wskazał ręką na biurko. – Robię analizę i potrzebowałem parę rzeczy przeliczyć – wyjaśniał niezręcznie.

– O północy robisz jakieś analizy? Mam w to wierzyć?

– Pamiętasz, sam zwróciłeś mi uwagę, kiedy z Oliverem ocenialiście moją pracę, że za mało czasu poświęcam firmie.

– Jak otworzyłeś szufladę? Zawsze ją zamykam.

– Była otwarta. Tu jest kluczyk. – Jay wskazał na klucz tkwiący w zamku. – Pewnie zapomniałeś ją zamknąć.

Przepraszam, nie sądziłem, że będziesz miał coś przeciwko temu, żebym skorzystał z twojego kalkulatora.

– Czytałeś jakiś list. Widziałem – wycedził przez zęby Bullock. Zbliżał się do Jaya, zaciskając pięści. – Widziałem.

Jay podniósł do góry ręce. Zaczął się cofać, aż oparł się o stojące za nim biurko.

– Przysięgam, że tylko zwracałem kalkulator. – Spuścił wzrok. – Rzeczywiście, zajrzałem do jednego z twoich potwierdzeń wypłaty. – Zauważył, że w szufladzie, obok pudełka ze zszywkami leżały błękitne karteczki czeków. Takie karteczki dostawali wszyscy pracownicy M-L jako potwierdzenie wypłaty. – Przepraszam, nie powinienem.

Bullock zatrzymał się parę centymetrów od niego. Ręce oparł na biodrach, na jego twarzy malował się grymas wściekłości. Nagle chwycił Jaya i odepchnął go na bok.

– Wynoś się stąd, do diabła!

– Spokojnie, Carter.

– Powiedziałem, wynoś się!

– W porządku. – Jay wrócił na swoje miejsce, włożył parę rzeczy do teczki i ruszył do wind.

Kiedy Jay zniknął, Bullock wyjął z szuflady szarą kopertę. Jeśli West zajrzał do środka, już wie o EZ Travel. A kiedy zostaną ogłoszone oferty przejęcia i Jay zda sobie sprawę, w jakiej jest sytuacji, przypomni sobie ten wieczór.

Bullock jeszcze raz spojrział na windy. Zmrużył oczy. Ogłoszenie ofert przejęcia Bell Chemical i Simons muszą nastąpić szybko. Będzie to pretekst, którego O'Shea potrzebuje, żeby

aresztować Jaya. A kiedy Jay znajdzie się w więzieniu, jego życie szybko się skończy. Znajdą go dyndającego pod sufitem celi. Powiesi się na prześcieradle. Wszystko skończy się dobrze. Samobójstwo, bo tak to będzie wyglądało, zamknie sprawę.

Bullock wrzucił szarą kopertę do teczki. Zajrzał jeszcze do szuflady, zobaczył list Abby i również schował go do teczki. Zamknął szufladę i poszedł do wind. Do czasu śmierci Jaya nie będzie mógł spać spokojnie.

Sally, siedząc pod biurkiem po drugiej stronie przepierzenia, masowała sobie łydkę. Kucała w swojej kryjówce i złapał ją skurcz. Ból był przejmujący, ale nie mogła się ruszyć, dopóki Bullock nie wyszedł. Była pewna, że nie zostawił na biurku nic, co miałoby dla niej znaczenie, szczególnie po tym, jak Jay szperał w jego szufladzie. Ale na wszelki wypadek chciała to sprawdzić. Nie robiła żadnych postępów w sprawie i jej przełożeni zaczęli się niecierpliwie.

Niebo od rana pluło deszczem i gradem. Wśród huku piorunów i strzałów błyskawic ogromne lodowe kule uderzały o Wall Street. Jay z „Wall Street Journal” na głowie przebiegł ostatnie sto metrów dzielące go od firmy, przebijając się przez tłum parasoli. Wpadł głównym wejściem do budynku firmy i omal się nie zderzył w drzwiach z Paulem Lopezem, który właśnie wychodził do domu.

– Przepraszam, Paulie. – Jay wrzucił mokrą gazetę do kosza na śmieci. – Wyglądasz, jakbyś miał ciężką noc – powiedział, zauważywszy kwaśną minę Paula.

– Nie było tak źle – powiedział Paul krótko. – Aż do chwili piętnaście minut temu.

– A co się stało?

– Miałem już wychodzić, ale zadzwonił Carter Bullock. Dosłownie już wstawałem z krzesła i szedłem do domu.

– No i?

– Cholera, musiał być wczoraj w nocy w pracy, kiedy widzieliśmy się na parkiecie. Mówi, że kiedy wrócił do swojego biurka, przyłapał kogoś na szperaniu w jego szufladzie, w tej, w której zostawiłem dokumenty. – Lopez wycelował palec w Jaya. – To byłeś ty.

– Pożyczyłem jego kalkulator, Paulie. – Jay wyjaśnił potulnie. – Przecież mu powiedziałem.

– Nie obchodzi mnie to. W każdym razie, narobiłeś mi kłopotu. Pamiętam, że przed wyjściem zamknąłem szufladę na klucz. A ty mu powiedziałaś, że była otwarta.

– Przepraszam cię. – Twarz Jaya rozjaśniła się nagle. – Jeśli ci załatwią parę miejsc w łóży na mecz jankesów, trochę ci ulży? Paul wzruszył ramionami.

– Może.

– Zrobione. – Jay zostawił Paula i zdążył wbiec do windy w momencie, kiedy drzwi już się zamykały. Na swoim piętrze zwałowo ruszył do działu arbitrażu. Było dopiero wpół do ósmej, ale wszyscy już siedzieli na miejscach.

– Witam – powiedział Bullock, kiedy Jay postawił na ziemi swoją teczkę.

– Cześć.

Sally uśmiechnęła się do Jaya z za przepierzenia. Oliver nie zwrócił na niego uwagi. Siedział, zapatrzony w monitor komputera. Dłonie miał mocno zaciśnięte na wysokości twarzy.

– Dzień dobry, Oliver – zawołał Jay. Mason nie odezwał się.

– Ostatnio świetnie się dogadujesz z szefem – zauważył Bullock złośliwie. – To dobrze wróży na czas przyznawania premii.

Jay chciał coś odpowiedzieć, ale właśnie zbliżał się do nich Ted Mitchell. Mitchell zajmował się obrotem akcji najbogatszych klientów indywidualnych.

– Cześć wszystkim – przywitał się i zatrzymał między Oliverem a Sally. – Oliver, pomyślałem, że zainteresują cię najnowsze plotki, jakie dotarły do nas dziś rano.

– Jakie plotki? – zapytał Bullock, kiedy stało się jasne, że Oliver nie zamierza odpowiedzieć.

– Ludzie mówią o jakiejś wpływowej grupie z Zachodniego Wybrzeża, która zamierza ogłosić ofertę przejęcia Bell Chemical – obwieścił Mitchell. – Cena wywoławcza będzie dużo wyższa od wczorajszej ceny na rynku. Tak przynajmniej się mówi.

Kiedy padła nazwa Bell Chemical, obraz przed oczami Jaya stracił ostrość. Słowa dudniły w jego uszach jak oszalała orkiestra wściekłych trąbek.

– Druga plotka dotyczy pewnej firmy ze Środkowego Zachodu – ciągnął Mitchell. – Chyba nazywa się Simons. Nigdy przedtem o niej nie słyszałem.

Jay poczuł, że zaschło mu w gardle. Wstał i spojrzał nad ścianką na Olivera. Szef siedział bez ruchu, tępo wpatrzony w monitor komputera.

– Sprawdźmy to – zaproponował Bullock. Zaczął wystukiwać polecenia na klawiaturze komputera.

Wyciągnął najnowsze dane dotyczące Bell Chemical. – Tak, piszą tu, że sprzedaż Bell Chemical będzie opóźniona, zacznie się o dziewiątej trzydzięci, w momencie otwarcia giełdy nowojorskiej. Czekają na jakieś oświadczenie – czytał Bullock. – Jest ogromne zróżnicowanie popytu na te akcje. – Bullock z radością uderzył w blat biurka. – Powodem takiej sytuacji musi być ogłoszenie przejęcia.

– Od dawna macie akcje Bella? – zapytał Mitchell.

– Jasne! – krzyknął Bullock. – Simonsa też! Jesteśmy w posiadaniu sporego pakietu obydwu firm. I to dzięki temu facetowi – powiedział, wskazując na Jaya. Zachowywał się jak chłopiec, który dostał na gwiazdkę kucyka, o którego prosił rodziców przez cały rok. – Nasz nowy nabytek, Jay West, jest chyba potomkiem samego króla Midasa.

Mitchell uśmiechnął się do Jaya.

– To niewiarygodne, żeby za jednym zamachem udały się takie dwie transakcje. Gratuluję.

Bili McCarthy będzie szczęśliwy.

– Dzięki – powiedział Jay nie podnosząc wzroku na Olivera, który wciąż nawet nie drgnął. Mitchell trącił łokciem krzesło Masona.

– To będzie niezła jazda, Oliver. Od dłuższego czasu nie miałeś takich spektakularnych sukcesów. Ostatnio chyba wiosną, tak?

Jay spojrzał na Mitchella. Pierwszy raz ktoś wspominał o kryzysie w ich dziale.

– To prawda – zgodził się Bullock. – Wygląda na to, że Jay to dokładnie ten człowiek, o jakiego nam chodziło. – Klepnął go po plecach. – Tak trzymaj, stary. Wiem, że nie byliśmy z Oliverem zbyt pomocni w tych transakcjach, ale udowodniłeś, że sam potrafisz sobie radzić.

Mitchell uśmiechnął się znowu do Jaya.

– Pozwól, że pierwszy uścisknę ci dłoń – powiedział wyciągając rękę.

Ale Jay już nic nie słyszał. Patrzył na Olivera, który powoli wstał i poszedł w kierunku wind.

Bullock kiwnął głową do Sally. Dziewczyna zerwała się z krzesła i pobiegła za Oliverem.

– Co tu się u was dzieje? – zapytał Mitchell, cofając wyciągniętą dłoń i obrzucając Jaya zirytowanym spojrzeniem.

Spojrzał jeszcze raz na Bullocka, zaklął szpetnie i oddalił się.

– Bullock, ty palancie – szepnął Jay. – Dlaczego powiedziałeś Mitchellowi, że to był mój pomysł z tymi akcjami? Wiesz dobrze, że to nieprawda.

– Chciałem tylko pomóc koledze w budowaniu pozytywnego wizerunku, którego tak potrzebujesz – stwierdził Bullock. – Jeśli McCarthy się dowie, że te transakcje to był twój pomysł, będziesz miał ogromnego plusa.

– Nie zależy mi na tym – odparł Jay. – Wy dwaj, razem z Oliverem...

– Hej! – wróciła Sally. Twarz miała pobladła. – Oliver pojechał na najwyższe piętro. – Mówiła konspiracyjnym szeptem. – Nie zwracał na mnie uwagi. Coś musiało się stać.

Bullock podniósł się z krzesła i pobiegł do wind. Jay i Sally ruszyli za nim.

– Co się z nim dzieje? – zapytała dziewczyna, kiedy zamknęły się za nimi drzwi i winda ruszyła w górę. Byli jedynymi pasażerami windy. – Wyglądał jak upiór.

– Ma problemy w domu – powiedział Bullock, obserwując, jak nad drzwiami windy wyświetlają się kolejne liczby. Pięścią uderzył w ściankę. – Podejrzewam, że bierze jakieś prochy, może leki. Będzie dobrze. Pewnie nawet go tam nie zastaniemy.

Jay przyglądał się twarzy Bullocka. Carter sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi.

Drzwi windy otworzyły się na pięćdziesiątym szóstym piętrze. Znaleźli się w recepcji firmy prawniczej, której nazwa wypisana była tłustymi, czarnymi literami na mahoniowej ścianie za plecami recepcjonistki. Kobieta patrzyła na nich zbita z tropu, bo cała trójka wypadła z windy i pobiegła w kierunku wyjścia awaryjnego.

U szczytu schodów znajdowały się metalowe drzwi, przez które wydostali się na dach. Jay osłonił oczy przed silnym wiatrem i deszczem. Rozglądał się za Oliverem.

– Tam!!! – krzyknęła Sally.

Jay spojrzał w stronę, którą wskazywała. Zobaczył Olivera siedzącego na murku, który biegł po krawędzi dachu budynku. Jay instynktownie rzucił się biegiem w kierunku Masona.

Oliver siedział na murku twarzą zwrócony do nich, plecami do przepaści po drugiej stronie. Kiwał się w tył i w przód, nie dotykając dachu stopami, z nogami założonymi kostka na kostkę.

– Cześć wam – powiedział donośnym głosem. Na twarzy, po której spływały strugi deszczu, błąkał się dziwny uśmiech. Uśmiech zbladł, kiedy zaczęli się do niego zbliżać. Oczami bezradnie wodził to w prawo, to w lewo. – Nie zbliżajcie się! – ostrzegł.

– Nie podchodź do niego, Bullock – krzyknął Jay. Bullock jednak zignorował ostrzeżenie Olivera i nie zatrzymał się. – Chryste, przecież on skoczy.

– Wiem, co robię – warknął Bullock. Zatrzymał się na moment, ale zaraz zaczął znowu iść w stronę Olivera, tyle że wolniej.

Kiedy Bullock był już blisko, Oliver podniósł się i stanął na rozstawionych nogach. Był przemoczony, ociekał wodą, a wiatr targał na nim ubranie.

– Carter, zatrzymaj się – zawołała błagalnym tonem Sally, zasłaniając rękami usta.

– Jeśli spojrzysz w dół, może stracić równowagę – krzyknął Jay. – On może nawet nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje.

– Dobrze wie – warknął Bullock i podszedł bliżej. Od Olivera dzielił go już nie więcej niż metr.

Jay ruszył za Bullockiem.

– Nie zbliżaj się – krzyknął Oliver. – Proszę, Carter. Dajcie mi spokój. Nie rób mi tego.

– Chcę ci pomóc, Oliver – wycodził Bullock przez zaciśnięte zęby. – Wiesz, że chcę twego dobra.

– Nie rób mi tego! Proszę! – Oliver podniósł ramiona i rozpostarł je, po czym przechylił do tyłu głowę i spojrzał w pociemniałe niebo.

– Bullock, on skoczy! – krzyknął Jay. – Stój!

Ale Bullock już objął ramionami nogi Olivera. Mason stracił równowagę i zaczął spadać do tyłu.

Wtedy Bullock puścił jego nogi, ale Jay już tam był i złapał Olivera za ramię. Przez sekundę wyglądali jak jakaś dramatyczna rzeźba – ciało Giwera wiszące nad Wall Street, Jay kurczowo wpijający się w murek i Bullock klęczący poniżej.

Jay próbując utrzymać ciężar czuł rozdzierający ból. Na chwilę zwolnił uścisk, kiedy mokra koszula Olivera wyśliznęła się z jego palców. Ale zaraz chwycił jeszcze mocniej i zaczął go ciągnąć. Nie puścił aż do chwili, kiedy Oliver runął na niego całym ciężarem, spadając na zalany deszczem dach. Na moment ich oczy spotkały się.

– Już dłużej nie mogę – wyszeptał Oliver.

Zanim Jay odpowiedział, Bullock podniósł Olivera i poprowadził go do drzwi, obejmując ramieniem.

– Nic ci nie jest? – Sally uklękła przy Jayu. Podniósł się na łokciu.

– W porządku – jęknął. Kolano pulsowało mu z bólu.

– Uratowałeś Oliverowi życie. – Miała szeroko otwarte oczy i zupełnie mokre od deszczu włosy. Oddychała ciężko. – Boże, bałam się, że obydwaj spadniecie. Mogłeś zginąć. – Objęła go i mocno przytuliła.

– To był odruch, i to chyba nie najmądrzejszy – powiedział Jay. – Nie zastanawiałem się, co robię. Gdybym się zastanowił... – Spojrzał w jej twarz i zobaczył przerażenie. – Już po wszystkim, Sally. Nic mi nie jest.

Kiwnęła głową.

– Wiem.

– Więc o co chodzi? – Spojrzała gdzieś w dal. Chodziło jej o coś innego. – Mów.

Popatrzyła mu prosto w oczy i przebiegła palcami po jego włosach.

– Czy czułeś coś w nogach, kiedy trzymałeś Olivera? Jay próbował sobie przypomnieć, i nagle uzmysłowił sobie puchnące kolano.

– Tak, chyba coś się stało, ale nie jestem pewien. Musiałem uderzyć się o murek.

– To był Bullock – szepnęła.

– Co?

– Próbował utrzymać się na nogach, żeby wam pomóc, tak przynajmniej myślałam, jednak

potem upadł.

Dach był mokry, ale... – Odwróciła wzrok.

– Ale co?

Zawahała się, nie była pewna, czy powinna mówić dalej.

– Wyglądało to tak, jakby upadł na twoją nogę specjalnie. Jakby... – Ściszyła głos, a może słowa zagłuszył grzmot, który właśnie się rozległ. Kiedy skończyło się dudnienie grzmotu, Jay powoli wstał i poszli razem w kierunku drzwi prowadzących do środka budynku. Nie był pewien, czy Sally nie dokończyła zdania, może on nie dosłyszał. Ale przecież to nie miało znaczenia. Wiedział, co chciała powiedzieć.

Młoda kobieta włożyła prześcieradło pod materac i wygładziła dłonią zmarszczki materiału. Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem całe wnętrze, z zadowoleniem kiwnęła głową i skierowała się do wyjścia.

Pokój był gotowy na przyjęcie kolejnego gościa. Westchnęła i zamknęła za sobą drzwi. Jutro będzie musiała powtórzyć wszystkie te czynności od nowa.

– Dzień dobry.

Pokójówka cichutko pisnęła, przestraszona nagłym pojawieniem się młodego, wysokiego mężczyzny, który stał przed nią w korytarzu. Nie wyglądał zbyt schludnie. Miał pomiętą i poplamioną marynarkę – pewnie dzisiejsza burza złapała go w mieście. Dziewczyna aż chwyciła się za pierś, bo serce waliło jej jak młotem.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć – powiedział Jay.

– Nic, nic. Nic się nie stało. – Położyła na stojący obok wózek dwa brudne ręczniki. – Trochę tylko się wystraszyłam. Jay rozejrzał się po korytarzu. Byli sami.

– Muszę o coś panią zapytać. To zajmie chwilkę, nie dłużej. Przyrzekam.

– Proszę pana, mam do sprzątnięcia bardzo dużo... Jay wyjął z kieszeni koszuli banknot dwudziestodolarowy. Młoda kobieta pokręciła głową.

– Nie jestem dziewczyną, za jaką pan mnie bierze, proszę pana. I jeśli kierownik dowie się, że coś takiego zrobiłam, stracę pracę. A mnie na niej zależy.

– Słucham? – Jay nie od razu zrozumiał, o czym dziewczyna mówi. – Jezu, nie. Nie chcę, żeby wchodziła pani ze mną do pokoju. Naprawdę, chcę tylko zadać kilka pytań.

– Zdawało mi się, że jeszcze przed chwilą mówił pan o jednym pytaniu, teraz to już jest kilka pytań.

– Najpierw mi pani odpowie, a potem dostanie pieniądze.

– Dobrze, byle szybko – powiedziała zażenowana swoją pomyłką. – Kierownik za chwilę tu będzie.

– Jedna z pokojówek powiedziała mi, że to pani pracowała na tym piętrze w zeszły wtorek. – Jay wskazał na apartament za jej plecami. Sekretarka z ich działu wiedziała, że firma McCarthy-Lloyd od lat wynajmowała jeden z apartamentów w hotelu. – To prawda?

– Tak. Zaczęłam koło czwartej i skończyłam o północy. Co z tego? Jay wyjął z kieszeni marynarki dwie fotografie. Na pierwszej z nich była Abby. Ojciec Abby dał mu to zdjęcie wczoraj.

– Poznaje pani tę kobietę? Pokojówka rzuciła okiem.

– Tak, ostatnio widziałam ją kilka razy, jak wchodziła do tego apartamentu.

Jay pokazał dziewczynie drugie zdjęcie.

– Proszę popatrzeć jeszcze na to – powiedział. Fotografia przedstawiała Olivera siedzącego między Sally i Jayem na jachcie.

– A tutaj, poznaje pani kogoś? Pokojówka wyjęła zdjęcie Jayowi z ręki.

– Tak, to pan.

– Niech się pani przyjrzy – poprosił. Spojrzała na fotografię ponownie.

– Jego – pokazała Olivera. – Był z tą kobietą z poprzedniej fotografii. – Wskazała na drzwi apartamentu. – Omal na niego nie wpadłam, kiedy wchodziłam do windy. A jak wychodziłam z windy na dole, we wtorek około dziewiątej w głównym holu – już zwracała Jayowi zdjęcie, ale zatrzymała się – widziałam go z tą kobietą.

Jay spojrział na zdjęcie. Pokojówka pokazywała Sally.

Hej, kolego! – krzyknął Oliver, idąc przez parkiet. Jay spojrzął na zegarek. Było dopiero w pół do siódmej rano. Co Oliver robił tu o tak wczesnej porze? Nigdy nie pojawiał się w pracy przed siódmą.

– Co za wspaniały poranek – zawołał Mason, stawiając na biurku teczkę. – Od świtu skwar, jak w piekle.

Myślałem, że ten zimny front, który wczoraj przyniósł nam burzę, ochłodzi trochę powietrze. Ale nie. – Mówił szybko i ożywionym głosem, jak gdyby to, co miało wczoraj miejsce nigdy się nie wydarzyło. – A nawet mi się zdaje, że jest dziś goręcej, niż było całe lato. – Kilka razy gwałtownie wciągnął powietrze. – A przecież to nie jest nawet sierpień. – Rzucił marynarkę na ściankę działową. – Ale mimo wszystko, nie jest źle.

Jay spojrzął na Olivera ze swojego miejsca po drugiej stronie przepierzenia. Mężczyzna musiał całkowicie wyprzeć z pamięci wczorajsze wydarzenia na dachu. Prawdopodobnie jego system obronny wyrzucił z pamięci wszystko, co się stało i przekonał go, że to był tylko koszmarny sen, pomyślał Jay, tłumacząc sobie dzisiejsze zachowanie szefa. Mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu ten człowiek stanął na krawędzi przepaści, spoglądając w oczy śmierci. A teraz udawał, jakby coś takiego w ogóle nie miało miejsca.

– Idę po kawę – oznajmił Oliver. – Tobie też przynieść?

– Nie, dziękuję.

– Dobra, stary. – Mason ruszył, po czym przystanął. – Kwaśną masz minę, jak na faceta, który w jednym dniu trafił dwa przejęcia. – Przechylił się nad ścianką działową i ściszył głos, chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich słyszeć. – A propos, jak będziesz chciał mi podziękować za informację o Bell Chemical i Simonsie, zawsze możesz to zrobić. Po prostu odpal mi procent od zysku. Zawsze to powtarzam, pieniądze rządzą światem. – Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się demonicznie. – A właśnie, nie znalazłem Turbo Tec na wczorajszej liście przejęć.

– O co ci chodzi, Oliver?

– O nic – odpowiedział, zadowolony z siebie. Kokaina wnikała w błonę jamy nosowej. Wciągnął parę ścieżek siedząc z tyłu wiozącej go na Manhattan limuzyny. – Na razie. – Odwrócił

się i poszedł w kierunku ekspresu do kawy.

Jay patrzył na niego, jak przemierza parkiet, zatrzymując się przy pracownikach, którzy wcześniej przyszedli do pracy, klepie ich po plecach i zamienia parę słów. Pokręcony sukinsyn w pokręconej sytuacji, pomyślał Jay.

Żałował tylko, że tak mało sam wiedział o tej sytuacji. Wczorajsze załamanie Olivera mogło mieć coś wspólnego z jego kryzysem małżeńskim albo z tym, co działo się w pracy – o ile coś się działo. A może złożyło się na to wiele spraw, których istnienia Jay nawet się nie domyślał, a które zbiegły się w czasie i wywołały załamanie. Niezależnie od powodu, Oliver zdawał się balansować na krawędzi.

Jay zaczął drukować dane, których potrzebował na swój wyjazd. Tylko po to wstąpił dziś do pracy. Potem miał zamiar udać się na lotnisko La Guardia. Kiedy skończył drukować, umieścił potrzebne informacje w teczce, teczkę schował do torby podróżnej, którą zamknął na zamek błyskawiczny. Dokąd to się wybierasz? – Bullock zbliżał się do jego biurka.

– Do Nashua, w New Hampshire – odpowiedział Jay i zaklął w duchu. Tylko tego brakowało, żeby spotkać Bullocka.

– A co takiego jest w stanie New Hampshire? – Bullock spojrzał na torbę podróżną Jaya.

– Turbo Tec.

– Po co jedziesz aż tam? Nie możesz sprawy załatwić przez telefon?

– Jutro spotykam się tam z kolegą ze studiów, który pracuje w tej firmie. Myślę, że da to pewien ogląd sytuacji. Ten kolega chce mnie widzieć osobiście.

– Oliver wie, że jedziesz?

– Nie. – Jay zrobił krok w kierunku wind. – Sądziłem, że jeśli chodzi o sposób zdobywania informacji, to o ile jest legalny, mam wolną rękę.

– A ja ci radzę, żebyś pogadał najpierw z Oliverem. – Bullock zastąpił Jayowi drogę.

– W jakim celu? Bullock uśmiechnął się.

– On tu jest szefem. A mnie na nim zależy. Jay pokręcił głową.

– Nie zależy ci na nim w ogóle. Koniec. Kropka.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – Bullock postawił na ziemi teczkę i zbliżył się do Jaya.

– Chciałem powiedzieć dokładnie to, co usłyszałeś – syknął Jay. Nie ruszył się z miejsca, mimo że Bullock zbliżył się do niego.

– Powtórz to – zażądał Carter.

– Ujmijmy to w ten sposób. Coś mi mówi, że gdyby Oliver wysliznął mi się wczoraj z rąk i roztrzaskał na Wall Street, nie bardzo by cię to wzruszyło.

– Lepiej odwołaj to, co powiedziałaś – twarz Bullocka nagle oblała się szkarłatnym rumieńcem. – Oliver należy do moich najlepszych przyjaciół. Nie mógłbym życzyć mu nic złego.

Jay postawił na ziemi torbę.

– Więc dlaczego wczoraj runąłeś całym ciężarem na moje nogi, kiedy go trzymałem?

– Ty cholerny... – Bullock nie skończył. Nie opanował się i zamachnął na Jaya.

Jay zrobił unik i uderzył go lewą ręką w brzuch.

Kiedy Bullock cofnął się od siły uderzenia i zgiął w pół, próbując złapać oddech, Jay uderzył znowu, tym razem prawą ręką prosto w brodę. Bullock z rozciętą wargą runął na podłogę. Jedną dłonią trzymał się za brzuch, a drugą zasłaniał krwawiące usta.

– Miłego dnia – wycedził Jay i rozejrzał się dookoła. Kilka osób stało i patrzyło na Bullocka, który wił się po podłodze jęcząc. Kątem oka Jay zauważył Olivera, który zbliżał się do nich, wracając z kawiarni. Jay chwycił torbę i pognął w kierunku wind.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi kabiny, obejrzał sobie kłykcie. W jednym miejscu sączyła się krew, ale mógł poruszać dłonią. Zlizał krew i roześmiał się. Dobrze mu zrobiła ta fizyczna konfrontacja. Od chwili rozmowy kwalifikacyjnej miesiąc temu czuł bardzo silną wrogość ze strony Bullocka, jak gdyby tamten chciał konfrontacji od chwili, kiedy się poznali. Tylko że Carter nie takiego zakończenia walki oczekiwał. Leżał pewnie jeszcze na podłodze, skręcając się z bólu albo pochylał nad zlewem w łazience, próbując zatrzymać krwotok.

Jay wiedział, że on też będzie musiał zapłacić za to swoją cenę. Kiedy wróci z Nowej Anglii, pewnie nie będzie już na niego czekało miejsce w dziale arbitrażu. Był tego niemal pewien. Bullock otrzymał cios, a Oliver nie pozwoli, żeby przyjacielowi robiono krzywdę. Gdyby Mason się domyślał, co Bullock próbował wczoraj zrobić na dachu... Jay pokręcił głową. Nagle ogarnęły go wątpliwości. Może Bullock wcale nie chciał zrobić nic złego. Może po prostu się pośliznął. Ale przecież Sally widziała, co się działo i twierdziła, że intencje Bullocka były jasne.

Po czyjej stronie w całej tej grze stała ona? Była z Oliverem zaraz po tym, jak zostawił Abby w pokoju Hotelu Plaża, a teraz Abby nie żyła.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał Jay. Do diabła z Oliverem, Bullockiem, firmą McCarthy-Lloyd, z Sally i z milionem dolarów premii. Do diabła z tym wszystkim. Zamierzał wyjechać, a kiedy wróci, postara się załatwić te sprawy najlepiej, jak się da. Jeśli nie będzie już

dla niego miejsca w McCarthy-Lloyd, nie zmartwi się. Dosyć miał tej przeklętej firmy.

Drzwi windy otworzyły się. Przed nim stała Sally.

– Dokąd jedziesz? – zapytała, patrząc na jego torbę podróżną.

– W interesach – rzucił. Minął ją i ruszył przez główny hol, w którym roilo się od ludzi wchodzących do budynku.

– Dzwoniłam do ciebie kilka razy wczoraj wieczorem. – Próbowała za nim nadążyć. – Dlaczego nie oddzwoniłeś? Martwiłam się o ciebie.

– Przepraszam. Nie było mnie. – Skłamał. Cały wieczór siedział w domu, załatwiając płatności rachunków i pracując na komputerze. Zauważył też, że jedna z dyskietek zginęła. Miał na niej dane dotyczące swoich finansów – wpłaty i wypłaty z konta z zeszłego roku. Nie zwróciłby uwagi, że jej nie ma, ale nie mógł się uwolnić od dręczącego przekonania, że Sally przeszukiwała jego dyskietki. Dlatego sprawdził wszystkie dokładnie, i choć nie miał dowodu, że to ona ją zabrała, to przecież od trzech miesięcy nie miał innych gości w mieszkaniu.

Sally dzwoniła wczoraj trzy razy. Już po tym, jak odkrył brak dyskietki. Słuchał uważnie. Z każdą kolejną wiadomością zostawianą na sekretarce, jej ton wskazywał na coraz większe zaniepokojenie.

– Powiedz mi, dokąd jedziesz – nie dawała za wygraną. Chwyciła go za ramię.

– Do Nashua w New Hampshire, do Turbo Tec. To firma, do której przekonywałem Billa McCarthy'ego w klubie żeglarskim. – Jay zatrzymał się w drzwiach. – Do zobaczenia. – Wyszedł.

Sally ruszyła za nim, ale po chwili zatrzymała się. Nie warto. I tak nie powie jej nic więcej, a to co wiedziała, wystarczy. Patrzyła, jak zatrzymuje taksówkę, wrzuca do środka torbę i wsiada do samochodu. Kiedy auto zniknęło jej z oczu, Sally wyciągnęła z torby telefon komórkowy i pospiesznie zaczęła wystukiwać numer.

Victor Savoy siedział na ławce w parku i z zadowoleniem przeżuwał kanapkę z szynką. Patrzył na mijający go tłum ludzi pędzących na lunch na dolnym Manhattanie. Uwielbiał tą mocno wędzoną szynkę wołową, ale jadał ją tylko w Nowym Jorku. Był tu wyjątkowy bar na ulicy Williamsa. Nazywał się Ray's i podawano tam kanapki, które dosłownie rozplływały się w ustach. Kiedy próbował szynki w innych miejscach, zawsze kończyło się to gorzkim rozczarowaniem. Savoy skończył delectować się ostatnim kęsem kanapki, zgniótł papier i spojrzał w lewo.

Pięćdziesiąt metrów dalej znajdował się ratusz, dwupiętrowa konstrukcja wzniesiona z gładkiego białego piaskowca. Jedenaście stopni prowadziło z portyku na niewielki dziedziniec, gdzie burmistrz witał czasem dygnitarzy albo wręczał klucze do miasta. Przed podjazdem w kształcie lizaka co chwila zatrzymywały się niebieskie samochody, zabierając bądź wysadzając urzędników pracujących w zarządzie miasta.

Savoy wstał z ławki i zaczął iść. Ratusz znajdował się jakieś osiemset metrów na północ od Wall Street.

Przed budynkiem był niewielki park, ograniczony dwiema zbiegającymi się ulicami. Dawało to efekt amfiteatru, z ratuszem w centrum.

Savoy stanął na końcu podjazdu. Kręciło się tutaj kilku umundurowanych policjantów. Kiedy żaden z nich nie patrzył w jego stronę, Savoy szybkim krokiem wyszedł z cienia wiązów, minął dwa betonowe słupki i przeszedł na drugą stronę podjazdu. Dotarł do dziedzińca przed schodami, zatrzymał się i odwrócił. Z prawej strony wznosił się budynek Woolwortha.

Podniósł głowę i przyjrzał mu się dokładniej. Osoba stojąca w biurze na którymś z najwyższych pięter tej budowli w stylu neogotyckim, doskonale widziałaaby miejsce, gdzie Savoy stał w tej chwili. Widok z innych budynków stojących dookoła byłby częściowo zasłonięty przez drzewa. Jedyne problemy polegały na tym, że i tajne służby, i FBI, i wywiad brytyjski będą mieli swoich snajperów i tajniaków wszędzie w pobliżu. Człowiek z bronią na szczycie budynku Woolwortha szybko zostanie odkryty, bo najbliższa okolica ratusza będzie obserwowana bez przerwy. Trzeba wymyślić coś innego.

Savoy odwrócił się na południe i nagle znalazł rozwiązanie. Jakież osiemset metrów od miejsca, w którym stał, widoczny był niewielki górny fragment Chase Manhattan Plaży, ogromnej budowli, w której mieściła się siedziba jednego z największych banków światowych. Resztę bryły zasłaniał niższy, bliższy ratuszowi budynek.

Z biur położonych na ostatnich piętrach wysokościowca powinien być idealny widok na podium, które w dniu krytycznym zostanie ustawione dokładnie w miejscu, gdzie teraz stał Savoy. Miał wręcz wrażenie, że wierzchołki drzew w parku rozstępują się, niczym Morze Czerwone, na linii prostej prowadzącej z ratusza do budynku Chase. Snajper będzie miał w dole naturalny lej prowadzący na otwartą przestrzeń. Odległość wynosiła około osiemset metrów, ale ludzie Savoya świetnie strzelali. Nie będą mieli problemu, żeby trafić do celu.

Jeden z policjantów podszedł szybko do niego.

– Co pan tutaj robi?

– Podziwiam widok. – Savoy był przebrany i nie obawiał się, że policjant kiedykolwiek go sobie przypomni.

Może rozmowę, ale nie twarz. Nie twarz, która okaże się tak ważna.

– To miejsce jest zamknięte dla publiczności. Proszę odejść – powiedział grzecznie, ale stanowczo policjant.

– Już idę – powiedział Savoy uprzejmym głosem. Nie było sensu wdawać się w dyskusję. Gdyby oficer okazał się nadgorliwy, mocno by się zdziwił, znajdując w kieszeniach Savoya kilka paszportów i bilety lotnicze na różne nazwiska. Agencja turystyczna EZ umożliwiła mu podróż do każdego zakątka świata pod każdym z jego wielu fałszywych nazwisk.

Godzinę później Savoy znajdował się na pięćdziesiątym trzecim piętrze budynku Chase. Chciał się upewnić, czy widok z góry na ratusz jest tak samo dobry jak wydawało się to z dołu.

Pięćdziesiąte trzecie piętro było opustoszałe, bo firma prawnicza, która do tej pory wynajmowała pomieszczenie od banku, właśnie się wyprowadziła. Z pustego biura w północno-zachodnim rogu budynku Savoy patrzył na dziedziniec przed ratuszem. Dokładnie widział urzędników wysiadających z samochodów i czarnego explorera zaparkowanego na podjeździe. Bingo. Jak tylko znajdzie bezpieczny telefon, natychmiast zadzwoni do swoich ludzi w Wirginii i każe im przyjeżdżać do Nowego Jorku.

Savoy podziękował portierowi, który w zamian za banknot pięćdziesięciodolarowy łaskawie pozwolił mu wejść do pustego biura, i ruszył w kierunku wind. Czekał go lot do Antwerpii, a tam spotkanie z frachtowcem, płynącym właśnie na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki.

Jay stał na ganku ogromnej willi w stylu wiktoriańskim, której okna wychodziły na Ocean Atlantycki. Na lotnisku Logana w Bostonie znalazł się parę godzin po spotkaniu Sally przy wejściu do McCarthy-Lloyd. Kiedy wylądował w Bostonie, wynajął samochód i półtorej godziny jechał na północny wschód, na sam cypel przylądka Cape Ann, do niewielkiego miasteczka rybackiego, Gloucester. Po drodze zatrzymał się w jakiejś niewielkiej knajpce rybackiej i zjadł kraby w cieście. Tam też dowiedział się, gdzie mieszkali państwo Lane.

Byli znani w miasteczku. Kelnerka potwierdziła, że zginęli w katastrofie samolotowej w zeszłym roku i że ich córka mieszka na Zachodnim Wybrzeżu. Dowiedział się też, że w Gloucester nie mieszkają już żadni inni Lane'owie.

Jay obejrzał się przez ramię. W pracy powiedział, że jedzie na spotkanie ze znajomym w sprawie Turbo Tec, ale nie był to prawdziwy powód. Te dwa dni postanowił przeznaczyć na próbę odpowiedzi na pytania, co się wokół niego dzieje. Wyteżył wzrok i obrzucił spojrzeniem bujne ogrody po obu stronach podjazdu prowadzącego do willi. Od chwili kiedy wylądował w Bostonie, nie opuszczało go dziwne wrażenie, że jest obserwowany.

Rano, przed wyjściem z McCarthy-Lloyd Jay przejrzał w internecie kilka artykułów ze starych wydań „Boston Globe”. Skopiował nekrologi Joe i Patsy Lane oraz notkę o katastrofie samolotowej i ich podwójnym pogrzebie. Autor artykułu donosił, że niejaki Franklin Kerr wygłosił w czasie mszy poruszającą mowę pożegnalną o ojcu Sally. A jego żona, Edith, uczyniła to samo na cześć matki Sally. W gazecie znalazł też informację, że państwo Lane i państwo Kerr przez wiele lat byli najbliższymi sąsiadami i przyjaciółmi. Jay spojrzął na drzwi. Był w miejscu, w którym mógł zacząć poznawać odpowiedzi na dręczące go pytania.

Zastukał lewą ręką. Wciąż miał spuchnięte kłykcie prawej dłoni od uderzenia w brodę Bullocka. Po chwili usłyszał kroki. Drzwi otworzyły się.

– Czym mogę służyć? – Starsza kobieta miała na sobie białą bluzkę bez rękawów, zielone spodnie i kapelusz o szerokim rondzie. Z jednej strony runda zwisała żółta wstążka, która opadała na siwe włosy.

Jay zauważył, że jej dłonie pokryte starczymi plamami trzęsą się. Choroba Parkinsona.

– Pani Kerr?

– Tak, jestem Edith Kerr.

– Nazywam się Jay West. Byłem w jednej grupie z Sally Lane w szkole biznesu na Harvardzie. – Miał nadzieję, że pani Edith miała mgliste pojęcie na temat uczelni, bo nie byłby w stanie odpowiedzieć na najprostsze pytania dotyczące swojej nauki. Edith uśmiechnęła się i zrobiła krok do przodu, otwierając szerzej drzwi. Wyciągnęła rękę.

– Miło mi.

– Mnie również. – Jay uściśnął jej dłoń, i prawie jęknął z bólu, kiedy mocno potrząsnęła jego spuchniętą ręką.

– Przeprowadził się pan do Gloucester? – zapytała Edith. – Nie wygląda mi pan znajomo. Chociaż ostatnio nie bywam często w mieście.

– Nie. Byłem w Bostonie, w interesach – wyjaśnił Jay. – A ponieważ Sally często mówiła, że jest tu pięknie, a ja nigdy nie byłem na Cape Ann, pomyślałem, że sam się przekonam.

– No i jak się panu podoba?

– Sally nie kłamała. Rzeczywiście, to piękna okolica. – Naprawdę, było tam prześlicznie. Obok piaszczystych plaż wyrastały skaliste klify, a na ich szczytach – przepiękne, stare domy. Głębiej w stronę lądu ciągnęły się gęsto zalesione wzgórza. W samym miasteczku stały niewielkie zniszczone drewniane domy i kilka kościółków. Zabudowania koncentrowały się wokół wychodzącego na południową stronę portu, w którym stały kutry rybackie, z zawieszonymi na bomach długimi, czarnymi sieciami.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytała pani Edith. Jay pokazał ręką na lewo. Kilkaset metrów dalej stał dom należący kiedyś do Lane'ów.

– Sally dała mi swój adres. Zajrzałem tam, ale nikogo nie ma. I, prawdą mówiąc, dom sprawia wrażenie opuszczonego. – Jay uśmiechnął się. – Widzę, że to był chybiony pomysł, bo Sally pewnie już tu nie mieszka, ale miałem nadzieję, że się z nią spotkam. Straciliśmy kontakt po ukończeniu szkoły, a szkoda by było... Bardzo się lubiliśmy, podobała mi się. Myślałem, że przywitam się chociaż z jej rodzicami, nawet jeśli Sally nie ma. Kilka razy byliśmy razem na obiedzie, kiedy rodzice odwiedzali ją w szkole. Bardzo mili ludzie.

Edith położyła rękę na ramieniu Jaya.

– Może zechce pan wejść do środka?

– Z przyjemnością. Dziękuję. – Jay wszedł za Edith do pokoju, do którego wchodziło się z głównego korytarza. Usiadł w wielkim fotelu naprzeciw starszej kobiety.

– Długo mieszka pani w Gloucester?

– Całe życie. Tu się wychowałam. Byliśmy z mężem, Frankiem, najbliższymi sąsiadami i przyjaciółmi Joe i Patsy przez blisko czterdzieści lat. – Położyła rękę na piersi. – Frank odszedł parę miesięcy temu. Zostałam zupełnie sama.

– Przykro mi.

– Praca w ogródku trzyma mnie przy życiu. Jay przez chwilę milczał.

– Pewnie zna pani Sally bardzo dobrze.

– Oczywiście. Widziałam, jak dorasta. Byliśmy z Frankiem jej rodzicami chrzestnymi. – Edith wstała, podeszła do kominka i wzięła stamtąd fotografię w srebrnych ramkach. Przez chwilę na nią patrzyła, potem podeszła do Jaya i wręczyła mu zdjęcie. – To właśnie Sally.

Jay przytrzymał ramkę. Sally stała między dwójkiem starszych ludzi. – Z rodzicami. – Jedynie to przyszło mu do głowy.

– Tak – cicho przytaknęła Edith.

Jay przyglądał się zdjęciu jeszcze chwilę. Nagle coś go tknęło.

– Z przyjemnością bym się z nimi zobaczył. – Puls mu gwałtownie przyspieszył. Starał się panować nad głosem. – Choćby tylko po to, żeby się przywitać.

– Rozumiem.

– Czy coś się stało? – zapytał. Edith miała smutny wyraz twarzy. Wskazała ręką na korytarz.

– Mogę zaproponować spacer?

– Oczywiście, chodźmy. – Wręczył jej fotografię z powrotem. Postawiła ją na swoim miejscu na kominku.

Edith odwróciła się do wyjścia. Jay wstał i poszedł za nią. Ale w drzwiach przystanął i jeszcze raz rzucił okiem na zdjęcie. Był niemal pewien, że dziewczyna na zdjęciu to nie jest Sally Lane. Pomimo sporego podobieństwa to nie mogła być Sally, którą znał z firmy McCarthy-Lloyd.

Dwadzieścia minut później Jay i Edith stali na piaszczystej plaży i podziwiali ogromny dom z kamienia, wznoszący się przed nimi. Postawiony został na skraju skalnego urwiska, tuż nad Atlantykiem. Dom Lane'ów nie był tak ogromny, jak willa Olivera i Barbary, ale robił wrażenie, szczególnie z powodu wspaniałego usytuowania.

Ogromne fale rozbijały się u stóp urwiska, na którym stała willa. Jay czuł na twarzy drobinki wody, mimo że stali sto metrów wyżej. Wodna mgiełka działała odświeżająco w ten upalny

dzień. Jay spojrzął w prawo, w kierunku rzędu starych dębów na skraju plaży. Był niemal pewien, że ten ciemnoniebieski samochód, jechał za nim całą drogę z lotniska. Auto zjechało z autostrady tuż przed Gloucester, ale Jay był pewien, że widział je kilkakrotnie, kiedy wyglądał przez okno restauracji, w której jadł obiad. Zmrużył oczy i zasłonił je ręką przed rażącym słońcem. Wśród drzew trudno było kogoś wypatrzeć. Spojrzął na dom na urwisku.

– Wspaniały, prawda? – odezwała się Edith.

– Tak, wspaniały – zgodził się Jay. – Rodzina Lane’ów prowadziła interesy w przemyśle rybnym, prawda?

– Tak – potwierdziła Edith. – Pradziadek Joego rozpoczął ten interes. A dwa lata temu Joe sprzedał całą firmę za ogromne pieniądze. Zapadła cisza. Obydwoje zapatrzili się na dom.

– Edith, chciała mi pani coś opowiedzieć? – Tak?

– Mam wrażenie, że drży pani głos za każdym razem, kiedy wspomina pani państwa Lane’ów. – Skinął głową na dom. – Myślałem, że chce mnie pani tam zaprowadzić, ale wątpię, czy damy radę przejść przez płot. – Od strony plaży dom otoczony był trzymetrowej wysokości siatką.

Edith złożyła ręce.

– Powinnaś była powiedzieć to panu od razu, ale nie było mi łatwo.

– Co takiego?

– Zaraz potem, jak Joe sprzedał firmę, obydwój z Patsy przeprowadzili się na Florydę.

– Teraz rozumiem. Więc chyba nici z mojego...

– A parę miesięcy później obydwój zginęli w katastrofie lotniczej.

– Och, nie – wyszeptał Jay.

– To prawda.

– Mój Boże, czy Sally...

– Nie, nie – przerwała mu Edith. – Sally żyje. Zdaje się, że pracuje w jakiejś firmie na Zachodnim Wybrzeżu.

– Dzięki Bogu.

Zapadła długa cisza. Przerwał ją Jay.

– Czy Joe Lane miał kiedyś czerwony sportowy samochód?

– Sportowy samochód? – zapytała niepewnie.

– Tak, brytyjskiej marki, austin healey. – Wiedział, że to pytanie może wzbudzić

podejrzenia, ale musiał potwierdzić swoje przeczucia. Edith podniosła rękę do ust, próbując sobie przypomnieć.

– Chyba nie. Dlaczego pan pyta?

– Jestem pasjonatem angielskich wozów sportowych, a Sally mówiła, że ojciec miał healeya, kiedy była dzieckiem. – Jay starał się, żeby to, co mówi brzmiało przekonująco. – Ale podobno powietrze jest tu tak przesycone solą, że samochód zaczął korodować i ojciec musiał go sprzedać. Zastanawiałem się, czy jeszcze gdzieś w mieście znajdzie to auto, bo może bym je kupił.

– Sól i wiatr niszczą tu wszystko – przyznała Edith. – Ale nie przypominam sobie, żeby Joe posiadał jakiś angielski samochód sportowy. Oczywiście, pieniędzy miał dosyć. Tylko że samochody nigdy go nie interesowały. A poza tym, wolał wszystko krajowej produkcji. Zawsze popierał amerykańską gospodarkę.

Jay wzruszył ramionami.

– Musiałem coś popłatać. Pewnie Sally nie mówiła o swoim ojcu, tylko o jakimś znajomym. – Sięgnął do kieszeni, by odszukać zdjęcie z polaroida, które Barbara zrobiła im na łódce. – Sally jest śliczną dziewczyną, prawda?

– Piękną. Zawsze była ślicznotką, od dziecka. Czasami w okresie dojrzewania dziewczęta przechodzą okres brzydkiego kaczątka. Sally nie. Zawsze była piękna.

Jay wyciągnął z kieszeni fotografię.

– Mam przy sobie jej zdjęcie.

– Mogę zobaczyć? – Edith przyjrzała się uważnie i aż cofnęła o krok ze zdziwioną miną.

– Co się stało? – zapytał. Patrzyła na niego mrużąc oczy, jak gdyby chciała zapamiętać twarz Jaya. Wyczuł, że kobieta nie jest pewna, czy chce kontynuować rozmowę.

Edith trzęsącym się palcem wskazała na zdjęcie.

– To nie jest Sally – powiedziała rozłoszczona.

– Jest pani pewna? – odgłos fal omal nie zagłuszył jego pytania. Starsza kobieta jeszcze raz spojrzała na fotografię. Kiwnęła głową.

– Jestem w stu procentach pewna. Dziewczyna na pańskim zdjęciu wygląda jak Sally, jest do niej bardzo podobna, ale to nie jest Sally.

– Skąd ta pewność?

– Sally miała na brodzie bliznę. Wyraźną. To była jej jedyna niedoskonałość. Kiedy miała trzynaście lat, potknęła się na chodniku i rozcięła brodę. Rana była straszna. Zawieźliśmy ją

z Frankiem do szpitala, bo Joe i Patsy nie było w domu, załatwiali jakieś sprawy. To był lipiec, dokładnie tak jak teraz. – Pokazała palcem zdjęcie. – Ta kobieta nie ma blizny.

Jay przypomniał sobie sobotni wieczór na deptaku Heights. Dotykał wtedy Sally i patrzył na nią, ale nie przypominał sobie, żeby dziewczyna miała bliznę.

– Mogła przecież ją usunąć. Chirurgia plastyczna czyni cuda. Edith pokręciła głową.

– Nie. Sally śmiertelnie bała się lekarzy. Pamiętam kiedyś, na przyjęciu bożonarodzeniowym, jakie co roku urządzali Joe i Patsy, wspomniałam coś o operacji plastycznej. Sally nie chciała nawet o tym słyszeć. – Edith roześmiała się. – Chyba ją to zirytowało, że w ogóle o tym wspomniałam. Panicznie bała się lekarzy. I wody – dodała.

Jay otworzył szeroko oczy patrząc na Edith.

– Sally bała się wody? – Sally, którą znał, wyskoczyła z łódki na środku cieśniny Long Island.

– Śmiertelnie – powiedziała starsza kobieta. – Nawet się do niej nie zbliżała. Nie wsiadłaby na żaglówkę. To ironia losu, że wychowała się właśnie tutaj, a jej rodzina zajmowała się rybołówstwem.

Jay schował do kieszeni fotografię i spojrzął na ocean. Przez cały ostatni tydzień starał się ustalić, w jakiej firmie na Zachodnim Wybrzeżu Sally pracowała po ukończeniu Harvardu. Próbował wyciągnąć tę informację z działu kadr McCarthy-Lloyd, ale natknął się na opór. Co dziwne, ani Oliver, ani Bullock nigdy nie wymienili nazwy tej firmy. Na Harvardzie także mu nie pomogli. Kiedy skontaktował się ze szkołą po raz pierwszy, urzędnik w specjalnym dziale pomagającym absolwentom znaleźć pracę obiecał odszukać nazwę firmy.

Twierdził, że taka informacja powinna być w archiwum. Jednak następnego dnia oddzwonił, że w archiwum nie ma ani nazwy firmy, ani adresu Sally. Jay zamówił książkę absolwentów tamtego roku i zamierzał skontaktować się ze znajomymi Sally ze studiów. Może ktoś z nich coś by wiedział. Ale w tej chwili nie widział już potrzeby szukać dalej. Dostał odpowiedź. Kobieta, którą znał była oszustką.

– Zapomniałam, gdzie pan pracuje? – zapytała Edith.

– Nic nie mówiłem o mojej firmie. – Jay spojrzął starszej pani prosto w oczy. – Prawda jest taka, że pracuję z kobietą z fotografii, którą pani pokazałem. Ona utrzymuje, że nazywa się Sally Lane, ale wszystko wskazuje na to, że kłamie.

– Dlaczego miałyby podawać się za kogoś, kim nie jest? Jay zobaczył w oczach starszej pani

iskierki, jakby miała coś jeszcze do powiedzenia, ale nie była pewna, czy powinna się wtrącać.

– Tego nie wiem. Ale zamierzam się dowiedzieć. Przez parę chwil milczeli. Edith pożegnała Jaya.

– Miło mi było pana poznać.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że uda się panu rozwiązać tę zagadkę – rzuciła przez ramię.

– Ja też na to liczę – mruknął Jay. Od czasu, kiedy pojawił się w McCarthy-Lloyd dręczył go jakiś niepokój, że coś jest nie tak. Ale prawdziwy wewnętrzny alarm włączył się dzień przed tym, jak Ted Mitchell przemierzył parkiet i oznajmił, że została ogłoszona oferta przejęcia Bell Chemical. Teraz ten alarm wył na całego.

– To śmieszne – Edith przekrzykiwała huk fal. Zatrzymała się jakieś dwadzieścia metrów dalej.

– Co takiego? zapytał Jay i szybkim krokiem podszedł do niej. – Proszę – powiedział, czując w jej głosie wahanie – jeśli wie pani coś, co mogłoby mi pomóc, bardzo bym chciał to usłyszeć.

– Ludzie w mieście stwierdziliby pewnie, że jestem starą plotkarą, ale wokół Joe Lane’a zawsze coś dziwnego się działo. Był najlepszym przyjacielem mojego męża i nie chcę być posądzona o złośliwość, ale to prawda.

– Dziwnego, w jakim znaczeniu?

– Co jakiś czas w środku nocy przychodzili do Lane’ów jacyś ludzie. – Wskazała na dom na urwisku. – Nie zdarzało się to często, kilka razy w roku. Zjawiali się po północy, a wychodzili przed wschodem słońca. Czasami ktoś dzwonił do Joego w trakcie obiadu, na które zapraszaliśmy się nawzajem. Wtedy Joe wychodził z pokoju i znikał nawet na godzinę. Wracał, kiedy już wszystko zdążyliśmy zjeść.

– Można powiedzieć, że to było niegrzeczne, ale nie dziwne – zauważył Jay. – A te wizyty w środku nocy...

Przecież Joe był biznesmenem. Trudno powiedzieć, żeby takie wizyty były dziwne. – Jay mówił tak specjalnie, oczekując, że Edith doda coś jeszcze.

Zbliżyła się do niego.

– Mój mąż znał człowieka w przystani, który twierdził, że kutry Joe Lane’a nie zawsze służyły do połowów.

– Tryumfalnie kiwnęła głową, jak gdyby dowiodła swojej racji.

– A do czego jeszcze mogły służyć?

– Ten znajomy albo nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć, ale...

– Trudno mi uwierzyć, że...

– Ale – podniosła głos, wchodząc w słowo Jayowi – mówił, że od czasu do czasu rybacy widzieli, jak łodzie Lane'a opuszczają łowiska ryb i homarów. Podobno wtedy zamiast marynarzy z Gloucester płynęli na nich mężczyźni o delikatnych dłoniach i czystych paznokciach. I chociaż ubrani byli w stroje rybackie, widać było od razu, że w życiu nie pracowali fizycznie. Mówił też, że to co ładowali na te łodzie w środku nocy nie wyglądało wcale jak ekwipunek do łowienia ryb. A czasami było i tak, że kutry wracały dopiero po paru tygodniach, choć normalnie połów trwa jeden, najwyżej kilka dni.

– Jak pani myśli, co się tam działo?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Zawsze kiedy pytałam Patsy o te nocne wizyty albo wspominałam o plotkach krążących w porcie, milkła. Pewnego dnia myślałam, że zdradzi mi, o co chodzi. Wyczuwałam, że to coś ważnego i że jej to ciąży. Ale w końcu nic nie powiedziała. – Edith przerwała na moment. – Potem nigdy już jej nie pytałam o interesy męża.

Jay spojrzał na morze. Kiedy się odwrócił, Edith już wracała do domu. Chciał za nią pobiec, żeby spróbować jeszcze coś wyciągnąć ze starej kobiety, ale zatrzymał się. Ona nie wiedziała nic więcej. Powiedziała mu wszystko.

Kilka minut później Jay usiadł za kierownicą wynajętego samochodu. Miał teraz pewność, że Sally Lane, którą znał, nigdy nie mieszkała w domu na skarpie. Ale Jay wciąż nie znał odpowiedzi na kolejne pytania. Na przykład, co miała na myśli Abby mówiąc Oliverowi, że wie o jego przyjaciółkach? Kim byli ludzie, o których powiedziała, że się nią zaopiekują w zamian za informacje, których ona im udzieli? Kto ją udusił i dlaczego?

Jay spojrzał we wsteczne lusterko i zamarł. Niebieski samochód powoli mijał dom Edith. Taki sam jak ten, który jechał za nim z Bostonu do Gloucester i kilkakrotnie mijał restaurację, w której Jay zatrzymał się na lunch.

Nie mógł oderwać wzroku od lusterka i czuł, jak krew pulsuje mu w uszach. To, co Edith powiedziała mu o Joe Lane'ie i jego dziwnych interesach, skierowało jego podejrzenia na nowy trop. Na nic nie miał dowodu, ale niezrozumiałe, drobne, niby błahe sprawy piętrzyły się wokół niego, sprawiając, że zaczynał kwestionować prawdziwość wszystkiego i wiarygodność wszystkich. Włączył silnik, wrzucił bieg i zaczął zawracać. Zamierzał po kolei zweryfikować

fakty.

Skierował samochód na szeroką, dwupasmową drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża i skręcającą w lewo, z dala od Gloucester. Niebieskiego auta nie zauważył. Przyspieszył i po chwili minął je stojące na podjeździe. We wstecznym lusterku widział, jak wóz rusza za nim.

U podnóża stromego wzgórza droga skręcała ostro w prawo. Jay zauważył wąską drogę zjazdową, prowadzącą z głównej trasy do gęstego lasu. Wcisnął hamulce i skręcił w prawo. Samochodem zarzuciło. Jay na moment podniósł nogę z hamulca i natychmiast wyprostował auto. Dodał gazu i popędził wąską, krętą dróżką, co chwila zerkając w lusterko. Gałązki i kamyki wyskakiwały spod tylnych kół.

Drogę przecinał półokrągły mostek wzniesiony nad wijącym się niewielkim strumykiem. Auto Jaya podskoczyło na mostku, wszystkie koła oderwały się od ziemi. Samochodem zarzuciło, przekreślił się o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Jay odruchowo wcisnął pedał hamulca do dechy, ale samochód unosił się nad ziemią zakręcając w stronę rozłożystego dębu. Jakies trzydzieści metrów przed drzewem pojazd odzyskał kontakt z ziemią, podskoczył kilka razy, i w końcu wylądował na dobre. Jay przekreślił kierownicę w lewo i wcisnął hamulce, przerażony widokiem zbliżającego się grubego pnia. Był już tak blisko, że widział pęknięcia kory w miejscach, gdzie uderzyli inni kierowcy.

W ostatniej chwili przód wozu skręcił w lewo. Tylny prawy błotnik uderzył w wielkie drzewo i częściowo się oderwał. Rozbił się kierunkowskaz. Jay skręcił, odbijając od drzewa. Ustawił się teraz z powrotem na drodze, którą jechał. Wcisnął gaz, wykręcił w prawo za kolejnym dużym pniem. Zatrzymał wóz i czekał.

Parę sekund później śledzący go samochód wjechał na mostek. Jay słyszał go tylko, bo widok zasłaniało mu drzewo, za którym się zatrzymał, ale nie musiał czekać długo.

Po chwili niebieskie auto pojawiło się przed jego oczami, zarzucane na boki, podobnie, jak jego wóz przed chwilą. Ale kierowcy nie udało się zapanować nad pojazdem. Samochód z głośnym hukiem uderzył w potężny pień.

Jay włączył silnik swojego auta i ruszył z powrotem drogą, którą tu wjechał. Tylny błotnik ciągnął się po ziemi, ledwie się trzymając. Kiedy Jay znalazł się na mostku, zwolnił. Chciał się upewnić, czy człowiekowi w rozbitym samochodzie nic się nie stało. Zobaczył jednak, że kierowca powoli wychodzi z auta. Kiedy Jay będzie już daleko od Gloucester i zobaczy po drodze jakąś budkę telefoniczną, zadzwoni na policję i powiadomi o wypadku.

Bili McCarthy przeciągnął palcami po włosach i usiadł przy stole kuchennym stojącym pod oknem niewielkiego domu z trzema sypialniami. Nad średniozamożną dzielnicą zapadał zmrok.

– Muszę się wybrać do cholemeo fryzjera – oznajmił.

– Rzeczywiście. – Po drugiej stronie stołu usiadł Kevin O’Shea. Pił niesłodzoną mrożoną herbatę. – Zaczynasz wyglądać jak hippis, jak wykopalisko z lat sześćdziesiątych.

– To dopiero były czasy – rozmarzył się McCarthy. O’Shea zachichotał.

– Niedługo będziesz potrzebował tylko dzinsów biodrówek i farbowanej podkoszulki. – Górny guzik koszuli O’Shea był odpięty, krawat poluzowany, a ciemnorude włosy w nieładzie. Tego popołudnia wilgotność powietrza sięgała prawie dziewięćdziesięciu procent, a temperatura podskoczyła do blisko czterdziestu stopni Celsjusza. W domu, w którym się spotykali, nie było klimatyzacji. – Jak ci się podoba Bili jako hippis, Oliver?

Oliver usiadł obok O’Shea i rozparł się w fotelu.

– Słyszysz, co mówię? – O’Shea trącił Olivera łokciem.

Oliver mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, ale nawet nie podniósł wzroku. Od wczorajszego poranka jego nastrój był niezmiennie ponury. Czuł się jakby wyrwany z realnego świata i oddzielony murem od innych ludzi. Abby nie żyła, a on miał nieodparte przeczucie, że plan wyłączenia go z całego tego zamieszania z nielegalnymi transakcjami zaczyna się walić. Los uporczywie wbijał w niego bolesne szpile.

I skończyła się jego jedyna pomoc. Jego zapas kokainy.

– Czy musieliśmy spotykać się na takim zadupiu? – zapytał gburowato McCarthy. Irytowała go perspektywa powrotu do miasta. – Chryste, przecież ta dziura leży jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Wall Street.

– Dziewięćdziesiąt pięć – odparł cierpko O’Shea. – I to nie jest dziura ani zadupie. To bardzo miłe miasteczko. Mieszkają tu moi teściowie. – McCarthy najwyraźniej zaczyna stroić fochy, pomyślał O’Shea. – Przyjechaliśmy tak daleko ze względu na konieczność zachowania wszelkich środków ostrożności. – Wszyscy trzej mężczyźni zostali przywiezieni do miasteczka Milton w stanie Nowy Jork, położonego na brzegach rzeki Hudson. Jechali oddzielnymi samochodami, prowadzonymi przez specjalnie wyszkolonych kierowców, których zadaniem było upewnić się,

czy nikt ich nie śledzi. Władze federalne miały w całym kraju wiele takich domów, które służyły podobnym spotkaniom.

– Zabrnęliśmy za daleko, żeby teraz zepsuć wszystko tylko dlatego, że ktoś nas podsłucha.

– A któż, u diabła, miałby nas podsłuchiwać? – zapytał ze złością McCarthy. – I po co te szopki z krążeniem po mieście i kluczeniem w jakichś zaułkach? Przez to jechaliśmy tu dwa razy dłużej. Chryste, dysk mi chyba wyskoczył, kiedy mój kierowca wykonał jeden z tych filmowych manewrów w stylu CIA.

– Możesz oskarżyć mnie o to przed sądem – odparł O’Shea. – Uznałem, że te środki ostrożności są konieczne.

A to, co ja uznaję, jest wykonywane. Na tej łajbie jestem kapitanem. – Wziął ze stołu jabłko i ugryzł duży kęs.

Umierał z głodu. Od kilku dni jadł wyłącznie, jak to nazywał, karmę dla ptaszków. Ale wcale nie wyglądało na to, że dieta ma jakiś wpływ na obwód jego pasa.

– Świetnie, tylko czy możemy nie marnować czasu? – utyskiwał McCarthy. – Chciałbym jak najszybciej wrócić do miasta. W piątek lecę do Nowego Orleanu, a jeszcze się nawet nie spakowałem.

– Ach tak? – natychmiast zainteresował się O’Shea. – Do Nowego Orleanu?

– Tak, potrzebuję trochę relaksu, więc wyjeżdżam do swojej posiadłości nad zalewiskiem.

O’Shea ze zrozumieniem kiwnął głową. Początkowo myślał, że będzie lepiej, jeśli McCarthy zostanie w Nowym Jorku i wszystkiemu stawi czoło od razu. Ale teraz, kiedy się zastanowił, może rzeczywiście McCarthy powinien na początku trzymać się z daleka. Jego ludzie zajmujący się wizerunkiem firmy w mediach poradzą sobie sami. Opanują sytuację i McCarthy nie będzie się poruszał po nieznanym terytorium. McCarthy miał niewiele do czynienia z dziennikarzami, więc może lepiej, że zostanie w cieniu, przynajmniej na początku. W jakimś momencie i tak będzie musiał stawić czoło temu wszystkiemu. O’Shea aż prychnął na myśl, że szanowny prezes McCarthy odpowie tylko na parę pytań kilku dziennikarzom. O’Shea wiedział, że McCarthy nienawidzi prasy, ale to naprawdę niewielka cena za układ, jaki proponował mu rząd. Gdyby wszystko odbywało się zgodnie z prawem, McCarthy musiałby ponieść część kary za przestępstwo popełnione w jego firmie. Może kiedyś sprawiedliwości stanie się zadość. – Zostawisz mi swój numer telefonu, Bili – zarządził O’Shea.

– Nie mam zamiaru – powiedział rozdrażniony McCarthy. – Jeśli będziesz mnie

potrzebował, możesz zadzwonić do mojej asystentki w firmie. Nie życzę sobie, żeby mi przeszkadzano, kiedy będę w Luizjanie. Chcę na jakiś czas uciec od tego wszystkiego. To ma być całkowity relaks. Wezmę ze sobą telefon komórkowy, ale jedyną osobą, która będzie miała numer jest Karen Walker.

– No dobrze – zgodził się O’Shea i spojrział w sufit. Jeśli McCarthy chce grać uparciucha, do diabła z nim.

– Powiedz nam teraz, o co chodzi – zażądał McCarthy. Jego południowy akcent stał się wyraźniejszy.

O’Shea wziął głęboki oddech i zaczął mówić.

– W przyszłym tygodniu zamierzam aresztować Jaya Westa oskarżając go o nielegalne spekulacje finansowe – wyjaśnił. W pokoju zapadła cisza. Słysząc tylko szum małego wiatraczka stojącego na lodowce. – Ma się to odbyć publicznie.

– Życzę szczęścia. – To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział Oliver od czasu, kiedy tu przybyli.

– Mogę wiedzieć, co to miało znaczyć? – zapytał O’Shea, i zaczął wydłubywać spomiędzy zębów pestkę jabłka, która mu utkwiała między górnymi trzonowymi.

– Dziś rano Jay wyjechał.

– Wiem – powiedział O’Shea. – Pojechał do New Hampshire, na spotkanie w jakiejś firmie.

– W Turbo Tec – Oliver podpowiedział nazwę. – Skąd to wiesz?

– Mam swoje źródła – odparł O’Shea nonszalancko. – West spędzi tam noc i wróci jutro albo w piątek. Nie robimy nic do przyszłego tygodnia, więc wszystko w porządku.

Oliver pokręcił głową.

– Jay nie dojechał do New Hampshire. Powiedział Sally, że zamierza się tam zobaczyć z facetem o nazwisku Jack Trainer, który pracuje w dziale marketingu firmy Turbo Tec. Ale Trainer twierdzi, że Jay wcale go nie odwiedził. Moja sekretarka do niego zadzwoniła. Facet w ogóle nie miał pojęcia, czego od niego chce. Podobno Jay nie był z nim umówiony na żadne spotkanie.

O’Shea wyduł dolną wargę, udając, że pogrąża się w głębokiej zadumie. Nie mógł powiedzieć Oliverowi, że Jay wyjechał do Gloucester. Taka rewelacja mogłaby Masona, którego nerwy i tak były w bardzo kiepskim stanie, doprowadzić do ostateczności.

Wystarczyło, że Oliver wiedział o misji Sally i jej fałszywej tożsamości. O’Shea często

w swojej karierze zawodowej miał okazję obserwować, jak ludzie nie wytrzymują napięcia i zaczynają pękać. Oliver najwyraźniej był bliski takiego stanu.

– Jeśli Jay nie zjawi się w piątek rano, zaczniemy go szukać. Mam swoje źródła.

– Ale przecież plan był taki, żeby aresztować Jaya w firmie McCarthy-Lloyd, bo tam byłoby to najbardziej spektakularne – odezwał się zniecierpliwiony McCarthy, jak gdyby poczuł, że nagle zaczęły się nad nim zbierać ciemne chmury. – Sam mówiłeś, że wcześniej ktoś z twojego biura ma zawiadomić media o aresztowaniu, tak żeby kamery mogły już się ustawić przed głównym wejściem, i robić zdjęcia, kiedy będziesz go prowadził zakutego w kajdanki. Potem nasz człowiek od public relations opowie dziennikarzom o tym, jak współpracowaliśmy z twoim biurem, a wasi ludzie oznajmiają, że postęпки Jaya to przypadek odosobniony. Firma McCarthy-Lloyd pozostanie czysta. Taki był plan.

– Plan się nie zmienił. – O’Shea spojrział na Olivera, który znowu zapadł w odrętwienie i niemal leżał w fotelu. Mason zachowywał się tak, jakby miał wyrzuty sumienia, że wystawił Jaya, dzięki temu ratując własną skórę. Być może wcale nie chciał takiego ratunku, pomyślał O’Shea. Zwrócił się znowu do McCarthy’ego. – Ale jeśli się okaże, że jesteśmy zmuszeni aresztować Jaya gdzie indziej, zrobimy to. Nie możemy pozwolić mu uciec.

McCarthy zaczął się kiwać na krześle uważając, żeby nie stracić równowagi.

– Poza tym sądziłem, że z aresztowaniem Jaya zaczekamy chwilę od momentu transakcji Bell Chemical i Simonsa. Jakies parę tygodni. – McCarthy zaczął podwijać rękawy koszuli. – Przecież oferty przejęcia ogłoszono dopiero wczoraj. Aresztować Jaya już w przyszłym tygodniu? Czy to nie wzbudzi podejrzeń?

– Na pewno nie – odpowiedział bez wahania O’Shea. – W mediach podamy, że otrzymaliśmy informację z tajnego źródła, z samej firmy McCarthy-Lloyd. To zrozumiałe. Tak się dzieje wszędzie. W momencie aresztowania będziemy już mieli przeszukane jego mieszkanie i znalezione dyskiety, będące dowodami oskarżenia. Udowodnimy czarno na białym, że West od początku planował zawieranie nieuczciwych transakcji.

– O’Shea klepnął się po kieszeni, w której miał dyskietkę. – Dyskietka, którą odkryjemy będzie tą samą, którą wzięliśmy z mieszkania Westa. Są tam jego prywatne dane dotyczące finansów z zeszłego roku. To go powiąże bezpośrednio z transakcjami. Oczywiście, będziemy musieli wgrać tam dane dotyczące Bell Chemical i Simons, ale obrońca Jaya nie będzie o tym wiedział, podobnie zresztą jak sędzia. – O’Shea roześmiał się. – A propos, dla Jaya miniony rok

był dosyć ciężki i jego zarobki netto nie są warte wspomnienia. – O’Shea trącił łokciem Olivera.
– Ale ty na pewno już to wiesz. Wiedziałaś, że sam zapach miliona dolców tak go oszołomi, że dzieciak będzie gotów zrobić wszystko.

Oliver nie odezwał się i prawie nie zareagował na trącenie łokciem.

– Trzymasz tę dyskietkę w kieszeni? – zapytał z niedowierzaniem McCarthy.

– Spokojnie, mamy kilka kopii – uspokoił go O’Shea, rozumiejąc, z czego wynika jego niepokój.

– Ale ta oryginalna ma odciski palców Jaya.

– Oczywiście. I dlatego przechowuję ją w kopercie i w torebce plastikowej – powiedział O’Shea. – Na wypadek, gdybyś się martwił.

McCarthy uspokoił się. O to mu chodziło. Dużo ich kosztowało zdobycie tego przekłętego dowodu rzeczowego, który odpowiednio spreparowany połączy Jaya bezpośrednio z firmami Bell i Simons. O’Shea miał go potem podrzucić do mieszkania Jaya pogrążając go ostatecznie.

– W dalszym ciągu uważam, że za wcześnie wchodzimy z aresztowaniem Jaya.

– Nie zgadzam się – powiedział zdecydowanym głosem O’Shea. Musieli działać natychmiast. Nie chciał pozwolić Jayowi na głębsze drażnienie sprawy. Dzieciak okazał się być bystry i wcześniej czy później doszedłby, o co chodzi w całej tej historii. W przeciwieństwie do Olivera i McCarthy’ego, którzy za bardzo byli pogrążeni w swoich egocentrycznych światach, żeby uzyskać szerszą perspektywę. – Mamy wystarczającą ilość dowodów, żeby wystąpić z oskarżeniem, choćby zaraz. Pracownicy mojego urzędu, którzy nie mają pojęcia o sprawie, przeprowadzą rewizję. Będą im towarzyszyć oficerowie policji wydziału miasta Nowy Jork. Dyskietka zostanie podrzucona do mieszkania Jaya parę minut po jego wyjściu rano do pracy, a tuż przed przyjazdem władz. Do chwili aresztowania będziemy mieli też dowody na to, że z jego domu wykonano telefony do Bell i Simonsa. – O’Shea uśmiechnął się. – Nie umknie nam.

– I tak ma być – skomentował McCarthy z uśmiechem.

– Rzeczywiście, tak ma być! – odezwał się nagle Oliver. – Dzieciak spędzi następnych dwadzieścia lat w więzieniu. Jeśli mu znajdziemy miłe miejsce, w celi przejdzie alternatywną inicjację seksualną. Czyż nie jesteśmy najmądrzejszymi, najwspanialszymi, najwybitniejszymi palantami na świecie? – Oliver uderzył dłonią w stół, omal nie rozlewając przy tym mrożonej herbaty.

– Cholera! – O’Shea sięgnął po szklankę, chwytając ją w momencie, kiedy się miała

wywrócić.

– Co jest z tobą, Oliver? – ryknął McCarthy.

– Nic. Zupełnie nic mi nie jest. – odparł oschle Oliver.

McCarthy wziął głęboki oddech i wściekły spojrzał na O'Shea, a potem na Olivera. To nie był najlepszy moment, ale nie miał wyboru. Dziś rano otrzymał telefon od Andrew Gibsona z Waszyngtonu. Gibson chciał się upewnić, czy McCarthy wykona jego polecenia. McCarthy jeszcze raz spojrzał na O'Shea. Ktoś z jego przełożonych na pewno powiadomił go o rozkazach z Waszyngtonu.

– Oliver, musimy o czymś porozmawiać. O'Shea łyknął mrożonej herbaty.

– Chcesz, żebym was zostawił na moment, Bili?

– Tak, daj nam sekundę.

Oliver zaciekawiony podniósł wzrok na wychodzącego do salonu O'Shea.

McCarthy wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią czoło. Pocił się potwornie. Odkładał jak mógł tę chwilę, nadszedł jednak moment, kiedy już nie mógł dłużej zwlekać.

– O co chodzi? – zapytał Oliver słabym głosem. Widział, że McCarthy czuje się nieswojo. – Mów.

McCarthy przełknął ślinę i zaczął kreślić palcem kółka na plastikowym blacie stołu.

– Oliver, kiedy to wszystko się skończy, to znaczy, po aresztowaniu Jaya, złożysz rezygnację w McCarthy-Lloyd. Albo sam będę musiał cię zwolnić.

– Chyba się przesłyszałem?

– Tak musi być.

– Nie rozumiem. – Oliver poczuł, że pokój zaczyna wirować mu przed oczami. Całe jego jestestwo, a raczej strzępy, jakie z niego zostały, było całkowicie uzależnione od firmy McCarthy-Lloyd. Tam był bogiem, a bez uwielbienia swoich współpracowników stawał się zerem, anonimowym wyrobnikiem na Wall Street, próbującym zarobić na życie sprzedając kawałki papieru. Zakładając, że w ogóle udałoby mu się znaleźć pracę w innej firmie. A to wcale nie było pewne, zdawał sobie z tego sprawę. Wszyscy będą wiedzieć, dlaczego odszedł z McCarthy-Lloyd, i nikt nie będzie chciał mieć z nim nic wspólnego. – Bili, proszę, nie rób mi tego – powiedział błagalnie.

– Wiesz dobrze, że to nie ja ci to robię – McCarthy znowu otarł pot z czoła. – Polecenie przyszło z góry, ze szczebla dużo wyższego niż sięga O'Shea. – McCarthy wskazał głową na

salon. – Ludzie, którzy pomogli ci wyjść cało z tej sprawy, nie mogli pozwolić, żebyś został w McCarthy-Lloyd. To by było za dużo. Obserwowali cię od dłuższego czasu i tylko dzięki mojej pomocy w ogóle zgodzili się na rozwiązanie, które wspólnie organizujemy. W innym wypadku byłbyś w potwornych tarapatach.

– Ale wcześniej rozmawialiśmy o tym, że będę pracował dla ciebie przy projektach specjalnych, a potem, za pół roku, od nowa uruchomimy dział arbitrażu – Oliver protestował. Oczy miał rozbiegane i aż się trząśł ze zdenerwowania.

– Tak miało być, ale to nie przejdzie. – Ludzie, którzy podejmują decyzje ocenili, że twoje przewinienia są zbyt duże. Wykryto zbyt wiele przypadków nielegalnych transakcji. – McCarthy ciężko westchnął. Na jego twarzy widać było przerażenie. – Nie mogłem uwierzyć, kiedy O’Shea pokazał mi, do czego się posunąłeś. Było co najmniej pięćdziesiąt przypadków rażącego wykorzystania nielegalnych informacji w ciągu ostatnich pięciu lat, przypadków, kiedy twój dział kupił akcje albo zawarł terminowe transakcje giełdowe tuż przed ogłoszeniem przejęcia. Takie coś śmierdzi na odległość. – McCarthy smutno pokręcił głową. – To przerażające.

Oliver spojrział na McCarthy’ego z nienawiścią palącą jak ogień. To, co naprawdę było przerażające, to fakt, że McCarthy próbował wykręcić się ze wszystkiego i przedstawiał siebie jako niewinnego obserwatora. A przecież od początku wiedział, co się działo w dziale arbitrażu i Oliver miał na to dowody. Ale gdyby przekazał te dowody władzom, McCarthy zastosowałby strategię palenia za sobą wszystkiego. Wtedy Oliver na zawsze straci swojego „ojca chrzestnego”. McCarthy odetnie go i wyrzuci, jak niepotrzebny balast w czasie burzy. I przekona władze, żeby nie chroniły go dłużej. Oliver zostanie sam przeciwko McCarthy’emu i jego wpływowym przyjaciółom z Waszyngtonu. A ci przyjaciele nie dopuszczą przecież do katastrofy firmy z powodu tak trywialnego, jak transakcje oparte na nielegalnych informacjach. Oliver przekonał się już wcześniej, że w Waszyngtonie było wielu ludzi, którzy w ogóle nie uważali tego procederu za przestępstwo. Pewnie od czasu do czasu sami się w coś takiego angażowali. Oliver nie miał szans na wygraną w takiej walce. Skończyłby w więzieniu, a McCarthy nadal cieszyłby się wolnością. Życia w więzieniu Oliver nie potrafiłby znieść. Wolałby popełnić samobójstwo niż spędzić jedną noc za kratkami.

Jednak nie mógł się oprzeć pokusie zadania ostatniego ciosu. Z natury był wojownikiem i człowiekiem, który z trudem panuje nad emocjami.

– Bili, przecież wiedziałeś od początku, co się dzieje w dziale arbitrażu – powiedział

rozdrażniony. – Kiedy pięć lat temu przyszedłem z Morgana do McCarthy-Lloyd, takie mi postawiłeś zadanie do wykonania. To ty mi kazałeś zorganizować sieć informatorów. Wydałeś mi polecenie. Powiedziałeś, że musisz mieć szybko pieniądze, bo twoi partnerzy naciskają.

Do jasnych policzków McCarthy’ego napłynęła krew.

– Boże, dopomóż. Zniszczę cię, Oliver. Jeśli myślisz, że w tej chwili sprawy wyglądają źle, to zaczekaj.

– Bili, zrozum mnie! – krzyknął Oliver, nie zwracając uwagi na groźby McCarthy’ego. – Powiedziałeś, że będziesz mnie chronił.

– I dokładnie to robię – wycedził McCarthy przez zaciśnięte zęby, rozglądając się ze strachem. O’Shea siedział za drzwiami, ale najprawdopodobniej całe mieszkanie było na podsłuchu. Gdyby treść tej rozmowy dotarła do Andrew Gibsona, dużo trzeba by było zapłacić. Zawsze istniało zagrożenie, że Gibson może doradzić prezydentowi, żeby nie brudził sobie całą sprawą rąk i postarał się o innego sponsora. – Zamierzam ci dać bardzo dobrą odprawę. Oliver, nie będziesz pokrzywdzony.

– Bili, ja mmuszę zostać w McCarthy-Lloyd. Błagam cię – jękał się Oliver.

– Ale to niewykonalne.

– Bili...

– Pójdiesz do więzienia – powiedział McCarthy przez zaciśnięte zęby. – Zgnijesz w więzieniu, czy ty mnie rozumiesz? Sam się o to postaram. A mnie nic się nie stanie.

Oliver wiedział, że McCarthy mówi prawdę, i to doprowadzało go do wściekłości. Ale nic nie mógł zrobić.

Musiał przyjmować ciosy, jak spętane zwierzę na rodeo. Patrzył na McCarthy’ego nieprzytomnym wzrokiem.

Może istniało jakieś inne rozwiązanie. Przypomniała mu się rozmowa, jaką odbył z Tonym Vogelem w apartamencie Hotelu Plaža.

– Jaką odprawę chcesz mi dać? – zapytał cicho, starając się opanować. – Jaką sumę? Powiedz.

– Pięć milionów.

– Przecież to śmieszne! – Oliver uderzył pięścią w stół, znowu rozwścieczony. – Moja premia wynosiła pięć milionów tylko za ostatni rok. A teraz chcesz się mnie pozbyć za taką sumę. Chcę więcej, dużo więcej.

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz! – ryknął McCarthy. – To, co chcesz, nic nie ma do rzeczy. Dostaniesz pięć milionów i nie będzie negocjacji. Pamiętaj, że mamy jeszcze inny układ.

– Z którego nic nie będę miał jeszcze przez długi czas – zauważył Oliver.

– Mam nadzieję – burknął McCarthy i zrobił znak krzyża na piersi.

– Moi partnerzy nie będą zadowoleni – ostrzegł Oliver. Znowu przypomniała mu się rozmowa z Tonym Vogelem.

– Chrzanić ich. Siedzą w tym po same uszy. Będą musieli spokojnie czekać na swoją działkę, tak samo jak ty – powiedział McCarthy. – A jeśli będą chcieli zagrać inaczej, trafią za kratki. Powiesz im to bez ogródek, Oliver.

I nie zapomnij obiecać, że będę ich odwiedzał co niedziela w więzieniu. Bo jestem miłym facetem. – W kącikach jego ust pojawił się przebiegły uśmiech. – Nie chcę nawet słyszeć, że narzekasz na biedę. Nie próbuj mi wmówić, że pięć milionów dolarów nie wystarczy ci do utrzymania standardu życia, do jakiego się przyzwyczaiłeś. Jesteście bardzo bogaci. – Przerwał na chwilę. – Może powinienem to ująć tak, że Barbara i jej ojciec są bardzo bogaci. A oni się przecież tobą zaopiekują.

Oliver kipiał. Miał ochotę walić w tę szeroką twarz McCarthy'ego, uderzać, aż ciało zamieni się w krwawą masę. Pierwszy raz w życiu chciał kogoś zabić. Schował ręce pod stół i zacisnął pięści tak mocno, aż się przestraszył, że palce połamią mu się w stawach. W końcu rozluźnił dłonie i opadł na krzesło.

– Niech będzie – powiedział w końcu cicho, mimo że wszystko w nim wrzało.

– No, dobrze. – McCarthy wstał. Nie poszło tak źle. – Przyszły tydzień będzie ostatnim tygodniem twojej pracy, Oliver. Parę godzin po tym, jak Jay zostanie w kajdankach wyprowadzony z budynku, McCarthy-Lloyd ogłosi, że ty i Bullock odchodzicie.

– Nieważne.

McCarthy zamilkł na chwilę. Przyjrzał się Oliverowi. Choć ten człowiek zarobił dla niego miliony, nie czuł współczucia. Mason był tylko pionkiem i nadszedł czas, kiedy trzeba go było poświęcić, żeby uratować króla.

Odwrócił się i poszedł do salonu. O'Shea siedział na kanapie z gazetą „Daily News” w rękę.

– Możemy kontynuować – powiedział McCarthy. O'Shea odłożył gazetę i wstał.

– Jak Oliver zareagował? – Wiedział od swojego przełożonego w Waszyngtonie, że po aresztowaniu Jaya, Oliver nie będzie mógł zostać w firmie. To O'Shea wykonał telefon do

Waszyngtonu z prośbą o przyspieszenie wykonania tego planu. Ten młody człowiek był zbyt blisko odkrycia prawdy.

McCarthy uśmiechnął się szeroko. Jak widzisz, wciąż żyję.

Tylko dlatego, że, niestety, dobre rzeczy często przytrafiają się złym ludziom, pomyślał O'Shea.

– Na dole czeka samochód. McCarthy odwrócił się do wyjścia.

– Bili – zawołał za nim O'Shea.

– Tak?

– Wróć do Nowego Jorku przed końcem przyszłego tygodnia. Najpóźniej w czwartek. Będziesz musiał powiedzieć coś prasie.

– Dobra. – McCarthy wyszedł i skierował się do czekającego na niego samochodu.

O'Shea obserwował go przez chwilę z okna. Kiedy wszedł do kuchni, Oliver siedział przy stole. Głowę położył na blacie.

– Nie przejmuj się, Oliver. Wszystko będzie w porządku. Oliver powoli wstał i przetarł oczy.

– Nie, nie będzie – powiedział bardzo cicho. – Właśnie zostałem wylany z pracy.

O'Shea podszedł do stołu i usiadł na krześle obok Olivera.

– Wiem.

– Oczywiście, że wiesz – powiedział bezbarwnym głosem. – Jestem jedyną osobą, która o tym nie wiedziała.

Jak jakaś marionetka na sznurku.

– Mogło być gorzej.

– Mogę wiedzieć, jak?

– To ty mogłeś iść do więzienia.

Oliver czuł, że zaczyna mu brakować tchu. Miał ochotę się poddać. Przed oczami pojawiała mu się twarz Abby. To głupie, ale nie mógł przestać myśleć, że mogli być razem. Zakrył dłońmi twarz. Tylko biały proszek mógłby mu pomóc.

O'Shea zauważył, że oczy Olivera zaszyły łzami. Odwrócił wzrok. Ostatnio zdążył znienawidzić McCarthy'ego. Ten gruboskórny cham nie miał szacunku dla nikogo, oprócz samego siebie. Olivera z kolei O'Shea szczerze polubił, choć daleko mu było do świętości. Mason, podobnie jak McCarthy, klasyczny przykład egocentryka, w ciągu ostatnich lat dopuścił się paru poważnych przestępstw. Ale gdzieś w środku, pod maską błyskotliwości, pod

wyniosłymi manierami, krył się bezbronny człowiek, którego los rzucił w nieprzychylną okoliczność. Człowiek, który chciał być dobry, ale nie miał siły odeprzeć ataku pokus, które wydawały się takie niewinne.

Poza tym Oliver odczuwał wyrzuty sumienia. Żałował, że Jay West trafi do więzienia, i nie mógł przeboleć tego, co się stało z Abby. O'Shea nauczył się rozpoznawać uczucie żalu i teraz widział je na twarzy Olivera. Zaś McCarthy niczego nie żałował.

O'Shea utkwiał wzrok w oknie kuchennym. Policja zajmująca się sprawą zabójstwa Abby Cooper chciała rozmawiać z Oliverem, ale z powodu tego, co się działo w McCarthy-Lloyd, przesłuchanie zostało odłożone na później. W ciele ofiary znaleziono spermę. Policja była pewna, że nasienie należało do Olivera. O'Shea też nie miał wątpliwości. Wiedział o tym romansie od dawna. Policja dotarła do pokojówki, która widziała Masona i Abby Cooper wchodzących razem do apartamentu w Hotelu Plaża tej nocy, kiedy popełniono morderstwo.

Abby prawdopodobnie nalegała, żeby kochanek zostawił żonę. Policja znalazła kilka jej listów do Olivera z wyznaniem miłości. On odmówił, a ona, doprowadzona do ostateczności zagroziła, że powie o ich romansie żonie Olivera. Po czym nagle Abby zniknęła, a policja znajduje jej ciało w śmietniku na Bronxie.

Oliver miał i motyw, i okazję. Był pierwszy na liście podejrzanych. Policja była wręcz pewna, że to on jest mordercą, mimo że w laboratorium nie dokonano jeszcze testów dowodzących, że sperma należała do niego.

Czekali na odpowiedni moment, żeby go dopaść.

– Co się stanie z moimi partnerami? – zapytał Oliver z desperacją w oczach. – Z tymi czterema ludźmi, którzy przez pięć lat dostarczali mi informacji?

– Wezwę ich do Federal Plaża na dolnym Manhattanie, wszystkich razem ma się rozumieć, i udzielię rutynowego błogosławieństwa: „Idźcie z Bogiem i nie grzeszcie więcej”.

– Na czym to polega?

– Usiądę z nimi w moim biurze, kajdanki będą leżały w widocznym miejscu na biurku, i wyłożę im wszystko, co wiem o mrocznej stronie ich życia. Zacznę od pracy. Poświęcę całe pół godziny na opis nielegalnych operacji finansowych, w których brali udział. Potem wezmę do ręki kajdanki i pobawię się nimi chwilę, a następnie przejdę do punktu drugiego, mianowicie do ich życia prywatnego. Opowiem im o kobietach, z którymi zdradzali swoje żony, oszustwach podatkowych i tak dalej. Schemat. Kiedy w ich oczach zobaczę strach, oznajmię, że to jest

najszczęśliwszy dzień w ich życiu, bo z powodów, których nie muszą znać, rząd niniejszym rezygnuje z oskarżenia ich. Pod warunkiem, że będą trzymać buzię na kłódkę. – O’Shea uśmiechnął się. – Kończy się to zwykle tak, że ludzie w moim gabinecie padają na kolana i dziękują Bogu, niezależnie od wyznania. – Spojrzał na zdziwioną twarz Olivera – Masz jakiś problem?

Oliver przecząco pokręcił głową.

– Nie rozumiem, dlaczego rząd na to idzie. W tym bagnie siedzą przedstawiciele największych firm brokerskich. Dla twojego urzędu to byłaby gratka, dopaść ich. Czy naprawdę McCarthy dał tak dużo pieniędzy, że jest nietykalny?

– Tak. I obiecał, że da dużo więcej.

– Więc jeszcze raz wszystko sprowadza się do pieniędzy.

– Jak zawsze. Znasz zasady. – O’Shea spojrzął na zegarek. – Słuchaj, muszę wracać do miasta.

– Kevin.

O’Shea podniósł wzrok. Sądząc po głosie, Mason był załamany.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej w sprawie morderstwa Abby Cooper? – zapytał Oliver łamiącym się głosem. O’Shea zawahał się. Nic nie mógł mu powiedzieć.

– Nie.

Oliver kiwnął głową i wstał.

– Będę się zbierał.

O’Shea odprowadził Olivera do wyjścia. Na pożegnanie szepnął mu słowo pokrzepienia, a potem patrzył, jak mężczyzna znika w mroku.

Turbo Tec, słucham? – Chciałbym mówić z Jackiem Trainerem. – Jay rozejrzał się po parkingu przy stacji benzynowej, sprawdzając, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Dzwonił z budki telefonicznej. Miał przy sobie telefon komórkowy, ale wyłączył go wiedząc, że wtedy firma telekomunikacyjna nie będzie w stanie namierzyć miejsca jego pobytu.

– Chwileczkę. Proszę zaczekać.

– Dziękuję. – Od chwili wczorajszego szalonego pościgu przez las w Gloucester, Jay zrobił się ostrożny aż do przesady. Zatrzymał się na noc w Boston Hyatt pod fałszywym nazwiskiem. Teraz korzystał z publicznego aparatu telefonicznego, a kartę kupił za gotówkę.

– Tak, słucham.

Jay poznał głos Trainera.

– Jack, mówi Jay West.

– Gdzie ty, do cholery, jesteś? – zapytał Trainer.

– W Los Angeles – Jay skłamał na wypadek, gdyby rozmowy w Turbo Tec były nagrywane.

– Słuchaj, czy wczoraj albo dzisiaj ktoś próbował mnie u ciebie znaleźć? – Jay od razu wyczuł w głosie Trainera rozdrażnienie, więc był prawie pewien, jaka będzie odpowiedź.

– Jakbyś zgadł. Dwa telefony wczoraj i z dziesięć dzisiaj. – Trainer był wściekły. – Ci ludzie prawie skaczą mi do gardła, tak bardzo chcą wiedzieć, gdzie jesteś. Twierdzą, że miałeś się ze mną właśnie widzieć. Jay, o co, u diabła, chodzi?

Przed wyjazdem z Nowego Jorku Jay zastanawiał się, czy nie przygotować Trainera na wypadek takich telefonów, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli Jack nic nie będzie wiedział.

– Słuchaj, planowałem przyjechać i zobaczyć się z tobą w przyszłym tygodniu, ale przez pomyłkę zapisałem w kalendarzu, że jadę do New Hampshire teraz. Po prostu Los Angeles i New Hampshire są w moim kalendarzu w firmie przestawione. Sekretarka do niego zajrzała i stąd całe nieporozumienie – wyjaśnił. – Przepraszam. To mój głupi błąd.

– Ludzie, którzy tu dzwonią to jacyś szaleńcy – powiedział Trainer wciąż wściekły. – Wydierają się na mnie, jakby to, czy cię znajdą, było sprawą życia lub śmierci.

– Pracuję nad paroma krótkoterminowymi transakcjami. Chodzi o grubą kasę. Na Wall Street to normalka.

– Tak, tak – powiedział Trainer, zmieniając ton na pobłażliwy. – Więc mam rozumieć, że chcesz przyjechać w przyszłym tygodniu? Mówiliśmy o takiej możliwości jakiś czas temu, kiedy po raz pierwszy zastanawiałeś się nad inwestowaniem w Turbo Tec.

– Właśnie dlatego dzwonię.

– Dobrze. W takim razie czekam na ciebie z niecierpliwością. Dawno się nie widzieliśmy.

Jay umówił się na spotkanie z Trainerem, choć wątpił, czy w przyszłym tygodniu będzie mógł pojechać do New Hampshire. Prawdziwym powodem, dla którego dzwonił do Jacka była chęć sprawdzenia, czy ktoś się nim interesował. Okazało się, że poprzedniego dnia były dwa telefony, a dzisiaj aż dziesięć. Od chwili, kiedy zgubił śledzący go błękitny samochód w Gloucester, zainteresowanie miejscem jego pobytu dramatycznie wzrosło.

Może wcale nie przesadzał z tymi środkami ostrożności.

Ruszył ulicą południowego Bostonu, nazywanego przez tubylców „Southie”. Była to uboga część miasta, zamieszkała przez różne narodowości, z których każda zajmowała swój teren o dokładnie wyznaczonych granicach. Kawalki tych terytoriów przylegały do siebie jak kwadraty na pikowanej kołdrze. Tyle tylko, że nie były jednakowej wielkości. Jay znajdował się teraz w środku irlandzkiej dzielnicy, tak zwanej „Little Ireland”, która była tu jedną z największych.

Dziś rano Jay odnalazł adres EZ Travel. Agencja mieściła się w lokalu między sklepami przy jednej z ulic tuż za południowymi granicami miasta, w Braintree. Kilka ostatnich godzin Jay spędził na obserwacji biura. Za metalowymi biurkami siedziały tam cztery osoby. W ciągu tych kilku godzin obsłużyły kilku klientów, ale większość czasu spędzały na rozmowach i grach komputerowych. Ponieważ nie działo się tam nic interesującego, Jay postanowił nie tracić więcej czasu.

Zniechęcony brakiem postępów, wrócił do pozbawionego zderzaka wynajętego samochodu – oderwał ciągnący się za samochodem kawałek metalu, parę kilometrów za miejscem zderzenia – gdyż miał jeszcze jeden trop do sprawdzenia. Pewnie nic to nie zmieni, ale należało się upewnić.

Dwa budynki od stacji benzynowej, skąd Jay dzwonił do Trainera, znajdowała się poczta. Odnalazł ją bez kłopotu. Był to stary budynek z cegły. Przed nim, na środku niewielkiego, poprzecinanego ścieżkami podwórza smętnie powiewała potargana flaga Stanów Zjednoczonych, zatknięta na szczycie zardzewiałego masztu. Za wysokim płotem z siatki, na którego szczycie znajdował się drut kolczasty, Jay widział może tuzin białych samochodów transportowych stojących z lewej strony parkingu. Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia pięta.

Zostało jeszcze trochę czasu, żeby wyjść z pracy i odebrać pocztę.

Jay wszedł głównym wejściem. Po szarej, wydeptanej posadzce podszedł do szerokiej ściany ze skrzynkami pocztowymi i szybko odnalazł numer, jaki znajdował się na zleceniu przelewu w dokumentach, które Paul Lopez przyniósł na biurko Bullocka poniedziałkowej nocy. Jay pochylił się i zajrzał przez niewielką szybkę, która znajdowała się w skrzynkach starszego typu. W środku coś było. Jay podszedł do lady, wziął pierwszy z brzegu formularz i zaczął udawać, że go wypełnia.

Przy drzwiach wejściowych kręcił się jeden z pracowników poczty. Głośno rozmawiał z jakąś kobietą w sukience w kwiaty, bawiąc się przy tym kluczem wiszącym na łańcuszku przy pasku szarych spodni. Było parę minut przed piątą. Niedługo zamykają, pomyślał Jay. Zawiedziony pokręcił głową. Zmarnował cały dzień w Bostonie. Co prawda, po znokautowaniu Bullocka i tak był już pewnie bezrobotny, więc to, że stracił cały dzień, nie miało znaczenia. Zresztą, sam już chyba nie chciał wracać do McCarthy-Lloyd po tym, jak go śledzono i po odkryciu, że Sally Lane nie jest tą, za kogo się podaje.

Nagle drzwi poczty otworzyły się. Pojawił się w nich niski mężczyzna o blond włosach i przenikliwych błękitnych oczach. Miał bardzo jasną karnację, a w jego lewym uchu połyskiwał diamentowy kolczyk. Jay szybko spuścił wzrok na formularz, po którym zaczął coś bazgrać, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Kątem oka obserwował mężczyznę, który podszedł do ściany ze skrytkami pocztowymi i zatrzymał się dokładnie w miejscu, gdzie znajdowała się skrzynka, której numer był na adresie zlecenia przelewu. Jay nie widział dokładnie, które drzwiczki otworzył mężczyzna, ale nie przejął się tym zbytnio. Wszystkie skrytki dookoła tej, o którą chodziło Jayowi, były puste. Sprawdził to, zanim podszedł do lady, przy której teraz stał. Jay przemierzył halę i skierował się do wyjścia, a kiedy znalazł się już poza zasięgiem wzroku ludzi znajdujących się w środku, rzucił się biegiem za róg budynku. Tam stanął i obserwował wyjście, próbując uspokoić oddech.

W EZ Travel nie znalazł nic interesującego, ale może przynajmniej uda mu się odpowiedzieć na jedno pytanie: dlaczego, u diabła, ogromne pieniądze płynące z McCarthy-Lloyd do EZ Travel były przelewane na adres skrzynki pocztowej w ubogiej dzielnicy robotniczej Bostonu?

Blondyn z diamentem w uchu wyszedł z poczty, ściskając w rękę kilka kopert. Ruszył prosto w kierunku rogu budynku, za którym schował się Jay. Jay odwrócił się i biegiem rzucił do ucieczki. Pędził chodnikiem, a potem wpadł na ulicę pomiędzy zaparkowaną przy krawężniku

furgonetkę i zielonego forda. Przyklęknął przy przednim lewym kole furgonetki. Po chwili w polu jego widzenia pojawiły się czerwono-czarne adidas. Jay odczekał dziesięć sekund i powoli zaczął się podnosić. Mężczyzna był już jakieś czterdzieści metrów dalej.

Poruszał się żwawo, mimo tego, że lekko utykał, czego Jay nie zauważył na poczcie.

– Kolego, masz jakiś problem?

Jay wyprostował się. Nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w samochodzie. Okazało się, że za kierownicą siedzi starszy mężczyzna z papierosem w ręku.

– Nie, przepraszam. – Jay odwrócił się i pobiegł za blondynem, pozostając za nim mniej więcej pięćdziesiąt metrów w tyle. Miał tylko nadzieję, że nie wpadnie pod koła jakiegoś samochodu.

Niepotrzebnie się martwił. Parę budynków dalej blondyn wszedł do pubu znajdującego się na rogu, przy skrzyżowaniu. Jay zatrzymał się, nie dochodząc do ciemnozielonych drzwi z szyldem „Maggie’s Place”, za którymi zniknął mężczyzna. Jay bał się, że mógł zostać zapamiętany na poczcie, czuł jednak, że musi wejść do środka.

W pubie panował półmrok i przez pierwszą chwilę, zanim wzrok się nie przystosował, Jay nic nie widział.

Kiedy zbliżył się do baru i usiadł na drewnianym stołku, doszedł go smród zwiędłego piwa, a pod nogami poczuł rozsypane trociny. W tle słychać było dźwięki irlandzkiej muzyki.

– Co pan sobie życzy? – zapytał barman z mocnym irlandzkim akcentem.

– Ciemne piwo. Zdam się na pański wybór.

– Dobra. – Barman oddalił się, podniósł schłodzone szkło i zaczął nalewać z kraniku ciemny napój.

Jay siedział ze wzrokiem utkwionym w posypanej trocinami podłodze. Oczy powoli przyzwyczajały mu się do półmroku. Parę stołków dalej dwóch mężczyzn głośno rozmawiało o jakimś meczu piłki nożnej. Wymiana zdań zamieniała się w kłótnię. Wrócił barman i postawił przed Jayem szklankę z piwem.

Powinno panu smakować.

– Dzięki.

– To będzie trzy dolary.

– Już płacę. – Jay wyciągnął z kieszeni koszuli banknot pięciodolarowy i podał barmanowi. – O, jest. Resztę proszę zatrzymać.

– Dobra. – Barman kiwnął głową, włożył pięć dolarów do kasy, wyjął dwa i wrzucił je do plastikowego dzbanka. Zadzwoił złotym dzwoneczkiem oznajmiając wszystkim obecnym, że dostał napiwek. Jay się skrzywił. Mogło się obejść bez tych fanfar. Po chwili zauważył, że przy jego stolku pojawiła się para czerwono– czarnych sportowych butów. Podniósł szklankę i napił się piwa.

– Cześć, Patrick – powiedział głośno barman i oparł dłonie na klejącym się i podrapanym drewnianym barze.

– Cześć, Frankie. – Blondyn miał głos zachrypnięty, jakby coś utkwilo mu w gardle. – Podaj mi to samo – co zamówił, wskazując na szklankę Jaya. On też mówił z silnym irlandzkim akcentem.

– Dobra.

Dyskusja parę stolków dalej stawała się coraz bardziej zacięta.

– Nie widziałem cię tu wcześniej – odezwał się Patrick do Jaya. Nadeszła chwila prawdy, pomyślał West.

Spojrzał mężczyźnie w oczy, próbując wyczytać z nich, czy ten zapamiętał go z poczty.

– Odwiedzam przyjaciela. Nie jestem stąd.

Patrick podniósł do ust swoją szklaneczkę i wziął duży łyk piwa.

– A skąd?

– Z Filadelfii.

– Z miasta miłości braterskiej.

– Tak mówią. – Jay zauważył, że Patrick dziwnie akcentuje zdania, końcówkę intonując tak, jakby to było pytanie. Musiał pochodzić z Irlandii Północnej.

Wuj Jaya, który w drugiej wojnie światowej walczył u boku irlandzkich imigrantów, opowiadał mu kiedyś, że ludzie z północy Irlandii kończyli zdania wyraźnie rosnącą intonacją, niezależnie od tego, czy zadawali pytanie, czy nie.

– Ale musieliśmy się już gdzieś spotkać – stwierdził Patrick.

– Wątpię – powiedział spokojnie Jay.

– Kogo tu odwiedzasz? – zapytał blondyn, nie odrywając oczu od Jaya. Jego chropowaty głos brzmiał lodowato. Jay poczuł, że serce bije mu szybciej.

– Kolegę ze studiów.

– Któż to może być?

– Jimmy Lynch. Chodziliśmy razem do Boston College.

Nie znam go. – Patrick znowu łyknął piwa. – Znam mnóstwo Lynchów, niektórzy mają na imię Jimmy, ale żaden nie chodził do Boston College.

– Nie możesz znać wszystkich.

– Ale znam – stwierdził z przekonaniem Patrick. Jay wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

– Powiedz mi tylko, co tu robisz, szanowny panie – powiedział Patrick.

– Powiedziałem już. Czekam na przyjaciela.

Przez kilka sekund mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Nagle otworzyły się drzwi wejściowe, zalewając wnętrze jasnym światłem. Do Patricka podszedł jakiś mężczyzna. Dotknął ręką jego ramienia i pokazał na schody z tyłu, za barem. Patrick spojrział przeciągle na Jaya i ruszył w stronę schodów. Kiedy był już na górze, zatrzymał się na moment, jakby się wahał. Znowu popatrzył na Jaya. W końcu poszedł.

West sączył piwo jeszcze dziesięć minut, potem udał się do niewielkiej toalety. Kiedy wyszedł z łazienki, stanął przy aparacie telefonicznym i udawał, że z kimś rozmawia. Odwiesił słuchawkę, podszedł do baru i gestem poprosił Franky'ego.

– Zechce mi pan zrobić przysługę? – zapytał.

– Zależy.

Dwaj mężczyźni parę stołków dalej stali teraz naprzeciw siebie i wrzeszczeli. Jay spojrział na nich i wzniósł oczy do nieba, dając do zrozumienia, że zdecydował się wyjść z ich powodu.

– Kiedy pojawi się tu mój znajomy, Jimmy Lynch, pewnie będzie o mnie pytał. Czy mógłby mu pan przekazać, że wróciłem do motelu? Franky uważnie spojrział na Jaya.

– Nie ma sprawy. Przekażę – odpowiedział po chwili.

– Najlepiej niech do mnie zadzwoni. Zna numer.

– Dobrze.

– Dzięki. – Jay odwrócił się i skierował w stronę wyjścia. Kiedy był już na zewnątrz, oparł się o ceglana ścianę obok zielonych drzwi i głośno odetchnął. Patrick najwyraźniej wyczuł, że Jay coś ukrywa. Ale Jay miał takie samo przeczucie co do Patricka.

Oliver szedł powoli przez Central Park. Mijali go deskorolkowcy i uprawiający jogging, korzystający z późnopołudniowego słońca, a on próbował zrozumieć, jak do tego wszystkiego doszło. Jak to się stało, że został wciągnięty w ten nieczysty interes?

Pięć lat temu, w pewien chłodny deszczowy kwietniowy wieczór spotkał się z Billem McCarthym w pewnym barze na Greenwich Village, nieuczęszczanym przez ludzi z Wall Street. Razem wymyślili wtedy plan, jak mogą stać się bogaci. Pomysł wiązał się z pewnym ryzykiem, ale to, co ich czekało, warte było ryzyka.

Oliver, w tamtym czasie pracownik banku inwestycyjnego J.P. Morgan, świetnie rozwijającej się firmy obracającej akcjami, miał problemy w pracy. Jego przełożeni nie byli zadowoleni z transakcji na ogromne sumy, które zawarł. Mieli pretensje, że nie uzyskał niezbędnych pozwoleń, żeby móc dokonać tej transakcji. A co gorsza, krążyły plotki, że zanim Oliver zakupił akcje, uzyskał pewną nieoficjalną informację, dotyczącą firmy farmaceutycznej, o której akcje chodziło. Niecały miesiąc po kupieniu akcji Oliver sprzedał je z ogromnym zyskiem w momencie, kiedy firma ogłosiła, że uzyskała koncesję od Urzędu Żywności i Leków na produkcję jakiegoś nowego, rewelacyjnego specyfiku.

To rozumiałe, że przełożeni Olivera w Morganie byli zaniepokojeni. Gdyby doszło do wybuchu skandalu, firma straciłaby swoją nieskazitelną reputację i została ostro zaatakowana przez media i konkurencję. Ten stary bank w tej chwili właśnie zwyżkował i miał szansę wybić się na lepszą pozycję w branży. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował był skandal na pierwszych stronach gazet całego świata. Tamtego wieczora, kiedy Oliver po raz pierwszy rozmawiał poważnie z McCarthym, wracał właśnie ze spotkania ze swoimi przełożonymi w Morganie, którzy dali mu do zrozumienia, że nie ma już tam dla niego miejsca. A ponieważ Oliver naprawdę nienawidził swojego teścia, był gotów zrobić wszystko, żeby samodzielnie zarobić ogromne pieniądze. Bili McCarthy stracił właśnie swojego starego wspólnika w interesach, Grahama Lloyda, który zginął w wypadku na morzu. Teraz Bili miał nowych partnerów. McCarthy został właścicielem pięćdziesięciu procent udziałów w firmie McCarthy-Lloyd, wykupionych od wdowy po Lloydzie, zgodnie z umową, którą obaj mężczyźni zawarli zakładając firmę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

W rzeczywistości za transakcją stała pewna tajemnicza grupa europejska, bo McCarthy nie miał pieniędzy na wykupienie udziałów Lloyda. Akcje nie były drogie – M-L stał na krawędzi bankructwa – ale konta McCarthy’ego były wtedy prawie puste. McCarthy zgodził się więc na przyjęcie wspólników. Nowi wspólnicy chcieli, żeby McCarthy szybko zaczął przynosić pieniądze i nie interesowało ich, w jaki sposób to zrobi. Rok przed spotkaniem Olivera z McCarthyem, firma McCarthy-Lloyd na osobiste polecenie właściciela dokonała katastrofalnej w skutkach inwestycji w akcje pewnej spółki elektronicznej na Florydzie. Pogarszająca się sytuacja spółki z Florydy i nieumiejętność jej menadżerów do wykorzystania zastrzyku świeżego kapitału, obróciła inwestycję w klęskę, a tym samym unicestwiła szczupły kapitał firmy McCarthy-Lloyd. W końcu jednak, dzięki pomocy nowych inwestorów firma przeżyła. McCarthy z optymizmem przyjmował pozytywny, zdawałoby się, obrót wydarzeń, ale jego wspólnicy wkrótce zrobili się agresywni i zaczęli od niego wymagać więcej niż mógłby się spodziewać.

Parę dni po spotkaniu na Greenwich Village, Oliver i McCarthy ustalili warunki przejścia Olivera do M-L.

Miał zostać szefem nowo powstałego działu, otrzymywać rocznie milion dolarów i dodatkowo raz do roku sowite premie, poza tym miał się stać posiadaczem części należących do McCarthy’ego udziałów w firmie.

Europejski wspólnik nie chciał wyzbywać się swoich pięćdziesięciu procent. W zamian za to Oliver powinien zorganizować niewielką, dyskretną sieć informatorów składającą się z ludzi z Wall Street, mających dostęp do nieoficjalnych informacji dotyczących spółek, których oferty przejęcia miały zostać wkrótce ogłoszone. A dział arbitrażu McCarthy-Lloyd będzie na tej podstawie dokonywał transakcji. To zapewni szybkie i ogromne dochody.

Plan zakładał istnienie oczywistego ryzyka, że władze odkryją sieć. Oliver wiedział, że najłatwiej byłoby dowieść istnienia sieci informatorów na podstawie osobistych powiązań między należącymi do układu ludźmi oraz śledząc drogę pieniędzy. Poinstruował więc swoich partnerów, żeby kontaktowali się z nim, dzwoniąc tylko z publicznych telefonów. Uczestnicy tej konspiracji zgodzili się zostać wynagrodzeni udziałami firmy McCarthy-Lloyd, które po śmierci Billa McCarthy’ego zostaną równo rozdzielone pomiędzy nich. Kiedy akcje znajdą się w rękach ich lub ich spadkobierców, w ciągu czterech lat udziały zostaną wykupione przez firmę McCarthy-Lloyd po cenie obliczonej na podstawie wcześniej ustalonej wielokrotności wartości księgowej firmy.

W ten sposób Oliver i reszta ludzi z sieci staną się niejawnymi właścicielami udziałów firmy McCarthy-Lloyd.

W ciągu pół roku Oliver znalazł czterech ludzi nadających się na informatorów. Zamiast ich szukać wśród pracowników banków inwestycyjnych, którzy w tajemnicy przygotowują transakcje, Oliver szukał wśród ludzi zaplecza. I znalazł. Rozumował w ten sposób, że bankierzy inwestycyjni świetnie zarabiają, dostają ogromne premie i zwykle pochodzą z bogatych rodzin, są więc mniej podatni na pokusę nielegalnego interesu i niechętnie ryzykują własną karierę. Pracownicy zaplecza zarabiają natomiast znacznie mniej, będą więc mieli o wiele większą motywację.

Oliver wiedział, że działy zaplecza prowadzą poufne, tak zwane „szare listy” firm, których akcjami pracownicy banku inwestycyjnego nie mogą ani w pracy, ani prywatnie obracać. Istniał natomiast zwyczaj, że bankierzy, którzy przygotowują oferty przejęć, powiadamiają swoje działy administracyjne o firmach, nad którymi zaczynają pracować, na długo przed momentem podania oferty do wiadomości publicznej. Wtedy nie można już obracać akcjami ani spółki docelowej, ani spółki zainteresowanej przejęciem. Komisja Papierów Wartościowych i Walut oraz władze federalne i stanowe natychmiast wyłapują firmy brokerskie, które obracają akcjami spółek, dla których organizują transakcje finansowe. To oczywiste, bo firmy brokerskie mogą bez trudu przewidzieć ostre zwyki bądź spadki cen akcji, o jakich nie wie reszta rynku. Nawet najdrobniejsza nieprawidłowość w przypadku takich transakcji może oznaczać kłopoty z instytucjami nadzorującymi.

Aby nikt w firmie nie obracał akcjami tych spółek, przygotowuje się tzw. szare listy. Trafiają na nie firmy, których akcji nie wolno pracownikom kupować ani sprzedawać tak długo, dopóki pozostają na liście.

Pracownicy mają dostęp do „szarych list” i bez trudu mogą komuś sprzedać informacje za ogromne pieniądze.

Jest tylko jeden mały problem. Niektóre ze spółek na listach bywają fałszywe – wcale nie są przygotowywane do przejęcia. Taki haczyk zniechęca do oszustw, a jeśli już informacja została sprzedana, ułatwia wykrycie osoby, która naruszyła tajemnicę „szarej listy”. Tylko kilka osób spośród pracowników zaplecza wie, które akcje są naprawdę gorące, a które podane dla zmylenia. Te właśnie osoby były bezcenne – i najbardziej odpowiednie – dla kogoś takiego jak Oliver Mason.

Czterej mężczyźni, których Oliver wciągnął w swój krąg – Tony Vogel, David Torcelli, Kenny Serrano i Peter Boggs – byli średniej rangi urzędnikami zaplecza kilku największych domów maklerskich na Wall Street.

Wszyscy mieli duże rodziny na utrzymaniu – co najmniej po czworo dzieci – potrzebowali więc dużych pieniędzy. Oliver wybierał ich uważnie, podobnie zresztą jak Jaya Westa. Upewnił się najpierw, czy każdy z nich rzeczywiście potrzebuje pieniędzy i nie pochodzi z bogatej rodziny. Nic, co dotyczyło sieci informatorów, nie zostało nigdzie zapisane, a jedynym śladem jej istnienia był jeden z punktów testamentu Billa McCarthy’ego, w którym wszyscy biorący udział w oszustwie zostali wyznaczeni na spadkobierców udziałów Billa w firmie.

Żaden z nich jednak nie miał nic do powiedzenia przy zarządzaniu firmą McCarthy-Lloyd. Otrzymali kopię testamentu oraz oddzielny dokument podpisany przez wszystkich, zaświadczający, że żadne zmiany w testamencie nie będą ważne, o ile nie zostaną pisemnie zaakceptowane przez wszystkich pięciu spadkobierców.

Taka klauzula otwierała furtkę McCarthy’emu na wykupienie wcześniej udziałów od uczestników siatki, o ile wszyscy zainteresowani byliby z takiego rozwiązania zadowoleni.

W pierwszym roku działania sieć Olivera zarobiła dla McCarthy-Lloyd pięćdziesiąt milionów dolarów.

Potem było tylko lepiej. I bez tego świetnie prosperujący rynek przejęć na Wall Street przyspieszył razem ze wzrostem gospodarczym. Do późnych lat dziewięćdziesiątych roczna wartość przejęć w Stanach Zjednoczonych wzrosła do prawie trylionu dolarów. Dawało to ogromne pole do popisu dla niewielkiego działu arbitrażu w jakimś banku inwestycyjnym, i możliwość zrobienia ogromnych pieniędzy, o ile się tylko wiedziało, na kogo postawić.

Dla Olivera było to jak łowienie w beczce pełnej ryb, tylko jeszcze łatwiejsze. Prawdę mówiąc, to łowienie okazało się tak skuteczne, że Mason zaczął specjalnie co jakiś czas dokonywać transakcji, które, miał nadzieję, nie przyniosą szybko pieniędzy. Oczywiście robił to w celu zmylenia kogoś, kto mógłby żywić jakieś podejrzenia. Wolał być ostrożny. Kupował akcje jak najwcześniej przed ogłoszeniem przejęcia, i to nie przez jednego, ale przez kilku brokerów. I nigdy nie miał żadnych problemów.

Jedynym minusem dla uczestników sieci, z wyjątkiem Olivera, który otrzymywał swoją pensję – rocznie milion dolarów i ogromne premie – było to, że za swoje cenne informacje nie dostawali chwilowo nic, chociaż teoretycznie byli milionerami. W porównaniu z niskimi

notowaniami pięć lat temu, wartość firmy McCarthy– Lloyd dramatycznie wzrosła. Dzięki zarobionym w ciągu pierwszego roku przez Olivera pięćdziesięciu milionom dolarów, Bili McCarthy ściągnął do siebie z Wall Street najlepszych pracowników i teraz firma stała się poważną konkurencją na rynku finansowym i obracała poważnymi pieniędzmi. A Oliver cieszył się reputacją kury znoszącej złote jaja. W firmie opowiadano o nim legendy, byli też tacy, którzy uważali go za bóstwo.

Tak więc, mimo że wartość ukrytych udziałów w firmie McCarthy-Lloyd poszła gwałtownie w górę, dla uczestników sieci, poza Oliverem, nie wiązało się to z doraźnym przypływem gotówki. W kieszeni nie mieli ani dolara więcej i nie mogli korzystać ze swojego nominalnego bogactwa, bo faktycznie stawali się właścicielami udziałów dopiero w chwili śmierci McCarthy'ego. Tłumaczyli sobie, że robią to dla swoich dzieci, przygotowując im lepszą przyszłość. Ale potrzeby finansowe rodzin rosły. Trzeba było kupić większe domy, nowsze samochody. Dzieci dorastały i trzeba było myśleć o wygospodarowaniu czesnego na studia.

Informatorzy stale podejmowali ogromne ryzyko i po pięciu latach doszli do wniosku, że chcieliby jednak zobaczyć owoce swojej pracy. Do diabła z ideą lepszej przyszłości dla potomstwa. Zgodnie stwierdzili, że swój kawałek tortu chcą zjeść teraz.

Oliver próbował sprytnie łagodzić nastroje za pomocą raz do roku przydzielanych pożyczek na pięciocyfrowe sumy. Każdemu z mężczyzn pieniądze dostarczał w walizeczkach pełnych banknotów o niskim nominale. Fundował te pożyczki z własnej kieszeni. Za każdym razem podejmował pieniądze z kilku różnych kont i rozkładał transakcje w czasie, tak żeby nie budzić podejrzeń. Jego partnerzy nie wpłacali tych pieniędzy do żadnego banku. Trzymali je w domach, dosłownie pod materacami. Możliwość pożaru albo włamania spędzała im sen z powiek, ale nie mieli wyboru. Gdyby wpłacili pieniądze na konto, w czasie kontroli zostałby wykazany brak bilansu IRS. Ale kwoty te chwilowo ich uspokajały, a zyski McCarthy-Lloyd wciąż rosły.

Oliver wierzył, że taki stan może trwać wiecznie. Myślał tak, kiedy zeszłego marca siedział w salonie mieszkania Billa McCarthy'ego przy Park Avenue, zastanawiając się, dlaczego McCarthy chciał się z nim widzieć tak nagle. Myślał tak nawet w chwili, gdy za McCarthym wszedł do pokoju wysoki mężczyzna o ciemnorudych włosach, zielonych oczach, w tanim garniturze z wełny. Ale potem McCarthy wypowiedział te słowa: „Oliver, przedstawiam ci Kevina O'Shea, pełnomocnika ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych na południową część Nowego Jorku”. Wraz z tymi słowami świat Olivera rozpadł się na drobne kawałeczki, bo

nie miał już wątpliwości, dlaczego O'Shea się pojawił. Ich nielegalny proceder przestał być tajemnicą.

Przez kilka sekund Oliver rozważał możliwość rzucenia się do drzwi i ucieczki z pokoju, ucieczki po wolność. Nie zauważył na pasku O'Shea kajdanek, ale był pewien, że za chwilę zostanie skuty, wyprowadzony na ulicę i zapakowany do policyjnego wozu, który zabierze go prosto do więzienia.

Kiedy opanował pierwszy odruch, zdał sobie sprawę, że ucieczka była wykluczona. Prawdopodobnie schwytaliby go, zanim opuściłby budynek. A nawet gdyby mu się udało, wcześniej czy później by go dopadli.

Nie miałyby pojęcia, jak sobie radzić, żyć ukrywając się, w ciągłym strachu. Poza tym zdał sobie sprawę, że oto stoi z rozdziawionymi ustami przed przedstawicielem Ministerstwa Sprawiedliwości i ten ma mu chyba coś do powiedzenia, skoro do tej pory nie zakuł go w kajdanki. Okazało się, że miał rację.

O'Shea wyjaśnił, że pewne transakcje wydają się im podejrzane – dział arbitrażu McCarthy-Lloyd zakupił akcje na krótko przed ogłoszeniem przejęcia i były dowody na to, że transakcji dokonano na podstawie nielegalnej informacji. Jednakże O'Shea otrzymał instrukcję od przełożonych, żeby nie stawiać Billa McCarthy'ego w tak fatalnej sytuacji i chronić go. McCarthy miał przyjaciół na najwyższym szczeblu i ludziom tym zależało, żeby pieniądze, które McCarthy przeznaczył na ich poparcie, pozostały czyste. Dlatego O'Shea jest gotów zaproponować Oliverowi pewien układ. Dział arbitrażu musi tylko poświęcić jedną osobę, która publicznie zostanie obarczona odpowiedzialnością za nielegalne transakcje. Firma będzie też musiała zaprzestać działalności arbitrażowej na okres pół roku. Jeżeli potem zostaną odkryte następne przypadki nieprawidłowości, wszyscy, łącznie z McCarthym, trafią za kratki. Ten, kto zostanie wyznaczony na kozła ofiarnego powinien być w firmie od niedawna. Przedstawi się go jako nieuczciwego pracownika, obracającego w nielegalny sposób akcjami, a jego aresztowanie i skazanie pozwoli uspokoić Ministerstwo Sprawiedliwości, które poświęciło już sporo czasu na dochodzenie.

Zadaniem Olivera będzie znaleźć odpowiednią owieczkę do złożenia w ofierze. Nie była to wygórowana cena za wolność i za możliwość – tak przynajmniej miało być na początku – powrotu do pracy w firmie McCarthy-Lloyd. Oliver zgodził się więc bez zastanowienia. Przez kilka następnych miesięcy pracował nad tym, żeby zwabić Jaya Westa w zasadzkę.

Od tamtego marcowego spotkania w mieszkaniu przy Park Avenue dwie sprawy niepokoiły Olivera. Było dla niego jasne, że O'Shea nie miał pojęcia, w jak dużym stopniu McCarthy zamieszany jest w całą sytuację – nie domyślał się, że McCarthy zatrudnił Olivera specjalnie, żeby mu powierzyć zorganizowanie sieci informatorów.

O'Shea nigdy nawet nie zadał żadnego pytania o udział McCarthy'ego w sprawie. Udało mu się wymusić na Oliverze ujawnienie nazwisk czterech pracujących z nim ludzi, ale nigdy nie wyraził najmniejszego zainteresowania rolą McCarthy'ego.

Po tym spotkaniu McCarthy dał Oliverowi jasno do zrozumienia, że jeśli ujawni jego zaangażowanie w proceder, sam trafi do więzienia. Postawił Olivera w sytuacji, że ten miał do wyboru – pozostać na wolności lub iść za kratki. Nie było się więc nad czym zastanawiać. Decyzja była łatwa. Ale kiedy parę tygodni po pierwszym spotkaniu, McCarthy nagle zaczął udawać przed Oliverem, że nie miał z całą sprawą nic wspólnego, Masona zaczął trafiać szlag. McCarthy zachowywał się tak, jakby sam uwierzył, że jest niewinny, a jedyny godny potępienia człowiek to Oliver Mason.

Ta niespodziewana transformacja McCarthy'ego z głównego konspiratora w niewinną ofiarę denerwowała Olivera, ale nie miała większych skutków. Było coś, co martwiło go o wiele bardziej. Ani w marcu, ani na żadnym z kolejnych spotkań O'Shea nie ujawnił, w jaki sposób rząd wpadł na ślad nielegalnych operacji w ich dziale arbitrażu. Oliver pytał go o to kilka razy, ale O'Shea nigdy nie udzielił jasnej odpowiedzi. Co więcej, O'Shea nigdy nie pojawił się w towarzystwie innej osoby z urzędu, nigdy też nie wymienił żadnego nazwiska spośród tych, których enigmatycznie nazywał „swoimi współpracownikami”, a którzy pracowali z nim nad fazą wstępną dochodzenia. Ten brak podstawowych informacji niepokoił Olivera do tego stopnia, że postanowił sprawdzić, czy Kevin O'Shea jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje. Okazało się, że faktycznie był pełnomocnikiem biura ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych na Manhattanie, ale mglistość tego wszystkiego, co się działo wokół najpierw denerwowała, a potem coraz bardziej przerażała Olivera.

Spacerując, Mason minął ZOO dla dzieci we wschodniej części Central Parku. Nie potrafił otrząsnąć się z depresji, która tylko się pogłębiała. Od rana towarzyszyło mu nieuzasadnione poczucie strachu, jak gdyby koszmar, który mu się śnił w nocy, nie skończył się w momencie przebudzenia, tylko przeniósł do świata realnego. Oliver zobaczył, że Tony Vogel i David Torcelli czekają już w umówionym miejscu, więc przyspieszył kroku. Idąc w ich stronę,

zastanawiał się, czy istniała możliwość odwrócenia biegu wydarzeń.

– Cześć, David. – Oliver mocno uściśnął dłoń Torcellego, starając się nie dać po sobie poznać zatroskania.

Poza ogólnym złym samopoczuciem z powodu historii z nielegalnymi transakcjami, martwiła go jeszcze przesadna tajemniczość O'Shea w sprawie morderstwa Abby. Ale przed Torcellim ani Vogelem nie chciał okazywać jakichkolwiek śladów słabości. Nie mieli pojęcia, co się stało i tak musiało pozostać.

– Jak się macie w tak piękny dzień? – zapytał.

– Prawdę mówiąc, nie za dobrze, Oliver. – Torcelli usiadł na drewnianej ławeczce z widokiem na Ślizgawkę Wollmana. Lodowisko zajmowało plac w południowo-wschodnim rogu Central Parku, w cieniu Hotelu Plaża. W zimie byłoby tu pełno łyżwiarzy, ale teraz plac wykorzystywali deskorolkowcy. Mężczyźni umówili się wstępnie na spotkanie w apartamencie wynajmowanym przez McCarthy-Lloyd w Hotelu Plaża, ale w ostatniej chwili Torcelli stwierdził, że lepiej będzie się spotkać na neutralnym terytorium. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin stał się niezwykle ostrożny.

Tony Vogel stanął obok Olivera, ale Torcelli zaprosił go ręką, żeby usiadł obok niego na ławce. Vogel spełnił polecenie, jak giermek służący swemu panu.

Podczas pięciu lat działania sieci informatorów Oliver zawsze był nieoficjalnym szefem grupy. Nagle zauważył, że to się zmieniło.

– Co się dzieje, David? – Oliver udawał, że nie wie, o co chodzi. Chciał przedłużyć tę grę, żeby opóźnić nieuniknioną konfrontację.

– Powiedziałem Davidowi, jaka była twoja reakcja na naszym spotkaniu w hotelu, w zeszłym tygodniu. – Vogel wskazał Hotel Plaża za ich plecami. To miało być uzasadnienie wyboru nowego przywódcy.

– Tony mi przekazał, że nie chciałeś nawet wysłuchać, co mamy ci do powiedzenia. Że nie chciałeś w ogóle wziąć pod uwagę naszych oczekiwań. – Torcelli był potężnie zbudowanym mężczyzną. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, szeroką klatkę piersiową i mówił z twardym, brooklyńskim akcentem. – Byłem bardzo rozczarowany, delikatnie rzecz ujmując.

Rozumiem – stwierdził Oliver łagodnie, obserwując jednocześnie młodą kobietę, która spacerowała obok i wydawała się być zainteresowana ich rozmową. Zaczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu. – Przyznaję, powinienem wysłuchać uważniej, co Tony miał do

powiedzenia.

Obydwaj, Torcelli i Vogel, spojrzeli na niego równocześnie, zdziwieni tym, co słyszą.

– Działaliśmy do tej pory na zasadzie luźnej demokracji – powiedział Oliver. – Proponuję jeszcze raz zastanowić się nad tym, co macie do powiedzenia.

– Tak. Zgoda – wybąkał Torcelli. Był zaskoczony nagłą zmianą frontu Olivera. – Otóż, jako wieloletni pracownik zaplecza dużego banku inwestycyjnego, miałem okazję zawrzeć pewne przyjaźnie z paroma osobami z rządu. I oni właśnie od jakiegoś czasu donoszą mi, że coś złego dzieje się w firmie McCarthy-Lloyd. Jakaś poważnie śmierdząca afera.

– Ale co konkretnie? – zapytał Oliver słabym głosem. Nie mógł wciąż wysłuchiwać fatalnych wiadomości, i mimo to się uśmiechać.

– To jest najdziwniejsze – odpowiedział Torcelli, ukradkiem rozglądając się. – Nikt nie zna żadnych szczegółów. Podobno w jakieś dochodzenie zaangażowani są ludzie na najwyższym szczeblu, ale wszyscy milczą. Nikt nic nie wie. Mój znajomy podejrzewa, że chodzi o dochodzenie w sprawie nielegalnych transakcji, ale nie jest pewien.

Oliver spojrział na skamieniałą z przerażenia smutną twarz Vogela.

– Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić, David? – Nieoczekiwanie Oliver nie chciał być tym, do którego należy decyzja. Nagle sam zapragnął przekazać rządy Torcellemu.

Torcelli założył ręce za głowę i starał się sprawiać wrażenie, że przejmuje kontrolę nad sytuacją. Czuł, że Oliver oddał mu władzę.

– Po pierwsze, powinniśmy natychmiast przerwać zawieranie transakcji. Nie używajcie informacji o Bell Chemical i Simonsie.

Oliver i Vogel spojrzeli po sobie. Nie rozmawiali o przypadkowym odebraniu telefonu Vogela przez Jaya Westa. I najwyraźniej Vogel nie wspominał o tym Torcellemu.

– Dobra. Nie użyjemy tych informacji. – Oliver zauważył, że Vogel odetchnął z ulgą.

Torcelli strasznie by się ciskał, gdyby wiedział, że Jay West grzebiąc w skrytce austina healeya prawdopodobnie natknął się na kopertę z nazwami obu firm. Ale Jay dokonał transakcji, mimo że miał prawo mieć wątpliwości. O'Shea nie mylił się twierdząc wczoraj wieczorem w Milionie, że Jay West zrobi wszystko, żeby tylko dostać swój milion dolarów. Oliver przełknął głośno ślinę i rozejrzał się po chodniku. A główną nagrodą jest dwadzieścia lat pobytu w pokoju hotelowym... za kratkami.

– Dobrze – powiedział Torcelli z entuzjazmem, zadowolony z nieoczekiwanej przychylności

Olivera. – Myślę też, że powinniśmy na dobre zawiesić działalność.

– Ja również nie widzę alternatywy – zgodził się Oliver. Torcelli pochylił się do Masona i dał znak, żeby ten się przybliżył.

– Myślę też, że należy skrócić przydługie życie panu McCarthy’emu. Nadszedł czas na zbieranie plonów.

Nie ufam mu bardziej niż psu.

Oliver spojrział na Torcellego. W uszach poczuł pulsowanie krwi. Zastanawiał się, jak to się stało, że wszystko tak szybko wymknęło mu się spod kontroli.

Oczy Torcellego zwięziły się, a usta wykrzywił półuśmiech.

– Rozmawiałem już z kimś, kto zgodził się nam pomóc.

Oliver kiwnął głową prawie nieprzytomny. Do tej pory był zdania, że żaden z jego partnerów nie jest zdolny do morderstwa. Torcelli właśnie mu udowodnił, jak bardzo się mylił.

Oliver siedział w ciemności w wygodnym fotelu obitym tapicerką, ustawionym na przeszklonej werandzie jego willi w Connecticut, i patrzył na starannie wypielęgnowane różane ogrody zalane poświatą księżyca. Sącył piątego tego wieczora drinka, swój ulubiony dżin z tonikiem. Przed spotkaniem z Torcellim i Vogelem w Central Parku spędził cały dzień w pracy na przyjmowaniu gratulacji, gdyż akcje Bell Chemical i Simonsa gwałtownie skoczyły w górę. Pewna potężna europejska firma ujawniła się jako drugi konkurent do firmy Bell, i akcje Bella w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin podwoiły cenę, natomiast kurs akcji Simonsa wzrósł o pięćdziesiąt procent. Na rynku krążyła plotka, że drugi uczestnik przejęcia miał zamiar zaproponować jeszcze wyższą cenę. Skutek byłby taki, że cena akcji gwałtownie skoczyłaby w górę.

Tak jak zakony składają hołd papieżowi, tak pracownicy innych działów przychodzili do Olivera pokłonić się i ucałować pierścień. Wypił ostatni łyk dżinu z tonikiem i zrobił sobie kolejnego drinka. Przyjmował te wszystkie gratulacje myśląc o tym, że już wkrótce nie będzie w oczach tych ludzi bogiem, tylko upadłym aniołem, a może nawet diabłem wcielonym. W przyszłym tygodniu, tuż po tym, jak Jay zostanie aresztowany, Oliver złoży rezygnację. Nie będzie o nic oskarżony. Ale było faktem, że do niego należało kontrolowanie sytuacji w dziale. Nikt się, oczywiście, nie dowie, w jaki sposób zarabiał pieniądze w ciągu ostatnich pięciu lat, ale to nie miało znaczenia. Dla niego liczyło się tylko to, że już niedługo będzie spędzał czas snując się w szlafroku po domu i oglądając telewizję, podczas gdy prawdziwe życie będzie się toczyło

gdzie indziej. Już widział szyderczy uśmiech swojego teścia. Zdawał sobie sprawę, że czeka go egzystencja wypełniona alkoholem i narkotykami. Nawet w tym będzie się musiał zdać na Barbarę, bo żadna firma na Wall Street nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego. A wszystko przez jakiegoś bezimiennego dupka z Waszyngtonu, którego nie spotkał nigdy w życiu, a który pozwolił Billowi McCarthy'emu odejść nietkniętym, bo prezydent nie chciał rezygnować z jego hojnego wsparcia finansowego. Wsparcia z pieniędzy, które Oliver zarobił dla McCarthy'ego dzięki nielegalnym operacjom. Napił się znowu.

– Oliver. – W drzwiach ganku stała Barbara. Zarys jej postaci odcinał się na tle światła palącego się wewnątrz domu. – Dlaczego tyle pijesz? – zapytała delikatnie, i zrobiła parę kroków w jego kierunku.

– Nie twój cholerny interes – odpowiedział posępnie. Po policzku kobiety spłynęła łza. Zdusiła szloch.

– Dlaczego ty mnie nienawidzisz?

Oliver wziął kolejny duży łyk alkoholu. Miała rację. Nienawidził jej. I sam nie wiedział, dlaczego. Zadawał sobie to pytanie wiele razy, ale nigdy nie udało mu się znaleźć wystarczająco przekonującej odpowiedzi. Może dlatego, że ostatnio prawie bez przerwy płakała, a może dlatego, że na siłę starała się zwrócić na siebie jego uwagę. Może dlatego, że jej twarz przypominała mu twarz jej ojca. Albo dlatego, że kojarzyła mu się z czasami, kiedy wszystko w jego życiu było proste i zdawało mu się, że wszystko, czego chciał, było w zasięgu ręki.

Jakikolwiek był powód, nie umiał walczyć z tą nienawiścią.

– Idź spać – wymamrotał.

– Będiesz dziś znowu spał w pokoju gościnnym? Barbara nie próbowała już ukryć łkania.

– Idź spać – warknął.

– Przeżywasz śmierć Abby? – Nie zamierzała zadawać tego pytania, ale nie mogła się powstrzymać. To, że śmierć Abby jest jakoś związana z zachowaniem Olivera, przyszło jej na myśl od razu, kiedy usłyszała tę wiadomość.

Oliver podniósł wzrok na jej ciemną postać.

– Jak się o tym dowiedziałaś? – zapytał drżącym głosem. Wiedział, że w gazetach nie pojawiła się jeszcze żadna wzmianka.

– Ojciec mi powiedział. Wszędzie ma znajomości.

Harold Kellogg jeszcze raz okazał się wszechmocny.

– Wynoś się stąd.

– Nie powiedział mi o tym dlatego, że wiedział o was. Nigdy mu nawet...

– Powiedziałem, wynoś się – ryknął na cały głos Oliver.

– Chcę ci pomóc – płakała Barbara. – Nie obchodzi mnie, co cię z nią łączyło.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknął i rzucił w jej stronę szklanką. Szklanka rozbiła się na podłodze tuż za Barbarą, ale ona nie chciała się jeszcze poddać.

– Proszę. – Nie hamowała już łez, które strumieniami spływały jej po policzkach.

– Nie mam zamiaru tego powtarzać! – Oliver zerwał się z fotela i ruszył w jej stronę.

Nie mogła więcej znieść. Odwróciła się i wbiegła do domu.

Oliver, trzęsąc się, wrócił na fotel. Patrzył przez chwilę w mrok, po czym sięgnął pod siedzenie i wyciągnął stamtąd rewolwer kaliber trzydzieści osiem milimetrów. Przyłożył lufę do skroni. Tylko w jednej z sześciu komór była kula. Położył palec na cynglu, zacisnął oczy i pociągnął za spust.

Barbara wbiegła na górę, do sypialni. Ukłękła przed szafą i otworzyła dolną szufladę. Odsunęła kilka swetrów i znalazła kopertę. Wzięła ją do ręki i utkwiała w niej wzrok. Jutro ją odda. Nie było już nic do stracenia.

Jay próbował podnieść rękę do oczu, ale był uwięziony w tak ciasnym i przerażająco zimnym miejscu, że cały zdrętwiał i nie mógł się poruszyć. Tak pewnie wyglądają męczarnie w piekle, pomyślał, kiedy w końcu udało mu się wcisnąć mały przycisk w zegarku i na ciekłokrystalicznej tarczy oświetlonej błękitną poświatą sprawdził, która jest godzina. Dochodziła czwarta rano. Głośna muzyka i odgłosy rozmów umilkły jakąś godzinę temu i wydawało mu się, że pub opustoszał. Ale mimo to, Jay wciąż nie chciał wychodzić ze swojej kryjówki w kanale wentylacyjnym męskiej toalety. Kiedy wieczorem wszedł do łazienki w pubie Maggie's Place, zauważył wylot przewodu wentylacyjnego. Wtedy też przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

O jedenastej, kiedy pub był pełen okolicznych mieszkańców, wkradł się do środka, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Miał wciśniętą na oczy czapkę bejsbolową Red-Soxów. Poszedł prosto do drzwi małej łazienki, sprawdził, czy nikogo nie ma w środku i zamknął się w kabinie, choć nie na zamek. Stał na klozecie i podciągnął się do wąskiego przewodu wentylacyjnego.

Ledwie się zmieścił. Bał się, czy ktoś nie zauważy jego butów. Dwa metry dalej, przewód skręcał o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Jay podciągnął nogi tak mocno jak mógł, ale trudno było powiedzieć, czy buty nie wystawały. Na szczęście, nikt go nie wykrył, mimo że później łazienka była jeszcze wielokrotnie odwiedzana. Jay liczył skrzypienia otwieranych drzwi, żeby czymś zająć myśli.

Wypuścił z płuc powietrze, żeby zmniejszyć obwód piersi. Odepchnął się i zaczął wycofywać. Najpierw jedna noga, a potem druga znalazła się poza przewodem wentylacyjnym. Jedną stopą namacał klozet, wysunął całe ciało i zeskoczył na podłogę. Zatrząsł się, przeciągnął i głęboko odetchnął. Cholemie przyjemnie było nie czuć już więcej w twarz klimatyzacji i móc normalnie oddychać. Zanim wszedł do tej rury, nie wiedział, czy nie ma przypadkiem klaustrofobii. Ale choć parę razy był bliski paniki, próbę przeszedł zwycięsko.

Podszedł do drzwi i położył rękę na klamce. Zatrzymał się na moment. Zawiasy głośno skrzypią, słyszał to wiele razy tej nocy. Ale przecież nie mógł zostać w łazience do rana. Jeśli okaże się, że ktoś jest w barze, Jay będzie udawał pijanego, który zasnął i dopiero oprzytomniał, i szybko się zmyje.

Ale nie było powodu do obaw. Pub był pusty. Krzesła stały odwrócone do góry nogami na stołach, a jedyne światło dochodziło z żarówki nad barem i długiej, fluorescencyjnej lampy nad stołem bilardowym w rogu sali. Z trocin rozrzuconych na podłodze unosił się zapach piwa, ale po ludziach nie było śladu. Jay szybko poszedł na schody, na które wchodził Patrick.

Na górze zastał dokładnie to, czego się spodziewał – zamknięte na klucz drzwi. Kilka razy pokręcił galką, po czym włożył do zamka wyprostowany spinacz i przekręcił go kilkakrotnie. Drzwi jednak były dobrze zamknięte.

Z kieszeni marynarki Jay wyjął niewielki łom i młotek, które kupił wcześniej w pobliskim sklepie z narzędziami.

Zaostrzony koniec łomu włożył między drzwi i framugę. Dwukrotnie uderzył młotkiem w koniec łomu i drzwi gwałtownie ustąpiły. Przez kilka sekund Jay stał nieruchomo, wsłuchując się w dochodzące go dźwięki. Serce biło mu gwałtownie. Czuł, że to, co robi, to szaleństwo. W tej chwili był już winien włamania, ale musiał się dowiedzieć, co łączy obskurny pub w południowym Bostonie z firmą McCarthy-Lloyd.

Jay zapalił małą latarkę, którą miał zawieszoną na szyi i pochyłony zajrzał do środka. Pomieszczenie wyglądało jak podupadające biuro. Na przeciwległej ścianie, między dwoma oknami stało ogromne drewniane biurko. Jay zrobił krok i znalazł się w pomieszczeniu. Usłyszał chrapnięcie, a po chwili ciężkie westchnienie.

Natychmiast zgasił latarkę, cofnął się o krok, na najwyższy stopień schodów i odczekał, aż ciężki oddech zmienił się w głośne chrapanie.

Kiedy był już przekonany, że osoba znajdująca się w pomieszczeniu śpi, wszedł ponownie do środka i zapalił latarkę. Z biurka przeniósł strumień światła w lewo i na długą, obitą skórą kanapę, która najlepsze dni miała za sobą. Na kanapie leżał mężczyzna, też w kiepskim stanie. Był to Franky, barman. Leżał na plecach, w jednym bucie, wciąż przepasany zielonym fartuchem. Ręce miał złożone na piersi, a głowę przechylał na jedną stronę. Musiało mu być wyjątkowo niewygodnie. Na podłodze obok kanapy stała odkręcona i do połowy opróżniona butelka alkoholu.

Jay zgasił latarkę i wsłuchał się w chrapanie barmana. Chciał się upewnić, czy mężczyzna nie udaje, że śpi.

Chrapanie było głośne i tak miarowe, że aż budziło podejrzenia.

W połowie któregoś chrapnięcia Franky westchnął, mlasnął ustami, jęknął i znowu wrócił do

miarowego, jednostajnego chrapania z głębi gardła. Jay zapalił z powrotem latarkę i zobaczył, że z kącika ust mężczyzny spływa strużka połyskującej śliny i spada na kilka starych koszul, których kłęb służył za poduszkę. Franky był najwyraźniej unieszkodliwiony. To cud, że udało mu się wdrapać na piętro, zamknąć za sobą drzwi i jeszcze trafić na kanapę. Wyglądało na to, że przez najbliższych parę godzin mamy będzie z niego pożytek.

Jay sprawdził etykietę na butelce stojącej obok kanapy. Pół litra dobrej irlandzkiej whiskey.

– Oj, Franky, chłopie. Nie powinno się pociągać za dużo takiego trunku – mruknął Jay. – Ktoś mógłby potem wkraść ci się do biura, a ty byś nawet nie zauważył. – Wstał i po zniszczonym dywanie we wschodnie wzory podszedł do biurka. Nasłuchiwał uważnie, bo gdyby chrapanie ustało albo się zmieniło, musiałby się zatrzymać.

Biurko przypominało Jayowi biurko McCarthy'ego. Było podobnie zarzucone starymi gazetami, brudnymi kubkami po kawie, notesami i przeróżnymi papierami. Jay wziął do ręki cienki, żółty papier, na którym nagryzmołono jakieś cyfry. Światłem latarki sprawdził Franky'ego – mężczyzna spał jak niemowlę, więc poświecił na kartkę. Miał przed sobą zamówienia na alkohol. Przyjrzał się innym papierom. Podobnych zamówień było tam więcej. Pochylił się i otworzył prawą górną szufladę biurka. Znalazł w niej tylko ołówki, długopisy, spinacze i pudełko z pamiątkami na Dzień Świętego Patryka.

Jay przyklęknął i spróbował otworzyć dolną szufladę, ale okazało się, że jest zamknięta na klucz. Podważył ją łomem i zamek ustąpił z trzaskiem. Franky kilka razy szybciej zachrapał i jęknął głośno. Jay natychmiast zgasił latarkę i szybko podszedł do drzwi. Ale okazało się, że nawet wyłamanie zamka szuflady nie jest w stanie zbudzić barmana z jego słodkiej drzemki. Jay znowu zapalił latarkę i wrócił do biurka.

Inaczej niż w całym biurze, w szufladzie panował idealny porządek. Leżało tam pudełko po cygarach, notes w marmurkowej okładce i segregator. Jay wyciągnął segregator i otworzył go. Zawartość była podzielona na dwie części. W pierwszej znajdowało się dziewięć potwierdzeń przekazu pieniędzy z McCarthy-Lloyd na konto EZ Travel, łącznie z tym, który poniedziałkowej nocy Paulie włożył do szuflady Bullocka. Wszystkie były przyklejone na czystych kartkach papieru, włożonych na kółka segregatora. Jay zsumował szybko w pamięci kwoty przekazów. Było to około stu milionów dolarów.

W drugiej części segregatora znalazł nazwy banków zagranicznych, z siedzibami w Antigua, Szwajcarii, Liechtensteinie, Arabii Saudyjskiej, Anglii i Irlandii. Pod nazwami banków

następowały długie sekwencje liczb, czasem po kilka pod jedną nazwą.

Jay delikatnie wyjął kilka kartek z segregatora, schował je do kieszeni i schował segregator z powrotem do szuflady. Wyjął z niej notes w marmurkowej okładce. Otworzył go. Na pierwszej stronie widniał tytuł: „Plan Ratusz”. Przejrzał kartki, ale nie potrafił zrozumieć znaczenia zapisanych na nich słów. Prawdopodobnie użyto szyfru. Na końcu notesu zauważył szkic jakiejś mapy. W jej prawym górnym rogu, w ramce było napisane:

„Lotnisko w Richmond”, a w innym miejscu widniało słowo: „Farma”. Wyrwał tę stronę z notesu i też schował do kieszeni. Poczuł, że adrenalina napływa mu do krwi. Był tak zaaferowany tym, co robi, że zapomniał o wszystkim dookoła, łącznie z chrapaniem pijanego mężczyzny.

Jay wziął do ręki pudełko po cygarach i otworzył je. W środku było kilka fotografii, na których mężczyźni, między innymi Patrick, ubrani w wojskowe moro, obejmowali się po bratersku, paląc cygara. Jay przerzucił zajęcia i już miał je odłożyć, kiedy zobaczył ostatnie. Na pierwszym planie klęczało czterech mężczyzn, jeden przy drugim, za nimi stało czterech innych. Wszyscy nosili moro i byli uzbrojeni. U góry widać było konary drzew, a z boku stały brezentowe namioty. Jay przyjrzał się fotografii, przybliżając światło latarki, i nagle wydał z siebie okrzyk. W tylnym rzędzie, obok Patricka, stał Carter Bullock. Jay zmrużył oczy. U góry widniał odręczny napis: „Donegall Volunteers.”

– Co się, cholera, dzieje?

Jay obejrzał się i skierował światło latarki prosto w twarz Franky’ego, który odruchowo zasłonił oczy ręką.

– Patrick? – wymamrotał Franky. Próbował się podnieść, ale tylko wydał z siebie jęk i opadł na kanapę. – Co tu robisz? Dlaczego mnie męczysz w środku nocy? – mamrotał z silnym irlandzkim akcentem. – Boże, odchoruję to. Dlaczego mi, cholera, dałeś tę przeklętą whiskey?

Jay wiedział, że łatwo mógłby uspokoić Franky’ego, ale nie chciał dawać mężczyźnie sposobności rozpoznania go. Biorąc pod uwagę stan w jakim Franky się znajdował, barman nie powinien stanowić zagrożenia, jednak mężczyźni na zdjęciach najwyraźniej nie należeli do pokojowo nastawionych i Jay nie miał ochoty ryzykować spotkania z nimi.

– Patrick! O, Boże! – Franky nagle przechylił głowę przez oparcie kanapy i zwymiotował.

Po pokoju rozszedł się tak potworny odór, że Jay musiał wstrzymać oddech. Ostatnie zdjęcie schował do kieszeni, a resztę włożył z powrotem do pudełka. Pudełko umieścił w szufladzie,

i wtedy usłyszał jakieś hałasy dochodzące z dołu. Ktoś otworzył drzwi wejściowe do pubu. Franky jęknął i opadł na kanapę. Na dole rozległy się głośne rozmowy i kroki ludzi idących do baru. Ktoś musiał zobaczyć przez szybę światło latarki.

Jay rzucił się do jednego z okien, podniósł żaluzje i zamarł w bezruchu. Miał przed sobą kraty zamknięte na kłódkę.

– Cholera! – mruknął pod nosem. Pierwszy raz poczuł, że jego życie może być w niebezpieczeństwie.

Wątpił, czy ludzie, którzy są na dole będą chcieli zaczekać na przybycie policji. Sądząc po obejrzanych przed chwilą zdjęciach, wezmą raczej sprawiedliwość we własne ręce.

Poświecił latarką na podłogę obok biurka, gdzie klęczał i chwycił pozostawiony tam młotek. Rzucił się z powrotem do okna i z zapamiętaniem godnym seryjnego mordercy, który atakuje ofiarę, zaczął uderzać młotkiem w kłódkę. Kłódką powoli ustępowała. Jay słyszał już ludzi wchodzących po schodach na górę. Będą tu za parę sekund. Jednym szaleńczym uderzeniem rozwalili w końcu kłódkę. Popchnął kraty i w tym momencie poczuł obejmujące go ręce i smród wymiocin. Franky, choć pijany, zrozumiał, co się dzieje i próbował zatrzymać Jaya.

Jay wymierzył barmanowi cios łokciem w miękki brzuch. Franky upadł prosto pod nogi mężczyzny, którzy właśnie weszli na górę. Jay wszedł na parapet w momencie, kiedy ktoś zapalał w pokoju światło i skoczył.

Przywarł do słupa telefonicznego na wysokości pierwszego piętra, który znajdował się w odległości półtora metra od okna. Uczeplił się go kurczowo. Nozdrza wypełnił mu drażniący zapach kreozotu.

W otwartym oknie pojawiły się głowy dwóch mężczyzn. Krzyknęli do tych, którzy znajdowali się w środku pomieszczenia, żeby biegli na ulicę. Jay nie mógł czekać. Puścił słup i zaczął zjeżdżać po nim w dół. Opadł na ziemię. Ostre kamyczki wbiły się w jego dłoń i ramiona, ale nie zwracał uwagi na przejmujący ból. Zerwał się na nogi i zobaczył z przerażeniem, że mężczyźni wybiegają przez frontowe drzwi pubu zaledwie dwadzieścia metrów dalej. Odwrócił się i rzucił do ucieczki, czując za plecami goniącą go grupę ludzi. Jedno potknięcie oznaczało koniec.

Nie miał szans, żeby dotrzeć do wynajętego samochodu – musiałby biec w przeciwnym kierunku. Nawet, gdyby udało mu się umknąć pogoni, nie zdążyłby zapalić silnika i odjechać. Musiał uciekać, wszystko jedno dokąd.

Rzucił się między dwa samochody, przebiegł na drugą stronę ulicy i pędził ciemną alejką.

O'Shea powitał poranek siedząc w swoim ulubionym fotelu, przed telewizorem, trzymając w dłoni puszkę piwa. Jego wzrok co chwila spoczywał na elektronicznym zegarze odtwarzacza wideo. Dochodziła piąta rano.

Spojrzał na telefon stojący na stole obok fotela. Obiecali mu, że zadzwonią, jak tylko odnowią kontakt z Jayem Westem, po tym jak go zgubili w lesie pod Gloucester w środę po południu. Byli pewni, że nie zajmie im to dużo czasu. Ale minęły już dwa dni, a Jaya nie namierzono.

Jay okazał się pomysłowym przeciwnikiem, a nie naiwnym kozłem ofiarnym, jak sobie wyobrażali.

Mężczyźni, którzy śledzili Jaya z Bostonu do Gloucester przysięgali, że nie spuszczą go z oczu. Jednak West zauważył ich i wykiwał. Umknął profesjonalistom. Zostawił ich w rozbitym o drzewo samochodzie. Do tego zachował się elegancko, bo zadzwonił na policję i zgłosił wypadek.

Twarz O'Shea stężała. Był tylko jeden powód, dla którego Jay mógł jechać do Gloucester, jeden powód, który go skłonił do krążenia po miejscach dzieciństwa Sally Lane. O'Shea miał tylko nadzieję, że Jay nie dowiedział się za dużo.

Pełnomocnik ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych pokręcił głową, dopił piwo, wstał i poszedł na górę. Jeśli nie znajdą Jaya, wkrótce wszystko weźmie w łeb.

Jay wczołgał się pod dom i wstrzymał oddech, wyglądając ze swej kryjówki. Schował się na tyłach skromnego domku, między ziemią a podłogą, w przestrzeni o szerokości kilkudziesięciu centymetrów.

Zdecydował się na tę kryjówkę po piętnastominutowej ucieczce ulicami południowego Bostonu. Czuł, że pogoń jest blisko, więc dał nura w wąską uliczkę, przeskoczył drewniany płot i znalazł się na niewielkim podwórku, gdzie wśliznął się pod dom. Parę chwil później goniąca go grupa, co najmniej dziesięciu mężczyzn, minęła go biegiem i wpadła na podwórko obok.

Jay zaczął się czołgać po ziemi. Minęło pięć minut od chwili, kiedy pogoń go minęła. Za chwilę zorientują się, że go zgubili i zaczną wracać. Chciał uciec, zanim to się stanie.

Dotarł prawie do końca kryjówki i zatrzymał się nagle. W ciemności zobaczył parę nóg w czerwono-czarnych adidasach. Stały kilkadziesiąt centymetrów od niego, obok domu. Padało na nie światło lampy wiszącej na okapie budynku. Zamarł, bo mężczyzna uklęknął i zajrzał pod

dom. To był Patrick. W ciemności błysnął jego diamentowy kolczyk. Jay wstrzymał oddech w oczekiwaniu na oślepiające światło latarki, które zdradzi jego kryjówkę. To musiało się tak skończyć, pomyślał. Za chwilę będzie po wszystkim.

Ale światło nie rozbłysło. Patrick podniósł się i powoli odszedł w kierunku, w którym znikła pogoń.

Jay patrzył, jak adidas-y znikają za domem. Policzył do pięćdziesięciu i wyczołgał się na trawnik. Może powinien jeszcze poczekać. Ale coś mu mówiło, że niedługo pogoń będzie tędy wracać.

Zerwał się na nogi i zaczął biec w kierunku przeciwnym do pogoni. W tym momencie okazało się, że Patrick nie odszedł. Mężczyzna rzucił się na Jaya z krzykiem, skacząc przez barierkę werandy. Upadli na ziemię i przeokożkowali po trawie. Napastnik przygniatał Jaya całym ciałem. Mocowali się przez chwilę, potem Patrick podniósł się i uderzył Westa pięścią w twarz. Przed oczami Jayowi stanęły gwiazdy, ale odepchnął jakoś mniejszego mężczyznę i podniósł się na kolana.

Patrick wyjął z pochewki przy pasku długi nóż Gerbera, ale zanim zadał cios, Jay zdążył wyciągnąć młotek, którym otworzył biuro i tępym, stalowym końcem uderzył Patricka prosto w twarz. Patrick upadł z krzykiem, łapiąc się za usta, plując krwią i zębami.

Chwilę później Jay był już za płotem.

Jay spojrział w zasnute chmurami niebo Wirginii. Potem przyklęknął, podniósł z ziemi fragment kości i przyjrzał się jej dokładnie. Miała jakieś dwadzieścia centymetrów długości i była poplamiona krwią.

Przyczepione do niej kłaki wyglądały jak brudne kosmyki ludzkich włosów. Jay rozejrzał się dookoła. Leżało tam więcej kości, a na ziemi widać było plamy zaschłej krwi. Rzucił kość, bo rękę przeszył mu ból. Większość drzazg udało mu się wyciągnąć z dłoni pensetą, którą dostał od stewarda w porannym samolocie z Bostonu do Richmond. Małe ranki wciąż jednak bolały. Na szczęście nic się nie stało z lewym łokciem, którym uderzył w chodnik podczas upadku.

Jay zrobił kwaśną minę. Pościg omal go nie dopadł, a Patrick omal go nie zabił, ale Jay przeżył. Kiedy zgubił Patricka, udało mu się zatrzymać taksówkę, którą dostał się na lotnisko Logana. Kierowca obdarzył Jaya kilkoma zdziwionymi spojrzeniami, ale nie zadawał zbędnych pytań.

Jay zmrużył oczy. Przez chmury zaczęło się przebijać słońce. Spojrzął na wzgórza dookoła. Najwyraźniej stał w miejscu, które było celem na strzelnicy. Tak przynajmniej można było sądzić, patrząc na drzewa na skraju pola, naznaczone setkami śladów po kulach. Jeszcze raz zatrzymał wzrok na kościach. To nie była tylko strzelnica. To było miejsce egzekucji.

Z ręcznie narysowanym planem, który wziął z pubu Maggie's Place, nie było trudno znaleźć drogę.

Prowadziła z lotniska w Richmond przez pagórkowate tereny Wirginii i gęsty las na zachód od małego miasta, aż na „Farmę”. Jay wypożyczył samochód, tym razem z firmy Avis, bo wynajęty wcześniej w firmie Alamo wóz, pozbawiony zderzaka pozostał w południowym Bostonie. Kiedy Jay dotarł do celu, nie wjechał na podjazd wiodący do domku na farmie. Spodziewał się, że ludzie, którzy go gonili w Bostonie, musieli się do tej pory zorientować, że wziął mapę i mogli już na niego czekać. Minął więc samochodem wjazd na farmę, pojechał kilkaset metrów dalej wąską polną drogą i zaparkował wóz na polance. Potem wrócił, przedzierając się przez gęste chaszczki i drzewa, do podjazdu. Szedł równolegle do niego, ale pozostawał ukryty wśród drzew, niewidoczny dla kogoś, kto mógłby iść drogą. W czasie tego dwudziestominutowego spaceru nie słyszał żadnego samochodu. Żaden samochód nie stał też na

podwórku wokół starego drewnianego domu znajdującego się na końcu półtorakilometrowego podjazdu. Przez godzinę ukrywając się wśród drzew obserwował dom, ale budynek sprawiał wrażenie opuszczonego. Wreszcie Jay przemierzył wysokie trawy i wszedł do środka.

Zobaczył brudną kuchnię, łazienkę i kilka rozstawionych połowych łóżek. Przyjrzał się temu wszystkiemu. Nie znalazł nic interesującego, poza pustymi pudełkami po amunicji dużego kalibru.

Kiedy stał i przyglądał się otaczającym go wzgórzom, nie mógł powstrzymać się od refleksji, że Carter Bullock kłęczał kiedyś gdzieś tam i celował z broni w dół, w to miejsce. Zdjęcie z pudełka po cygarach było dowodem, że Bullock miał wiele wspólnego z ludźmi z Maggie's Place. Prawdopodobnie Bullock już wiedział, że ktoś się włamał do ich biura, bo był osobą odpowiedzialną za przepływ pieniędzy z McCarthy-Lloyd do EZ Travel, firmy, pod przykrywką której najwyraźniej kryło się coś złowrogiego. Coś, co wiązało się z Donegall Volunteers.

Jay spojrzął na swoje poranione dłonie. Był pewien, że nikt ze ścigających go mężczyzn nie widział jego twarzy. Był odwrócony do nich plecami, kiedy skakał ze słupa telefonicznego, a ciemność na ulicach nie pozwoliła napastnikom przyjrzeć mu się dokładniej. Nie bał się też, że Franky go rozpozna, bo był zbyt pijany.

A Bullock nie będzie miał podstaw, żeby szukać związku między Jayem a osobą, która włamała się do biura.

Bullock prawdopodobnie już wiedział, że wyjazd do Turbo Tec był pretekstem, ale nie mógł się domyślać prawdziwego celu tej podróży. Chyba że miał kontakt z ludźmi z niebieskiego samochodu, który rozbił się o drzewo pod Gloucester. Albo z Patrickiem, który mógł zapamiętać Jaya z baru.

– Ręce do góry!

Jay spełnił polecenie. Pomyślał, że pierwszy raz w życiu przytrafia mu się coś takiego.

– Odwrócić się – rozkazał młodzieńczy głos z południowym akcentem. – Tylko spokojnie.

Jay odwrócił się powoli. W odległości pięciu metrów stał chłopak, blondyn, mniej więcej jedenastoletni.

Chłopiec miał na sobie porwaną podkoszulkę z krótkimi rękawkami, luźne džinsy i zielone gumowe buty myśliwskie. Przy prawym policzku trzymał dwururkę, celując prosto w pierś Jaya.

– Mógłbym się dowiedzieć, co ja takiego zrobiłem? – zapytał spokojnym głosem Jay. Strzelba była prawie tak duża, jak jej właściciel.

Chłopak chyba zdecydował, że intruz nie stanowi większego zagrożenia, bo opuścił strzelbę na biodro, choć wciąż była skierowana w Jaya.

– Myślałem, że już wszyscy wyjechaliście.

– O kim mówisz?

– O ludziach, którzy wynajmowali farmę dziadka przez ostatni miesiąc.

– Nie jestem jednym z nich. – Jay powoli opuścił rękę. Chłopiec nie protestował.

– Skąd mam wiedzieć?

– Gdybym był jednym z nich, to czy chodziłbym tu bez odbezpieczonej broni? – Jay zakładał, że chłopak musiał widzieć tych mężczyzn, ci z kolei pewnie nie rozstawali się z bronią.

– A widziałeś mnie tu wcześniej, z nimi?

Chłopca chyba to przekonało, bo opuścił niżej lufę strzelby.

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie widziałem.

– Jak masz na imię? – zapytał Jay.

– Ben.

– A ja Jay.

– Jeśli nie jesteś jednym z nich, to co tu robisz? – zapytał podejrzliwie Ben.

– Usiłuję ich znaleźć – odparł Jay. – To źli ludzie.

– Skąd wiesz?

– Bo podejrzewam, że zabili mojego przyjaciela.

– Naprawdę? – Ben otworzył szerzej oczy.

– Tak.

Ben spojrzał na lufę swojej strzelby.

– I znowu chcą kogoś zabić. Jay spojrzał Benowi w oczy.

– Skąd to wiesz?

– Niechcący podsłuchałem. W zeszłym tygodniu wyszedłem w nocy sprawdzić wnyki na sarny i przechodziłem obok ich domku. Byłem naprawdę blisko, ale mnie nie zauważyli. Słyszałem wszystko, o czym mówili, każde słowo. – Ben wysunął do przodu dolną szczękę. Wykazał się nieposłuszeństwem, ale mimo to był z siebie dumny. – Piekli hamburgery i steki na grillu. Ładnie pachniało. Rozmawiali o tym, jak się zabija jednym strzałem z karabinu, o trajektorjach i o tym, jak ciało człowieka, którego chcą zabić, eksploduje. Potem się śmiali. Mówili, że to będzie zabawa patrzeć, jak krew się rozbryzguje i jak to zmieni sytuację polityczną.

– A mówili, czyje ciało ma tak eksplodować? Ben wzruszył ramionami.

– Powiedziałaś dziadkowi to, co słyszałaś? Ben pokręcił głową.

– Dziadek zabronił mi tu przychodzić. Z resztą i tak by mi nie uwierzył. – Chłopiec odwrócił się i pokazał ręką na grzbiet góry ledwie widoczny w popołudniowej mgle. – Mieszkamy z dziadkiem tam, jakieś osiem kilometrów stąd. To wszystko nasza ziemia, rodzina ma ją od wielu lat, jeszcze sprzed wojny.

– Ale mu nie powiedziałaś? – powtórzył Jay.

– Tylko by mnie złał – odpowiedział Ben rzeczowo i opuścił lufę strzelby tak, że celowała w ziemię. – Dziadek mówi, że ci ludzie zapłacili mu gotówką za wynajęcie tego miejsca i dlatego mają święte prawo robić tu, co im się podoba.

– Gotówką? – Jay zauważył, że chłopak musi się wygadać.

– Tak, bardzo dużo. Widziałem kopertę na biurku dziadka. Pełno w niej było dwudziestek.

Przez chwilę Jay chciał poprosić chłopaka, żeby go zaprowadził do dziadka. Doszedł jednak do wniosku, że skoro ci ludzie zapłacili gotówką, to nie będzie jak ich namierzyć. Rozmowa z dziadkiem chłopaka nic nowego nie wniesie. Koledzy Bullocka umieją zacierać za sobą ślady.

Jay spojrział na Bena. Wiedział, że dzieci lubią przesadzać. Sam, kiedy był mały, zmyślił parę niezłych historii. Ale to, co usłyszał od Bena brzmiało przekonująco, chociażby z powodu ilości szczegółów. I z powodu tego, co Jay znalazł w Bostonie.

– Słyszałaś coś jeszcze? – zapytał Jay.

Ben przez chwilę się zastanawiał, w końcu kiwnął głową.

– Słyszałem jeszcze jedną rzecz – powiedział uśmiechnięty, dumny, że mu się przypomniało.

– Co?

– Powiedzieli, że nie mogą się doczekać, kiedy wybuchnie wojna.

O'Shea skończył rozmawiać i odłożył słuchawkę. Dziś rano Jay był na pokładzie samolotu linii Continental lecącego z Logan Airport do Richmond w stanie Wirginia. Na miejscu wynajął samochód, w biurze firmy Avis.

Zarezerwował też lot z Richmond do Nowego Jorku, na lotnisko La Guardia. Dobra wiadomość była taka, że Jay zaczął znowu używać swoich kart kredytowych, więc łatwo go było śledzić. A zła – że zanim otrzymali informacje o użyciu przez niego karty kredytowej, Jay zdążył wylądować w Richmond i zniknąć w stanie Wirginia bez śladu.

O'Shea sięgnął po słuchawkę i zaczął wystukiwać numer telefonu, ale nie skończył. Za

wcześnie było dzwonić, żeby dowiedzieć się o dalsze postępy.

Jay polecił kierowcy taksówki, który przywiózł go z lotniska Newark do centrum, żeby zatrzymał się na Amsterdam Avenue, blisko tylnego wejścia do jego mieszkania na Manhattanie. Samolot z międzynarodowego lotniska w Waszyngtonie miał godzinne opóźnienie. Dochodziła dziesiąta. Jay co prawda zdrzemnął się parę minut w czasie krótkiego lotu, ale nadal czuł się potwornie zmęczony i nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o wygodnym łóżku.

Kiedy taksówka stanęła, Jay zwałókl się z tylnego siedzenia, przez okno podał taksówkarzowi dwa banknoty dwudziestodolarowe i ruszył do drzwi, rozglądając się, czy nie ma tu kogoś podejrzanego. Żałował, że nie widział min ludzi, którzy próbowali go śledzić, kiedy okazało się, że nie ma go na pokładzie samolotu z Richmond na lotnisko La Guardia. Zarezerwował ten lot na swoje nazwisko specjalnie, żeby jeszcze raz wyprowadzić ich w pole. Teraz miał nadzieję na chwilę spokoju we własnym mieszkaniu.

Jay wśliznął się do budynku, otwierając tylne drzwi kluczem, który dostał od jednego z portierów z podziękowaniem za miły bożonarodzeniowy prezent w zeszłym roku. Poszedł do wind. Kiedy drzwi kabiny rozsunęły się na jego piętrze, Jay wyjął z kieszeni klucz do mieszkania i włożył go do zamka.

– Jay?

– Jezus Maria! – cofnął się o krok, jakby poraził go prąd. Spojrzał w prawo i zobaczył Barbarę Mason.

Wyszła z klatki schodowej.

– Co ty tu robisz? – zapytał, ale serce jeszcze nie przestało tłuc mu się w piersi.

– Chcę ci coś dać – powiedziała Barbara łagodnie.

– Co? – Jay odetchnął głęboko. Przez ostatnich kilka dni uczył się, że nic nie powinno go dziwić, ale głos Barbary, dochodzący z mroku przestraszył go niemiłosiernie.

Kobieta sięgnęła do torebki ze skóry węża i wyciągnęła z niej kopertę.

– Weź to. – Przez moment się jeszcze wahała, ale w końcu wręczyła mu kopertę. – Myślę, że to ważne. – Próbowwała odejść, ale Jay złapał ją za przegub.

– Co tam jest? – zapytał.

– Pozwól mi odejść.

Próbowwała się wyrwać, ale Jay trzymał mocno.

– Nie, nie odejdiesz bez wyjaśnienia. Powiesz mi, co tam jest. Barbara przez chwilę patrzyła

mu w oczy, po czym spuściła wzrok.

– O co chodzi? – zapytał.

Po jej policzku spłynęła łza. Cały ból ostatnich paru lat zawładnął nią od nowa.

– Oliver robi coś złego – szepnęła, starając się opanować emocje. – Myślę, że robi coś naprawdę złego. – Paznokciem postukała w kopertę. – Prawdopodobnie dokonuje transakcji wykorzystując nielegalne źródła informacji. W tej kopercie, jak się domyślam, są nazwiska ludzi, którzy są jego informatorami i nazwy spółek, których akcje kupił dla McCarthy-Lloyd. – Załkała.

Jay delikatnie dotknął jej ramienia.

– Barbaro, ja...

– Już dobrze – powiedziała przykładając do oczu chusteczkę. Zaczęła kaszleć. – Nic mi nie jest. – Zaciśnęła na moment powieki, po czym otworzyła oczy i spojrzała na Jaya. – Oliver myśli, że o niczym nie wiem. Sądzi, że jestem głupią babą, nie znam się na interesach i nie potrafiłabym włączyć komputera. – Wyprostowała się. – Ale ja nie jestem naiwna i umiem obsługiwać komputer. – Przerwała na moment. – Parę miesięcy temu w kieszeni jego koszuli znalazłam dyskietkę i jeszcze... – Przełknęła łzy kilka razy i oparła się o ścianę.

Jay znowu dotknął jej ramienia.

– Może wejdiesz i napijesz się wody?

– Nie. – Pokręciła głową. – Razem z dyskietką znalazłam liścik miłosny – powiedziała drżącym głosem. – Od Abby Cooper.

Jay zamarł. Więc Barbara wiedziała o Oliverze i Abby. Stąd ta gorycz, która z niej emanowała. Może miał przed sobą mordercę Abby. Może Donegall Volunteers wcale nie byli odpowiedzialni za śmierć dziewczyny.

– Abby myślała, że odbierze mi Olivera ciągnęła Barbara z delikatnym uśmiechem na ustach. – Ale nie wiedziała, że w tym trójkącie jest jeszcze czwarty element, z którym w przypadku Olivera Masona nie mogła konkurować. Pieniądze. Oliver nigdy nie zamieniłby pieniędzy na miłość. To nie w jego stylu. – Przestała się uśmiechać. – Nie miałam pojęcia, co jest na dyskietce. Myślałam, że może następne listy miłosne, sama nie wiem. Nie wiem, co mnie skłoniło, żeby zajrzeć do tych bzdur. Przyprawiało mnie to przecież o mdłości. Ale włożyłam dyskietkę do komputera i wydrukowałam jej zawartość. Tu jest wszystko. – Wskazała na kopertę, którą Jay trzymał w dłoni.

– Po co Oliver miałby to zapisywać na dyskietce? – Jay był pełen nieufności w stosunku do

Barbary. Abby nie żyła, ale pozostał jeszcze Oliver, na którym mogła chcieć się zemścić. To wszystko miałooby sens. A o wiele lepiej, żeby oskarżenie pochodziło od współpracownika Olivera, nie od porzuconej żony. – Wydaje mi się, że powinien raczej starać się zacierać za sobą wszystkie ślady, a nie zapisywać coś na dyskietce.

– A dlaczego Richard Nixon zbierał taśmy? – Barbara nagle wpadła w furję. – Każdy ma jakąś słabość.

Chyba już wiesz. A może jeszcze jesteś za młody. Może potrzebujesz jeszcze paru sezonów, żeby dojrzeć?

– Dlaczego mi to dajesz? – Jay nie zwrócił uwagi na złośliwość. Barbara spojrzała w sufit. Z jej oczu spływały dwie strużki łez.

– Nie umiem donieść na niego na policję – przyznała ze smutkiem. – Nie potrafię posunąć się tak daleko. Nie wiem, jak to możliwe, ale...ja wciąż go kocham i nie umiem sama zrobić mu nic złego. – Nagle na jej twarzy pojawiło się zdecydowanie. – Muszę ratować siebie i swoje dziecko. Oliver nie panuje nad sobą. Jest na krawędzi, stał się agresywny. Nie chcę mu tego robić, ale nie widzę innego wyjścia. – Energicznie ruszyła w kierunku wind.

Jay pobiegł za nią, błagając, żeby weszła do mieszkania porozmawiać, ale odmówiła. Kiedy drzwi windy otworzyły się, weszła do środka i oparła się o ścianę. Nie spojrzała już Jayowi w twarz.

Jay wrócił do mieszkania. Wszedł od razu do sypialni. Jęknął, kiedy zobaczył ilość rozmów na sekretarce.

Czternaście. Podszedł do nocnego stolika, wcisnął przycisk „Play” i padł na łóżko.

Lista dzwoniących była łatwa do przewidzenia. Znalazł kilka wiadomości od Sally, która chciała wiedzieć, gdzie jest. W czwartym i ostatnim nagraniu prosiła go, żeby spotkali się w sobotę na kolacji, o ile Jay będzie w mieście. Pięć razy dzwonił Oliver. Też chciał wiedzieć, gdzie Jay się podziewa. W którymś momencie Oliver przyznał, że wie o środowiej przepychance Jaya i Bullocka na parkiecie. Powiedział nawet, że parkiet to środowisko wybitnie stresujące i to zrozumiałe, że temperamenty czasami dają o sobie znać, ale Jay nie powinien się niczym martwić i kiedy wróci, jego miejsce w McCarthy-Lloyd będzie na niego czekało. Oliver dał do zrozumienia, że wie, że bójkę zaczął Bullock. Błagał Jaya, żeby się odezwał. Były też trzy głuche telefony i jeden od matki Jaya, z pytaniem, czy syn nie wybrałby się wkrótce w odwiedzin do domu.

W czasie odsłuchiwania wiadomości położył się na boku i z koperty, którą dostał od Barbary wyciągnął trzy kartki papieru. Na pierwszej były nazwiska czterech osób, których nie znał, a obok nazwy firm, w których zapewne pracowali. Były to największe domy maklerskie na Wall Street.

Na dwóch następnych stronach znajdowała się lista firm, a obok każdej z nich widniało nazwisko jednego z czterech mężczyzn z pierwszej strony. Jay rozpoznał w nich spółki, których akcje kupił Oliver z Bullockiem.

Abby pokazywała mu kiedyś listę transakcji dokonanych przez Olivera i Bullocka od początku działalności działu arbitrażu. Na końcu drugiej strony Jay zobaczył coś, co zaparło mu dech w piersi. Ostatnie nazwy to Bell Chemical i Simons. Obok tych dwóch firm widniało to samo nazwisko. Tony Vogel.

Jay zrozumiał, że tej listy Barbara nie mogła spreparować sama. Mówiła prawdę. Dlaczego jednak Oliver miałby zapisywać na dyskietce coś tak bardzo obciążającego? Dlaczego miałby przygotowywać dowód, który mógł wpaść w niepowołane ręce? Co zresztą się stało.

Jay włożył kartki do koperty. Na sekretarce właśnie odezwała się ostatnia wiadomość. Zdenerwowany obcy męski głos. W tle słychać było ruch uliczny. Mężczyzna przedstawił się jako dyrektor Bell Chemical. Pokój zawirował Jayowi przed oczami. Cofnął wiadomość i odsłuchał jeszcze raz.

Najpierw był moment zakłóceń, a potem głos, drżący ze złości, powiedział:

– Niech pan słucha, panie West. Nie wiem, za kogo się pan uważa, ale lepiej, żeby pan do mnie oddzwonił.

Telefnowałem do pana trzy razy, nie było pana w domu, więc zostawiam wiadomość. Mówi Frank Watkins, dyrektor finansowy Bell Chemical. Jak tylko się pan zjawi, proszę do mnie zadzwonić na mój prywatny numer. – Watkins szybko go wymienił. – I niech mnie pan nigdy więcej nie szuka w pracy! – krzyczał, bo w tle rozległ się warkot ciężarówka. – Powiem panu coś jeszcze, panie West. Nie najlepiej reaguję na pogrożki. To, że wie pan coś o mojej przeszłości, nie upoważnia pana, żeby żądał pan ode mnie informacji. – Zapadła cisza, po czym głos Watkina zabrzmiał bardziej ugodowo. – Proszę do mnie zadzwonić.

Jay w osłupieniu patrzył na telefon. Sekretarka wyłączyła się. Nigdy w życiu nie spotkał człowieka o nazwisku Frank Watkins, nie mówiąc już o tym, że miałby do niego dzwonić z jakimiś pogrozkami. Ale najwyraźniej Watkins był przekonany, że Jay do niego telefonował.

Powoli podniósł się z łóżka i podszedł do komputera. Uważnie przejrzał dyskietki w pudełkach, tak jak to już zrobił kilkakrotnie od wizyty Sally. Wciąż miał nadzieję, że po prostu nie zauważył tej ze swoimi rozliczeniami za zeszły rok i że zaraz ją odnajdzie. Ale dyskietki nie było.

Odłożył pudełko na stół i utkwiał wzrok w aparacie telefonicznym. Wszystko wskazywało na to, że będzie miał duże kłopoty.

O'Shea złapał za słuchawkę, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Halo!

– Mamy go.

– Gdzie?

– W mieszkaniu. Wszedł tylnym wejściem, ale go mamy.

– Całe szczęście. – O'Shea głośno odetchnął. – Cokolwiek by się działo, nie zgubcie go.

– Nie ma mowy.

Jasne, pomyślał O'Shea. W Bostonie też nie miało się to zdarzyć.

– Informujcie mnie o wszystkim do końca. Nie chcę w poniedziałek żadnych niespodzianek.

– Rozumiem.

– Porozmawiamy później. – Jeszcze jedno.

– Tak?

– Niedługo przed pojawieniem się Westa, do budynku, w którym mieszka przyszła Barbara Mason. Wyszła jakieś dziesięć minut po jego przyjsciu.

O'Shea poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Najlepiej by było, gdyby poniedziałek był już.

Victor Savoy patrzył, jak mężczyźni pospiesznie wyładowują długie drewniane skrzynie z ciężarówek i zanoszą je do magazynu na wyludnionej uliczce na przedmieściach Antwerpii. Godzinę temu, pod osłoną nocy, znieśli te pudła z frachtowca w belgijskim porcie.

Kiedy ostatnia skrzynia trafiła do magazynu, Savoy zapłacił mężczyznom i chwilę później nie było już po nich śladu. Za parę dni nocą przyjdą inni i przeładują broń na małe łódki, które zabiorą ładunek w ostatnią drogę.

To będzie krótka podróż przez Morze Północne, dookoła północnego cypla Szkocji i w dół do Irlandii.

Uśmiechnął się do siebie, zamykając kłódkę na drzwiach magazynu. Słychać było odjeżdżające ciężarówki.

Transport poszedł świetnie, a na miejscu przygotowano wszystko, co trzeba. Kiedy tylko

skończy swoją pracę w Stanach, będzie mógł się zająć wyłącznie hurtowym szmuglowaniem broni. Zrobi na tym fortunę.

Savoy spojrział na zegarek. Musiał się spieszyć. Miał niewiele ponad godzinę do startu samolotu do Nowego Jorku.

Co cię męczy, Jay? – Vivian Min czubkiem sportowego buta odepchnęła się od biurka razem z krzesłem, na którym siedziała. Miała na sobie podkoszulkę i krótkie spodenki. Po skończeniu papierkowej roboty, którą wolała zrobić spokojnie w weekend, kiedy nie przeszkadzały ciągle dzwoniące telefony, zamierzała przebiec się z biura w Rockefeller Center do domu na Upper East Side.

– Skąd ta nagła potrzeba, żeby mnie zobaczyć? – Vivian była współwłaścicielem Baker-Watts, niewielkiej, ale cieszącej się świetną opinią firmy prawniczej na środkowym Manhattanie. Specjalizowała się w prawie pracowniczym i dotyczącym akcji.

Jay zawahał się. Vivian była młoda, atrakcyjna i robiła karierę. Poza tym, miała mnóstwo energii i poczucie humoru – wszystko potrafiła dowcipnie skomentować. Zaprzyjaźnili się, kiedy Jay pracował dla National City, a ona udzielała porad prawnych przy wielu jego transakcjach.

– Mam pewnego przyjaciela – zaczął nieśmiało. Vivian wzniosła czarne oczy ku niebu, odrzuciła na plecy długie smolistoczarne włosy i uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– No dobrze, opowiedz mi o tym przyjacielu.

– To dosyć twardy facet – niezręcznie ciągnął Jay, zastanawiając się, jak najlepiej to ująć.

– Rozumiem. – Przekręciła ołówek wokół kciuka. Najwyraźniej traciła zainteresowanie. Miała wiele zalet, ale cierpliwości z pewnością jej brakowało.

– Ten przyjaciel pracuje w banku inwestycyjnym i podejrzewa, że ktoś chce z niego zrobić kozła ofiarnego w sprawie o dokonywanie transakcji na podstawie nielegalnie zdobywanych informacji – wyjaśnił Jay.

Ołówek przestał się obracać.

– Ma powody tak sądzić? – Głos Vivian stracił swój nieszczerzy ton. Jay spuścił wzrok.

– Jego przełożony wmanewrował go w kupienie akcji dwóch firm, których ofertę przejęcia ogłoszono parę dni później.

– Nie jestem specjalistą od nielegalnych transakcji – przypomniała mu Vivian. – Pamiętaj o tym.

– Może nie jesteś specjalistą, ale wiesz sporo o rynku akcji – zauważył.

– Więcej, niż bym w tej chwili chciała – wymamrotała i wyciągnęła z szuflady paczkę

Marlboro Lights.

Zapaliła. – Tylko dlatego, że twój przyjaciel...

– No dobrze – wszedł jej w słowo Jay, kręcąc głową. – Nie będę dłużej robił ceregieli. Nie chodzi o żadnego przyjaciela, a o mnie.

– Współczuję. – Vivian zaciągnęła się. – Czy twój przełożony zlecił ci pisemnie zakup tych akcji?

– Tak – potwierdził Jay dziwiąc się, że sam na to nie wpadł. – Napisał mi własnoręcznie ładny, długi list.

– Na jakim stanowisku pracuje ten twój przełożony? – zapytała.

– Kierownik działu.

– A ty?

– Handlowiec.

– Więc nie ma wątpliwości, kto tu rozkazuje.

– No, tak.

– Czy masz ten list?

– Tak.

Twarz Vivian rozjaśniła się.

– Na czym polega problem? Po prostu, wykonywałaś polecenie szefa i masz list, który to udowadnia. – Uśmiechnęła się. – Idziemy na piwo, żeby to uczcić.

Jay pokręcił głową.

– Nigdzie w tym liście nie pada nazwa żadnej z firm, których akcje kupiłem na jego polecenie. Nazywa je akcjami, „o których mówiliśmy wczoraj wieczorem”.

– Uuu. – Vivian potarła czubek nosa. Robiła to, kiedy głęboko się nad czymś zastanawiała. – Może ktoś słyszał, jak rozmawialiście o tych akcjach? Jay zastanowił się chwilę.

– Nie. Zawsze, kiedy rozmawialiśmy o tym, byliśmy sami. – Oliver wykazał się ostrożnością. Jay zaklął pod nosem. Powinien był coś podejrzewać. Zupełnie, jakby na przejazd kolejowy wjeżdżał pociąg, a on nie zauważył, że pali się czerwone światło.

Vivian oparła się na krześle i wciągnęła głęboko powietrze.

– W momencie, kiedy czytałeś ten list nie wydało ci się to podejrzane, że nie wymienił nazwy żadnej z firm?

– Może trochę.

– Więc dlaczego, u diabła, kupiłeś te akcje?

– Nie chciałem go złościć. Już od paru dni wykręcałem się od tych transakcji.

– Więc wpakowałeś się w to, bo nie chciałeś wkurzać szefa? – zapytała z niedowierzaniem.

– To nie jest takie proste, jak się wydaje.

– Jak mam to rozumieć?

Jay westchnął zniecierpliwiony.

– W umowie o pracę w McCarthy-Lloyd zagwarantowano mi styczniową premię.

– Aż tak wysoką? Jay milczał.

– Nie marnuj mojego czasu ostrzegła go dobrodusznie Vivian. – W gruncie rzeczy, udzielam ci tu bezpłatnej porady prawnej. No, jaka miała być ta premia?

– Milion dolarów – odpowiedział Jay. Vivian gwizdnęła.

– Pomyślę chyba o zmianie pracy. I wiesz, nagle poczułam, że coś może między nami będzie – zażartowała.

– Przestań – jęknął Jay.

– Dobrze, dobrze. – Popatrzyła w sufit. – Ten milion jest zagwarantowany, tak?

– Tak.

– Bezwarunkowo?

– Tak przynajmniej sądzę – odpowiedział niepewnie. Do tej pory nie sprawdził dokładnie wszystkich paragrafów umowy. – Dlaczego pytasz?

– Jeżeli premia jest zagwarantowana niezależnie od okoliczności, to ci pomoże. Będziesz miał dowód na to, że nie musiałeś sięgać po nielegalne środki, żeby zarobić. Oczywiście, ja cię o to nie posądzam. – Z czterdziestego piętra Rockefeller Center spojrzała przez okno na ślizgawkę, na której o tej porze roku stały stoliki restauracji.

– Przynieś mi w poniedziałek ten kontrakt. Przejrzę go. Postawisz mi za to dobry obiad. Biorąc pod uwagę moją normalną stawkę, dobrze na tym wyjdiesz.

Jay podniósł z ziemi szarą tekturową teczkę, którą oparł o nogę krzesła.

– Mam go tu. – Wstał i położył kontrakt na jej biurku.

– Och, nie – jęknęła. – Chcę już stąd iść.

– Proszę cię, Viv.

– No dobrze. – Podniosła kopertę. – Ale masz mi postawić obiad.

– Zaproszę cię, obiecuję – zgodził się. – Chociaż może to będzie więzienna stołówka –

burknął.

Vivian przez dziesięć minut nie odrywała wzroku od dokumentu, po czym schowała go z powrotem do koperty, kręcąc głową.

– Nie wygląda to dobrze.

– Co tam jest? – zapytał.

– Dwie sprawy – powiedziała. – Po pierwsze, w kontrakcie jest sformułowanie, że premia będzie wynosić co najmniej milion dolarów, pod warunkiem, że wykazesz się w pracy. Więc zdecydowanie miałeś powód, żeby się wykazywać, czyli wybierać akcje, o których wiedziałeś, że przyniosą zysk. – Vivian skończyła papierosa i wrzuciła niedopałek do szklanej popielniczki na biurku. – Po drugie i ważniejsze, w umowie jest określony warunek, że firma McCarthy-Lloyd może ci wystawić ocenę za pierwszy miesiąc pracy, a potem znowu po trzech miesiącach. Jeżeli otrzymasz niskie noty, kierownik twojego działu ma prawo cię zwolnić. Ten punkt jest w paragrafie dodatkowy i wydrukowany został na odwrotnej stronie umowy, co jest co najmniej dziwne. Ale tam jest – Wskazała na kopertę. – Bez tego dodatkowego zastrzeżenia, premia byłaby zagwarantowana bezwarunkowo – stwierdziła Vivian. – Jednak z tą klauzulą, zakamuflowaną, ale istniejącą, premia nie jest zagwarantowana. A to niedobrze. W oczach sędziego będziesz miał motyw, żeby się wykazać, czyli wybrać te akcje, o których wiesz, że wygrają. – Wydeła usta. – Milion dolarów to spora motywacja. Wystarczająca, żeby... – nie skończyła.

– Co ty mówisz? – czuł, że nie powiedziała mu wszystkiego.

– Mówię, że możesz mieć problem.

– Doceniam twoją delikatność, Viv. Zachowujesz się jak lekarz, który wyznaje pacjentowi, że istnieje podejrzenie raka, choć widział już badania i doskonale wie, że zostało mu zaledwie parę miesięcy życia. Nie musisz niczego owijać w bawełnę.

– Jak długo pracujesz w McCarthy-Lloyd? – zapytała.

– Prawie sześć tygodni.

– Wystawiono ci ocenę po pierwszym miesiącu pracy?

– Tak.

– No i?

– Początkowo ocenili mnie bardzo nisko, ale potem zmienili zdanie. Nie bez powodu – dodał. – Pracuję jak wół.

– Widziałeś dokument ze zmienioną oceną?

Jay zastanowił się przez chwilę. Bullock nie pokazał mu poprawionego dokumentu.

– Nie – przyznał cicho. Vivian westchnęła sfrustrowana.

– Tak, jak mówiłam, możesz mieć problem. – Zaczęła stukać w biurko długimi paznokciami.

– Jest coś jeszcze, co cię martwi w tej sprawie? – Zapytała już bardziej oficjalnie.

– Tak.

– Co takiego? Podniósł na nią oczy.

– Czy w tej chwili chroni nas przywilej poufności między klientem a adwokatem?

Vivian kiwnęła głową.

– Dobrze. Ktoś podający się za mnie zadzwonił do dyrektora finansowego jednej z firm, której akcje kupiłem i zagroził, że ujawni coś z jego przeszłości, jeśli nie otrzyma tajnych informacji dotyczących firmy.

– Skąd masz pewność, że ktoś do niego rzeczywiście dzwonił? – zapytała Vivian.

– Bo ten dyrektor zostawił na mojej sekretarce wiadomość, że nie ma zamiaru ujawniać mi żadnych informacji i że mam go zostawić w spokoju. Chociaż pod koniec nie brzmiał już tak przekonująco.

– To dziwne, że zostawił ci taką informację na sekretarce – zauważyła Vivian. – Skąd miał pewność, że nikt niepowołany jej nie odsłucha?

– Brzmiało to tak, jakby był przerażony, jak gdyby rzeczywiście coś przeszkrobał. Powiedział, że próbował dzwonić trzy razy.

– Skąd go znasz?

– Wcale go nie znam – powiedział Jay podnosząc głos. – I o to chodzi. W życiu o nim nie słyszałem.

Vivian wyjęła z pudełka kolejnego papierosa i włożyła do ust nie zapalając.

– Więc podejrzewasz, że ktoś z twojego telefonu zadzwonił do tego faceta i podawał się za ciebie?

– Tak.

– W jaki sposób ktoś mógłby korzystać z twojego telefonu bez twojej wiedzy?

– Mogli się włamać do mieszkania, kiedy mnie nie było. – Jay nie chciał wspominać Vivian, że miał pewne podejrzenia, kto mógł wykonać te telefony. Vivian wypytywałaby go o Sally, a na to jeszcze nie był przygotowany. – To nie byłoby trudne. Prawie nie ma mnie w domu. Bez

przerwy jestem w pracy.

Vivian spojrziała na kopertę.

– Martwisz się, że wykaz rozmów telefonicznych dowiedzie, że z twojego mieszkania dokonywano rozmów z firmą tego dyrektora?

– Właśnie. Czy to nie byłby wystarczający dowód w sądzie?

– Absolutnie tak – potwierdziła Vivian.

– Świetnie – jęknął Jay. Zapaliła papierosa.

– Jest jeszcze coś, co cię niepokoi?

– Tak – szybko odpowiedział Jay. – Zginęła mi z mieszkania pewna dyskietka komputerowa.

– Co na niej było?

– Zapis stanu mojego konta osobistego z zeszłego roku. Wszystkie wpływy i wypłaty pieniędzy.

– Czyli coś, co mogłeś wiedzieć tylko ty – Vivian głośno myślała. – Ktoś mógłby dograć tam jakiś plik, który powiązałby cię z tą sprawą.

– To prawda – przyznał Jay. Dokładnie to mu przyszło do głowy, kiedy siedział w samolocie z Waszyngtonu.

– Na dyskietce są twoje odciski palców.

– Oczywiście.

Zaciągnęła się mocno papierosem.

– Ha!

– Co znaczy: „Ha!”? – zapytał zdenerwowany na dobre Jay.

– To znaczy, że kiedy zacząłeś mi opowiadać o tej sprawie, myślałam, że popadasz w paranoję. A teraz tak nie myślę.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że nie podejrzewasz mnie o paranoję. Vivian znowu spojrziała w okno.

– Ale dlaczego ktoś miałby cię wrabiać?

– Nie wiem, ile razy zadawałem sobie to pytanie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. – Pokręcił głową. – Nie wiem. Chyba że... – nie dokończył.

– Chyba że co?

– To tylko domysł.

– Mów – nalegała.

– Sądzę, że w ciągu ostatnich pięciu lat dział arbitrażu McCarthy-Lloyd stale dokonywał nielegalnych transakcji. Może mam być kozłem ofiarnym, który zostanie obarczony winą innych.

– Dlaczego sądzisz, że w firmie dokonywano nielegalnych operacji?

– Dostałem od kogoś informację na ten temat.

– Od kogoś wiarygodnego?

– Tak.

Przez chwilę milczeli.

– W jaki sposób odbywa się dochodzenie w takiej sprawie? – zapytał wreszcie Jay. – Kto się tym zajmuje?

– Komisja Papierów Wartościowych i Walut oraz biuro pełnomocnika ministra sprawiedliwości na południową dzielnicę Nowego Jorku – wyjaśniła Vivian. – Zaangażowani są też inni. Do każdej z firm obracających akcjami przydzielona jest grupa, która ma wyszukiwać nieprawidłowości w transakcjach. Ale dział wykonawczy Komisji i biuro pełnomocnika są tu przede wszystkim kompetentne. Komisja zajmuje się sprawami cywilnymi, w których strona uznana za winną płaci ogromne kary, a biuro pełnomocnika zajmuje się sprawami kryminalnymi, kiedy chcą kogoś wsadzić do więzienia.

– A co decyduje o tym, czy sprawa jest cywilna, czy kryminalna? Vivian wyczuła w głosie Jaya niepokój.

– Komisja i biuro pełnomocnika ściśle ze sobą współpracują i wymieniają się wszystkimi informacjami.

Zwykle sprawy o większym formacie zostają uznane za kryminalne. To sprawy dotyczące wielokrotnego łamania prawa, na których inwestorzy stracili ogromne pieniądze. – Zastanowiła się. – Ale trudno powiedzieć.

Cóż, jestem niewinny – powiedział próbując nadrabiać miną Jay – więc tak naprawdę nie ma to dla mnie znaczenia.

– Wierzę ci – stwierdziła Vivian. Zawsze uważała Jaya za uczciwego, a nawet przeczulonego na tym punkcie. Należał do ludzi, którzy nie mają nic do ukrycia. – Ale czasami to nie ma najmniejszego znaczenia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sprawy o nielegalne wykorzystywanie informacji przy obrocie akcjami odbywają się na takiej zasadzie, że jesteś uznany za winnego, dopóki nie dowiedziesz swojej niewinności. Jeśli

zjawia się po ciebie z kajdankami, to wpadłeś na dobre. Bo to znaczy, że udowodniono ci kilka nielegalnych transakcji, że mają na ciebie dowody, takie jak rozmowy telefoniczne albo właśnie dyskietki. W takich sprawach niezwykle trudno się wybronić. No i jest to cholernie kosztowne. Często bywa, że oskarżeni starają się dojść do porozumienia z rządem w sprawie kary, czy to pieniężnej, czy więzienia, bo po prostu nie stać ich na to, żeby się bronić, nawet, jeśli są niewinni.

Bo kiedy rząd w takich sprawach coś na ciebie ma, to nie pozywa cię, jeśli dowody nie są solidne. A wtedy trzymają tak długo, jak muszą.

– Ale przecież ja kupiłem te akcje nie dla siebie, tylko dla firmy – zauważył Jay. – Wydaje mi się, że z tego powodu oskarżenie powinno być sprawą cywilną, a nie kryminalną.

– To nie ma żadnego znaczenia – odparła Vivian. – Miałeś obiecaną ogromną premię, więc miałeś motyw.

Jay zaczął wpadać w panikę.

– Słuchaj, najprawdopodobniej przesadzasz – próbowała go uspokoić. – Pewnie nie ma czym się przejmować.

Ale Jay wiedział swoje.

– Jak mógłbym sobie w tej chwili pomóc?

Vivian skończyła papierosa i wrzuciła niedopałek do popielniczki.

– Nie wygląda to wszystko najweselej, ale federalni zwykle chcą zgarnąć tych najwyższych postawionych. Nie zależy im na płótkach. To nawet sprawa ambicji. Nie poczuć się urażony, Jay, ale w większości przypadków wolą wsadzić kierownika działu, który od pięciu lat para się przestępstwem, niż szarego pracownika, nawet jeśli dokonał dwóch nielegalnych transakcji. Zastanów się, czy masz jakiś dowód obciążający wyżej od ciebie postawionych i jeśli tak, to pilnuj go bardzo, bo takie sprawy są jak proces czarownic z Salem. Ludzie zaczynają wytykać winy wszystkim dookoła po to, żeby ich samych zostawiono w spokoju. A jeżeli masz jakiś dowód, będziesz mógł negocjować ze znacznie lepszej pozycji. Jay popatrzył na szarą kopertę.

– Macie kogoś w Baker-Watts, kto się specjalizuje w takich sprawach?

– Tak. Bili Travers. Jest bardzo dobry.

Jay przez chwilę myślał o pubie w południowym Bostonie i o fotografii Donegall Volunteers.

– Będę ci wdzięczny, jak przedstawiś panu Traversowi moją sprawę w poniedziałek z samego rana.

Mimo świeżej bryzy, którą czuć było w porcie, powietrze w mieście było ciężkie i nieprzyjemne. Nad Statuą Wolności i składami ropy naftowej w północnym New Jersey, czarne niebo rozświetliła błyskawica. Dotarły tam burze idące od zachodu. Jay przechylił się nad balustradą promu płynącego ze Staten Island. Przez ramię miał przewieszony płaszcz przeciwdeszczowy i patrzył w mroczną toń wody, po której płynęli.

– Co się z tobą dzieje, Jay? – Sally pogłaskała go po plecach i delikatnie się nad nim pochylała. – Mam wrażenie, że jesteś jakiś nieobecny.

Sally poprosiła, żeby tak, jak ostatniej soboty, zjedli kolację w River Cafe, a potem poszli na spacer wzdłuż promenady. Ale Jay wolał pozostawać w ciemności, żeby chłopcy z niebieskiego samochodu go nie wypatrzyli.

W piątek, po wizycie Barbary, poszedł przenocować do jakiegoś mało sympatycznego hoteliku na Brooklynie i zapłacił gotówką, żeby nikt go nie wyśledził na podstawie karty kredytowej. Zamierzał się tam zaszyć aż do poniedziałkowego poranka i spotkania w Baker-Watts ze współpracownikiem Vivian, Billem Traverssem.

Wspólnie spróbują obmyślić najlepszą strategię, jak sobie poradzić z problemem Jaya.

Na spotkanie z Sally umówił się w Zamku Clinton, forcie kolonialnym wzniesionym na południowym cyplu Manhattanu. Chwilę rozmawiali, ale ponieważ on nie chciał pozostawać długo w jednym miejscu, poszli do portu promów i wybrali się na wycieczkę na Staten Island. Może to jego chora wyobraźnia, ale kiedy jechał metrem z Brooklynu na spotkanie z Sally, miał wrażenie, że ktoś go śledzi.

Czas spędzony z nią wydawał mu się nierzeczywisty. Obydwoje czuli, że jest wiele do omówienia, ale żadne z nich do tej pory nie powiedziało nic, co miałyby znaczenie. Jay spojrzał na pokład, ale nie zauważył nic podejrzanego. Po kolei przyglądał się każdemu z pasażerów, którzy wchodzili na pokład, ale żaden nie wydał się szczególnie Jayem zainteresowany. Gdyby jednak okazało się inaczej, Jay był gotów skoczyć z promu do wody.

– Porozmawiaj ze mną – odezwała się znowu Sally.

– Wszystko jest w porządku – odparł oschle, powoli przesuwając dłoń na balustradzie, żeby znalazła się poza zasięgiem dłoni Sally. Potrzebował się rozluźnić i nic nie udawać, ale nie mógł

zapomnieć, że kobieta stojąca obok, coś przed nim ukrywa, a przede wszystkim nie jest tym, za kogo się podaje. – Nic się nie dzieje.

– Wiem, że to nieprawda. Cały wieczór jesteś nieswój. – Odsunęła się od niego i odwróciła głowę. – Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz mi powiedzieć, gdzie byłeś przez ostatnich parę dni. Wiem, że nie w Hampshire.

Dzwoniłam do Turbo Tec i powiedziano mi, że się tam nie pojawiłeś. Martwiłam się potwornie. Więc co to za sekret, powiesz mi w końcu?

– Dlaczego tak ci zależy na tym, żebym ci powiedział? Sally westchnęła.

– Wracamy do punktu pierwszego. Dlaczego tak bardzo mi nie ufasz? – zapytała. – Co ja takiego zrobiłam, że poddajesz w wątpliwość szczerłość moich intencji, mojego zainteresowania tobą?

Zacznijmy od telefonu, który wykonałeś z mojego domu do Bell Chemical, pomyślał Jay. Potem przejdźmy do dyskietki, która zniknęła. A następnie, czy mogłabyś mi powiedzieć, jak się naprawdę nazywasz?

Sally odwróciła się twarzą do niego i ujęła jego dłonie w swoje. Przez chwilę pieściła jego palce, a potem spojrzała mu w oczy.

– Zależy mi na tobie, Jay – powiedziała cicho. – Musisz mi uwierzyć.

Spojrzał jej w oczy w milczeniu. Wyglądała tak pięknie w tym przygnionym świetle. Powoli jego wzrok powędrował niżej, na jej brodę. Nie było tam żadnej, najmniejszej nawet blizny.

– Kim ty naprawdę jesteś? – zapytał.

Dźwięk telefonu brzmiał przeraźliwie jak syrena alarmowa. Oliver otworzył jedno oko, jęknął i wyciągnął w ciemności rękę.

– Halo.

– Oliver?

– Tak. – Włączył lampkę i przetarł oczy.

– Mówi O'Shea.

Ból głowy był nie do zniesienia.

– Która jest godzina?

– Trzecia rano. Przepróś, jeśli obudziłem żonę.

Oliver wykrzywił twarz. Od miesiący nie spał z Barbarą w jednym pokoju.

– Barbara śpi jak niemowlę. – Często się zastanawiał, czy O'Shea nie naszpikował całego

domu pluskwami, ale próby znalezienia podsłuchu, zwykle po pijanemu, nie dały rezultatu. – Ma twardy sen.

– To dobrze. – O’Shea uśmiechnął się kwaśno. Oliver nie miał pojęcia, że ściany domu rzeczywiście są naszpikowane małutkimi jak igły mikrofonami, więc O’Shea dobrze wiedział o tym, że Oliver od dawna nie śpi z Barbarą.

Oliver oparł się na jednym łokciu. W ustach wciąż miał smak dżinu z tonikiem.

– Dlaczego dzwonisz o tej porze?

W głosie Olivera pobrzmiwała nutka jakiegoś zniechęcenia.

– Musiałem cię złapać. Z tego, co wiem, jutrzejszy dzień spędzasz na jachcie, więc nie będę miał szans, żeby porozmawiać.

– Nigdzie się jutro nie wybieram...

– Decydujący ruch robimy w poniedziałek rano – oznajmił O’Shea. – Chciałem, żebyś się o tym dowiedział jak najszybciej.

– Dzięki – powiedział po chwili namysłu Oliver.

– I nie zrobimy tego w McCarthy-Lloyd.

– Tak?

– Nastąpiła zmiana planów.

– Dlaczego?

– Teraz mogę ci powiedzieć tylko tyle. – O’Shea zawahał się. – Gdyby Jay się z tobą skontaktował, natychmiast mnie zawiadom.

– Dobrze – powiedział Oliver posłusznie.

– Do widzenia, Oliver.

Rozległ się odgłos odkładanej słuchawki. Kiedy Oliver odłożył swoją, pomyślał o Abby i o tym, że będą to jego ostatnie dni w firmie McCarthy-Lloyd. Spojrzał na leżący na stoliku nocnym rewolwer. Tego wieczora tylko raz miał odwagę wyzwać los.

McCarthy przeciągnął się w progu swojej drewnianej chaty. Powoli podszedł drewnianym pomostem do doku, gdzie cumowały łodzie. W dłoni trzymał filiżankę parującej kawy. Na wschodzie właśnie pojawiała się zapowiedź dnia. Słońce nie wynurzyło się jeszcze zza horyzontu, ale już oświetlało wiszące nisko na niebie chmury, nadając im przepiękne odcienie czerwieni, pomarańczy i żółci.

McCarthy odetchnął głęboko rześkim powietrzem Luizjany. Kochał to miejsce. Posiadłość

należała do jego rodziny od wielu lat i McCarthy zawsze, kiedy mógł uciekał tu z Nowego Jorku. Dziś była niedziela, ale wszystko wyglądało tu tak samo w każdy inny dzień tygodnia. Tutaj ludzki czas nie miał żadnego znaczenia.

McCarthy kochał w zalewisku wszystko – począwszy od jego surowego piękna, przez słony zapach i sprawiające wrażenie prehistorycznych drapieżniki, aż po dźwięk wody miarowo uderzającej o burtę jego łodzi, „Boston Whaler”, przycumowanej w doku. Ale największą radość dawało mu tutejsze poczucie absolutnej izolacji – w promieniu piętnastu kilometrów nie było żadnego innego zamieszkanego domu, a to, co zostało z domku Neville’a Le Gaula, popadało w ruinę trzy kilometry stąd na drugim brzegu kanału. Domek niszczał, przegrywając walkę z pogodą, niezycliwą dla każdego wytworu człowieka wzniesionego na wybrzeżu. Neville popełnił samobójstwo pięć lat temu, strzelając sobie w głowę.

Dawkowana z umiarem całkowita izolacja jest czymś bardzo pozytywnym. Pozwala człowiekowi podjąć najważniejsze życiowe decyzje albo uspokoić umysł przed kolejną bitwą. Ale w większych dawkach takie osamotnienie okazywało się być fatalne w skutkach, tak jak to miało miejsce w przypadku Neville’a.

Biedny Neville, pomyślał McCarthy. Prosty człowiek, który zarabiał tylko tyle pieniędzy, żeby przeżyć, utrzymując się z tego, co dawało mu zalewisko. Zнали się z McCarthym od trzydziestu lat, co jakiś czas zaglądali do siebie. McCarthy zmrużył oczy. To dziwne, że samobójstwo Neville’a zbiegło się w czasie z wizytą Bullocka, który przyjechał, żeby nakarmić krokodyla ciałem Grahama Lloyda. McCarthy zawsze się zastanawiał, czy tych dwóch wydarzeń coś ze sobą nie łączyło, ale Bullock przysięgał, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią kajuna.

McCarthy wpatrywał się w spokojną wodę przed dkiem i w końcu znalazł to, czego szukał. Z drugiej strony kanału zobaczył parę złowrogich oczu kilka centymetrów nad powierzchnią wody, które zdawały się z kolei patrzeć na niego. Słońce dopiero zaczynało wschodzić, ale termometr wiszący w rogu chaty wskazywał już ponad dwadzieścia siedem stopni. Przyjemnie byłoby popływać – w chacie nie miał bieżącej wody i kąpiel dobrze by mu zrobiła. Ale nie chciał skończyć jako śniadanie aligatora, których w zalewisku było pełno.

– Dzień dobry, panie McCarthy.

McCarthy rozpoznał głos. Odwrócił się powoli, wcale nie zdziwiony. Przed nim stał Victor Savoy.

Uśmiechał się przyjaźnie.

– Victor, kiedy przyjechałeś?

– Jakąs godzinę temu. – Savoy pokazał ręką na kanał. – Przycumowałem za zakrętem. Nie chciałem cię budzić.

– Och, to miło z twojej strony – powiedział z ironią McCarthy. – Miałeś kłopot z trafieniem tutaj?

Savoy pokręcił głową.

– Nie, całkiem dobrze wytłumaczyłeś mi drogę.

– To świetnie.

– Kiedy premier przyjeżdża do Nowego Jorku? McCarthy splunął do wody.

– Jutro o dziewiątej rano. – Tę informację przekazał mu jego człowiek z Waszyngtonu.

– A masz już przydział miejsc na środową uroczystość w ratuszu?

– Tak – odpowiedział, patrząc na białą czapkę majestatycznie przelatującą nad ich głowami.

Najbliższe dwa dni będą dla McCarthy'ego na dłuższy czas ostatnimi, jakie spędzi na zalewisku Bayou Lafourche, i już smuciła go perspektywa wyjazdu. We wtorek po południu wróci do Nowego Orleanu i stamtąd poleci do Nowego Jorku stawić czoło prasie po aresztowaniu Jaya Westa. Będzie również uczestniczył w kolacji wydanej na cześć brytyjskiego premiera, a następnego dnia rano uda się na ceremonię w ratuszu. Ceremonię, która zakończy się strzelaniną i śmiercią premiera. Zaś po kilku godzinach rozpocznie się krwawa rzeź w Irlandii Północnej, kiedy to Donegall Volunteers – terrorystyczna odnoga Irlandzkiej Armii Republikańskiej – przyzna się do zabójstwa premiera.

Coś się Jayowi nie podobało, ale nie potrafił tego nazwać. Ani kiedy był w sobotę wieczorem z Sally, ani przez całą niedzielę nie zauważył nic podejrzanego. Ale teraz, kiedy szedł przez hol obskurnego hotelu na Brooklynie, owładnęło nim dziwne przecucie. Może dlatego, że głos Vivian brzmiał tak ponuro, kiedy zadzwoniła i kazała mu przyjść do Baker-Watts punktualnie na jedenastą. Zwykle była taka radosna.

Kiedy Jay wyszedł na zewnątrz, spojrzał w niebo. Front atmosferyczny, który przeszedł wczoraj, nie przyniósł ochłodzenia. Wydawało się nawet, że powietrze jest gorętsze i bardziej wilgotne niż kiedykolwiek. A na horyzoncie mimo tak wczesnej pory dnia wisiały już złowieszcze chmury.

– Panie Jay West.

Jay zwrócił głowę w stronę, skąd dochodził głos. Dwadzieścia metrów dalej stał mężczyzna z czerwonymi włosami, ubrany w granitowoszary garnitur. Mężczyzna trzymał w górze dużą złotą odznakę przytwierdzoną do czarnego portfela. Za nim stało kilku innych mężczyzn w garniturach i trzech nowojorskich policjantów. Jeden z nich trzymał w ręku kajdanki.

– Panie West, nazywam się Kevin O’Shea – powiedział głośno rudowłosy mężczyzna z odznaką, którą chował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Ruszył w jego kierunku. – Jestem pełnomocnikiem ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych i mam nakaz aresztowania pana pod zarzutem dokonywania transakcji bankowych przy użyciu nielegalnie zdobytych informacji. Nazwy firm Bell Chemical i Simons pewnie wszystko panu wyjaśnią.

Kiedy do Jaya dotarło znaczenie tych słów, poczuł oszołomienie.

– Panie West, ma pan prawo...

Słowa, które wypowiadał O’Shea zmieniły się w jakiś niezrozumiały bełkot. Poziom adrenaliny we krwi Jaya podskoczył gwałtownie. Policjant trzymający w dłoni kajdanki zbliżał się do niego coraz bardziej, i nagle Jay poddał się odruchowi. Przycisnął do piersi aktówkę, w której miał zdjęcie zabrane z Maggie’s Place i rzucił się do ucieczki.

– Stać! Jest pan aresztowany!

Jay nie zwrócił uwagi na rozkaz. Biegł chodnikiem. Omal nie przewrócił jakiejś starszej pani z wyładowanym po brzegi zakupami wózkiem, który przed sobą pchała.

Policjant rzucił się za nim.

Jay wypadł na jezdnię uskakując spod kół samochodów. Jeden z kierowców w ostatniej chwili ostro wykręcił, żeby go nie potrącić. Jay dotarł do schodów i zbiegł na stację metra, pokonując po trzy schodki naraz.

Za plecami słyszał krzyki policjanta. Na peronie znalazł się w chwili, kiedy podwójne drzwi pociągu stojącego na stacji właśnie się zamykały. Przeskoczył barierkę i wsadził palce między drzwi, ze wszystkich sił próbując je otworzyć. Nie zwracał uwagi na przerażone twarze pasażerów po drugiej stronie szyby. Nic z tego. Pociąg ruszał. Jay słyszał już kroki policjantów zbiegających po schodach.

Nie miał wyjścia. Dopadł miejsca, w którym wagon łączył się z następnym, rozsunął barierkę i wskoczył na wąską platformę nad spinaczem. Tej sztuczki nauczył się kiedyś, gdy nie chciał się spóźnić do pracy, a wagony były tak przepelnione, że nie dało się wejść do środka. Metoda była niebezpieczna i zabroniona przez Urząd Transportu Publicznego. Jeden nieuważny ruch i można było wylądować na dole, pod kołami. Ale był to skuteczny sposób, żeby dojechać tam, gdzie się chciało.

Pociąg nabierał szybkości, a Jay patrzył z satysfakcją, jak jeden z policjantów ze złością uderza pięścią w wagon. Nie mogli go już dogonić.

Nie widział, jak funkcjonariusz wyciąga krótkofalówkę i prosi o natychmiastowe wsparcie na następnej stacji. Nie martwił się tym, że policjanci mogą go szukać na następnym przystanku.

Jaya nie interesowała następna stacja. Kilkaset metrów dalej szarpnął za hamulec bezpieczeństwa – niewielki sznurek wiszący na końcu każdego wagonu – i kiedy pociąg z potwornym piskiem się zatrzymał, zeskoczył z niego. Pobiegł w kierunku stacji, na której wsiadł. Policjanci, którzy go gonili na pewno już stamtąd odeszli.

Trzy minuty po dziewiątej odrzutowiec z brytyjskim premierem na pokładzie dotknął pasa lądowiska JFK.

Kiedy samolot zatrzymał się na asfalcie i zostały podstawione schody, premiera powitał amerykański sekretarz stanu i ogromna międzynarodowa grupa dziennikarzy. Premier odczytał przygotowane oświadczenie, w którym podziękował Amerykanom za ich wkład w umacnianie pokoju w Irlandii Północnej, odpowiedział na kilka pytań i pozwolił zrobić sobie parę zdjęć. Potem dwaj światowi przywódcy wsiedli do czekającej na nich limuzyny i odjechali ulicą Belt Parkway na Manhattan. Eskorta składała się z dwunastu czarnych samochodów osobowych

pełnych agentów wywiadu brytyjskiego i tajnych służb, oraz pięćdziesięciu policjantów miasta Nowy Jork jadących na motorach. Konwój spowodował wstrzymanie porannego ruchu na całej trasie, ale premier dotarł do konsulatu brytyjskiego bez kłopotu.

Jay biegł między drzewami pochylony, żeby nie zaczepiać głową o sosnowe gałęzie. Swojego starego forda taurusa zaparkował dalej, przy ulicy, bo nie chciał, żeby ktoś go tu zauważył. Zatrzymał się na moment na skraju lasu. Od posiadłości rozciągającej się przed jego oczami dzieliło go jeszcze pięćdziesiąt metrów doskonale utrzymanego trawnika i ogrodu.

Postawił na ziemi teczkę i kilka minut stał pochylony, dłonie opierając na kolanach. Oddychał głęboko świeżym powietrzem. Od trzech godzin uciekał, dopingowany przez adrenalinę i kierując się instynktem.

Dopiero teraz docierało do niego znaczenie tego, co zrobił. Winny dokonywania nielegalnych transakcji czy nie, uciekł przed aresztowaniem. Westchnął ciężko, podniósł z ziemi teczkę, jeszcze raz spojrzął na willę i wyszedł spośród drzew.

Przebiegł przez trawnik i po chwili znalazł się przy skrzydle ogromnego domu, niedaleko drzwi prowadzących do kuchni, którymi kiedyś tu wchodził. Przywarł do kamiennego muru i doszedł na tyły budynku.

W ogrodzie różanym, blisko miejsca, gdzie zaczynała się linia drzew, pracował jakiś mężczyzna ubrany w niebieski kombinezon, ale Jayowi udało się przemknąć niezauważonym. Wszedł do piwnicy. Drzwi na dole klatki schodowej nie były zamknięte na klucz. Znalazł się w dużym pomieszczeniu pełnym narzędzi. Leżało tam też kilka stosów porąbanego drewna. Przeszedł przez pomieszczenie i znalazł się w korytarzu, który doprowadził go do schodów.

Pospiesznie wszedł na górę i zatrzymał się. Nasłuchiwał, ale nie dobiegł go żaden dźwięk. Otworzył więc drzwi i wszedł do głównego korytarza willi, a stamtąd do przestronnej jadalni. Jakies osiem metrów dalej zobaczył pokojówkę. Zaczynała odkurzać chodnik. Jay cofnął się.

Przez kilka minut stał w jadalni, wsłuchując się w huk odkurzacza. Potem hałas umilkł i Jay usłyszał w korytarzu czyjeś zbliżające się kroki. Przywarł do ściany i z przerażeniem patrzył, jak pokojówka go mija i idzie dalej, do kuchni. Kiedy kobieta zniknęła, Jay wysunął się z jadalni i poszedł dalej korytarzem. Korytarz skręcał kilka razy w lewo i w prawo, a Jay zaglądał po drodze do każdego mijanego pokoju. Na końcu znalazł otwarte drzwi, prowadzące do przestronnego gabinetu Olivera. Było stąd wyjście na werandę i dalej, na trawnik.

Vivian porównała sprawy o korzystanie z nielegalnych informacji do procesu czarownic

z siedemnastego wieku. Radziła mu też, żeby zebrał możliwie największą ilość dowodów przeciwko wyżej od niego postawionym pracownikom, którzy rzeczywiście winni byli tego przestępstwa. To będzie dla niego moneta przetargowa, dzięki której mógłby federalnym podsunąć smakowitsze od siebie kąski. Czuł, że jeśli tylko nadarzy się okazja, powinien coś znaleźć w papierach Olivera. I właśnie stworzył sobie taką możliwość. Miejsce było doskonałe, tylko czasu potwornie mało.

Zbliżył się do wysokiej czarnej gabloty na segregatory stojącej przy biurku z otwieranym blatem, otworzył jej górną szufladę. Ponieważ Oliver trzymał w komputerze plik dotyczący swoich informatorów i transakcji, było bardzo prawdopodobne, że gdzieś przechowywał więcej informacji. Jay przerzucił zawartość pierwszej szuflady, ale nie znalazł nic, poza starymi odpisami podatkowymi. Szukał czegoś, co potwierdziłoby dane, które w piątek w nocy dostał od Barbary. Jej zeznania na pewno by mu pomogły, ale nie mógł liczyć na to, że Barbara zechce zeznawać. Sama przyznała, że daje te informacje Jayowi, bo nie potrafi wystąpić przeciw Oliverowi.

Zresztą nikt nie zmusi żony, żeby zeznawała przeciwko mężowi. Lista ludzi należących do siatki i spis transakcji była bezużyteczna bez zeznań Barbary. Ba, nawet mogła być dowodem obciążającym Jaya. Oskarżyciel mógłby twierdzić, że Jay nie miałby dostępu do takich informacji, gdyby sam nie był zaangażowany w sieć. Jeśli Barbara wyparłaby się faktu, że dała mu listę, zagwarantowałyby mu tym samym pobyt w więzieniu.

Jay usłyszał jakieś głosy dochodzące z korytarza. W panice rozejrzał się po gabinecie. Głosy, w tym jeden należący do Olivera, robiły się coraz głośniejsze i teraz słychać było również kroki. Zamknął szufladę, uklęknął i wsunął teczkę pod biurko, po czym wstał i przerażony rozejrzał się za jakąś kryjówką.

– To tutaj. – Oliver przesunął się na bok, żeby David Torcelli i Tony Vogel mogli wejść do pokoju. – Usiądźcie, proszę – powiedział i usiadł naprzeciw nich, na angielskim ozdobnym krześle z osiemnastego wieku.

Macie ochotę na coś do picia? – Vogel już chciał poprosić, ale Torcelli nie dopuścił go do głosu.

– Nie – powiedział krótko.

– No dobrze. – Oliver obojętnie kiwnął głową. – O co chodzi? – Miał zmęczony głos i nie potrafił znieść świdrującego spojrzenia Torcellego.

– Nie mogłem cię wczoraj złapać przez telefon – odparł Torcelli. – Próbowałem cały dzień. Co pół godziny wychodziłem do budki telefonicznej, ale nikt nie podnosił słuchawki. Żona myśli, że mi odbiło.

– Przykro mi. – Oliver podniósł do góry dłonie. Po telefonie od O’Shea nie miał siły już z nikim rozmawiać. – O co chodzi?

– Wiesz, o co nam chodzi, Oliver – powiedział surowo Torcelli.

– Musisz nam powiedzieć, gdzie jest dom McCarthy’ego w Luizjanie.

Oliverowi zaschło w gardle. Powoli zamykały się wokół niego wszystkie możliwe drogi wyjścia. Nie miał już pola manewru. Kiedyś myślał, że miałby tę siłę, żeby kogoś zamordować, ale bez pewności siebie, jaką dawała mu kokaina, okazało się to niemożliwe.

– Zgodziliśmy się wszyscy na to, co zamierzamy zrobić – przypomniał Oliverowi Torcelli. – McCarthy musi ulec wypadkowi jak najszybciej, a zalewisko to najlepsze miejsce.

– No, tak... – wyjąkał Oliver, starając się wymyślić jakiś sposób, żeby się z tego wypłatać. Mógłby skłamać Torcellemu co do miejsca pobytu McCarthy’ego, ale szybko by do niego wrócili. Nie było żadnej możliwości, żadnego wyboru.

– Oliver, mówileś, że McCarthy zabrał cię w to miejsce dwa lata temu na polowanie na aligatory – przypomniał mu Torcelli.

– Tak – przyznał cicho Oliver. McCarthy zaprosił go wtedy w nagrodę za grube miliony zarobione przez dział arbitrażu. Sądził, że Oliverowi spodoba się ta rozrywka, tak jak jemu się podobała. Oliver niechętnie przyjął zaproszenie i to tylko dlatego, że McCarthy był szefem i od niego zależała wysokość premii. Oliver niezbyt dobrze się czuł w surowych warunkach w chacie na zalewisku i odetchnął z ulgą, kiedy wysiadł z samolotu lecącego z Nowego Orleanu i limuzyna zabrała go do jego posiadłości w Greenwich.

– Powiedz mi, jak się tam dostać – nalegał Torcelli. – Muszę jak najszybciej wydać odpowiednie polecenia.

Oliver milczał jeszcze chwilę, po czym opowiedział najdokładniej jak umiał, jak dostać się do chaty McCarthy’ego. Zaczął od niewielkiego miasteczka rybackiego Lafitte, osiemdziesiąt kilometrów od Nowego Orleanu.

– Oczywiście, nie pamiętam szczegółów – powiedział na koniec. Mówił już prawie szeptem.

– Nie szkodzi – stwierdził Torcelli, przyglądając się notatkom, które zrobił w kalendarzu. – Potrzebuję ogólnej lokalizacji. Zalewiska są płaskie jak stół. Nasz człowiek będzie mógł wynająć

samolot albo helikopter i znajdzie domek, a potem przyplynie łodzią i zrobi, co do niego należy.

– Torcelli podniósł wzrok znad kalendarza. – Oliver, teraz się chętnie czegoś napiję. Sok pomarańczowy, proszę.

– Oczywiście – powiedział Oliver, którego ogarniała rozpacz.

– A ja coca-colę – powiedział nerwowo Tony. Wcale nie był przekonany, że morderstwo jest jedynym rozwiązaniem. Ale teraz Torcelli był jego szefem i w momencie, kiedy sprawy zaszły już tak daleko, nie zamierzał mu się sprzeciwić.

Oliver wyszedł powłócząc nogami, a Torcelli wstał z kanapy i podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku. Kiedy skończył przekazywać komuś informacje, w jaki sposób dotrzeć do domku McCarthy'ego na zalewisku, wrócił na kanapę i usiadł uśmiechając się tryumfalnie do Vogela.

– Chodź tu, Junior – krzyknęła Barbara. Wyjmowała z tylnego siedzenia samochodu torbę z zakupami i zastanawiała się, dlaczego chłopiec się nie odzywa. Biodrami popchnęła drzwi samochodu, żeby się zatrzęsnęły i zaczęła się powoli wycofywać, uważając, żeby nie dotknąć austina healeya. Gdyby niechcący zadrapała ten przeklęty wóz, Oliver by się wściekał. Już dawno powinni poszerzyć parking w kierunku drzwi kuchennych.

Było tu za mało miejsca na wszystkie trzy wozy. Pewnego dnia stuknie w to przeklęte sportowe cacko. Po prostu to wiedziała.

Kiedy się odwróciła, omal nie wpadła na wielkiego mężczyznę, którego widziała pierwszy raz w życiu. Miał na sobie niebieski kombinezon z naszywką firmy ogrodniczej, ale nie była to firma, która zajmowała się ich ogrodami. Zrozumiała, że jest w niebezpieczeństwie. Puściła torbę z zakupami i rzuciła się do ucieczki, ale mężczyzna złapał ją, zanim zdążyła zrobić krok. Przewrócił Barbarę na żwir, w usta wepchnął jakąś szmatę, związał nadgarstki z tyłu, i tym samym sznurem skrępował kostki nóg. W parę chwil była unieruchomiona.

Chłopiec leżał na drugim końcu siedzenia samochodu, związany i zakneblowany tak samo jak matka.

Cichutko płakał. Łzy kapały na szmatę wepchniętą w jego dziecięcą buzię.

Kiedy Oliver wrócił z picciem, Torcelli i Vogel wstali z kanapy. – Dziękuję, Oliverze – powiedział uprzejmie Torcelli.

Vogel tylko skinął głową i wziął szklankę. Bez przerwy zerkał na drzwi gabinetu, przez które przed chwilą wszedł Oliver.

– Coś się stało, Tony? – zapytał Mason. Kostki lodu w szklance Tony’ego głośno dzwoniły.

– Nie, skądże. – Wbił wzrok w czubki butów, nie będąc w stanie spojrzeć Oliverowi w oczy.

Oliver westchnął ciężko i wtedy kątem oka zauważył w drzwiach postać potężnie zbudowanego mężczyzny w niebieskim kombinezonie. Mężczyzna trzymał w ręku rewolwer.

– Co, u diabła...

– Przykro mi, Oliver. – Torcelli napił się soku pomarańczowego i spokojnie odstawił szklankę na antyczny stolik. – Przez ostatnich parę tygodni wziętem sprawy w swoje ręce. Musiałem. To był jedyny sposób.

– Ja, ja nic nie rozumiem – jękał się Oliver. Torcelli spojrział na mężczyznę w kombinezonie.

– Wszystko pod kontrolą? – zapytał. Mężczyzna kiwnął głową.

– Kobieta i chłopiec są na górze w sypialni – powiedział mężczyzna basem. – Pokojówka też.

Nikogo więcej tu nie ma.

– Dobrze.

Rozpacz Olivera nagle przemieniła się we wściekłość.

– Ty cholerny sukinsynu! – Oliver rzucił się na Torcellego, ale do pokoju wkroczył mężczyzna w kombinezonie i wycelował broń w pierś Olivera. Oliver zatrzymał się i jak zakłęty patrzył w lufę pistoletu.

– To koniec, Oliver – powiedział Torcelli. – Stałeś się niebezpieczny. Jesteś psychicznie nie zrównoważony.

Ja i reszta partnerów nie możemy ryzykować, że ulegniesz presji i wydasz nas wszystkich. Nie zamierzam wylądować przez ciebie w więzieniu – powiedział zdecydowanym głosem. – To będzie wyglądało na napad rabunkowy. Zginą z domu rzeczy, które później ktoś będzie znajdował na Brooklynie i Bronxie. Policja będzie sądziła, że napad planowano, kiedy nikogo nie miało być w domu, ale zaskoczyła ich pokojówka. A potem nieoczekiwanie przyjechała cała rodzina. Niestety, nikt nie przeżyje. – Torcelli wywinął dolną wargę. – Nie ma innego wyjścia. Chociaż z tego, co wiem, tylko ty zasłużyłeś na taki koniec. – Torcelli dał znak mężczyźnie w kombinezonie. – Zwiąż go.

– David, proszę – błagał Oliver. – Nie pisnę słowa. Wiesz o tym.

– Nie dyskutuj – warknął Torcelli.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni sznur i popchnął Olivera na podłogę, trzymając go za ręce na plecach.

Odłożył na chwilę pistolet, żeby skrępować nadgarstki Masona.

W tej sekundzie Jay wpadł z werandy. Stał tam prawie pół godziny, przytulony do ściany z kamienia, tuż przy drzwiach. Jay rzucił się na mężczyznę w kombinezonie, przewrócił go i zdążył chwycić leżący na ziemi pistolet.

Mężczyzna spojrział na Jaya. Uśmiechnął się, wstał z klęczek, zaczął iść na niego. Był pewien, że ten młokos nie będzie miał odwagi wystrzelić.

Ale się mylił. Jay wycelował w lewe udo mężczyzny i spokojnie pociągnął za cyngiel. Strzał był celny, trafił mężczyznę w kość udową. Raniony upadł na podłogę trzymając się za nogę i dziko wrzeszcząc. Vogel skulił się na kanapie.

Przez kilka sekund nikt się nie poruszał. Słysząc było tylko przeciągły jęk rannego mężczyzny wijącego się na podłodze. Kałuża krwi rosła.

Jay pochylił się i uwolnił Olivera, nie odrywając wzroku od Torcellego.

– Zwiąż go – rozkazał Oliverowi, wskazując mężczyznę na podłodze. Rzucił mu sznur.

Oliver szybko wykonał polecenie.

Przynieś więcej linek – polecił Jay. – Są na dole w piwnicy, tam gdzie trzymacie drewno. – Kiedy wchodził do domu przez piwnicę, zauważył kilka zwojów wiszących na ścianie. – I zajrzyj na górę do rodziny i pokojówki.

Oliver wybiegł z pokoju.

– Hej, chłopcze, zastanów się, co robisz! – krzyknął Torcelli. Po jego opanowaniu nie został ślad.

Vogel siedział na kanapie i szlochał, rękami zakrywając twarz.

– Co za to chcesz? – usiłował go przekonać Torcelli. – Pieniądze? Ile? Dostaniesz, podzielimy się z tobą.

Przysięgam.

Jay roześmiał się głośno. Błagania Torcellego brzmiały tak żałośnie, że nie potrafił się powstrzymać.

– Nic z tego, kolego.

Oliver wrócił po chwili z dwoma długimi kawałkami sznura. Najpierw związał Torcellego, potem Vogela.

– Dziękuję – powiedział Oliver, zwracając się do Jaya. – Żonie i dziecku nic nie jest. Są tylko w szoku. – Odwrócił od niego wzrok. – Nie wiem, jak mogę ci się odwdziżyć.

– Ja wiem – powiedział chłodno Jay. – Dziś rano pewien człowiek o nazwisku Kevin O’Shea z biura pełnomocnika ministra sprawiedliwości chciał mnie aresztować, oskarżając o nielegalne posługiwanie się informacjami. – Jay uniósł brew. – Wspomniał zdaje się firmy Bell Chemical i Simons.

Oliver skrzywił się.

– Och?

– Jak mogłeś tak mnie zrobić, Oliver? Oliver pokręcił głową.

– Sam zadawałem sobie to pytanie setki razy. Nie znam na nie odpowiedzi. – Zakrył twarz rękami. – Jay, przepraszam. Chciałbym ci pomóc.

– Możesz to zrobić. Możesz mi dać wszystko, co masz na temat siatki informatorów. – Jay wskazał na mężczyznę na kanapie. – Wszystko o Torcellim, Vogelgu i dwóch pozostałych.

Oliver podniósł na niego oczy.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał przygnębiony. Jay pokręcił głową.

– To nie ma znaczenia.

– W porządku – Oliver potulnie przystał na propozycję. Przez chwilę się zastanawiał, po czym podszedł do gabloty i wyjął stamtąd kopertę. Popatrzył na nią i wręczył Jayowi. – Weź to. Tu znajdziesz wszystko, czego mógłbyś potrzebować, łącznie z testamentem McCarthy’ego.

– Jezus Maria! – krzyknął Torcelli. – Wszystkich nas załatwisz, jak mu to dasz, Oliver. W sądzie nie będziemy mieli żadnych szans.

– Testament McCarthy’ego? – zapytał z niedowierzaniem Jay, nie zwracając uwagi na Torcellego.

– W ten sposób mieliśmy zagwarantowane zyski – wyjaśnił Oliver. – Po śmierci McCarthy’ego cała piątka powinna otrzymać akcje spółki McCarthy-Lloyd, które firma miała później od nas wykupić. To dawało nam motywację, żeby firmę wzbogacać. A ilość otrzymanych akcji miała zależeć od liczby informacji dostarczonych przez poszczególnych informatorów i od tego, jaki zysk przyniosły transakcje. Byliśmy współnikami, i chcieliśmy proporcjonalnie rozdzielić akcje.

– Musiałeś zapisywać każdą transakcję i zaznaczać, od kogo pochodziła informacja, żeby było wiadomo, komu ile akcji w końcu przypadnie – rozumował Jay. Więc to dlatego Oliver miał w komputerze nazwy firm i nazwiska.

– Tak – przyznał Oliver. – To była świetnie zorganizowana kapitalistyczna spółka

w najlepszym wydaniu.

Kiedy już w to weszliśmy, to znaczy każdy dostarczył po informacji, nikt nie mógł wyrolować innych, bo sam trafiłby do więzienia. Poza tym, nie istniały żadne ślady przepływu pieniędzy. To był majstersztyk – powiedział tęsknym głosem.

– Przymknij się, cholera! – krzyknął Torcelli.

– Niewiarygodne – stwierdził cicho Jay.

– Tak, to było niewiarygodne.

– Ale McCarthy sporo ryzykował – zauważył Jay. – Przez to, że umieścił informatorów w testamencie.

– Dlaczego?

– Od samego początku wszyscy mieliście motyw, żeby przyspieszyć jego przejście na tamten świat.

– Niezupełnie. Firma bardzo dużo zawdzięczała Billowi. Potrafił postawić ją na nogi. Nie zapominaj, że byliśmy ukrytymi udziałowcami całej spółki, nie tylko działu arbitrażu. W chwili, kiedy zawarliśmy układ, firma nie była wiele warta. Chcieliśmy poczekać, aż się wzbogaci. Bez McCarthy'ego mogłoby nam się nie udać. – Oliver przerwał na chwilę. – Poza tym, czy myślałeś kiedyś o tym poważnie, żeby kogoś zabić, Jay?

– Nie.

– A ja owszem. Zabić nie jest tak łatwo, jak to pokazują w kinie albo w telewizji. To nie leży w naturze człowieka, odbierać innemu życie. Poza tym, zawsze zostaje jakiś ślad, niezależnie od tego, jak bardzo uważasz.

Szczególnie, kiedy wynajmujesz płatnego mordercę. A śmierć kogoś takiego jak Bili McCarthy zmobilizowałaby całą masę urzędników, którzy mogliby znaleźć ten jedyny ślad.

– Nie, jeśli ta śmierć to byłby wypadek.

– Mhmmm.

– Co? – Jay wiedział, że Oliver nie mówi wszystkiego. Oliver spojrzał na Torcellego, a potem z powrotem na Jaya.

– Bili nie jest głupi. Powiedział swojemu dobremu znajomemu, prawnikowi, żeby w razie jego śmierci, nawet gdyby to wyglądało na wypadek, niezależnie od tego, co będzie w raporcie policji, przeprowadził indywidualne śledztwo. Bili chciał mieć pewność, że wiem, że się zabezpieczył. Oczywiście, nigdy mi nie zdradził nazwiska tego prawnika.

Jayowi przyszło do głowy, że Barbara pewnie już zadzwoniła po policję. Była praktyczną osobą, a strzał z pistoletu słyhać było nawet na górze. Chciał jednak o coś zapytać Olivera.

– A co się działo z pieniędzmi, które były wysyłane z McCarthy-Lloyd do EZ Travel w Bostonie?

Oliver spojrzał na Jaya zdziwiony.

– O czym ty mówisz?

– O agencji turystycznej, której właścicielem jest firma McCarthy-Lloyd. O tej, w której Bullock jest dyrektorem finansowym. Dlaczego M-L wysłała tam takie ilości pieniędzy?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jay spojrzał na Torcellego i Vogela. Też mieli zdziwione miny.

Więc dla Olivera to niespodzianka.

– Jesteś pewien, że McCarthy jest w Luizjanie?

– Tak, ale nie jedź tam – powiedział, przewidując kolejny ruch Jaya.

– Jeszcze jedno pytanie, Oliver – Jay zignorował jego radę. – Jak to się stało, że wystawiłeś mnie w taki sposób? Oliver wbił wzrok w perski dywan.

– Miałem do wyboru, ja albo ty, przyjacielu – wyszeptał. – To wszystko.

Jay pokręcił głową i odwrócił się do wyjścia, ale zatrzymał się w progu.

– A propos, Oliver. Dziś rano w wiadomościach słyszałem, że jakaś japońska firma wystąpiła o akcje Turbo Tec. W stosunku do piątku cena wzrosła trzykrotnie.

Pięć minut później Jay wyjeżdżał z posiadłości samochodem Olivera. Sztachety mijanego płotu zlewały się w mlecznobiały pas po obu stronach. Na siedzeniu obok Jaya spoczywała teczka, a w niej dokumenty, które udowodnią jego niewinność i wskażą prawdziwych winnych. Jay zostawił Olivera na straży trzech związanych mężczyzn – Torcellego, Vogela i rannego w niebieskim kombinezonie. Pewnie nie było to najmądrzejsze z jego strony, ale nie miał innego wyjścia. Wkrótce przyjedzie tam policja, a on musiał zdążyć w jeszcze jedno miejsce.

Kiedy wjechał na górkę, zobaczył, że z przeciwnej strony nadjeżdża srebrny samochód osobowy. Wcisnął hamulce i jego wóz zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów od srebrnego auta, które z piskiem opon również stanęło.

Z siedzenia pasażera wyskoczyła Sally i zaczęła biec w kierunku Jaya.

– Jay! – krzyknęła. – To ja! – Trzy metry od samochodu zatrzymała się nagle jak wryta, porażona tym, co zobaczyła. Jay celował w nią z pistoletu. – Co ty robisz?

– Nie zbliżaj się – ostrzegł.

– Jay, chcę ci wszystko wyjaśnić – mówiła błagalnym tonem. – Nie jestem osobą, za którą mnie bierzesz.

– To wiem – powiedział lodowato.

– Musisz mnie wysłuchać – krzyknęła Sally. – Potrzebujemy twojej pomocy. Jesteś w to zamieszany i nawet o tym nie wiesz.

– Wiem wszystko, co powinienem wiedzieć.

– Jestem tu, żeby ci pomóc.

– Ty mnie w to wrobiłaś. Oryginalny pomysł na pomoc.

– Jay, ja...

Nie chciał dłużej tego słuchać. Włączył silnik i wjechał na świeżo skoszony trawnik między podjazdem a płotem. Omal nie potrącił Sally.

Kiedy Jay zbliżył się do srebrnego samochodu, drzwi stojącego na drodze auta otworzyły się i zza kierownicy wyskoczył Kevin O'Shea z pistoletem w ręku. Jayowi zdawało się, że czas, w którym pokonywał ostatnie kilkadziesiąt centymetrów dzielących go od srebrnego wozu to cała wieczność. Patrzył, jak O'Shea podnosi pistolet i celuje. Jay miał wrażenie, że jego samochód stoi w miejscu, mimo że pedał gazu był wciśnięty do dechy. Wszystko toczyło się powoli, jak w zwolnionym tempie.

Niespodziewanie, O'Shea wskoczył na maskę swojego wozu nie strzelając, a Jay minął go, wyrывая z zawiasów otwarte drzwi. Samochód zniknął pozostawiając za sobą tumany kurzu.

– A niech to! – krzyknął O'Shea i zeskoczył z auta. Chciał wejść do środka samochodu, ale się nie dało. Na siedzeniach pełno było drobinek stłuczonego szkła. Nie mogli też ścigać Jaya, bo tylna lewa dętka pękła w wyniku uderzenia drzwiami. O'Shea spojrzał na Sally. Dziewczyna klęczała na ziemi.

– Chodźmy do domu. Zadzwonimy po pomoc.

Oliver stojąc na dachu swojej willi ogarnął wzrokiem okolicę. Nie wiedział dlaczego, ale lubił ostatnio wysoko położone miejsca. Jedyne, co mu przeszkadzało to fakt, że kiedy wyteżył wzrok, za wierzchołkami drzew widział kominy fabryki należącej do teścia.

– Oliver, co tu robisz? – zapytała Sally, która wdrapała się na dach i stała teraz niepewnie pięć metrów od niego, na poziomej powierzchni o szerokości półtora metra, biegnącej szczytem willi. Na dach wszedł również O'Shea. Rozhisteryzowana Barbara pokazała im, gdzie jest Oliver.

– Zejdź – poprosiła Sally.

Oliver patrzył na nich przez dłuższą chwilę, jak gdyby nie był pewien, kim są ci ludzie. Potem podniósł rewolwer i przyłożył lufę do czaszki. Abby już nie było. Jego kariera skończyła się. Reputacja została zniszczona, a Barbara odchodząc zabierze dziecko. Nic mu nie zostało.

Przez pięć ostatnich dni codziennie przykładał lufę tego pistoletu do skroni i pociągał za cyngiel. Pięć razy pistolet tylko pstrykał, a w magazynku było miejsce na sześć kul. Dobrze się stało, pomyślał pociągając za cyngiel, że pistolet nie wypalił wcześniej. Potem wszystko pogrążyło się w mroku.

Sally krzyknęła i odwróciła się, zasłaniając usta ręką. Bezwładne ciało Olivera stoczyło się z dachu. Kiedy spadło na ziemię, dźwięk wystrzału jeszcze odbijał się echem wśród drzew.

Jay nie miał kłopotu ze znalezieniem na mapie, którą kupił na lotnisku w Nowym Orleanie, miasteczka rybackiego Lafitte. Leżało tuż nad symbolem oznaczającym ośrodek „Raj Sportowców”. Było to osiemdziesiąt kilometrów na południe od Nowego Orleanu, jadąc przez gęste bagna samotną, krętą drogą. Jay dotarł nią prosto nad brzeg zalewiska i pomost Henry Landing – kombinację supersamu z barem i przystanią w miasteczku Lafitte.

Po kilku lodowato zimnych piwach na rachunek Jaya, posiwiali rybacy siedzący za barem byli aż nazbyt chętni, żeby wskazać drogę do małej chatki, znajdującej się daleko w głąb Bayou Lafourche, na drugim brzegu zalewiska. Mężczyźni zgadzali się co do ogólnego kierunku, ale kiedy dochodziło do ustalenia nazw kanałów, kursów i położenia geograficznego, opinie zaczynały się różnić. Kiedy rozbieżności doszły do punktu, w którym nie można już było znaleźć wspólnego mianownika, Jay po cichu zapłacił rachunek i wysliznął się z baru. O ile mógł się zorientować, wskazówki udzielone mu przez rybaków pokrywały się z tymi, których dzisiaj rano udzielił Oliver dwóm mężczyznom, siedzącym w jego gabinecie.

Było już w pół do jedenastej. Za późno, żeby wyruszyć wynajętą motorówką na zachód na drugą stronę zalewiska, w poszukiwaniu Billa McCarthy’ego. Było tam mnóstwo pogrążonych w ciemnościach kanałów, na których motorówka mogłaby się wywrócić i pójść na dno. Jay wynajął za dwadzieścia dziewięć dolarów pokój w motelu znajdującym się tuż obok baru na pomoście. Zegarek nastawił na czwartą rano. Był zmęczony fizycznie i psychicznie. Najpierw ucieczka samochodem z posiadłości Olivera do Filadelfii – żeby zmylić policję, która mogła na niego czekać w Nowym Jorku. Potem lot do Nowego Orleanu i jazda samochodem do Lafitte. Ostatni obraz, jaki przemknął mu przez głowę, kiedy już odpływał w sen, była to twarz Sally z dziwną, oszalałą miną, kiedy nie wysłuchał jej błagania i nie zatrzymał się, żeby porozmawiać.

W szarym świetle wschodu słońca, przy akompaniamencie brzęczącego silnika, Jay przepłynął na drugi brzeg zalewiska. Poruszając się z szybkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę w labiryncie kanałów, Jay czuł, że jest już blisko. Z szerszego kanału wpłynął do węższego, który nagle, po półtora kilometra, się urwał. Cofnął się i wpłynął do innego kanału. Tu perspektywa była chyba lepsza. Droga wodna była trochę szersza od poprzedniej i zauważył kilka postrzępionych lilii unoszących się na powierzchni. Ostatnio

musiały przepływać tędy jakieś łódki. Podniósł wzrok na omszałe gałęzie, a potem na błotnisty brzeg, z którego wskoczył do wody mały aligator, przestraszony hałasem.

Jay powoli skręcił i zobaczył chatę. Na pomoście, w zielonym fotelu turystycznym siedział bez ruchu Bili McCarthy i ze spokojem palił cygaro. Jay wpłynął do doku, wskoczył na pomost i przycumował łódź.

– Cześć, Bili – powiedział spokojnym głosem.

– Witam, panie West.

Południowy akcent McCarthy’ego wydawał się wyraźniejszy niż w Bostonie.

– Piękny poranek.

– Tak, rzeczywiście. – McCarthy wycelował cygaro w Jaya. – Wykazujesz się sprytem, młody człowieku.

– Dzięki – odpowiedział Jay spokojnie. Rozejrzał się, czy nikt nie chowa się w gęstym lesie rosnącym po obu stronach kanału. McCarthy pochylił się i splunął do mrocznej wody.

– Domyślam się, że przyjechałeś do mojej nory, żeby zadać kilka pytań. Ale też, co ważniejsze, ostrzec mnie przed kimś, kto chciałby skrócić mi życie – powiedział i wytarł usta wierzchem dłoni.

Jay zmrużył oczy zdziwiony.

– Skąd wiesz?

– Zawsze zakładałem, że kiedy zacznie się coś dziać, informatorzy będą chcieli to zrobić. Takie ryzyko zawsze istniało. Ale cóż, nagroda jest tego warta.

– Nie muszę cię więc już ostrzegać.

– Nie masz po co. Wczorajszej nocy usłyszałem łódź płatnego mordercy dziesięć minut wcześniej, zanim tu dotarł, podobnie, jak słyszałem twoją. – McCarthy roześmiał się i wskazał ręką wodę przed chatą. – Jest gdzieś tam, pewnie w kilku częściach. Aligatory uwielbiają ludzkie mięso, chociaż przed zjedzeniem pozwalają, żeby zmiękło w wodzie. Rozrywają ciało na kilka kawałków, umieszczają je pod kamieniami i kłodami, a za kilka dni wracają na ucztę.

Jay rozejrzał się po kanale. Pomyślał, że gdzieś w zasięgu wzroku powinna być łódź mordercy. Bo domyślał się, że kuter „Boston Whaler” przycumowany do pomostu należy do McCarthy’ego. McCarthy wypuścił dym z ust.

– Mimo że powiedziałem mu o prawniku, Oliver przysłał tu płatnego mordercę – powiedział do siebie. – Ale zawsze wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie. – Podniósł głos. – To było pewne.

Wiedziałem, że to zrobi.

– To nie Oliver.

– Nie? – zdziwił się McCarthy.

– Nie. Ktoś inny z siatki. McCarthy zastanowił się.

W takim razie, to musiał być Torcelli. Tylko on z nich wszystkich ma wystarczające jaja, żeby zrobić coś takiego. Jay wzruszył ramionami.

– Nie rozróżniam ich.

– Torcelli jest dobrze zbudowany, ma jakieś dwa metry wzrostu. – McCarthy pokazał, jak szeroki w barach jest Torcelli.

– Rzeczywiście chyba ten. McCarthy uśmiechnął się.

– Nigdy mi się nie podobał.

– Wiedziałeś o siatce przez cały czas, prawda? – zapytał Jay.

– Oczywiście. Ja tym rządziłem. Wiem o wszystkim, co się tam działo. – McCarthy spojrzał na zegarek. – A ty, jak widzę, odwaliłeś kawał dobrej roboty. Udało ci się wymknąć Kevinowi O’Shea i jego przyjacielom z policji nowojorskiej. Jeśli się nie mylę, wczoraj mieli cię aresztować.

– Próbowali.

McCarthy roześmiał się znowu, tym razem głośno.

– Jak powiedziałem, jesteś bardzo sprytnym młodym człowiekiem. – McCarthy stracił popiół z cygara do wody. – Skąd u diabła wiedziałeś, że chcą tu wysłać mordercę?

Jay w skrócie zdał mu sprawozdanie z wypadków wczorajszego dnia.

– Wiedziałem, że przyjdą po mnie, wcześniej czy później – mówił McCarthy. – Tylko to miało sens. W końcu musieliby na to wpaść. Chcieli mnie raz na zawsze uciszyć i dostać pieniądze. – Spojrzał na Jaya. – Przypuszczam, że wiesz już o testamencie i całej umowie.

Jay kiwnął głową. Przez chwilę obaj milczeli. W końcu odezwał się Jay.

– Dlaczego mnie wrobiono?

– Pytanie za sto punktów, co? – McCarthy’emu sprawiała przyjemność ta konwersacja, w której obaj starali się ustalić, co wie druga strona. – Odpowiedź jest prosta, ale prowadzi do całkiem nowej historii, o wiele bardziej skomplikowanej. – Jego głos się zmienił. – Wiesz coś o tej historii?

– Mam pewne pojęcie.

– Cholera. – McCarthy pokręcił głową. Ten fakt zrobił na nim wrażenie i poczuł się trochę nieswojo. – Miałem niejasne przeczucie co do ciebie, kiedy Oliver mi cię przedstawił. Powiedziałem, że jesteś bystry.

Powiniem posłuchać instynktu i nie zatrudniać cię. – Spojrzał na słońce nad horyzontem. – Czy to włamanie do Maggie's Place w południowym Bostonie parę dni temu, to twoja sprawka? – zapytał.

– Tak, to byłem ja. McCarthy odchrząknął.

– Cóż, prosta odpowiedź na twoje pytanie brzmi, że miałeś zostać wrobiony w nielegalne transakcje z przyczyn politycznych. Jak wiesz, mam w Waszyngtonie świetne układy i pomoc finansową, której udzielam mojej partii politycznej, jest niebagatelna. Około dziesięciu milionów dolarów rocznie od dobrych kilku lat.

Ministerstwo Sprawiedliwości odkryło sieć informatorów Olivera już w zeszłym roku w marcu, ale dzięki moim kontaktom udało mi się namówić rząd na pójście na taki układ.

– I ja miałem być tym, który weźmie na siebie całą winę i zostanie przykładowie ukarany.

– Nie inaczej – przytaknął McCarthy. – Jeszcze zanim zostałem powiadomiony o dochodzeniu w sprawie nielegalnych transakcji w M-L, już czułem, że jesteśmy w punkcie, kiedy ktoś powinien zostać poświęcony. Moi wysoko postawieni przyjaciele nie mogli oczywiście pozwolić na to, żeby dział arbitrażu kontynuował swój grzeszny proceder. Układ polegał na tym, że my zaprzestaniemy nielegalnych działań i poświęcimy kogoś jako kozła ofiarnego, a federalni odstąpią od dalszego śledztwa. Jak powiedziałem, działały tu względy polityczne. – Zamilkł na chwilę. – Kiedy ustalono zasady, śledztwo powierzono niejakiemu Kevinowi O'Shea. Wiedział dokładnie, o co chodzi w sprawie i wszystko kontrolował. Ciebie wybrano na osobę, która beknie.

– Sally Lane też była w to zamieszana? McCarthy kiwnął głową.

– O, tak, pracowała dla O'Shea. Zdobyła twoją dyskietkę i wykonała z twojego mieszkania kilka kompromitujących cię telefonów.

– Wiem.

– W ten sposób w momencie, kiedy kupiłbyś akcje Bell Chemical i Simonsa, O'Shea miałby przeciwko tobie niepodważalne dowody.

– I zgniłbym w więzieniu – wycedził Jay.

– Zdaje się, że mówiono o dwudziestoletnim wyroku – powiedział McCarthy obojętnym

tonem.

– Nie mogę uwierzyć, że mój rząd zrobiłby mi coś takiego.

– Uwierz, Jay – powiedział McCarthy zadowolony. – Naukowcy nam wmawiają, że ziemia się kręci wokół słońca, ale kłamią. Wszystko obraca się wokół pieniędzy. – McCarthy westchnął.

– Padło na ciebie, Jay, ale nie bierz sobie tego do serca. Na takie sprawy nigdy nie należy patrzeć emocjonalnie.

– Ale to nie jest jeszcze sedno historii, prawda? McCarthy pokręcił przecząco głową.

– Nie, to nie jest sedno.

– Wszystko wiąże się z południowym Bostonem, EZ Travel, Donegall Volunteers i ideą przerwania procesu pokojowego. Nie tak, Bili? McCarthy skrzywił się. Nie zamierzał mówić Jayowi nic więcej.

– Tak – odpowiedział krótko.

– Od czego to się zaczęło?

McCarthy pochylił się i zaczął wstawać, ale rozmyślił się i z powrotem usiadł. Co za różnica. Jay West nie opuści tego miejsca żywy.

– Pięć lat temu firma McCarthy-Lloyd, a tym samym ja, znalazła się w poważnych kłopotach finansowych.

Walczyliśmy o przetrwanie, stawiając wszystko na ostatnią kartę. Wszystko zainwestowałem w pewną spółkę z Florydy, która, jak wierzyłem, miała wyciągnąć nas z kłopotów. Myślałem, że jej akcje pójdą w górę, ale myliłem się. Spółka zaczęła padać bardzo szybko po tym, jak w nią zainwestowaliśmy. Zarząd próbował ściągnąć innych inwestorów, ale nie udało się i firma zaczęła bankrutować. – McCarthy wyduł usta. – Gdyby ta spółka zbankrutowała, McCarthy-Lloyd również by zbankrutowało.

– Co się wydarzyło? Jak udało się nie dopuścić do bankructwa?

– Grupa menadżerów udała się na wyspę St. Croix na spotkanie z pewnym bogatym inwestorem indywidualnym, ale po trwającej cały dzień prezentacji, potencjalny inwestor się wycofał. – McCarthy głośno przełknął ślinę. – Po zakończonym spotkaniu menadżerowie wsiedli na pokład samolotu golfsztorm i lecieli z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Trzydzieści dwie minuty po starcie samolot eksplodował. Wszyscy zginęli – powiedział spokojnym głosem McCarthy.

Jay domyślał się, jaki był cel tej katastrofy.

– Każdy z nich musiał być ubezpieczony na niezłe pieniądze. McCarthy kiwnął głową.

– Tak, polisy ubezpieczeniowe na życie były ogromne. Całkowita suma z ubezpieczeń wystarczyła, żeby spłacić wszystkie zadłużenia i wpłacić na rzecz McCarthy-Lloyd sporą sumę z udziałów. McCarthy-Lloyd nie stała się firmą bogatą, ale pomogło nam to wyjść z największych kłopotów. – Wydał usta. – Odbyło się dochodzenie w sprawie katastrofy samolotu, ale nic nie znaleziono. Szczątki samolotu i ciał wpadły do Atlantyku w miejscu bardzo głębokim i znanym z silnych prądów. Do chwili przybycia grupy dochodzeniowej na miejscu wypadku nie został żaden ślad.

– Nie myślałem, że znajdziesz wśród przyjaciół ludzi, którzy byliby do tego zdolni.

– Bo też ja ich nie znalazłem – przyznał McCarthy. – To oni znaleźli mnie. Wyszadzi samolot w powietrze.

Musieli zabić Grahama Lloyda, bo on nigdy nie zgodziłby się na takie rozwiązanie. A potem kupili od wdowy po nim jego pięćdziesiąt procent akcji. – Zawahał się. – Żaden z tych pomysłów nie należał do mnie. To wszystko ich sprawki.

– Kim są ci „oni”? – zapytał cicho Jay, zdziwiony, że McCarthy tak łatwo potrafił znaleźć dla siebie usprawiedliwienie.

McCarthy spojrział na wodę. Kochał to miejsce, ale pewnie nie będzie go oglądał przez długi czas, a możliwe, że nie zobaczy go już nigdy.

– Donegall Volunteers – powiedział w końcu. – To terrorystyczny odłam Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

Powiedzmy o nich tyle, że nie zgadzają się z porozumieniem pokojowym ratyfikowanym w zeszłym roku.

– Nazwę wzięli od Placu Donegall, głównego placu w Belfaście, stolicy Północnej Irlandii. – Jay dowiedział się tego w sobotę w bibliotece, zanim spotkał się z Sally.

– To prawda – przyznał McCarthy. – Moja rodzina pochodzi z Irlandii Północnej i wciąż mam tam sporo krewnych. Przed sześcioma laty jeden z nich przedstawił mnie człowiekowi, który twierdził, że może mi pomóc w rozwiązaniu problemów finansowych firmy. Na początku nie przywiązywałem wagi do tego spotkania, ale później, kiedy sytuacja w McCarthy-Lloyd się pogorszyła, nie miałem innego wyboru, tylko słuchać. – Pokręcił głową. – Czasami żałuję, że w ogóle poznałem tego człowieka.

– Donegall Volunteers musieli mieć ogromne pieniądze – Jay drążył temat, chcąc uzyskać od

McCarthy'ego jak najwięcej informacji.

– Wcale nie. W rzeczywistości dysponowali w tamtym czasie bardzo niewielkimi zasobami finansowymi.

Cała frakcja składała się z mniej niż stu ludzi – wyjaśnił McCarthy. – Zainteresowali się możliwością wejścia ze mną w spółkę, żeby zgromadzić fundusze. W Wall Street widzieli najlepszy sposób, żeby szybko zebrać pieniądze na prowadzenie wojny.

– W jaki sposób udało im się wykupić połowę udziałów w firmie, które należały do Grahama Lloyda?

– McCarthy-Lloyd w tamtym czasie prawie nic nie była warta. Donegall Volunteers zebrali razem trzy miliony dolarów. Żona Grahama Lloyda prawie ich całowała po rękach, kiedy zaoferowali aż tyle. Za trzy miliony dolarów nie można prowadzić wojny, ale można kupić udziały upadającego banku inwestycyjnego.

Teraz M-L jest warta blisko bilion dolarów. I, jak chcą, mogą mieć swoją wojnę.

– Więc zatrudniłeś Olivera specjalnie, żeby zorganizował sieć informatorów?

– Tak właśnie. Zresztą, na życzenie Donegall Volunteers. Widzieli w korzystaniu z informatorów sposób na to, żeby dać firmie kopa na początek i nie obchodziło ich, że to nielegalne. Gdyby przyłapano nas na tych transakcjach, Donegall Volunteers po prostu pozostaliby w cieniu. Nie mieli skrupułów przy popełnianiu takich przestępstw. Do diabła, przecież oni zabijali ludzi. Zabili mojego współnika i tych ludzi w golfsztormie.

– A jaki związek miał z tym EZ Travel i ten pub w południowym Bostonie? O co chodziło?

McCarthy uniósł się w fotelu.

– Kiedy firma McCarthy-Lloyd zaczęła przynosić poważne pieniądze, moi partnerzy chcieli dostawać z niej fundusze na prowadzenie swojej wojny, szczególnie, kiedy porozumienie pokojowe stało się bardziej realne.

– Rozumiem, że chcieli zacząć kupować broń? – zapytał Jay.

– Oczywiście, o to chodziło – odparł krótko McCarthy. – Prowadzimy pięć innych spółek, między innymi sieć warsztatów samochodowych, sklepy. Każda z tych spółek wymaga dużych inwestycji, i na ich konta przelewamy pieniądze, które potem trafiają do Antigua, i dalej do Europy.

– A dlaczego wśród tych spółek znalazła się agencja podróży? – Donegall Volunteers rozsyłają ludzi po całym świecie, żeby zdobywali broń. Międzynarodowe organy ścigania

marzyłyby o tym, żeby ich aresztować.

Agencja podróży pozwala poruszać się człowiekowi po całym świecie bez konieczności ujawniania prawdziwej tożsamości.

– Ale po co wysyłać pieniądze przez jakiś bar w południowym Bostonie? McCarthy spojrział na zegarek.

Musiał już kończyć tę pogawędkę.

– Ogromna część pieniędzy, jaka wypłynęła z tego kraju do Północnej Irlandii na poparcie wojny, przeszła przez Boston. Nie mówię tylko o Donegall Volunteers. Cała suma to setki milionów w ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci. Kto wie, może więcej. Jest tam spora grupa sympatyków i działaczy. Wiele frakcji. Donegall Volunteers to zresztą nic innego. Z grupki liczącej sto osób przed kilku laty urosli w tej chwili do pięciu tysięcy członków. Połowa ich jest w Północnej Irlandii, a druga połowa tutaj, wielu w Bostonie. To siła, z którą należy się liczyć. Przyznaję, że amerykańskie biuro całej operacji mieszczące się nad pubem wygląda trochę skromnie, ale spełnia swoje zadanie. Podobnie było z innymi organizacjami. Maggie's Place nie jest tu wyjątkiem.

– Myślisz, że Oliver wiedział, co się naprawdę dzieje w McCarthy-Lloyd? – zapytał Jay.

– Nic nie wiedział. Sądzi, że on jest pępkiem świata. Jest zbyt wielkim egocentrykiem, żeby spojrzeć szerzej, choćby tylko powierzchownie. – McCarthy zaciągnął się po raz ostatni i niedopałek cygara wrzucił do wody.

Syknęło. – Jay, było miło, ale muszę... – Przerwał, bo w ręku Jaya zobaczył pistolet.

Jay kupił go wczoraj, zanim wyruszył do Lafitte, u handlarza w Jefferson Parish. Zapłacił dwieście dolarów.

Był kilka razy w Nowym Orleanie w delegacji i wiedział, że na bazarze w okręgu na zachód od miasta można kupić wszystko. Wystarczy tylko mieć pieniądze. Jay mocno ścisnął broń.

– Bili, załóż ręce za głowę i powoli się odwróć.

McCarthy zachichotał.

– Myślisz, chłopcze, że uda ci się zaprowadzić mnie tak po prostu na policję?

– Nie masz za dużego wyboru.

– A ja myślę, że jest kilka możliwości. – Na dziobie „Bostona Whalera” pojawił się Carter Bullock. Strzelbę na dwanaście naboju celował w Jaya. – Wrzuc tę zabawkę do wody – rozkazał. Jay zastanawiał się. – Ale już! – Bullock krzyknął.

Pistolet uderzył o powierzchnię wody i szybko wylądował na dnie zalewiska.

McCarthy z uśmiechem obserwował, jak pistolet znika pod powierzchnią. Mimo że Bullock trzymał Jaya na muszce, stojąc od niego w odległości kilkudziesięciu centymetrów, McCarthy nie czuł się całkowicie bezpieczny. Chłopak mógł mieć jakiegoś asa w rękawie.

– Jay, oto Seamus Dunn, znany również jako Carter Bullock – powiedział. – Seamus jest dowódcą amerykańskiej części operacji Donegall Volunteers. I moim współnikiem w McCarthy-Lloyd.

Bullock wszedł na pomost i stanął obok McCarthy'ego.

– Witaj, Jay. Dzień dobry, mam nadzieję – powiedział ironicznie. – Dobrze, panowie! – krzyknął.

Z chaty wyszło czterech mężczyzn w moro. Przez ramiona mieli przewieszane karabiny maszynowe.

Na widok żołnierzy Jay poczuł, że brakuje mu tchu. To nie była jakaś paramilitarna zabawa. Jay bez swojej wiedzy został wplątany w poważną operację wojskową. Nagle jego przekonanie, że wyjdzie z tego cało, załamało się.

Spojrzał w oczy Bullocka.

– O co chodzi z tą farmą w Wirginii? Kogo planujecie zabić, Borsuk? Bullock uśmiechnął się.

– Brytyjskiego premiera, kiedy jutro będzie siedział przed ratuszem na Manhattanie – odpowiedział z dumą Bullock. – Od tej pory Północna Irlandia nigdy nie będzie tym samym. Angole i ci cholerni protestanci otwarcie wypowiedzą nam wojnę. – Uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Ale my tylko na to czekamy.

– Dostaliście już sporo pieniędzy ze Stanów Zjednoczonych, co?

– Wystarczająco dużo, żeby sfinansować poważną wojnę – odparł Bullock.

– A mnie zagwarantować długie i spokojne życie w luksusie – wtrącił McCarthy.

– Jasne, że tak – powiedział Bullock. Wkrótce McCarthy stanie się pokarmem dla aligatorów.

– Wcześniej czy później ktoś zorientuje się, jaki udział ma w tym wszystkim McCarthy-Lloyd, i rząd zamknie firmę – zauważył Jay.

– To i tak by się wkrótce stało – powiedział McCarthy ponuro. – Kwestia czasu.

– Mamy tyle pieniędzy, ile się dało z tego wycisnąć – dodał Bullock. – Przez ostatni miesiąc

oszukiwaliśmy państwo bawiąc się w ciuciubabkę, w wyniku czego firma jest na skraju upadku. Chcieliśmy prowadzić działalność dłużej, ale z powodu dochodzenia musieliśmy uruchomić plan B i wycofać się. – Odwrócił się i skinął głową w kierunku mężczyzn stojących przed drzwiami domku.

To wszystko jest niewiarygodne, pomyślał Jay, patrząc na ludzi idących w stronę pomostu. W ciągu pięciu lat trzymilionowa inwestycja Donegall Volunteers urosła do setek milionów dolarów, wystarczającą ilość pieniędzy, żeby prowadzić wojnę terrorystyczną przez jakiś czas i bez trudu zniszczyć pokój w Irlandii, o którego ustanowienie inni starali się latami.

– To ty zabiłeś Abby Cooper? – zapytał Jay otwarcie. Bullock podszedł do niego.

– Tak, zrobiłem to. Oliver powiedział Abby o naszej siatce podczas jednej z ich kokainowych randek w Plaża. Nigdy nie potrafił trzymać języka za zębami. I zawsze uważał, że Abby jest wobec niego całkowicie lojalna. Ja nie byłem taki naiwny. Nie mogłem liczyć na to, że Abby będzie siedzieć cicho. Gdyby wkurzyła się na Olivera i poszła na policję, popsułaby wszystko. Mogliśmy kontrolować O’Shea, ale nie kogoś spoza układu.

Zabiłem ją i wysłałem jej list z prośbą o rozwiązanie umowy do Olivera. – Zawahał się. – A propos, miałeś rację, rzeczywiście próbowałem wtedy zepchnąć Olivera z dachu. – Bullock uśmiechnął się. – A to za nasze ostatnie spotkanie na parkiecie. – Uderzył Jaya w brzuch końcem strzelby.

West upadł na deski pomostu, łapiąc się za żołądek. Nie mógł oddychać, czuł intensywny ból. Nagle usłyszał silniki helikopterów lecących nad zalewiskiem, prześlizgujących się między wierzchołkami drzew. Tak jak go pouczono, sturlał się do wody.

O drugiej w nocy w swoim pokoju motelowym Jay został brutalnie wyrwany ze snu. W pierwszej chwili nie docierało do niego nic, oprócz tego, że znalazł się w centrum jakiegoś zamieszania. Do pokoju wbiegli uzbrojeni ludzie, ubrani w granatowe wiatrówki i czapeczki bejsbolowe. Potem Jay zauważył wśród nich Kevina O’Shea i Sally Lane, czy też, jak ją później przedstawił O’Shea, Victorię Marshall, starszego agenta komórki połączonych sił FBI i CIA, współpracującej blisko z brytyjskim wywiadem. Nie była jakimś zwykłym asystentem O’Shea w Ministerstwie Sprawiedliwości. Vicky była wysokiej rangi agentem biorącym udział w bardzo poważnej misji.

Jak się okazało, władze nie miały zamiaru o nic Jaya oskarżać. Posiadłość Olivera była naszpikowana podsłuchami. Po wysłuchaniu taśm z rozmowy w gabinecie, domyślili się, dokąd

Jay skieruje swoje kroki. Jak powiedziała Vicky, znaleźć go w Lafitte nie było trudne. Prawdę mówiąc, kilku agentów FBI znalazło się w mieście jeszcze przed Jayem. Widzieli, jak wynajmuje motorówkę i kiedy siedział w barze, nawet ją chwilowo unieruchomili, na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy wypłynąć na zalewisko w środku nocy.

Jay próbował wpłynąć pod motorówkę. Uderzenie Bullocka pozbawiło go oddechu. Płynął jedną ręką trzymając się za brzuch. Potrzebował powietrza. Przepłynął pod śliskim kadłubem i wyskoczył na powierzchnię z drugiej strony łodzi. Musiał odetchnąć. Nad jego głową rozległ się dźwięk strzelaniny z broni automatycznej, krzyki i ogłuszający warkot helikoptera. Woda zalała mu twarz, ale udało mu się zaczerpnąć powietrza.

Zanurkował znowu.

Kiedy palcami poczuł błotniste dno, jeszcze raz ruszył na powierzchnię. Znajdował się jakiś metr od brzegu.

Popłynął powoli dalej w zamulonej wodzie głębokiej po pas. Wreszcie udało mu się wyjść z kanału. Wstał i zrobił krok w kierunku gęstego lasu. Nagle zauważył przed sobą Bullocka ze strzelbą w ręku. Rana na ramieniu broczyła krwią.

– Nie pozwolę, żebyś żył! – krzyknął Bullock, przekrzykując ogłuszający hałas helikopterów. – Za dużo wiesz. – Podniósł lufę strzelby i pociągnął za cyngiel.

Jay poczuł na ramieniu ciepło lecącego pocisku, ale ból się nie pojawił. Zobaczył, że to Bullock leży na ziemi wijąc się w agonii.

Vicky Marshall podbiegła do Bullocka. W dłoni trzymała odbezpieczoną berettę kaliber dziewięć milimetrów. Dotknęła tętnicy na szyi leżącego. Nie wyczuła pulsu. Podniosła strzelbę Bullocka, wrzuciła ją do wody i podbiegła do Jaya.

– Nic ci nie jest? – krzyknęła. Ociekała wodą. Musiała skoczyć do kanału z jednego z wojskowych helikopterów. Jay kiwnął głową, wciąż oszołomiony.

– Chcieli mówić? – krzyknęła.

– Usta im się nie zamykały.

– To dobrze. – Vicky podała mu swoją broń, energicznym ruchem wyciągnęła z jego spodni koszulę i oderwała od piersi Jaya malutki, wodoodporny dyktafon. – Dobra robota – Wzięła berettę i grzęznąc w błocie ruszyła do drewnianej chaty.

Jay osunął się na ziemię, opierając się plecami o ogromne drzewo i patrzył za dziewczyną.

– Dzięki – wyszeptał.

Kiedy dygnitarze zajęli swoje miejsca, mężczyzna uważnie przyjrzał się fotografiom, jakie mu dostarczono.

Potem spojrział przez lornetkę z wysokości czterdziestego trzeciego piętra budynku Chase Manhattan Plaza.

Przed ratuszem z lewej strony siedział mer, a obok niego gubernator. Następny miał się pojawić sekretarz stanu, a za nim premier Wielkiej Brytanii i, któremu będzie towarzyszyć prezydent Stanów Zjednoczonych. Mężczyzna wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Zabijał ludzi wcześniej, ale nigdy nie był to światowej rangi polityk.

Snajper przycisnął do ucha elektroniczne urządzenie nasłuchowe, odwrócił się, podniósł karabin, przez lewe ramię przełożył skórzany pasek i włożył lufę w malutki otwór w szybie, który wyciął przed paroma minutami.

Na lufie przytwierdzony był bardzo silny teleskopowy celownik, przez który trzeba celować w drugi od góry guzik granatowej marynarki premiera. Odległość od celu wynosi około ośmiuset metrów, ale mężczyzna był pewien, że pierwszy strzał przejdzie dokładnie przez serce celu. W Wirginii strzelał w ten sposób kilka razy, nawet z większej odległości.

Był tak skupiony na swoim zajęciu, że nic nie słyszał. Nagle ktoś wyrwał mu z ręki broń i popchnięto go na podłogę, twarzą do szorstkiego dywanu.

Vicky Marshall uśmiechnęła się, kiedy jej koledzy z jednostki specjalnej wyprowadzili niedoszłego zabójcę z pomieszczenia. Niecałe cztery minuty trwało przesłuchiwanie Billa McCarthy'ego, zanim się przyznał, o co rzeczywiście chodziło w akcji „Ratusz”. Zaalarmowało ich wyznanie Bullocka nagrane na dyktafonie, który miał przy sobie Jay, że celem zamachu jest premier Wielkiej Brytanii. Ale musieli uzyskać więcej szczegółów i McCarthy szybko im je dostarczył. Sukinsyn miał niewielką tolerancję na ból.

Savoy stanął na przyczepie i dał znak ręką konwojowi czterech ciężarówek czekających za nim z włączonymi silnikami. Samochody stały na mokrym piasku, we mgle. Broń została załadowana i łodzie wyruszyły już w drogę powrotną przez Morze Północne. Spojrział w górę, na klify wznoszące się nad tym samotnym odcinkiem wybrzeża Irlandii, wsiadł do szoferki i zatrasnął za sobą drzwi.

– Jedziemy – rzucił burkliwie do kierowcy. Silnik ciężarówki zawarczał głośniejsze i konwój ruszył w górę wąskiej żwirówki prowadzącej z plaży na wzgórze. Jesteśmy prawie w domu, pomyślał Savoy.

Kierowca pierwszy zauważył blokadę. Tylko że na drodze nie stali policjanci, ale żołnierze regularnej armii brytyjskiej. Kierowca wcisnął hamulce. Savoy podążył za jego wzrokiem. Zobaczył setki uzbrojonych żołnierzy.

Zagryzł wargę. Nie dostaną go żywego.

Otworzył drzwi ramieniem, wyskoczył z samochodu i zaczął biec. Parę metrów od ciężarówki powaliła go seria z karabinu maszynowego.

Epilog Jay siedział na ławce w Central Parku wygrzewając się w popołudniowym słońcu.

– Wiesz Sally, to znaczy Vicky, chciałbym zapytać cię o parę spraw. – Uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że nie przypadkiem pomylił imię. Vicky łyknęła coli.

– Odpowiem, jeśli będę mogła. Jeśli to tajne, poproszę o inny zestaw pytań. – Próbowwała być twarda i niczego nie przyspieszać.

– Zgoda. – Jay kiwnął głową. – Czy Kevin O’Shea należy do tej twojej komórki FBI-CIA? – Myślał, że to jedno z pytań, na które nie otrzyma odpowiedzi. Jednak się mylił.

– Nie. On naprawdę pracuje dla Ministerstwa Sprawiedliwości.

– Ale działaliście razem.

– Tak.

– W takim razie, nie rozumiem. Vicky wzięła ostatni łyk z butelki.

– Pół roku temu brytyjski wywiad zawiadomił Centralną Agencję Wywiadowczą, że nowojorski bank inwestycyjny, McCarthy-Lloyd, pojawił się w kilku raportach działu badającego stan krajowych akcji.

Wypytano naszych informatorów, i kilka interesujących faktów dotyczących M-L wypłynęło, ale nie wystarczyłoby to, żeby wystąpić przeciwko firmie z oskarżeniem – wyjaśniała. – W tym momencie szefowie zdecydowali, żeby wysłać tajnego agenta, który wejdzie do firmy i sam się przekona, co się tam dzieje.

– To byłaś ty.

– Tak, ja – potwierdziła. – Ale, oczywiście, musieliśmy wiedzieć, że na pewno dostanę tam pracę i że będę miała dostęp do kierownictwa. Upewniliśmy się, że jest prowadzone wstępne śledztwo dotyczące nielegalnych transakcji i skontaktowaliśmy się z Ministerstwem

Sprawiedliwości. Mieli nam pomóc w realizacji naszego podstępu. Prezydent został powiadomiony i wzięliśmy się do roboty.

– Ale nie wiedzieliście, czego dokładnie szukacie.

– Mieliśmy tylko niejasne przypuszczenia, ale to wszystko. Najpierw próbowaliśmy się zorientować, co się dzieje, obserwując firmę tylko z zewnątrz. – Vicky popatrzyła na Owczą Łąkę, ogromną przestrzeń parku porośniętą tylko trawą, która rozciągała się przed nimi. – Jeden z wyższych urzędników Białego Domu skontaktował się z Billem McCarthy'm i powiadomił go, że Ministerstwo Sprawiedliwości podjęło dochodzenie w sprawie nielegalnego wykorzystywania informacji, ale jednocześnie zaproponował układ, który pozwoli uniknąć większych kłopotów. McCarthy zgodził się szczęśliwy.

– Nie wątpię – powiedział Jay i roześmiał się.

Vicky na chwilę przerwała opowiadanie. Patrzyła na przystojną twarz Jaya.

– Podoba mi się, jak się śmiejesz.

Jay ujął jej rękę. Trzy ostatnie dni spędzili razem ciesząc się Nowym Jorkiem i swoimi ciałami. Chociaż Jay sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, ta dziewczyna podobała mu się. I to bardzo.

Odwróciła wzrok.

– Resztę mniej więcej znasz. McCarthy i Oliver zostali poinformowani, że Kevin O'Shea prowadzi śledztwo w sprawie nielegalnego wykorzystywania informacji, które skończy się zamknięciem sprawy. Obydwaj wierzyli, że pracuję razem z O'Shea i jestem z Ministerstwa Sprawiedliwości. Kupili całą bajeczkę. Połknęli haczyk, linę i ciężarek. Ale ty dotarłeś do sedna całej sprawy, zanim mnie się udało to zrobić – przyznała.

– To ty wzięłaś z mojego mieszkania dyskietkę. I wykonałaś telefony do dyrektora finansowego Bell Chemical.

– Tak.

– Ale ten dyrektor musiał słyszeć twój głos, a nie sądzę, żeby uznał go za męski – zauważył Jay. – A już na pewno nie podobny do głosu z mojej sekretarki.

– Kiedy dzwoniłam z twojego mieszkania, nie rozmawiałam z nim osobiście. Wykręciłam jego bezpośredni numer telefonu, uzyskałam połączenie i pozostałam przez jakiś czas na linii, żeby zostało to zarejestrowane przez firmę telekomunikacyjną. A telefon z szantażem wykonał mój kolega z pracy, który ma głos bardzo podobny do twojego. Telefonował z aparatu, który ma

zablokowaną informację o numerze.

Jay uśmiechnął się. Plan był opracowany z detalami.

– Domyślam się, że rzeczywiście mieliście coś na tego biednego dyrektora z Bell Chemical.

Teraz roześmiała się Vicky.

– O, tak.

– Co to było?

– Poproszę o następne pytanie.

– Nie przesadzaj – zaprotestował Jay. – To nie może być tajna informacja.

– Naprawdę, nie mogę ci powiedzieć. – Była stanowcza. – Zaaranżowaliśmy takie rzeczy, żeby wszystko wyglądało bardzo realistycznie, żeby McCarthy i Oliver nie mieli prawa powątpiewać w prawdziwość całej sytuacji. No i wszystko zadziało doskonale. Ale ty i tak sam na to wpadłeś.

Jay uśmiechnął się. Był z siebie dumny.

– Ale jestem wspaniały, prawda?

– Tak.

– To znaczy, że nigdy nie miałem pójść do więzienia.

– Nie miałeś. Na jakiś czas usunęlibyśmy cię w cień i wyjaśnili pobieżnie, o co chodziło. Ale nie poszedłbyś do więzienia. – Próbowala nad sobą panować, ale okazało się to niemożliwe. Pochyliła się w jego stronę i pocałowała go.

– Czy to nie jest zabronione? – zapytał Jay, kiedy się odsunęła. – Co z twoimi obowiązkami agentki wywiadu?

– Wszystko w porządku. – Próbowala się roześmiać, ale to nie było łatwe. W ciągu tych paru dni tak bardzo się do siebie zbliżyli. – Jakie są następne pytania?

– Opowiedz mi o Bullocku. Przed rozmowami kwalifikacyjnymi w McCarthy-Lloyd zrobiłem o nim mały wywiad i dowiedziałem się, że pochodzi z Pensylwanii, z miasteczka położonego blisko mojego rodzinnego domu.

– To była jego fałszywa tożsamość. Niektóre grupy terrorystyczne są świetne w preparowaniu tego typu historii. – Wyciągnęła rękę i zaczęła pieścić jego kark.

– To Bullock zabił Grahama Lloyda. – Jay złapał ją za rękę i pocałował palce.

– Tak, zabił Lloyda w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku w Nowym Orleanie, i rzucił jego ciało na pożarcie aligatorom w pobliżu chaty McCarthy'ego. – Dotyk jego

ust na jej dłoniach był bardzo podniecający. – Potem wypłynął łodzią Lloyda na morze i zostawił ją tam. Wrócił na ląd ze swoim pomocnikiem. Straż przybrzeżna znalazła łódź wywróconą przez burzę. – Zabrała dłoń. Nie mogła tego znieść. – Byłeś bardzo dzielny tam w chacie – powiedziała cicho. – Nie musiałeś się zgodzić, żeby iść tam z podsłuchem.

– Wydawało mi się, że nie mógłbym zrobić nic innego. Powiedziałas, że stawką jest życie ludzi.

– Wielu ludzi – potwierdziła.

– Mam nadzieję, że się na coś przydałem.

– To, co zrobiłeś bardzo nam pomogło. Rozmawiałam dziś rano z moimi przełożonymi i...

– To było wtedy, kiedy wyszłaś na chwilę do miasta po kawę? – Trzy ostatnie noce spędzili w Four Seasons.

– Przecież służba hotelowa mogła ją przynieść.

– Tak, to było wtedy – powiedziała, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Mogę ci powiedzieć, że wywiad brytyjski wsadził już przywódców Donegall Volunteers i przejął przemycaną przez nich broń. Wczoraj na wybrzeżu Irlandii Północnej przechwycono transport morski i mężczyzna o nazwisku Victor Savoy trafił do więzienia. Od lat próbowaliśmy go złapać.

– To świetnie. – Na koniec zachował jeszcze jedno pytanie. – Czy ty i Oliver kiedyś... – Nie potrafił dokończyć zdania.

– Kiedyś co?

– No wiesz.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – zapytała.

– Pewna pokojówka z Hotelu Plaža twierdziła, że z nim tam byłaś. Pokazałem jej zdjęcie nas trojga na żaglówce, rozpoznała cię.

– Raz się tam z nim rzeczywiście spotkałam – wyjaśniła Vicky. – Ale tylko po to, żeby omówić szczegóły mojej „pracy” w M-L. – Przysunęła się do Jaya, założyła mu ręce na szyję i pocałowała go. – Naprawdę.

– Uratowałaś mi życie – powiedział Jay, przytulając ją mocno. – Bullock mógł mnie zabić.

– Nigdy nie pozwoliłabym, żeby miało ci się stać coś złego – wyszeptala.

– Jakoś na razie ci wierzę.

– Powinieneś. Pocałował ją w policzek.

– A co będzie teraz?

Wiedziała, że to pytanie wcześniej czy później padnie, ale wciąż nie była na nie przygotowana.

– Zwrócimy prawdziwej Sally Lane jej życie – odparła.

– Co? – spojrzał na nią pytająco.

– Przez ostatnie pół roku, kiedy posługiwaliśmy się jej tożsamością, przebywała w Argentynie.

– Niemożliwe? Vicky kiwnęła głową.

– Dlaczego posłużyliście się właśnie nią? – zapytał Jay. Vicky miała świadomość, że na to pytanie nie powinna odpowiadać, ale Jay zasłużył na wyjaśnienie.

– Ojciec Sally miał flotyllę łodzi rybackich.

– Wiem, to rodzinny interes.

– To był również wybieg. Interes był jak najbardziej legalny, ale łodzi tych od czasu do czasu używał wywiad Stanów Zjednoczonych.

Jay ze zrozumieniem pokiwał głową. To, co mówiła mu starsza pani na plaży Gloucester teraz nabrało sensu.

– Joe Lane był wielkim patriotą, podobnie jak Sally – mówiła Vicky. – Zapytaliśmy, czy pozwoliłaby posługiwać się jej tożsamością przez pół roku, ze względu na nasze ogromne podobieństwo. Zgodziła się od razu.

– Wykręciłaś się od odpowiedzi na moje pytanie – zauważył Jay. – Pytałem o to, co zdarzy się później z nami. Vicky położyła palec na jego ustach.

– Poczekaj. Pójdę po coca-colę. Zaraz wracam.

– Następna cola? Odpłyniesz, jak będziesz tyle piła.

Pocałowała go jeszcze raz. Potem ujęła jego dłonie i dotknęła ich wargami.

– Kocham cię, Jayu West. Naprawdę. – Przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy. – Zaraz wracam.

– Pospiesz się. – Położył się na ławce. Słońce przyjemnie przygrzewało, a on czuł się wyczerpany.

Wieczorem mają iść na kolację, a potem do teatru na Broadwayu. Na jutro zaplanowali wyjazd do Hamptons, na plażę. Życie zaczęło go rozpieszczać.

Słońce schowało się za budynki po zachodniej stronie Central Parku, kiedy Jay się obudził. Przetarł oczy i spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Spóźnił się do teatru. Stał chwiejnie

i rozejrzał się dookoła. Vicky nie było w pobliżu. Przez chwilę patrzył przed siebie, potem usiadł ciężko na ławce. Ona nie wróci.

Popatrzył na swoje ręce. Całowała je na pożegnanie.

Westchnął głęboko i spojrział na słońce chowające się za budynki na Centrall parku – wiedział, że ona odejdzie. Nie wiedział tylko, kiedy.